

**KATHERINE  
STONE**

**MIŁOŚĆ W BEL AIR**

# Część 1 .

# 1

*Los Angeles, Kalifornia,  
czerwiec 1984*

Allison! Tak się cieszę, że cię jeszcze złapałam!  
- Witaj, Meg. - Allison uśmiechnęła się, słysząc w głosie przyjaciółki zapowiedź dramatu. Prawie wszystko w życiu Meg Montgomery było zawsze „wydarzeniem”. Dziś przynajmniej odpowiadało to prawdzie. Meg wychodziła za mąż. - Czy coś się stało? - spytała spokojnie.

- Tak! Właśnie zadzwonił Jerome Cole. Podobno jest śmiertelnie, nie, nie śmiertelnie, no, jest tak chory, że nie może się nigdzie ruszyć. Zatrucie pokarmowe, czy coś takiego.

Allison lekko zmarszczyła brwi, demonstrując w ten sposób, iż docenia powagę sytuacji. Jerome Cole był nadwornym fotografem najbogatszych panien młodych z Los Angeles, takich jak Meg i Allison. Dla mieszkańek Bel Air i Beverly Hills album w złotych okładkach ze zdjęciami autorstwa Jerome'a Cole'a był czymś tak naturalnym, jak marsz Mendelssohna, suknia wyszywana perłami, pięciopiętrowy tort weselny i morze szampana.

Allison pomyślała, że w Los Angeles na pewno są inni, doskonali fotografowie, ale w takim dniu, w trzecią sobotę czerwca, z pewnością wszyscy będą już zajęci. Mniejsza zresztą o same zdjęcia, ale Meg była tak podekscytowana, tak zakochana, tak pewna, że jej bajkowy ślub będzie najwspanialszy na świecie, że trudno jej się dziwić. Same zdjęcia nie miały wielkiego znaczenia, ale jednak...

- Jerome ma asystentkę - mówiła dalej Meg, gdy Allison gorączkowo myślała, jak przekonać przyjaciółkę, że to jeszcze nie jest koniec świata. -1 ona ma czas.

- Świetnie!
- Czy mogłabyś ją przywieźć? Ona nie ma samochodu. A ja nie chcę się denerwować, że taksówkarz gdzieś zabłądzi.
- Oczywiście, że ją przywiozę.
- Fantastycznie. Dzięki. Wydaje mi się, że mieszka niedaleko ciebie. Ma mieszkanie w suterenie na rogu Montana i Dwudziestej w Santa Monica. - Meg podała Allison dokładny adres. - Czy to blisko?
- Bardzo. Zaledwie pięć przecznic ode mnie.
- Nazywa się Emily Coś-tam. Brzmi z francuska. Choć nie mówiła jak Francuzka. Właśnie z nią rozmawiałam. Będzie gotowa dwadzieścia po trzeciej, może być?
- Świetnie. Wszystko będzie dobrze, Meg. Dziś jest doskonały dzień na ślub - dodała Allison z lekko wymuszonym entuzjazmem. - Naprawdę nie mogę się już doczekać.

Naprawdę wcale mi nie zależy - pomyślała, odkładając słuchawkę.

Zaledwie miesiąc wcześniej Allison planowała własny ślub. Zaledwie miesiąc wcześniej potwierdziła sobotnią datę z Jerome'em, który miał robić zdjęcia, z Francois, który miał dostarczyć cięte kwiaty, paki do butonierek i wiązanki, z Wolfgangiem, który przygotowywał próbne przyjęcie w Spago, z Martinem, który obiecał Allison klub myśliwski w Bel Air na cały dzień... A nawet na całą noc, gdyby chciała.

Dwa tygodnie później Allison zadzwoniła do wszystkich i odwołała ślub, przepaszając za zawracanie głowy. Odwołała, a nie przełożyła. Ślub Allison Fitzgerald i Daniela Foreстера nie odbędzie się ani we wrześniu, ani nigdy.

To była moja decyzja, upomniała się w duchu Allison. Wyłącznie moja.

Choć emocje i przekonania, którymi się wówczas kierowała, teraz nie wydawały się już tak istotne.

Spojrzała na zegarek. Dopiero trzecia. Mogła wyjechać z domu piętnaście po i być u Emily dwadzieścia po trzeciej. Miała więc jeszcze kwadrans na bezsensowne rozmyślanie o Danielu albo na telefon do Winter, swojej najlepszej przyjaciółki.

Nie wahała się, którą możliwość wybrać.

- Meg na pewno szaleje! - wykrzyknęła Winter, gdy Allison opowiedziała jej o fotografii.

- O dziwo, wydawała się zdumiewająco spokojna. Prawdopodobnie ma ważniejsze sprawy na głowie.

- Do ślubu jest jeszcze godzina. Mnóstwo czasu na kolejne mini-dramaty.

- To prawda. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.
- Ja też. Wesele na pewno będzie wspaniałe i w dodatku interesujące - mówiła Winter. - Najbardziej błękitna krew z Connecticut i najbardziej bezwzględni cudotwórcy z Wall Street wśród największych sław z Hollywood i najmodniejszych ludzi z Rodeo, nie mówiąc o...
- Obawiam się, że błękitna krew i rekiny finansjery ze Wschodniego Wybrzeża raczej nie dopiszą. Oprócz rodziny Camerona.
- Skaaarbie - szepnęła z eleganckim akcentem i udawanym przerażeniem Winter. - Czyżby mieli coś przeciwko Meg Montgomery z Bel Air?
- Wręcz przeciwnie. Gdy tylko nowożeńcy przyjadą do Nowego Jorku, czekają ich liczne przyjęcia.
- Ach, tak? Na weselu będą zatem ci sami ludzie co zwykle. - Winter westchnęła teatralnie.
- Niestety. - Rozbawiona Allison przyznała jej rację. - Ci sami. Zaledwie czterysta najbogatszych i najbardziej znanych osób w południowej Kalifornii.
- Muszę lecieć. - Winter nagle przypomniała sobie, która godzina. - Jeszcze nie jestem całkiem gotowa, a Mark ma tu być za pięć minut.
- Jaki Mark?
- Mark. Student trzeciego roku medycyny. Spotkałam go w Ogrodzie Rzeźb w czwartek wieczorem, podczas sentymentalnej przechadzki po miasteczku akademickim.
- I zabierasz go na ślub Meg? Do klubu?
- Dlaczego nie? Usiądziesz z nami w czasie ceremonii, prawda?
- Jasne.

Mark spojrzął na adres, który pospiesznie zapisał na marginesie notatek z neurochirurgii i wyszedł ze swego mieszkania przy Manning Avenue pięć minut przed umówioną godziną. Holman Avenue była blisko i wiedział, jak tam trafić. Na pierwszym roku medycyny spotykał się ze studentką prawa, która wynajmowała mieszkanie przy tej samej ulicy.

A zatem adres mógł być prawdziwy, ale czy naprawdę istniała ta wspaniała kobieta z nieprawdopodobnym imieniem i nazwiskiem? Winter Carlyle nie figurowała w książce telefonicznej, a w informacji nie znali albo nie chcieli podać jej telefonu.

Winter Carlyle była jedynie mirażem, wizją, która nie opuszczała go od dwóch dni, odkąd zniknęła równie tajemniczo, jak się pojawiła.

- Jesteś neurochirurgiem? - usłyszał Mark.
- Słucham? - spytał oszołomiony jej wyglądem.
- Pytałam, czy jesteś neurochirurgiem? - Wdzięcznym gestem wskazała na podręcznik neurochirurgii, który leżał obok niego na trawie.

Mark przyszedł tu, aby się uczyć. Wybrał trawnik w Ogrodzie Rzeźb na terenie uniwersytetu, zdecydowanie przedkładając ciepło i światło popołudniowego słońca nad zaduch niewielkiego mieszkanca lub wyiębiony klimatyzacją budynek Biblioteki Nauk Medycznych. Miasteczko uniwersyteckie opustoszało podczas przerwy przed letnim semestrem i do tej chwili Mark był zupełnie sam pośród milczących postaci z brązu.

- Nie, nie jestem neurochirurgiem.
- Mogę zajrzeć do twojej książki?
- Proszę bardzo.
- Dziękuję.

Nim Mark zdążył wstać, Winter usiadła na trawie, wzięła od niego ciężki tom, położyła go sobie na kolanach i otworzyła na indeksie. Marszcząc czoło, przebiegała wzrokiem terminy medyczne, a w końcu uśmiechnęła się lekko, gdy znalazła to, czego szukała. Otworzyła tekst na odpowiedniej stronie, uważnie go przeczytała, a potem znów zmarszczyła czoło, niezadowolona z tego, czego się dowiedziała. Wróciła do indeksu i na nowo zaczęła poszukiwania.

Mark obserwował ją w milczeniu, zafascynowany nie tylko tym, co robiła, lecz także nią samą.

Była niesłychanie piękna. Miała czarne włosy opadające kaskadą na nagie ramiona, kremową cerę, ogromne fiołkowe oczy, ocienione czarnymi rzęsami i pełne wargi.

Każdy jej ruch - szczupłych ramion, długich palców, głowy - miał w sobie elegancji, naturalny wdzięk. Jeśli zdawała sobie sprawę z zainteresowania w spojrzeniu Marka, nie zwracała na nie uwagi. Być może uważała je za coś oczywistego.

Mark doszedł do wniosku, że nieznajoma przywykła do męskiego podziwu.

Przyglądał się jej więc tylko i czekał. Wreszcie z rozczarowana z westchnieniem zamknęła podręcznik.

- Mógłbym w czymś pomóc? - zaproponował cicho Mark.
- Jesteś lekarzem?

- Studentem trzeciego roku medycyny. Za rok kończę studia.  
Nie wiedział, czy to wyjaśnienie spotka się z jej aprobatą, czy z kolejnym rozczarowaniem.

- Masz zajęcia z neurochirurgii?

- Mam praktykę na chirurgii. W tym miesiącu jestem na oddziale urazowym. Często spotykamy się tam z koniecznością nagłej interwencji neurochirurgicznej...

- A więc wiesz, co to jest krwiak podtwardówkowy?

- Tak. - Znał ten termin jako student trzeciego roku, ale skąd ona go znała? Dlaczego był dla niej tak ważny? Kim była ta młoda kobieta?

- Co chciałabyś wiedzieć?

Winter zastanowiła się nad pytaniem Marka.

- Chyba wszystko - odparła wreszcie. - Mam przyjaciółkę...

- Jest pacjentką w klinice uniwersyteckiej? - przerwał jej Mark.  
Jeśli chciała dowiedzieć się czegoś o pacjentce, powinna zwrócić się wprost do jej lekarza prowadzącego. Mark mógł to bez trudu załatwić.

- Leżała w szpitalu trzy lata temu. Na oddziale urazowym. - Winter przerwała. Chciała zapytać o bardzo konkretne rzeczy, ale wyrwane z kontekstu nie miały sensu. - Opowiedzieć ci o jej wypadku? Masz czas?

- Jasne.

- Dzięki. A więc tak. Moja przyjaciółka ma na imię Allison. Jeszcze trzy lata temu w każdej wolnej chwili jeździła konno. Jeździła i skakała. Brała udział w zawodach hippicznych, no wiesz, dwumetrowe przeszkody z cegieł, drewniane z pelargoniami, i tak dalej. Była mistrzynią, prawdziwą mistrzynią, najmłodszą członkinią konnej ekipy olimpijskiej w 1980 roku, choć naturalnie nie pojechała do Moskwy ze względu na bojkot. W tym roku miała po raz pierwszy startować na olimpiadzie. - Winter zamilkła na moment, westchnęła lekko i mówiła dalej: - Trzy lata temu Allison miała okropny wypadek. Na ostatniej przeszkodzie. Coś -jakiś hałas, mysz, podmuch wiatru - przstraszyło jej konia, kiedy był w powietrzu i zrzucił Allison.

Winter zadrżała na to wspomnienie. To miał być triumf Allison. Zabrakło jej paru sekund do zwycięstwa w Grand Prix Los Angeles. Tymczasem ten wyścig stał się końcem jej marzeń i początkiem koszmaru. Winter, z łoża w Klubie Myśliwskim Bel Air, przyglądała się z dumą, jak przyjaciółka bierze przeszkodę za przeszkodą. Allison na eleganckim rumaku Tuxedo robiła wrażenie małej i delikatnej, ale ręce i nogi miała bardzo silne.

Po mistrzowsku kontrolowała bieg i skoki konia, kierując nim szybko, bezbłędnie i z autentyczną radością.

Allison była taka szczęśliwa, kiedy siedziała na koniu. Nawet kiedy brała udział w wyścigu, kiedy musiała się naprawdę koncentrować, jej oczy błyszczały, a usta się uśmiechały.

Zawsze wygrywała z uśmiechem. Uwielbiała skoki i była najlepsza.

- Koniowi nic się nie stało, lecz Allison... Leciła przez ręce jak szmaciana lalka. Zawieźli ją do kliniki uniwersyteckiej na urazówkę i natychmiast przeprowadzili operację, aby usunąć krwiak. Lekarze powiedzieli, że to krwiak uciskający mózg.

- Tak.

- Mógłbyś mi to pokazać?

Mark przekartkował podręcznik i pokazał jej strony, które już widziała, a z których nic nie rozumiała, i inne, które mogły jej pomóc. Zaczął od kolorowego przekroju mózgu, a potem przeszedł do rysunku, który już oglądała. Na nim widać było krwiak. I różne neurochirurgiczne sposoby jego usunięcia.

- Czy możemy wrócić do przekroju mózgu?

Kiedy Mark odnalazł właściwą stronę, Winter jeszcze raz zaczęła ją studiować, uważnie czytając obce słowa i delikatnie przesuując smukłymi palcami po narysowanych nerwach, żyłach i arteriach.

- Różne części mózgu kontrolują różne funkcje, takie jak: pamięć, wzrok i ruchy, prawda? - spytała, gdy znalazła połączenie mózgu z oczami.

- Tak. - Mark był zdumiony, że tak prędko się w tym zorientowała. Przesunął palcem po połączeniu nerwowym, które wskazała i wyjaśnił: - Na przykład płat potyliczny mózgu kontroluje...

Przez następne pół godziny Winter zadawała pytania, a Mark odpowiadał, czasami bardzo szczegółowo, zaskoczony, jak dobrze wszystko rozumiała, zadając coraz bardziej szczegółowe pytania. Spoglądała na niego poważnymi oczyma, które od czasu do czasu otwierała szerzej lub mrużyła pod wpływem wątpliwości czy nagłego przebłysku zrozumienia.

- Uszkodzenie spowodowane przez krwiak zależy więc od części mózgu, którą uciska - mruknęła.

Mark skinął głową.

- I jak prędko się go usunie - dodał i zawahał się, nie chcąc zadać zbyt wielu pytań. W ciągu ostatniej pół godziny smutek nieznajomej zastąpiła ciekawość. Teraz jednak mówiła o uszkodzeniach mózgu i wrócili do konkretów - tragicznej historii jej przyjaciółki. - Jak teraz czuje się Allison?



Pytanie Marka nie zasmuciło dziewczyny. Spojrzała na niego z błyskiem w oczach. Zapomniała, że nie zna przecież szczęśliwego zakończenia.

- Świetnie! - odparła z entuzjazmem, po czym się zreflektowała, przypominając sobie o nieziszczonych marzeniach przyjaciółki. - Oczywiście nigdy już nie będzie jeździć konno. Nie zostanie mistrzynią olimpijską. To byłoby zbyt niebezpieczne. Ma problemy z utrzymaniem równowagi na koniu, odniosła też inne obrażenia: złamane kości miednicy i przerwane nerwy. Jest słabsza fizycznie, niż była.

Mark pokiwał głową. Allison miała dużo szczęścia, że w ogóle przeżyła.

- Cudownie ozdrowiała. Przez parę pierwszych tygodni lekarze nie byli pewni, czy będzie żyć. - Winter nie wiedziała, ile Allison zawdzięczała sztuce lekarskiej, a ile swej niewiarygodnej woli przeżycia. - Ale jednak się udało, a potem nastąpiła wielomiesięczna rehabilitacja. Allison opuściła cały rok akademicki. Musiała się na nowo nauczyć czytać, pisać, chodzić i mówić.

- Ale teraz potrafi to wszystko?

- O tak. Lekko utyka, z powodu uszkodzenia kości miednicy. Czasem się zastanawiam, czy nadal ją boli - powiedziała cicho Winter. Allison nigdy się nie skarżyła. Nawet podczas tych długich miesięcy odzyskiwania zdrowia, kiedy wszystko ją bolało, rzadko o tym wspominała. Winter wróciła myślami do tamtego roku, do początku, do najbardziej przerażającego okresu. - Przez jakiś czas po pięciu minutach zapomniała, co się do niej mówiło - szepnęła.

- Nie mogła tworzyć nowej pamięci - powiedział Mark.

- Nie mogła tworzyć nowej pamięci - powtórzyła z namysłem Winter. - Czy to medyczne określenie?

- Tak.

Mark zastanawiał się, o czym myślała, gdy jej fiołkowe oczy stały się tak bardzo poważne. Czy o tym, jakie to byłoby straszne nie móc tworzyć nowej pamięci, zapominać natychmiast o wszystkim, co się zdarzyło? Czy wprost przeciwnie - że lepiej byłoby zapomnieć niż pamiętać?

- Ale teraz może? - zapytał w końcu Mark. Miał nadzieję, iż w oczach dziewczyny znów ujrzy fiołkowy błysk. - Teraz Allison potrafi pamiętać?

- Tak, teraz już jest wszystko w porządku.

Winter chciała spytać o coś jeszcze, ale tylko przygryzła dolną wargę.

- Pytaj - zachęcił delikatnie Mark.

Odgadł, że wrócili do początku rozmowy, do tego, co sprowokowało jej pytania.

- Ale to głupie pytanie.

- Nie szkodzi.

- Przed wypadkiem Allison nie miała absolutnie żadnego wycucia koloru i stylu. - Winter przerwała na chwilę. - Wyobraź sobie Irlandię. Z czym ci się kojarzy? Co widzisz?

- Zieleń.

- Dobrze. Zielone oczy, jasna cera, piegi, szopa kasztanowych włosów. Taka jest Allison. Urodziła się w Stanach, ale jej przodkowie pochodzą z Irlandii. Przed wypadkiem nosiła ubrania w kolorze czerwonym lub fioletowym, nie zdając sobie sprawy, że wygląda w nich okropnie.

Słowo „okropnie” zabrzmiało w jej ustach ciepło i serdecznie.

- Przed wypadkiem - mówiła dalej Winter - pismo Allison było okrągłe, jak u kogoś, kto dopiero przechodzi z liter drukowanych na pisane. A jej bazgroły, zawsze coś bazgrała, były prymitywne i dziecinne. Wiadomo, że te bazgroły to były konie, bo Allison nic innego nie interesowało, ale tylko po tym można je było rozpoznać. Jeśli ktoś nie znał Allison, nie miał pojęcia co jest na rysunku.

- A teraz?

- Teraz? Teraz jej pismo jest eleganckie i staranne. Bazgroły stały się szkicami, które mogłaby sprzedawać. Ma zaskakujące wycucie koloru i stylu. Dwa tygodnie temu skończyła wydział projektowania wnętrz i będzie pracować w Elegancji, najbardziej znanym studiu projektowym w Beverly Hills. - Winter zerwała źdźbło trawy. ~ I co o tym myślisz? - spytała cicho. - Czy to możliwe z medycznego punktu widzenia? Czy ma to coś wspólnego z krwiakiem? Czy...

- Czy?

- Czy to są czary? I jej niewiarygodny talent jest boskim prezentem, który ma zastąpić to, co straciła?

Mark spojrział w cudowne fiołkowe oczy, pełne nadziei. Chciała wierzyć w czary, które potrafią zmienić tragedię w radość i stworzyć nową, wspaniałą pamięć.

Ciekaw był, jakich czarów oczekiwała dla siebie, jakiego bólu czy smutku chciałyby się pozbyć i zamienić je w szczęście.

- Wygląda na prawdziwe czary - przyznał. - Jakaś cudowna właściwość mózgu, której współczesna medycyna jeszcze nie odkryła.

Winter chciała coś powiedzieć, gdy zaczął bić zegar na wieży pobliskiego kościoła. W milczeniu liczyła uderzenia i w końcu szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Ósma! Muszę iść.

Wstała szybko. Mark zrobił to samo. Prawdopodobnie, a raczej na pewno, spóźniła się na spotkanie, ale Mark wyobraził sobie coś przyjemniejszego: powóz, który zmienia się w dynię i białe rumaki, zmieniające się w myszy.

- Czy mógłbym się z tobą umówić? - spytał szybko, nim zniknie na zawsze z jego życia.

- Och! - Pytanie zaskoczyło Winter. Przecież nie flirtowała z nim, nie uwodziła, nie czarowała, nie obiecywała niczego miękkim głosem.

Rozmawiali tylko, bardzo poważnie, o mózgu, krwiakach i czarach.

- Dobrze - szepnęła niepewnie.

- W sobotę? Na kolację? Do kina? - naciskał Mark, wyczuwając jej wahanie, nie chcąc, aby się wycofała.

- Dobrze - powtórzyła, starając się przybrać opanowany ton. Rolę uwodzicielki opanowała po mistrzowsku i wykonywała bez najmniejszego wysiłku. Do tej pory. Teraz spytała go tak samo poważnie, jak w rozmowie o neurochirurgii: - W sobotę jestem zaproszona na ślub. Chciałbyś pójść ze mną?

- Tak. O której godzinie mam po ciebie przyjechać?

- Ślub jest o czwartej, a zatem piętnaście po trzeciej. - Winter podała mu adres, który Mark zapisał na marginesie podręcznika neurochirurgii. - Przyjęcie będzie w ogrodzie.

- W porządku. Ja jestem Mark. Mark Stephens.

- A ja Winter. Winter Carlyle.

Odeszła, zostawiając Marka z jego marzeniami. Zgrabna gazela biegnąca przez sawannę... Delikatny pastelowy obrazek na spieczonym słońcem pustyni... Poważne fiołkowe oczy i marzenie o czarach... Kopciuszek o północy...

Przez dwa dni Mark żył wspomnieniami i marzeniami, a teraz przyjechał pod adres, który mu podała.

Adres, który należał lub nie należał do Winter Carlyle, kimkolwiek była, o ile w ogóle istniała.

Mark zaparkował samochód za błękitnym sportowym kabrioletem marki Mercedes i podszedł do wejścia pełen obaw i oczekiwania. Miał nadzieję, iż nie okaże się, że to wszystko było snem, ale jeśli nawet, nie chciał, aby ten sen się skończył.

Przeczytał nazwiska przy guzikach domofonu i znalazł W. Carlyle przy numerze 317.

- Mark?
- Cześć.
- Już schodzę.

Winter spojrzała na siebie krytycznie w lustrze, zastanawiając się, dlaczego się tak denerwuje. Ponieważ...

Ponieważ przez ostatnie dwa dni wciąż wracała myślą do spotkania w parku. Nie miała zamiaru go zaczepiać. Był zagłębiony w lekturze, całkowicie skoncentrowany, z lekkim uśmiechem na ustach. Nie miała pojęcia, że go obserwuje, zazdroszcząc mu wyraźnej przyjemności, z jaką studiował. Był tak samo szczęśliwy jak Allison, kiedy jeździła konno.

Gdy się jednak odezwała, okazał się niesłychanie uprzejmy, ciepły i...

Na każdą myśl o nim serce biło jej mocniej. Zrobił na niej duże wrażenie. Pomyślała o czarnych kręconych włosach, przystojnej twarzy i silnych, szczupłych dłoniach, o głębokim, uwodzicielskim głosie, zmysłowym uśmiechu i bystrych, dziwnie jasnoniebieskich oczach, które kazały jej pytać o czary. Czyjego oczy naprawdę miały kolor bławatków?

A może pamięć płątała jej figle?

Winter westchnęła. On jest tylko mężczyzną, takim jak wszyscy inni - powiedziała sobie, jadąc na dół windą. Zwyczajnym mężczyzną, nad którym za chwilę przejmie kontrolę.

- Cześć, Mark.

Dobrze zapamiętała. Miał oczy koloru bławatków. Zapomniała jedynie o ich intensywności.

- Cześć, Winter.

*Była jeszcze piękniejsza, niż pamiętała. Bardziej fiołkowa, bardziej porcelanowa, bardziej aksamitna.*

Mark i Winter w milczeniu podeszli do samochodu.

- Gdzie jest ten ogród? - spytał Mark, otwierając jej drzwi.

- W Klubie Myśliwskim Bel Air.

Markowi zakręciło się w głowie.

Klub Myśliwski Bel Air. Ten ogród był najdroższym, najbardziej ekskluzywnym i najlepiej utrzymanym ogrodem w południowej Kalifornii. Jakie koneksje łączyły Winter z Klubem Myśliwskim Bel Air? Może żadne. Może należała do niego panna młoda, koleżanka ze szko-

A jeśli to Winter należała do klubu? Jeśli sportowy kabriolet przed domem był jej własnością? Jeśli wspaniałe kamienie w jej kolczykach były prawdziwymi szafirami? A suknia koloru lawendy uszyta została z prawdziwego jedwabiu?

Mark wiedział, iż niebawem się przekona. Klub Myśliwski Bel Air znajdował się zaledwie parę kilometrów od domu Winter, w centrum prestiżowej dzielnicy Bel Air.

Allison przybyła pod adres przy Montana Avenue dokładnie dwadzieścia po trzeciej. Postanowiła poczekać w samochodzie. Emily wiedziała, że po nią przyjedzie i teraz z pewnością szybko się ubierała i zbierała swój sprzęt.

Spostrzegła kobietę, która wyszła zza karłowatych palm, otaczających ozdobiony sztukaterią dom; dopóki jednak nie zbliżyła się z wahaniem do samochodu, Allison nie miała pojęcia, że ma przed sobą Emily.

- Ty jesteś Allison?

- Tak. Emily? Wskakuj.

- Cześć. - Emily usiadła na miejscu pasażera i położyła aparat fotograficzny na podłodze przy nogach. - Jestem Emily Rousseau.

- A ja Allison Fitzgerald. - Allison uśmiechnęła się ciepło, starając się ukryć zaskoczenie pod warstwą dobrego wychowania i odruchowej uprzejmości.

Emily miała na sobie workowate dzwony i jeszcze bardziej workowatą, dzinsową koszulę. Wprawdzie i spodnie, i koszula były czyste i wyprasowane, ale nie był to strój odpowiedni na najbogatsze wesele Bel Air.

Zauważyła Emily od razu, kiedy tylko wyszła z domu, gdyż jej artystyczne oko natychmiast wyczuło niespójność tego, co widziała. Ubranie dziewczyny było workowate i bezstylowe, jakby miało coś zasłonić, ale jej długie, złote włosy błyszczały w słońcu, przykuwając uwagę.

Pół złota, pół dzinsowa. Pół oślepiająca, pół łachmaniarska.

I szalenie zdenerwowana - pomyślała Allison, widząc jak Emily drżącą ręką odgarnia z twarzy złoty kosmyk, rzucając jej niepewne spojrzenie.

Ten sam instynkt, który kazał Allison ratować i opiekować się zranionymi zwierzętami, sprawił, iż postanowiła pomóc Emily Rousseau. Jeśli Emily po prostu nie miała co na siebie włożyć, rozwiązanie było proste. Pięć przecznic stąd Allison miała mnóstwo stylowych, pięknych sukien. Będą wprawdzie na Emily trochę za duże, ale...

Po chwili doszła do wniosku, iż nie chodzi o strój. Zakłopotane spojrzenie Emily nie wynikało z porównania jej dzinsowego ubrania z sztyfowaną suknią Allison.

- Na szczęście miałaś dziś wolne popołudnie - stwierdziła wesoło Allison, skręcając z Dwudziestej w bulwar San Vicente.

- Mam nadzieję, że to będzie szczęśliwy traf.  
- Robiłaś już zdjęcia na ślubach? - spytała AUison, przewidując z góry odpowiedź i denerwując się ze względu na Emily i Meg.

- Nie.

- Och. - Meg i Cam i tak się pobiorą - pomyślała. Zdjęcia nie są najważniejsze. - Ale pracujesz dla Jerome'a Cole'a?

- Tak - odparła szybko Emily, jakby podnosiło to kwalifikacje, jakby ogromne doświadczenie w fotografowaniu ślubów ważnych osobistości mogło być zaraźliwe. - Pracuję dla niego od trzech lat, na ostatnich dwóch latach studiów i przez ostatni rok po dyplomie.

Jesteśmy w tym samym wieku, pomyślała AUison. Ty, ja, Winter. Allison i Winter też skończyłyby studia rok temu, a nie przed dwoma tygodniami, gdyby „coś” nie przestraszyło Tuxedo.

- Jesteś więc fotografem - stwierdziła Allison stanowczo.

Dwie godziny wcześniej Jerome Cole pytał ją o to samo, szalenie zdenerwowany: „Jesteś fotografem, prawda, Emily? Nie kupowałaś przecież moich używanych aparatów, chemikaliów i wyposażenia ciemni dla kogoś innego?”

Nauczyciele fotografii na uniwersytecie powiedzieli Emily, że jest bardzo utalentowana, a jej samej podobały się zdjęcia, które wywoływała w prowizorycznej ciemni swego pozbawionego okien mieszkania w suterenie, ale...

- Jestem fotografem, ale do tej pory nie robiłam zdjęć ludzi.

Emily fotografowała kwiaty, fale morza, słońce i księżyc. Wybierała takie modele, ponieważ pozwalały się fotografować, nie tracąc cierpliwości, gdy znalezienie właściwego ujęcia zabierało jej godzinę lub dwie. Poranna rosa na pączku róży, rozdmuchane wiatrem płatki nagietka, palące promienie słońca odbijające się w morzu, cieniutki rożek letniego księżycyca.

- Przeważnie fotografuję kwiaty - dodała.

- Czym się zajmujesz u Jerome'a?

Jerome Cole fotografował znane osobistości i kwiaty nie odgrywały na tych zdjęciach istotnej roli: co najwyżej bukiet panny młodej, apartament w hotelu Beverly Hills zasypany różami w wieczór rozdania Oscarów, pachnące, kolorowe dekoracje w paradzie noworocznej czy wieńiec z goździków dla zwycięzcy wyścigów w Santa Anita.

- Pracuję w ciemni. Robiłam odbitki z prawie wszystkich ślubów z ostatnich dwóch lat.

- Więc wiesz, o co chodzi.

- Tak, wiem, jak powinny wyglądać. - Emily zmarszczyła brwi. - Ale zawsze wydają mi się okropnie upozowane.

Allison nie wiedziała, czy Emily marszczy brwi jako artystka, która nie lubi upozowanych zdjęć, czy po prostu martwi się, jak jej się uda ustawić grupę do fotografii. Zwłaszcza taką grupę, jak gwiazdy z Hollywood, najbogatsi ludzie z Bel Air, finansisci z Wall Street i arystokraci z Greenwich Village, którym chciało się przyjechać.

- Wydaje mi się, że chodzi o to, aby uwiecznić dla potomności, kto przybył na ślub. Chyba nie musisz robić zdjęć grupowych.

Allison też uważała zdjęcia grupowe za nieciekawe, ale były one swego rodzaju tradycją. Mogła sobie doskonale wyobrazić przerażenie Meg i własne wyznanie: „Tak, Meg, to ja powiedziałam Emily, że zdjęcia grupowe nie są ważne. Nie miałam pojęcia, że nie zrobi zdjęcia twojej teściowej. Ani jednego. Tak, wiem, Meg, to prawdziwy pech”.

- Dziękuję, że po mnie przyjechałaś - powiedziała nagle Emily, jakby przypomniała sobie przygotowaną wcześniej grzecznościową formułkę.

- Nie ma sprawy. Potem odwiozę cię do domu. Przyjęcie będzie trwało bardzo długo, ale mnie to nie przeszkadza. Wyjdziemy, kiedy skończysz.

- Przyjęcie będzie dobrą okazją, żeby zrobić wszystkim zdjęcia, prawda?

- Tak, chyba tak.

Emily, mimo zdenerwowania, najwyraźniej chciała dobrze wykonać swoje zadanie. Większość fotografów, łącznie z Jeremym Colem, robiła obowiązkowe ujęcia - młodej pary, rodziny, panny młodej ze skromnie uniesioną ślubną suknią, aby pokazać podwiązkę, państwa młodych krojących weselny tort, pocałunek, coś „starego, coś nowego, coś pożyczonego i coś niebieskiego”, ostatni taniec panny młodej z ojcem i pierwszy z mężem - a potem opuszczała przyjęcie.

Emily chciała zostać tak długo, jak będzie trzeba i zrobić jak najlepsze zdjęcia. Allison miała nadzieję, że jej się to uda.

## 2

**M**oi drodzy, zebrałiśmy się tutaj...

Tutaj. Vanessa Gold z uśmiechem rozejrzała się dookoła, słuchając znajomych słów i myśląc, jak opíše ślub w swym poniedziałkowym felietonie.

Wykorzysta wszystkie zwyczajowe zwroty i superlatywy, na których zawsze można polegać. Bezchmurny lazur nieba, pieszczotliwy podmuch wiatru znad oceanu, zapach tysiąca róż, przysięga małżeńska wypowiedziana do wtóru gruchania dalekich synogarlic i cichy plusk złotego szampana wytryskującego ze srebrnej fontanny.

Vanessa siedząc w czwartym rzędzie po stronie panny młodej postanowiła, że cały swój poniedziałkowy felieton *Wszystko, co się świeci* poświęci temu ślubowi. *Wszystko, co się świeci* należało do niej od czterdziestu lat.

- Czy ty, Meg...

Meg. Vanessa uśmiechnęła się do panny młodej uśmiechem kochającym i dumnym niby uśmiech matki. No, może bardziej babki.

Kiedy Meg Montgomery przyszła na świat, Vanessa miała już swoją ustaloną pozycję felietonistki opisującej życie hollywoodzkich gwiazd, kronikarki burzliwego i fantastycznego życia i miłości bogatych i sławnych, której obawiano się i którą szanowano. Vanessa, owdowiała w czasie wojny i bezdzietna, już dawno zrezygnowała z założenia własnej rodziny. Wiosną 1960 roku przeniosła się do Bel Air, do „domku” na St. Cloud. Po drugiej stronie pełnej zakrętów drogi znajdowała się rezydencja Fitzgeraldów, a hektar luksusowego ogrodu oddzielał ją od posiadłości Montgomerych.

Nowe sąsiadki, Jane Montgomery i Patricia Fitzgerald, przyjęły ją serdecznie. Młodsze od Vanessy o piętnaście lat, przyjaźniły się ze sobą „od zawsze”, a bogate były jeszcze dłużej. Dobrze znały obowiązki związane z posiadaniem dużego majątku i były względnie odporne na niebezpieczeństwa, jakie groziły nowobogackim i znieścacka wyniesionym do sławy. Jane i Patricię intrygowały prowokacyjne felietony Vanessy i żadna z nich nie bała się, że nowa sąsiadka przedstawi je w niekorzystnym świetle.

W rok po przeprowadzce Vanessy do Bel Air obie młodsze kobiety urodziły córki. Meg Montgomery przyszła na świat bez większych problemów jako trzecie z pięciorga dzieci; urodziny Allison Fitzgerald były znacznie trudniejsze. Lekarze orzekli, że Patricia i Sean nie będą mogli mieć więcej dzieci.

Vanessa z wielką przyjemnością i niekłamana radością obserwowała, jak dwie dziewczynki - Meg i Allison - wyrastają na piękne kobiety.

„Panna młoda, Marguerite Meg Montgomery, wyglądała olśniewająco w sukni koloru kości słoniowej z...” Vanessa zmrużyła lekko oczy, kiedy przypomniła sobie, jak Jane żartowała sobie z niej poprzedniego dnia. „Przyjrzyj się dobrze sukni, Yanesso. Jestem pewna, że



rozpoznasz projektanta". Vanessa się uśmiechnęła. Oczywiście, że rozpoznała. Suknię Meg zaprojektowali David i Elizabeth Emmanuel, para Anglików, która stworzyła bajeczną suknię dla lady Diany Spencer, gdy ta została księżną Walii. Suknie ślubne dla księżniczek... Dla Diany i dla Meg.

„Meg uczęszczała do ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt w Westlake, a rok temu ukończyła Barnard College. W Nowym Jorku poznała swego przyszłego męża, Camerona Elliotta, z Greenwich w Connecticut. Cameron jest wiceprezesem firmy inwestycyjnej Elliott i Lowe na Wall Street”.

- Na dobre i na złe...

„Na dobre”. Vanessa doszła do wniosku, że Meg i Cameron rozkwitną w dobrych warunkach i na pewno dadzą sobie radę w gorszych. Doskonale do siebie pasowali. Meg się udało, znalazła szczęście i miłość.

Vanessa spojrzała teraz na drugą dziewczynę, której życie obserwowała z zainteresowaniem i czułością. Dlaczego Allison zerwała zaręczyny z Danielem Foresterem? Oni także robili wrażenie doskonale dobranej pary. Dziedziczka z Bel Air i dziedzic imperium prasowego z Hillsborough, oboje ze „starymi” pieniędzmi. Sympatyczna młoda kobieta i równie sympatyczny młody człowiek...

Vanessa wiedziała, iż Allison musiała mieć swoje powody. Ta smukła, trzpiotowata dziewczynka wyrosła na niezwykle piękną, lecz cechowały ją także silna wola i determinacja, które uczyniły z niej mistrzynię. Może Allison szukała czegoś, czym mogłaby zastąpić pogrzebane marzenia. Może w samą porę odkryła, iż nie jest to Daniel Forester.

- W pomyślności i w biedzie...

„W biedzie”. W tym małżeństwie, podobnie jak wśród licznie przybyłych, licznych gości, bieda nie wchodziła w rachubę. Vanessa myślała o zebranych, usiłując orzec, kto jest z nich najbogatszy. Oczywiście na to pytanie nie dało się odpowiedzieć ze stuprocentową pewnością, ale odpowiedź nasuwała się jedna: Winter Carlyle.

Kiedy Jacqueline Carlyle zmarła przed pięciu laty, jej osiemnastoletnia córka, Winter, odziedziczyła wszystko. „Wszystko” to były tysiące karatów biżuterii z diamentów, szmaragdów, rubinów i szafi-rów, projektowanych przez Tiffany’ego, Winstona i Cartiera, prezentów od wielbicieli. Bezcenne dzieła sztuki, wspaniała posiadłość na Bellagio, miliony dolarów zarobione przez Jacqueline i nigdy nie wydane, gdyż dostatnie życie zapewniali jej zawsze bogaci mężczyźni. Wreszcie to, co zostawił Lawrence Carlyle. Nikt naprawdę nie miał pojęcia,

jak wielką fortunę zebrała w swym błyszczącym i tragicznym życiu Jacqueline, ale był to ogromny majątek, który teraz w całości należał do Winter.

Vanessa westchnęła, zastanawiając się nad cierpieniem, które towarzyszyło bogactwu Winter. Vanessa z całym przekonaniem mogła przewidzieć szczęśliwe życie dla młodych kobiet, takich jak Meg Montgomery i Allison Fitzgerald. Wprawdzie mogło im się przydarzyć jakieś nieszczęście, jak na przykład Allison, ale miłość wyniesiona z domu zapewniała wyjście na prostą. Z podobną pewnością Vanessa mogła dla Winter Carlyle przewidzieć wyłącznie nieszczęście. Jak mogło być inaczej? Początki życia Winter były równie trwałe i solidne jak zamek z piasku.

- Zapominając o innych...

„Inni”. To był prawdziwy problem w tym mieście. Vanessa doszła do wniosku, że Meg i Cameron nie zostaną ofiarami zakłętogo koła gniewu i zdrady. Złożyli przysięgę i jej dotrzymają. Miała nadzieję, że Meg i Cameron wytrwają także w swym zamiarze nieprzyjmowania życzeń od setek gości stojących w długiej kolejce. Tradycja to jedno, ale upalny czerwcowy dzień, czterystu zaproszonych gości i jej siedemdziesięcioletnie nogi to drugie.

- Możesz pocałować pannę młodą.

Vanessa odwzajemniła mrugnięcie oka, gdy rozpromieniona Meg i jej świeżo poślubiony mąż przemaszerowali szczęśliwi kościelną nawą ustrojoną wstążkami.

- Ślub był cudowny, Meg. - Allison lekko uściskała przyjaciółkę. - Wyglądasz przepięknie! Co za suknia!

- Dziękuję. Dobrze wyszło, prawda? Tak się bałam, że coś się nie uda.

- Wszystko było wspaniale.

- To prawda. - Meg spojrzała z uśmiechem na błyszczącą złotą obrączkę, obok pierścionka z trzykaratowym diamentem na serdecznym palcu prawej ręki. Jej uśmiech lekko zbladł na widok fotografii.

- Nie jestem pewna, czy sobie poradzi.

Allison uśmiechnęła się uspokajająco, choć sama miała wątpliwości. Emily z pewnością się starała. Dzielnie przeciskała się między bogatymi i sławnymi gośćmi, starannie wykonując każde zdjęcie i cierpliwie oczekując, aż w obiektywie ujrzy dokładnie to, co chce. Nie rozmawiała z gośćmi ani się nie uśmiechała. Z poważnym i skupionym wyrazem twarzy robiła zdjęcia. Jej wygląd powodował pełne zdziwienie uniesienie brwi lub spojrzenie dezaprobaty. Kto to jest? Jak ona się

ubrała? Ale szybko o niej zapomniano pośród błyszczącego przepychu przyjęcia.

- Myślę, że robi dobrą robotę - stwierdziła z nadzieją w głosie Allison, podążając wzrokiem za Emily. - Kogo teraz fotografuje?

- To Rob Adamson. Dziwię się, że go nie znasz, Al li son. Jakiś rok temu przeprowadził się tutaj z Nowego Jorku. Jest właścicielem pisma „Portret”. Chodzi z Elainą Kingsley, adwokatką gwiazd.

Allison rozpoznała Elainę, dobrze znaną postać w życiu sławnych ludzi Los Angeles. „Rekin udający niewiniątko” - powiedziała kiedyś słusznie Winter. Elaina wykorzystywała swój wygląd damy z Południa i miękki głos, aby skutecznie negocjować najtwardsze warunki kontraktów filmowych i telewizyjnych w Hollywood.

Allison rozpoznała Elainę, a Rob wydał jej się dziwnie znajomy.

- Czy myślisz, że kiedyś, dawno temu, mogłam go poznać? Jest z Nowego Jorku?

- Z Greenwich. Znają się z Cameronem od zamierzonych czasów. Mieszkali razem w internacie w Exeter, a potem w Harvardzie.

Jeśli Rob i Cameron byli przyjaciółmi jeszcze ze szkoły, to znaczyło, iż Rob miał trzydzieści lat, o siedem lat więcej niż Allison. W dzieciństwie i w latach szkolnych, a nawet uniwersyteckich, siedem lat było niemal różnicą pokolenia. Ich ścieżki chyba nie mogły się skrzyżować.

Allison mieszkała kiedyś w Greenwich w trakcie jednego roku szkolnego, kiedy miała piętnaście lat. Uczyła się wtedy w Greenwich Academy, ekskluzywnej prywatnej szkole dla dziewcząt, znanej z akademickich i jeździeckich osiągnięć. Trener skoków był doskonały, ale Allison z trudem zniosła rok poza domem. Cały czas tęskniła za rodzicami, a rodzice za nią. Doszła do wniosku, że nawet Tuxedo, jej zgrabny czarno-biały koń, tęsknił za swoją wygodną stajnią w Klubie Myśliwskim Bel Air.

Teoretycznie Allison mieszkała w Greenwich, ale praktycznie nie widziała niczego poza szkołą i internatem, otoczonym dębowo-sosnowym lasem. Allison albo była w szkole, albo odrabiała lekcje, albo przebywała w stajni. W szkole w Greenwich nie było chłopców, w ogóle nie było żadnych mężczyzn, nie było nawet gości. Allison z całą pewnością nie mogła spotkać Roba Adamsona w jego rodzinnym mieście.

Nie miała jednak wątpliwości, że skądś go zna. Na moment odwróciła głowę, aby Rob nie wyczuł, że się w niego wpatruje i żeby spojrzeć nań raz jeszcze. Popatrzyła na niebieskie oczy, ciemnobrazowe włosy i wysokie kości policzkowe. I wtedy jej się przypomniało.

Była wówczas mała, drobna i ładna, a Rob był wysoki, silny i przystojny; niewiele się zmienił od tamtej pory.

- Znałam jego siostrą Sarę. Była w dwunastej klasie w szkole w Greenwich, kiedy ja byłam w dziesiątej. Ciekawa jestem, jak ona...

- Ona nie żyje - przerwała jej Meg.

- Nie żyje? To niemożliwe. - Allison ujrzała w wyobraźni twarz Sary, przypląnęły ciepłe, serdeczne wspomnienia...

Słowa Meg zmroziły ją i wytrąciły z równowagi.

- Została zamordowana. - Głos Meg nagle stał się martwy, pozbawiony swych zwykłych dramatycznych tonów.

- Zamordowana? - powtórzyła cicho Allison.

- Wyszła za łowcę posagów. Adamsonowie są przekonani, iż to mąż ją zabił. Nie znam szczegółów, nie wiem nawet, czy Cameron je zna, lecz było to morderstwo, które nie wyglądało na morderstwo. Zbrodnia doskonała bez żadnych śladów, żadnych dowodów.

- Nie trafił do więzienia?

- Nie. Nie było sprawy sądowej. Żadnego skandalu. Były mąż Sary jest bogaty i wolny, przypuszczalnie więcej czegoś takiego nie zrobi, bo zarabia majątek na Broadwayu.

- Jest aktorem?

- Nie. Zresztą nie wiem, może jest. Może ją uwiódł i oczarował, odgrywając wielką miłość. Teraz w każdym razie podobno pisze i reżyseruje.

- Jak się nazywa?

- Nie mam pojęcia. Cameron mi nie mówił. Może sam nie wie.

- Ale Adamsonowie naprawdę wierzą, że to on zabił Sarę?

- Tak, choć nie mogli tego udowodnić.

- To musiało być dla nich straszne. - Allison nie patrzyła na Roba, pamiętała jednak jego twarz i wiedziała, że pod pozornym spokojem na pewno kryje się burza uczuć.

- Cameron jest pewien, że Rob dlatego przeniósł się z „Portretem” z Nowego Jorku do Los Angeles. Nie mógł wytrzymać ciągłej obecności tamtego faceta.

- Ponury temat jak na tak szczęśliwy dzień - szepnęła przeprasza-  
jąco Allison.

- Chyba lepiej, że spytałaś o Sarę mnie, a nie Roba.

- Chyba tak.

Allison i Meg umilkły, słuchając śmiechu przyjaciół, brzęku kryształów, odgłosu nalewanego szampana. Meg szybciej odzyskała dobry nastrój.

- Powinnam poszukać mojego męża. Chcemy być razem i stale coś nas rozdziela. - Meg stanęła na palcach i rozejrzała się pośród gości. - W dodatku nawet go nie widzę. A propos przystojnych mężczyzn, których nie powinno się ani na moment zostawiać samych, to z kim przyszła Winter?

Winter została akurat porwana przez dwie „stare przyjaciółki z Westlake”, które „musiały powiedzieć jej coś ważnego”. Winter uśmiechnęła się przepraszająco do Marka, który odpowiedział śmiechem.

Oczywiście chciał być z nią, ale na to będzie czas później, po przyjęciu. Teraz obserwował Winter w jej naturalnym środowisku, między bogatymi, sławnymi i olśniewającymi ludźmi.

Niemal zaraz po przybyciu do klubu Mark doszedł do wniosku, że Winter też jest jego członkinią. Po jakimś czasie zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest jego właścicielką.

Znikła gdzieś młoda, poważna kobieta, która z namysłem marszczyła czoło, czytając podręcznik neurochirurgii, zadając inteligentne, przemyślane pytania i pytając nieśmiało o czary. Na jej miejsce pojawiła się czarująca, pewna siebie lisica. Czarowała wszystkich, nawet tych najszlachetniejszych. Mężczyźni lgnęli do niej jak ćmy do światła, a kobiety chciały skorzystać z jej blasku, choć zadowalały się też jej cieniem. Mężczyźni, którzy zauważyli Marka, zakładali, iż jest tylko jednym z wielu oczarowanym przez tę zmysłową kobietę i nie odstępującym jej na krok.

Mark przyglądał się uwodzicielskiej, prowokującej Winter, starając się połączyć tę olśniewającą i wytworną damę z tamtą poważną, myślącą kobietą, spotkaną o zmierzchu w Parku Rzeźb.

Nie było to specjalnie trudne, gdyż sam był bardzo do niej podobny.

Na niego także patrzono z podziwem i zainteresowaniem. Wokół siebie słyszał wypowiedane teatralnym szeptem słowa: „cudowny”, „nie ma obrączki”, „te oczy”. On także potrafił czarować i uwodzić, zaczynać i kończyć związki z kobietami, kiedy to on miał na to ochotę.

Oboje byli ekspertami w grze, która zakładała intymność bez emocji, seks bez miłości, znajomość bez zaangażowania. W tej grze serca nie brały udziału.

Mark znał powody swojego zachowania, choć ciekaw był, co powodowało Winter. Kim jest ta kobieta? Czy zagrają w tę wspólną grę, czy też dla nich już jest za późno?

Kimkolwiek była, teraz rzuciła mu błagalne, fiołkowe spojrzenie. Mark wziął ze srebrnej tacy dwa kryształowe kieliszki z szampanem i ruszył przez tłum w jej kierunku.

- Dzięki - szepnęła, gdy do niej dotarł i zwróciła się do dwóch „starych przyjaciółek z Westlake”: - Obiecałam Markowi, że pokażę mu nasz klub.

Z przepaszającym uśmiechem poprowadziła go w dół po kamiennych schodkach.

- Wziąłem szampana na wypadek, gdybyśmy trafili na jakieś spragnione róże - powiedział Mark, kiedy zostali sami.

- Och, zauważyłeś?

Zauważył i zastanawiał się, dlaczego to robi. W ciągu całego popołudnia Winter udawała, że pije, a większość drogiego trunku lądowała w krzakach róż, nad którymi z udanym podziwem pochylała się od czasu do czasu.

- Zauważyłem - przyznał i szybko zmienił temat: - Gdzie teraz jesteście?

- Na pustym tarasie w ogrodzie różanym podlanym szampanem.

- Aha. A gdzie są psy gończe?

- Nie ma psów, nie ma lisów, nie ma myśliwskich rogów, ani jeźdźców w czerwonych kubrakach, galopujących przez zamglone bagna.

- To co to za klub myśliwski?

- Najlepszy, jaki może być, ze wszystkimi wspaniałymi tradycjami bez prawdziwych polowań. Klub założyli brytyjscy producenci i reżyserzy, którzy stali się sławni i bogaci w złotych czasach Hollywood, ale nadal tęsknili za starą dobrą Anglią z końmi, rodziną królewską, śniadaniem z szampanem, prawdziwymi balami, pieczenia wołową z ciastem z Yorkshire... - Winter urwała, aby nabrać tchu.

- Bardzo tu miło.

- Lubię angielski nastrój, choć przejeśliśmy trochę kalifornijskich obyczajów. Pokoje gościnne w głównym budynku nadal są urządzone w stylu szkockiego zamku, z ciężkimi, zielonymi zasłonami, rzeźbionymi szafami i łózkami z baldachimem, ale nowe pawilony za basenem i kortami tenisowymi są bardziej nowoczesne. - Winter uśmiechnęła się krzywo i dodała z udawanym potępieniem: -1 w dodatku w menu, obok polędwicy a la Wellington figurują kiełki z jogurtem.

- O nie!

- O tak!

Winter spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem. Myślała teraz jedynie o tym, żeby Mark jej dotknął, pocałował, kochał się z nią.

- Zawsze myślałam, że powinniśmy zmienić nazwę na jeszcze bardziej tradycyjną, na przykład: „Stary Królewski Klub w Bel Air” - powiedziała bez tchu.

- Zatańczysz ze mną? - spytał Mark uwodzicielskim głosem, który powiedział jej, że on chce tego samego, co ona. Mogli zacząć już tutaj, w pachnącym różami ogrodzie, kołysząc się lekko w rytm niewinnego walca.

Mark odstawił kieliszki z szampanem na biały stół z kutego żelaza i wyciągnął ręce do dziewczyny.

Gdy tylko się dotknęli, zapomnieli o grze i o tym, aby pod żadnym pozorem nie angażować się uczuciowo.

Tańczyli w cudownej zmysłowej ciszy, a daleki zespół grał *Tu, tam i wszędzie*.

Mark chciał zabrać ją stąd od razu, ale jego ścisły umysł narzucił mu porządek i opanowanie. Siłą woli wrócił do początku, żeby wypełnić kilka pustych miejsc.

Nazwisko? Winter Carlyle. Prawdziwe czy przybrane? Nie wiadomo.

Wiek? Nie wiadomo. Ale Mark dowiedział się *od* Allison, że obie z Winter dwa tygodnie wcześniej skończyły studia, czyli miały po jakieś dwadzieścia parę lat.

Rodzina? Nie wiadomo. Winter przedstawiła go Allison i jej rodzicom z dumą i bardzo serdecznie, jakby Fitzgeraldowie byli jej rodzicami, a Allison - siostrą. Owszem, istniały między nimi więzy emocjonalne, ale nie rodzinne. Fitzgeraldowie byli rudowłosi, piegowaci, uśmiechnięci - typowi Irlandczycy. Prawdziwych rodziców Winter, po których odziedziczyła czarne włosy, fiołkowe oczy, cerę koloru kości słoniowej i elegancką zmysłowość, na przyjęciu nie było.

Zawód? Nie wiadomo. Winter była bogata, tak jak wszyscy tutaj. Mark wiedział trochę o bogactwie, o tym, że dla niektórych ludzi stanowiło cel sam w sobie, choć dla większości - było jedynie dodatkiem. Liczyło się kim byli, a nie co mieli. Kim była Winter? Dziś, między największymi aktorami i aktorkami Hollywood Winter grała, a jej gra była oszałamiająca. Mark od kilku dobrych lat nie był w kinie. Może Winter...

- Jesteś znaną aktorką, prawda? - spytał, muskając ustami jej jedwabiste włosy.

Trzymał ją blisko przy sobie, a ich ciała w instynktowny sposób poruszały się w jednym rytmie. Słyszac jego słowa, Winter na moment zeszytniała. Mark odczuł niestosowność swego pytania.

Odsunął się lekko i spojrzał jej w oczy. Dojrzał w nich niezgłębiony smutek.

- Nie.

- Nie bardzo znaną aktorką? - zasugerował ostrożnie.

Może Winter próbowała i jej się nie udało. Może, gdyby w ciągu ostatnich paru lat widział jakiś jej film, wiedziałby, że nie należało pytać.

- Nie jestem aktorką- szepnęła Winter.

Mark pożałował, że sprawił jej przykrość i poszukał lepszego tematu, który przywróciłby blask jej fiołkowym oczom.

- Lubię twoją przyjaciółkę Allison.

- Podoba ci się?

- Ty mi się podobasz.

- Zróbmy to. Chodźmy stąd.

- Czy chciałabyś najpierw pójść na kolację?

Winter bardzo lekko pokręciła głową, nie spuszczać z niego oczu.

- Czy nie powinniśmy poczekać na wyjście państwa młodych?

- Nie. Chodźmy teraz.

### 3

Allison pomyślała, że patrzenie na czyjś ślub jest zdecydowanie ponad jej siły. Siedziała na niewielkiej ławeczce w altanie otoczonej białym bzem. Bolało ją biodro i zbierało jej się na płacz.

Spodziewała się, że ślub przypomni jej o Danielu, teraz jednak jej problem wydawał się błahy w porównaniu z demonami, które straszły Emily Rousseau i niesłychaną tragedią Sary Adamson. Daniela Forestera i Allison Fitzgerald nie nękały demony, a ich zerwane zaręczyny nie były tragedią. Oczywiście nie było to nic przyjemnego i Allison zastanawiała się czasem, czy nie przyjdzie jej kiedyś żałować tego kroku. Sama jednak podjęła taką decyzję, dokonała wyboru. Nie dręczył ją nieustanny ból, ani nie skarżyła się na zły los.

Przez dłuższy czas obserwowała Emily i bezskutecznie usiłowała przekonać samą siebie, że zdjęcia wyjdą doskonale i nie ma się czym martwić. Dziewczyna po prostu lubiła chodzić w dżinsach i lekko się denerwowała czekającym ją zadaniem. Do swego wypadku Allison także wolała dżinsy. Nosiła dżinsy i bryczesy, łapiąc w drodze do stajni jakąś



blużę czy koszulę, która akurat wpadła jej w rękę. I też denerwowała się ważnymi zadaniami.

Może Emily jest taka jak ja - pomyślała z nadzieją Allison. Jednak w głębi duszy doskonale zdawała sobie sprawę, że wcale nie były do siebie podobne.

Emily, wkładając dzinsy, najwyraźniej chciała coś ukryć, a jej zdenerwowanie nie dotyczyło pierwszej poważnej pracy, lecz spowodowane było głębokim bólem i strachem.

Coś poważnie niepokoiło Emily, coś gorszego niż niedoszły ślub bogatej i uprzywilejowanej Allison Fitzgerald, choć, z drugiej strony, nie tak okropnego, jak tragedia Sary Adamson.

Sara zamordowana! Nie!

Wspomnienia o Sarze były ciepłe, wyraźne, serdeczne...

Allison mogła spędzić dziewięć miesięcy w szkole w Greenwich i nigdy nie poznać Sary Adamson, która była o trzy lata od niej starsza. Poza tym Sara nie mieszkała w internacie i nie jeździła konno.

Tymczasem Allison poznała Sarę i nawiązała się między nimi nić przyjaźni.

Sara siedziała na drewnianej ławce dla publiczności na arenie jeździeckiej, gdy Allison weszła tam drugiego dnia swego pobytu w Greenwich. Najpierw przestudiowała rozkład lekcji oraz dodatkowych zajęć, na których uczennice uczyły się dobrych manier, i postanowiła, że codziennie w południe, zamiast iść na drugie śniadanie, będzie jeździć konno. Błada, spokojna dziewczyna, która siedziała na drewnianej ławce, najwidoczniej także zrezygnowała z tych zajęć i teraz jadła powoli, wyjmując kanapki z jasnoróżowego, tekturowego pudełka.

Pierwszego, drugiego i trzeciego dnia Sara i Allison wymieniły tylko nieśmiałe uśmiechy. Czwartego dnia Sara przedstawiła się i cicho spytała, czy nie przeszkadza Allison. Allison także się przedstawiła i odpowiedziała wesoło, że nie ma nic przeciwko obecności Sary.

Później były takie dni, kiedy Sara i Allison tylko uśmiechały się do siebie, kiwały sobie dłonią i wymieniały przelotne słowa powitania; były jednak i inne, gdy Allison więcej czasu spędzała rozmawiając z Sarą niż jeżdżąc konno. Opowiadała Sarze o skokach na koniu, właściwej pozycji, starannie odmierzanych krokach, kontroli nad koniem. Sara słuchała zafascynowana.

Rozmawiały też o konnej jeździe, skokach i marzeniach Allison o złotych medalach, ale kiedy Allison spytała Sarę o jej marzenia i plany,

dziewczyna wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się blado i nic nie odpowiedziała. Przepraszającym tonem, nie wdając się wyjaśnienia, poinformowała jedynie Allison, że musi zjadać specjalne drugie śniadanie i nie może się nim dzielić. Zaproponowała także, iż poprosi kucharkę, aby szykowała jedzenie również dla Allison. Allison odmówiła, przyjęła jednak marchewki i jabłka dla Tuxedo.

- Wyglądasz jakbyś fruwała - powiedziała pewnego dnia Sara, przyglądając się Allison na koniu.

- Tak właśnie się czuję. Fruwam, płynę w powietrzu...

- Jesteś wolna.

- Tak, chyba tak. Wolna. Saro, mogłabym nauczyć cię jeździć konno, skakać, jeśli chcesz.

- Och. - Ciemnoniebieskie oczy Sary zabłysły na moment, a jej policzki się zaróżowiły. - Nie, dziękuję, Allison. Nie mogę - dodała po chwili.

Sara i Allison spotykały się tylko na arenie. Lekcje odbywały na różnych piętrach budynku z czerwonej cegły. Każdego dnia, na kilka minut przed rozpoczęciem lekcji, limuzyna przywoziła Sarę do szkoły, i czekała na nią po południu.

Allison jeździła konno każdego dnia w południe. Od września do marca Sara nie przyszła tylko parę razy. Nie było jej w szkole przez tydzień w listopadzie i jeszcze dwukrotnie opuściła po kilka dni lekcji. Po każdym powrocie wyglądała bladej i delikatniej, jakby była poważnie chora.

- Nie będę już tutaj tak często przychodzić - powiedziała pierwszego dnia wiosennego semestru. - Będę spędzać południową przerwę poza szkołą.

Allison uśmiechnęła się, słysząc grzeczne słowa Sary. O mało nie spytała, gdzie będzie spędzać tę południową godzinę, nie dlatego, że koniecznie chciała wiedzieć, lecz dlatego, że ciemnoniebieskie oczy Sary błyszczały radością. W końcu o nic nie spytała, choć w pewien ciepły majowy dzień poznała przyczynę jej szczęścia.

Sara Adamson się zakochała! Allison nie widziała twarzy mężczyzny, jedynie jego sylwetkę. Zobaczyła jednak twarz Sary - jej blade zwykle policzki zaróżowiły się, a oczy błyszczały, gdy szła w jego kierunku, niosąc swoje specjalne jedzenie. Mężczyzna czekał na nią w starym, zielonym volkswagenie.

Allison ponownie spotkała Sarę w czerwcu, na dzień przed końcem szkoły. Sara przyszła w południe na arenę.

- Cześć, Saro.

- Cześć. Chciałam się z tobą pożegnać. Cieszę się, że mogłam oglądać twoje treningi. Dziękuję ci za to.

Przez moment zaskoczona Allison myślała tylko o tym, że Sara jest niesłychanie uprzejma.

- Cieszę się, że mnie oglądałaś - powiedziała wreszcie. - Słyszałam, że będziesz studiować na uniwersytecie Vassar.

- Tak - odparła z uśmiechem Sara. - A ty wracasz do Los Angeles.

- To mój dom - mruknęła Allison, nie chcąc obrazić Sary. W końcu Greenwich, ze swym morzem i surowymi, szkolnymi przepisami było domem Sary.

- Powodzenia na olimpiadzie, Allison.

- Dzięki. Wszystkiego dobrego na uniwersytecie, Saro.

- Do widzenia.

- Do widzenia.

Bądź szczęśliwa - pomyślała Allison, spoglądając za odchodzącą Sarą. Bądź szczęśliwa...

Sara jednak nie znalazła szczęścia - pomyślała ze smutkiem Allison, siedząc na ławeczce wśród białego bzu. Wpadła w ramiona kochanka-mordercy. Allison zmrużyła oczy, starając się zobaczyć twarz mężczyzny w volkswagenie, mężczyzny, do którego Sara biegła z taką radością. Czy to był ten człowiek, czy też tamta miłość zgasła, zastąpiona inną, śmiertelną?

- Najmocniej przepraszam!

Wyrwana z zamyślenia Allison podniosła głowę i spojrzała w ciemnoniebieskie oczy, tak bardzo podobne do oczu siostry.

- Cześć.

- Cześć. Nie chciałem ci przeszkadzać.

Rob także szukał samotności. Doszedł do wniosku, że spośród czterystu bogatych i sławnych gości weselnych co najmniej połowa dążyła do jeszcze większych pieniędzy i sławy. Wszyscy ci ludzie łudzili się, iż pomoże im w tym artykuł w „Portrecie”.

Artykuł w piśmie Roberta niewątpliwie by pomógł, ale tylko on sam decydował, o kim będzie pisał. Prośby i pochwały od agentów, „anoni-mowi” rozmówcy telefoniczni dzwoniący w imieniu „przyjaciół” i goście weselni nie mieli na niego żadnego wpływu. Nawet Elaine ze swym wdziękiem i powabem nie była w stanie niczego osiągnąć.

Rob oczywiście nie miał nic przeciwko pochlebnym uwagom na temat swojego pisma, ale w końcu poczuł się znużony i zostawił Elaine,

aby stawiła czoło namowom i prośbom (w końcu to byli głównie jej klienci), a sam poszukał krótkiego odpoczynku pod osłoną bżów.

Jak się okazało, nie znalazł się tam całkiem sam, kiedy jednak spojrział w poważne, zielone oczy - czyżby błyszczące od łez? - i na usta rozchylone w ciepłym uśmiechu, od razu pomyślał, że ta młoda kobieta nie będzie go nękać prośbami o zamieszczenie jej sylwetki w „Portrecie”. Miał wrażenie, że jej przeszkadza.

- Jestem tu tylko przelotem, w drodze do następnej kępy bżów - powiedział.

- Zostań, proszę. Wcale mi nie przeszkadzasz. - Allison chciała powiedzieć Robowi, że znała Sarę, bardzo ją lubiła i że jest jej przykro z powodu jej śmierci. Nic jednak nie powiedziała, gdyż obawiała się, że zacznie płakać. Kiedyś mu powie, w jakiś inny letni dzień, wśród innych bżów, albo na legendarnym Balu Jesiennym Klubu, albo w piątą rocznicę ślubu Meg i Camerona... Kiedy indziej.

- Jestem Allison Fitzgerald.

- A ja Rob Adamson. Allison Fitzgerald... Niech pomyślę. Czy to ty jesteś tą nadzwyczajną dekoratorką wnętrz?

- Na pewno rozmawiałeś z moją matką!

- Nie, choć poznałem twoich rodziców. Claire Roland powiedziała mi, co robisz.

Claire Roland była właścicielką Elegancji, najmodniejszego sklepu z wyposażeniem wnętrz w południowej Kalifornii. Claire miała pięćdziesiąt siedem lat i już dawno mogła przejść na emeryturę i odpoczywać w domu pod „najlepszym adresem” przy Mountain Drive w Beverly Hills, ale na samą myśl o wycofaniu się z interesu dostawała gęsiej skórki. Nie skończyła jeszcze swojej misji: w platynowym trójkącie - Beverly Hills, Holmby Hills i Bel Air - nadal znajdowały się posiadłości, które potrzebowały zastrzyku dobrego smaku, elegancji i stylu. Claire miała nadzieję, że to właśnie zostawi po sobie Los Angeles i całemu pokoleniu architektów wnętrz, które wykształciła.

Była ponadto pierwszą projektantką wnętrz w Los Angeles, która zaferowała staże studentom architektury wnętrz. Teoretycznie staż trwał trzy miesiące, ale Claire robiła wyjątki dla studentów, którzy okazywali się wybitnie uzdolnieni.

Kiedy półtora roku temu zobaczyła na liście studentów nazwisko Allison Fitzgerald, poczuła pewien niepokój. Musiała oceniać swoich studentów i słynęła z surowych ocen, tymczasem Sean i Patricia Fitzgeraldowie byli jej przyjaciółmi, a poza tym wszyscy wiedzieli o tragicznym wypadku Allison.

Po trzech tygodniach Claire traktowała Allison jak koleżankę, ucząc ją, jak radzić sobie z klientami.

„Pamiętaj, Allison, że klienci mogą się mylić - powtarzała z ironicznym uśmiechem. - Będą się domagać luster nad łózkami, trapezów i Bóg wie, czego jeszcze, a ty musisz wtedy grzecznie poradzić im, żeby zwrócili się do innego projektanta”.

Claire posiadała godną zazdrości, choć wyrobioną ciężką pracą, pozycję, dzięki czemu mogła wybierać zarówno klientów, jak i pracujących dla niej projektantów. Pracowali dla niej najlepsi i chciała, aby Allison była jedną z nich.

„Najważniejsze są smak i elegancja, Allison. Tyje masz. Nie mam pojęcia skąd, jesteś za młoda, a poza tym urodziłaś się i wychowałaś w Kalifornii, ale to najwyraźniej kwestia instynktu”.

Allison wiedziała, że pochwały Claire są szczerze, ale z doświadczeń jeździeckich wiedziała także, iż talent i instynkt należy rozwijać i pielęgnować. Claire przepowiadała Allison wielką karierę. Twierdziła, że najdalej za rok Allison Fitzgerald będzie najbardziej wziętą projektantką wewnątrz w południowej Kalifornii.

Trzy lata wcześniej wszyscy przewidywali, że Allison zostanie złotą medalistką na olimpiadzie w 1984 roku, a nawet, że zdobędzie aż trzy złote medale. Od tej pory Allison obawiała się tego rodzaju przewidywań. Wiedziała, iż kryształowe kule mogą być bardzo kruche.

- Claire trochę przesadza - mruknęła zażenowana Allison. Jej zażenowanie jeszcze wzrosło, gdy zaczęła zastanawiać się, co Rob o niej wie. Czy to, że o mało nie umarła? Choć jej śmierć byłaby przypadkiem, a nie morderstwem.

- Zaczynam pracę w Elegancji dopiero w połowie sierpnia, po olimpiadzie.

Obserwowała reakcję Roba na wzmiankę o olimpiadzie. Czy słyszał o jej pogrzebanych nadziejach i marzeniach? Czy w jego oczach pojawi się błysk współczucia? Czy może z troską odpowiednią dla starszego brata odradzi jej oglądanie olimpiady?

Rob przyglądał jej się z niezmiennym wyrazem twarzy i z tym samym sympatycznym uśmiechem. Jeśli znał jej przeszłość, nie zamierzał się z tym zdradzać, tak jak Allison nie powiedziała nic o Sarze.

- Claire wcale nie przesadzała - stwierdził spokojnie.

Patrząc w zielone oczy, pomyślał, że Allison na pewno nie będzie zabiegać o to, aby znaleźć się w „Portrecie”, jeśli jednak spełnią się przewidywania Claire, to on będzie chciał zamieścić jej sylwetkę. Artykuły o ludziach w rodzaju Allison odróżniały „Portret” od innych pism

o znanych ludziach. Rob wybierał silne, interesujące i intrygujące osobowości, ludzi, którzy odnieśli sukces wbrew przeszkodom, ludzi, którzy jak Allison, sięgali po najwyższe trofea.

Allison wolała zmienić temat i nie rozmawiać więcej o przyszłości i przeszłości. Zostawała teraźniejszość.

- Nie wiesz przypadkiem, czy Meg i Cameron już wyjeżdżają? - zagadnęła

- Myślę, że niedługo. Czy chciałabyś złapać bukiet panny młodej?

- Nie - odparła z oburzeniem Allison i uśmiechnęła się, aby złagodzić wrażenie. - Bukiet mnie nie interesuje. Chciałabym się z nimi pożegnać, sypnąć ryżem na szczęście...

I wreszcie wrócić do domu - dodała w myśli.

- A więc... - szepnęła Winter, kiedy weszli do jej mieszkania przy Holman Avenue. Żadne z nich się nie odezwało, odkąd wyszli z klubu myśliwskiego.

- A więc? - Mark spoglądał na dziewczynę, ale zauważył także skromne umeblowanie jej niewielkiego i miłego, choć nie przesadnie eleganckiego mieszkania.

- Czy mam nastawić muzykę?

- Nie. Masz tu przyjść.

Winter posłusznie do niego podeszła. Serce biło jej mocno na myśl o jego dotyku, ciało wręcz się go domagało, a jej logiczne rozumowanie wraz z poczynioną samej sobie obietnicą samokontroli odpłynęło w siną dal.

Teraz kontrolę przejęło pożądanie. A nad nim kontrolę sprawował Mark.

Winter stanęła przed nim, powstrzymując z przejścia oddech. Mark tymczasem sięgnął nie po nią, lecz po gardenię, którą miała we włosach. Delikatnie wyjął kwiat, a potem wyciągnął spinki z włosów. Fala czarnego jedwabiu spłynęła na plecy dziewczyny. Następnie, równie delikatnie, zdjął z jej uszu bezcenne szafiry.

- Co robisz?

- Rozbieram cię. - Mark trzymał w dłoni wspaniałe klejnoty. - Gdzie mam je odłożyć?

Gdziekolwiek - pomyślała Winter - tylko nadal mnie dotykaj. Pieszczota jego palców na szyi i policzkach sprawiała, iż przesywały ją niebezpieczne i gorące dreszcze pożądania.

- W sypialni.

- Zaprowadź mnie.

Winter poprowadziła go do sypialni. Mark odłożył kolczyki na toaletkę, a potem stanął przy łóżku. Sięgnął do suwaka lawendowej, jedwabnej sukni.

- Szybciej - powiedziała, gdy silne palce dotknęły nagich pleców.

- Nie - odparł łagodnym głosem, który obiecywał to, co się miało zdarzyć, a czego pragnęła. Wiedziała, że będzie cudownie.

I niedługo, ponieważ on też jej pragnął. Kiedy ją rozbierał, jego także przesywały dreszcze pożądania. Miała chłodną, gładką skórę, przyzwyczajając go fiołkowe oczy, miękkie, zmysłowe wargi...

Mark chciał, aby ich pierwszy pocałunek był łagodnym przywitaniem, wyszeptanym pozdrowieniem, czułą obietnicą, ale było w nich za wiele namiętności, za wiele głodu, za wiele pożądania.

- Och, Winter - szepnął, dotykając wargami jej ust.

- Mark...

Rozebrali się wzajemnie, całując, dotykając, szepcząc, pragnąc.

Kiedy oboje byli nadzy, Mark odsunął się od Winter. Wymagało to najwyższego wysiłku, przezwyciężenia cudownego, niewidzialnego magnetyzmu, który przyciągał ich ciała. Mark na chwilę pokonał tę potężną siłę, wiedząc, iż niebawem podda jej się bez wahania. Teraz jednak, w miękkim letnim półmroku sypialni, chciał na nią patrzeć.

Jesteś taka samotna, Winter - pomyślał.

Pod zmysłową pieszczotą pożądliwego, niebieskiego spojrzenia, Winter zadrżała z namiętnej niecierpliwości.

Pospiesz się, Mark - błagała w duchu.

Mark się nie spieszył, nawet gdy leżeli na łóżku w chłodnej pościeli. Powoli przesunął wargi z szyi na piersi, które powitał radośnie. Tak samo witał się z innymi częściami jej ciała swymi miękkimi ustami i silnymi, czułymi rękami, wędrując, badając, odkrywając, wyzwając ukryte pożądanie.

Czy mogła pragnąć więcej?

Teraz jej ciało odpływało. Nie, Mark przytrzymał ją i wreszcie miał Winter tam, gdzie chciał i gdzie ona chciała być. Lekko się uniosła i przyjęła go całego.

Poruszali się w zgodnym rytmie namiętności i wzajemnego pragnienia.

I było jeszcze coś więcej. Kiedy wszystko się skończyło, Mark nadal trzymał Winter w objęciach - mocno i czule. Tak mocno i tak czule, że nie zostawił miejsca na uczucie samotności, które zazwyczaj towarzyszyło jej po fizycznym akcie miłości.

- O czym myślisz? - spytał w końcu, delikatnie gładząc japo włosach.

Winter lekko poruszyła głową.

- O niczym?

Podniosła głowę i spojrzała na niego przez czarną jedwabistą zasłonę.

- Nie, ja...

Mark ze zdumiewającą czułością i delikatnością rozsunął włosy i odnalazł jej piękne fiołkowe oczy.

- Jesteś cudowna.

- Nie. - Przecież niczego nie zrobiłam. To twoja zasługa - pomyślała. - To ty jesteś cudowny.

Obwiodł palcami jej oczy, pogładził policzki i przesunął po ustach. Przyglądał jej się z zamyśleniem.

- Czy tak było bezpiecznie? - zapytał wreszcie cicho.

Bezpiecznie? Winter zakreśliło się w głowie. Nie, to było bardzo, bardzo niebezpieczne. Niebezpieczeństwo znów jej zagrażało, gdy reagowała na jego dotyk, chcąc jeszcze raz przeżyć to samo i podążyć tam, dokąd ją zaprowadzi.

- Bezpiecznie? - szepnęła.

- Bierzesz pigułkę?

Och, o to mu chodziło. Oczywiście. Ale w sposobie, w jaki spytał, w czułym i pełnym troski głosie Marka nie było nic bezpiecznego. Brał na siebie odpowiedzialność, dzielił ją z Winter, tak jak dzielili wszystko inne. W Marku nie było absolutnie nic bezpiecznego, ponieważ tak bardzo różnił się od wszystkich innych mężczyzn.

- Mam spiralę - odparła cicho, zadowolona z tej intymnej rozmowy i spostrzegła, że zmarszczył czoło. - Mark?

- Spirala nie jest najlepszym środkiem, Winter.

Nic mnie to nie obchodzi - pomyślała. I tak nie będę miała dzieci. Ta nagła myśl, która towarzyszyła jej od tak dawna, pozbawiona była zwykłej zjadliwości.

- Nieważne... Uczą was tego na medycynie?

- Czego?

- Jak zadawać intymne pytania w intymnych chwilach?

Mark roześmiał się.

- Uczą nas, jak zapisywać historię choroby i badać pacjenta.

- A ty masz z tego najlepszą ocenę.

- Tak myślisz?

Mark znalazł jej usta i znów rozpoczął swoje badanie.



- Wiem.

Z trudem przestał i szepnął:

- Czy chciałabyś się ze mną umówić?

- Nie.

Chciałabym zostać tu z tobą na zawsze.

- Może zjemy razem kolację w poniedziałek wieczorem? - Mark zignorował jej odpowiedź, właściwie odczytując wyraz jej oczu.

- Dobrze.

- Zadzwoń do ciebie, jak wrócę ze szpitala, jeśli dasz mi swój zastrzeżony numer.

- Dobrze. - Winter uniosła się lekko.

- Dokąd się wybierasz?

- Zapisać ci numer telefonu.

- Nie ma pośpiechu.

- Nie wychodzisz jeszcze?

- Nie. Chciałem to tylko ustalić nim...

- Nim?

- Nim znów będziemy się kochać.

## 4

Emily odsunęła grubą czarną zasłonę, która dzieliła jej mieszkanie na sypialnię i ciemnię, i spojrzała na zegarek przy łóżku. Wskazówki fosforyzowały w ciemnym, pozbawionym okien pomieszczeniu: szósta piętnaście.

Szósta piętnaście. W niedzielę rano, dziesięć godzin po tym, jak Allison odwiozła ją do domu po przyjęciu? Czy w niedzielę wieczorem? A może to już poniedziałek rano i pora brać się do pracy?

Emily nie miała pojęcia. Godziny spędzane w ciemni pozbawiły ją poczucia czasu. Były to zaczarowane, twórcze chwile, połączone ze sobą spokojem i radością. Zazwyczaj Emily, gdy wchodziła do ciemni, nastawiała budzik, żeby nie zapomnieć o jakiejś ważnej pracy na zlecenie i wychodziła niechętnie na jego dźwięk.

Teraz otworzyła zewnętrzne drzwi i mrużąc oczy, spojrzała na gaśnące promienie letniego słońca. Niedziela wieczór. Dobrze. To oznaczało, że przed jutrzejszą pracą mogła spędzić więcej czasu w ciemni.

Jerome będzie chyba zadowolony ze zdjęć ślubnych?

Emily nie była pewna, nie miała zaufania do siebie samej, ale zdjęcia jej się podobały. Państwo młodzi jakby zaskoczeni tym, co zrobili i cieszący się, że to zrobili, Allison była taka miła, sympatyczna i pomocna, choć dla niej ten dzień wydawał się przycycony smutkiem. Zdumiewająca, czarnowłosa para, ona z fiołkowymi, on z szafirowymi oczami, tańcząca wśród róż, początek ich miłości. Pewna siebie kobieta z ciemnymi włosami, miękkim południowym akcentem i zmrużonymi podejrzliwie oczami. Ten mężczyzna... Ten przystojny mężczyzna, który przyglądał jej się śmiejącymi, ciekawymi, ciemnoniebieskimi oczami. Wszystkie te znane osoby, które Jerome na pewno znał i opowie jej o nich z intymnymi szczegółami.

Z początku Jerome wpatrywał się w fotografie w zaskoczonym, pełnym podziwu milczeniu.

- Są dobre, Emily. Nawet bardzo dobre - mruknął w końcu.

Doprawdy fantastyczne - pomyślał, przyglądając się Emily, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Wiedział, że Emily wyczynia w ciemni cuda, nadając jego zdjęciom intrygującą strukturę i bogactwo, ale nie miał pojęcia...

- Cieszę się, że ci się podobają, Jerome.

- Państwo Montgomery będą bardzo zadowoleni.

Jeszcze przez kilka chwil Jerome przyglądał się fotografiom. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z nadzwyczajnego talentu Emily. Wreszcie przeniósł Siemyślami od zdolnej fotografa do bohaterów jej zdjęć, osobistości, których życie fascynowało go równie mocno, jak fascynowało Vanessę Gold. Vanessa była autorką towarzyskich felietonów, a on sam, wyjaśnił Emily, był przede wszystkim nieposkromionym plotkarzem.

- Mój Boże, Emily! Masz tych dwoje na jednym zdjęciu? Myślałem, że się do siebie nie odzywają. Pamiętasz o czym rozmawiali?

- Nie, ja...

- Przypomnij sobie!

- Nie mam pojęcia. Nie słuchałam.

- Trudno. A to genialne zdjęcie Louisa. Wiesz, jest właścicielem „La Choix”. Spójrz tylko na Joan! Bardzo ładnie. Trzy lata temu, a może cztery, dostała Oscara... Sentymentalna faworytka.

- Kto to jest? - Emily pokazała na fotografię mężczyzny ze śmiejącymi się, niebieskimi oczami.

- Rob Adamson. Jest właścicielem „Portretu”. To doskonałe zdjęcie, Emily. Genialny portret mistrza „Portretu”.

- A to jest jego żona?
- Elaina Kingsley? Jeszcze nie, ale niedługo będzie. Jestem pewien, że któregoś dnia będziemy robić zdjęcia na ich cudownym ślubie i przyjęciu weselnym w Klubie Myśliwskim Bel Air.
- Och...

Emily zamknęła drzwi na klucz i wyruszyła w drogę do mieszkania Micka. Miała przed sobą dwadzieścia przecznic. Dzień jej się udał. Jerome był zadowolony. Gdyby jeszcze dzisiejszy wieczór minął równie spokojnie, gdyby tylko Mick nie złościł się już, że zgodziła się fotografować ślub i wesele zamiast pojechać z nim i jego grupą na dwudniową imprezę na wyspie Santa Catalina.

Emily wiedziała, że Mick będzie wściekły, ale wiedziała także, że nim dojdzie do jego mieszkania nad oceanem, potrafi sobie z jego wściekłością poradzić. Pastylka, którą wzięła, podziała magicznie, przytępiając jej wrażliwość i dodając pewności.

Pigułka, syntetyczna mieszanka meskaliny i amfetaminy, już sprawiła, że niebo tańczyło, wiatr śpiewał, a pastelowe cienie letniego wieczoru pulsowały, migotały i wirowały. Chmury z waty cukrowej płynęły tuż nad ziemią, a lampy uliczne były niczym oszlifowane diamenty, rozbijające światło na tysiące kolorowych tęczy. Domy rozciągały się i znikały, a krzaki ożywały, tańcząc, kręcąc się i kołysząc w ciepłym powietrzu.

Emily była podatna na halucynacje. Jej umysł chętnie przyjmował potwory tworzone przez narkotyki. Nie przerażały jej pulsujące kształty, wirujące kolory i fantastyczne deformacje otaczających ją przedmiotów. Byli starymi przyjaciółmi, miękkimi, zamglonymi wizjami w tępych świecie, chętnie przyjmowaną ucieczką od rzeczywistości.

Meskalina przynosiła halucynacje, a amfa dodawała odwagi. Emily była pewna, że załagodzi gniew Micka i odnowi ich miłość. Znała wszystkie sposoby sprawiania fizycznej przyjemności.

W kieszeni miała następną pigułkę, a Mick w razie potrzeby na pewno da jej kokainę.

- Nie, Allison. - Winter zmarszczyła gniewnie czoło, jakby mogła przekazać przyjaciółce wyraz dezaprobaty za pomocą łączy telefonicznych.
- Mówię ci o tym tylko dlatego, że obiecałam, iż to zrobię, a nie dlatego, żebyś mnie od tego odводziła.
- Nie rozumiem dlaczego.

- Dlatego, że jeźdźcy, którzy spadają z koni, znów na nie wsiadają.
- Ty nie spadałaś.
- Właśnie, że tak.
- Lekarze naprawdę uważają, że nie ma przeciwwskazań? - upewniała się Winter, choć znała odpowiedź.

Doskonale zapamiętała ten dzień sprzed sześciu tygodni, kiedy lekarze powiedzieli Allison, że jeśli chce i będzie bardzo ostrożna, może jeździć konno, choć nie wolno jej skakać.

Winter zapamiętała ten dzień bardzo dokładnie, ponieważ tego właśnie dnia Allison zaczęła się zmieniać. Zmiana była subtelna i niemal niezauważalna. Allison robiła nowe plany, choć jej poważne zielone oczy umiejętnie kryły ich znaczenie i zakres.

Allison nie prosiła Winter o radę, ani nie rozmawiała z nią o swych zamierzeniach, dopóki nie podjęła ostatecznych decyzji. A potem je po prostu zakomunikowała jedną po drugiej.

Powiedziała Danowi, że za niego nie wyjdzie.

Przyjęła propozycję Claire i miała zamiar zacząć pracę w Elegancji.

Zamierzała znów jeździć konno.

- Nie możesz skakać - przypomniała jej teraz delikatnie Winter, tak samo, jak przypomniała jej o tym przed sześcioma tygodniami.

- Wiem - odparła Allison z westchnieniem.

- To dlaczego?

- Bo chcę. Muszę.

- A ja chcę i muszę być przy tobie.

- Wsiądę tylko na Ginger i będę jeździć w kółko. Bardzo bezpiecznie. Niestychanie nudno. I niewiarygodnie wcześnie.

- Nie szkodzi.

- Powinniśmy tam być o siódmej.

O tej porze Allison będzie miała zewnętrzną arenę wyłącznie dla siebie.

- Przyjadę po ciebie o wpół do siódmej.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. Żaden problem. Do zobaczenia.

Żaden problem - pomyślała Winter, gdy odłożyła słuchawkę. Nie będą spała, bo Mark spędzi u mnie noc.

W niedzielę rano wyszedł o szóstej, żeby wziąć prysznic, przebrać się u siebie w domu i zdążyć na siódmą na obchód w szpitalu. O szóstej nie spali, bo w ogóle tej nocy nie zasnęli.

Dziś będą spać. Mark musi spać. W jego głosie, kiedy zadzwonił, Winter słyszała zmęczenie. Dzwonił tuż przed Allison, aby powiedzieć,

że przyjdzie późno, za późno, żeby iść na kolację, ale jeśli Winter nie będzie jeszcze spała...

Winter na pewno nie będzie spała, zmęczona bezsenną nocą, a jednak niezdolna zasnąć. Odkąd Mark wyszedł - dopiero wczoraj? - Winter nie mogła przestać o nim myśleć.

i.

Rob biegł bez wysiłku pod górę ścieżką wzdłuż skalnego brzegu Santa Monica. Ćwiczenie fizyczne było doskonałym przerywnikiem między wymaganiami i wyzwaniem codziennych zajęć w „Portrecie” a przyjemnościami i wyzwaniami wieczoru, które czekały go w towarzystwie Elainy. Na dole błyszczał Pacyfik, ciemnoniebieski w letnim zmroku, z falami lekko uderzającymi o biały piasek. Wdychając świeże powietrze pachnące migdałowcem, Rob po raz setny, a może tysięczny, pomyślał, że miał absolutną rację, przenosząc się z Nowego Jorku do Los Angeles.

Tutaj była jakaś miękkość, ciepło, obietnica nowego początku. Może sprawiało to złote słońce, może oddalenie od bolesnych wspomnień, może -jak mawiali poeci - kojący upływ czasu.

A może zrozumiał wreszcie, że nie da się żyć wyłącznie nienawiścią, że potrzebne jest jeszcze coś innego - trochę miłości, trochę radości, trochę nadziei.

Przed sobą na ścieżce Rob zobaczył błysk złota w blasku zachodzącego słońca, przypomnienie dziwnego połączenia długich, złotych włosów i workowatych dzinsów.

To była fotografka z wesela. Już wtedy zwróciła jego uwagę. Najpierw pomyślał, że jej strój jest swojego rodzaju buntem, wyraźnym potępieniem bogatych ludzi, którzy pili drogiego szampana, jedli jeszcze droższy kawior i prześlizgiwali się przez życie w sukniach od znanych projektantów, srebrnych frakach i oślepiającej biżuterii.

Po jakimś czasie Rob doszedł jednak do wniosku, że w młodej kobiecie nie było nic buntowniczego, wprost przeciwnie - zachowywała się skromnie, nieśmiało i niepewnie, szalenie poważnie traktując swoje zadanie.

Pomyślał, iż jej ubranie miało raczej coś ukrywać. A długie, złote włosy, które opadały na twarz? Czyżby miała blizny, zbyt brzydkie, aby pokazać je światu?

Kiedy jednak robiąc zdjęcia, odchyliła głowę, złota zasłona rozsunała się, odkrywając delikatne rysy twarzy wyryte na bladej, alabastrowej cerze. Jej oczy - bardzo poważne - miały jasnoszary kolor, kolor mgły o poranku.

Delikatna, krucha, eteryczna i piękna młoda kobieta zafascynowała Roba, mimo iż zachowywała się z dystansem i starała się pozostawać na uboczu.

A teraz stała na skale niedaleko jego domu, nadal na wpół złota, na wpół dżinsowa.

Jednak nie była sama i nie wydawała się już taka delikatna ani nieśmiała.

Stała z jakimś mężczyzną - powinni wyglądać jak młodzi kochankowie zapatrzeni w zachodzące słońce, romantyczni, zagubieni, rozkochni. Tymczasem on, w czarnej skórzanej kurtce, spoglądał na dziewczynę ze złością, opierając się o pień palmy. Ona, dość swobodnie, a nawet jakby nieco wulgarnie, prawie leżała na nim, pozwalając, aby brutalnie i ostro przesunął rękami po jej ciele.

Rob minął ich najszybciej jak mógł. Biegnąc, zobaczył jej oczy. Wczesna poranna mgiełka zmieniła się w gęstą, ciemną mgłę, a w miejsce klarownego spojrzenia pojawił się szklisty, niewidzący wzrok. Spojrzała na niego przelotnie, nie poznając go. Ciekawe co zobaczyła? Potwora z wykrzywioną, groteskową twarzą? Błysk światła i koloru? Czy też zupełnie nic?

Rob przebiegł obok nich szybko i żałował, że nie może równie szybko wyrzucić jej z pamięci. Do tej pory pamiętał tę delikatną i eteryczną młodą kobietę z wesela. Teraz jego wspomnienie rozsypało się w proch pod wpływem obrzydliwej rzeczywistości.

Pozostało nowe wspomnienie, ale tym razem towarzyszył mu gniew. Rob był wściekły na nich oboje; na mężczyznę, za jego wyraźny brak szacunku i uczucia, na kobietę, za to, że pozwalała się tak traktować i na nich razem - że popsuli mu ten ładny letni wieczór.

— Przepraszam - powiedział Mark, gdy o jedenastej wieczorem wreszcie dotarł do mieszkania Winter.

— Czy na tym polega praca lekarza? - zażartowała Winter i uśmiechnęła się radośnie. Była szczęśliwa, że go widzi.

- Nie - odparł sucho Mark. - Gdybym był lekarzem, w ogóle bym tu nie dotarł.

Kiedy będę lekarzem - pomyślał - moje noce będą o wiele dłuższe.

- Och! - Zaskoczył ją ton jego głosu. Jej uśmiech znikł, we fiołkowych oczach pojawiło się wątplenie.

Ton Marka odzwierciedlał jego zmęczenie i wątpliwości, które targały nim, odkąd opuścił łóżko Winter. Nie tak zaplanował swoje życie.

Nie angażuj się - szeptał mu wewnętrzny głos. Zaczekaj przynajmniej do ukończenia stażu. Nie masz teraz czasu na miłość. To nie będzie w porządku. Dobrze wiesz, co może się zdarzyć.

Mark postanowił, iż następne cztery lata, podobnie jak trzy ostatnie, przeznaczy wyłącznie na robienie kariery. Nie było to z jego strony poświęcenie, lecz świadomy wybór. Lubił swoje studia i z niecierpliwością oczekiwał wyzwania, jakie czekały go na stażu w szpitalu. Ciężko pracował, miał doskonałe oceny i jego marzenie - staż na internie w bostońskiej klinice - miało dużą szansę się ziścić.

Oczywiście były w jego życiu kobiety: kilka idealnych związków - seks bez emocji, namiętność bez zaangażowania, śmiech bez łez, spotkania odwoływane bez żalu.

Mark dokonał wyboru, zaplanował przyszłość, przynajmniej tę najbliższą. Jak do tej pory nie miał z tym żadnych problemów. Owszem, ciężko pracował, spędzał bezsenne noce i męczące dni, ale tak to sobie wymyślił, tak miało być.

W swoich planach nie uwzględnił jedynie Winter Carlyle. Nie miał nawet pojęcia, że mógłby coś takiego przeżywać. Już stała się jego częścią, znalazła - szybko i pewnie - miejsce w jego sercu i w jego myślach.

Czy także w jego planach?

Mark wpatrywał się w fiołkowe oczy, zdumione i urażone tonem jego głosu. Dotknął delikatnie policzka Winter i szepnął:

- Tęskniłem za tobą.

- Ja też za tobą tęskniłam - mruknęła cicho Winter, choć nadal była skonfundowana. Lekko się od niego odsunęła. - Masz ochotę na coś do zjedzenia?

- Mam ochotę na ciebie. - Mark uśmiechnął się, starając się przywrócić jej dobre samopoczucie.

- Po twoim telefonie poszłam na zakupy. - Bawiło ją kupowanie dla Marka wyszukanych produktów w delikatesowych sklepach w Brentwood i w Santa Monica, podobnie jak nakrywanie kuchennego stołu fajansową zastawą i kryształowymi kieliszkami do szampana, stawianie wazonu wypełnionego rozkwitłymi stokrotkami, szykowanie półmisek z wędzonym łososiem, plasterkami gruszek i jabłek, z serem i kawiozem.

- Mówiłeś, że nic nie jadłeś.

- Winter - powiedział ochryple Mark, znajdując jej wargi, pokazując, jak bardzo jej pragnie, przepaszając za swe wcześniejsze słowa. Nie mógł jej winić za to, iż przewróciła mu świat do góry nogami. - Tęskniłem za tobą - powtórzył.

Winter delikatnie dotknęła ciemnych sińców pod niebieskimi oczyma Marka. Szepnęła cicho, trochę pewniejsza siebie:

- Ale najedzenie też masz ochotę, prawda?

- Może.

Konał z głodu, ale jeśli mógł zaspokoić tylko jedno pragnienie, wołał Winter.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do kuchni.

- Mamy różane pożywienie - zażartował, unosząc w górę butelkę różowego, oziębionego szampana. - Ser, krakersy, łośosia, gruszeki, wędzone ostrygi...

- Uważasz, że potrzebne są nam ostrygi?

Mark wyciągnął do niej ramiona. Kiedy odeszła na moment po szampana, znów za nią zatęsknił.

- Nie.

Winter wtuliła się w niego i pocałowała go w policzek. Mogłaby tak zostać na zawsze, ale...

Wciąż prześladowało ją wspomnienie jego słów i ich ukryte znaczenie. Chciałaby, żeby wiedział, iż rozumie jego poświęcenie medycynie. Pojęła to natychmiast, gdy zobaczyła go w miasteczku uniwersyteckim, pogrążonego w lekturze, z lekkim uśmiechem na ustach. Szanowała jego zaangażowanie, podziwiała je i zazdrościła mu tego, że znalazł cel w życiu.

- Czy zawsze chciałeś być lekarzem? - spytała, siadając za stołem i zapraszając Marka, aby zrobił to samo.

- Nie. - Mark urwał, po czym dodał poważnie: - Przez większą część życia myślałem, że na pewno nie zostanę lekarzem.

- Naprawdę? Myślałam, że jesteś starszy niż większość studentów medycyny.

- Bo jestem. Mam dwadzieścia dziewięć lat. A ty? Też chyba skończyłaś studia trochę później niż zwykle?

- Rok później. W styczniu skończę dwadzieścia cztery lata.

Mark spodziewał się, że Winter powie mu o straconym roku, ale się nie odezwała. W jej oczach malowała się powaga. Zdał sobie sprawę, że już mu to mówiła.

- Straciłaś ten rok, kiedy Allison miała wypadek, prawda?

- Miała wypadek we wrześniu, tuż przed początkiem jesienno-semesteru na pierwszym roku. Obudziła się ze śpiączki w połowie października. Ja także chyba byłam w jakiejś śpiączce, bo dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że przez ostatnie sześć tygodni przesiadywałam w szpitalu, a nie na zajęciach.



Mark nie rozumiał dlaczego Winter nie mogła po prostu stwierdzić: „Allison jest moją najlepszą przyjaciółką. Musiałam jej pomóc na nowo nauczyć się czytać, pisać, chodzić, mówić i pamiętać, nie mogłam więc chodzić na zajęcia”.

- Straciłaś rok, bo pomagałaś Allison - powtórzył łagodnie.

- Chyba tak. - Winter przechyliła głowę. - Mówiliśmy o tobie i o tym, ile masz lat.

Mark zastanowił się przez moment, co powiedzieć. Jego zwykła wersja, opisująca niezwykłą drogę na medycynę, była krótka i pozbawiona emocji - skrótowny zarys wydarzeń w chronologicznym porządku, z domieszką humoru. Teraz jednak postanowił powiedzieć Winter prawdę. Pewnego dnia - może kiedy powiedzą sobie do widzenia - z pewnością jej się to przyda do zrozumienia sytuacji.

- Mój ojciec był znanym, a nawet sławnym, kardiologiem. Urodziłem się, kiedy odbywał staż w szpitalu w San Francisco. W wieku sześciu lat miałem dwie młodsze siostry, bardzo nieszczęśliwą matkę i nieobecnego ojca.

- Och - szepnęła Winter. Ona też miała bardzo nieszczęśliwą matkę i nieobecnego ojca.

Mark odczekał chwilę, mając nadzieję, iż Winter powie, dlaczego tak nagle posmutniała, gdy jednak milczała, mówił dalej:

- Ojciec zyskał sławę i bogactwo, naprawiając ludzkie serca. Poza domem. W domu serca łamał. Kiedy już zrobił karierę i mógł spędzać z nami więcej czasu, małżeństwo się rozpadło, a jego dzieci były małymi, obcymi, pełnymi gniewu i niepokoju istotami. - Dawne emocje wróciły. - W domu trwała wojna między matką, która była dobra, a ojcem i medycyną, które stały się naszymi wrogami.

Mark westchnął, kiedy przypomniał sobie, jakie mu się to wszystko wydawało wówczas oczywiste.

- Skończyłem zarządzanie w Berkeley i zacząłem pracę w firmie Merrill Lynch w San Francisco. Była dobrze płatna, łatwa, przyjemna i...

- I zupełnie nie dla ciebie.

Mark kiwnął głową, zdumiony, iż tak dobrze go rozumiała. Zazwyczaj, gdy opowiadał o przejściu z akcji i giełdy do przysięgi Hipokratesa, spotykał się z zaskoczonym przerażeniem. Wszyscy uważali medycynę za coś gorszego, a przede wszystkim znacznie gorzej płatnego.

- Nie dla mnie - przyznał cicho Mark. - Wróciłem do Berkeley, zrobiłem kurs wstępny i teraz studiuje miesięcznik medyczny, a nie kursy giełdowe.

- I dobrze się z tym czujesz.  
- Zgadza się. - Mark wziął ją za rękę, splótł jej palce ze swoimi i mówił dalej: - Muszę tylko bardzo uważać, aby... - Zawahał się, szukając odpowiednich słów.

- Aby nie popełnić tego samego błędu, co twój ojciec?  
- Znaleźć się w sytuacji, w której mógłbym zranić kogoś, na kim by mi zależało. Ojciec popełniał błędy wobec rodziny, ale to, ile czasu mógł nam poświęcić, nie zależało od niego. Lekarz, zwłaszcza młody lekarz na stażu, nie kontroluje swego życia. Zależny jest od chorób i pacjentów. Na przykład dziś wieczorem, kiedy wychodziłem ze szpitala, żeby pójść z tobą na kolację przy świecach w Westwood, do izby przyjęć przywieziono trzy osoby z wypadku samochodowego na San Diego Freeway. Druga zmiana lekarzy akurat przeprowadzała interwencyjną operację u człowieka, który został postrzelony i ja...

- I ty musiałeś zostać. Byłeś potrzebny.

- Tak.

Byłem potrzebny i chciałem zostać - pomyślał Mark, choć po raz pierwszy poczuł się rozdarty między chęcią niesienia pomocy a pragnieniem, aby być razem z Winter. Dlatego tak szorstko odezwał się do niej na początku.

Następne cztery godziny w szpitalu spędził z dwunastoletnim chłopcem, który był najmłodszą ofiarą wypadku. Chłopiec miał otwarte złamanie kości udowej. Mark zajął się nim na izbie przyjęć, towarzyszył mu na radiologię i nie opuścił aż do chwili, kiedy zajął się nim chirurg. To było coś znacznie więcej niż zwykła opieka. Chłopiec stracił dużo krwi i Mark pilnie obserwował wszystkie objawy - puls, ciśnienie, oddech, a także strach rannego dziecka. Chłopiec pytał, czy przeżyje, czy matce nic się nie stało, kiedy ją zobaczy, dlaczego tak bardzo cierpi.

- Moja praca wymaga spędzania w szpitalu wielu długich i nieprzewidywalnych godzin - dodał Mark. - A jeszcze gorsze są przeżycia emocjonalne.

Winter poważnie skinęła głową.

- Przez wiele lat winiłem ojca, bo myślałem, że celowo spędzał z nami mało czasu.

- A teraz?

- Rzadko go widuję. Wrócił do Houston, ożenił się z kimś mniej więcej w twoim wieku. - Mark uśmiechnął się gorzko. - Nigdy nie będziemy sobie bliscy, ale już nie jestem na niego zły.

- A twoja matka? - spytała z wahaniem Winter, myśląc o swej własnej, nieszczęśliwej matce.

- Tu jest przynajmniej dobrze. Po rozwodzie, kiedy moje siostry i ja mieliśmy po kilkanaście lat, matka wróciła do pracy. Od dziesięciu lat uczy angielskiego w szkole średniej i kocha swoją pracę. Więc...

- Więc?

- Wiesz o mnie wszystko. Teraz musisz opowiedzieć o sobie, o swojej rodzinie, o tym, co chcesz w życiu robić.

Przez dłuższą chwilę Winter wpatrywała się w ich splecione palce. Czuła się bezpieczna na tyle, aby opowiedzieć mu o swych tajemnicach i marzeniach, ale on właśnie dał jej do zrozumienia, że nie może na niego liczyć. Nie może i nie chce obiecać, że stale przy niej będzie. Może nawet nie przyjdzie już jutro.

Winter zabrała rękę, wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Jest późno.

- Dobrze. Opowiesz następnym razem - powiedział, podchodząc do niej Mark.

- Następnym razem?

- Podczas najbliższego weekendu, jeśli masz czas. Mam wolne od piątku aż do święta Czwartego Lipca.

- Dostałeś urlop?

- Mam symboliczną przerwę między jednym a drugim rokiem studiów. Choć to nie jest to do końca takie symboliczne. W wolnym czasie mamy wypełnić nasze podania stażowe. Już prawie skończyłem, ponieważ w następnym tygodniu wybieram się do San Francisco. Pobyć trochę z matką i siostrami. — Mark stanął za Winter, objął ją w pasie i pocałował w kark. - Wyjeżdżam dopiero w poniedziałek rano. Pomyślałem, że jeśli miałabyś czas, moglibyśmy być razem od piątku do poniedziałku.

- Mam czas.

- Możemy się gdzieś razem wybrać.

- Tak. - Winter odwróciła się do niego twarzą. - Albo moglibyśmy zostać tutaj.

- Owszem.

Winter, skręcając w prawo z Bellagio do klubu, zdała sobie sprawę, że Allison jest dziwnie milcząca.

Wcześniej, kiedy Winter przyjechała po nią punktualnie o wpół do siódmej, była w dobrym nastroju, podniecona czekającą ją przejażdżką, pewna swej decyzji. W miarę jednak jak zbliżały się do Bel Air, była coraz bardziej spięta.

Jej milczenie pozwoliło Winter wrócić myślami do cudownych wspomnień z ostatniej nocy i dzisiejszego ranka. Posprząтали z Markiem w kuchni, a potem poszli spać. Nie kochali się. Wymienili łagodne pocałunki. Przytulili do siebie i odpłynęli w sen. A potem, rano, na pół godziny przed dźwiękiem budzika, obudzili się jednocześnie i kochali na dzień dobry, życząc sobie miłego dnia, dając sobie obietnicę następnego razu...

Winter zaparkowała mercedesa na prawie pustym parkingu „tylko dla członków” Klubu Myśliwskiego Bel Air. Pozostałe dwa mercedesy i jaguar z pewnością należały do zapalonych tenisistów. Aż tutaj słychać było odgłos odbijanych piłek. Winter miała właśnie powiedzieć coś na temat fanatyków ćwiczeń fizycznych, kiedy spojrzała na twarz Allison.

Znikł wcześniejszy rumieniec i skóra wokół zdumionych zielonych oczu Allison była napięta i szara. Przyjaciółka siedziała sztywno, zaciskając na podłożu dłonie z pobielającymi knykciami.

- Co ci jest, Allison?

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęła Allison.

Serce tłukło jej się w piersi, miała zawroty głowy, brakowało jej tchu. Boję się - pomyślała z niedowierzaniem.

W tej samej chwili zrozumiała, że to nie tyle jest strach, co atak paniki. Przypomniała sobie, czego nauczyła się na ten temat na zajęciach z psychologii. A jeśli to naprawdę jest atak paniki? Objawy się zgadzały - bicie serca, zawroty głowy, brak tchu i ogarniające ją poczucie klęski.

Nie - pomyślała Allison - może to jest strach, może nawet panika, ale nie kliniczny atak paniki. Potrafię nad sobą zapanować.

- Nie musisz tego robić - powiedziała Winter. - W gruncie rzeczy to dość głupi pomysł.

- Nie, Winter, muszę - odparła powoli Allison.

Mówienie przychodziło jej z trudem. Mózg był zajęty trudnym zadaniem oddychania i uspokajania serca. Dodatkowy wysiłek szukania i artykułowania słów wydawał się prawie niemożliwy.

- Muszę.

Muszę. Nie mogę przeżyć całego życia z takim strachem - pomyślała. - Nie mogę zrezygnować z tego powodu z jazdy konnej. Weź się w garść, Allison - powiedziała sobie. Ale jak?

- Nie musisz dziś jeździć.

- Muszę. - Starła się odetchnąć głębiej. Mówienie stało się walką z płucami pozbawionymi tlenu. - Winter, musisz być po mojej stronie.

- Jestem, Allison. Zawsze. Wiesz o tym.

- Wiem.

Słowa Winter przypomniały jej o innych walkach, które stoczyła i wygrała. Winter była przy niej i pomogła jej na nowo nauczyć się mówić, czytać, pisać i chodzić.

Ta głupia panika była niczym w porównaniu z tamtą sytuacją. Niczym. Allison powtarzała słowo to jak mantrę: niczym, niczym, niczym. Poczła się trochę lepiej.

- Już mi lepiej.

- Jesteś pewna?

- Tak. Chodźmy.

Szła na niepewnych, drżących nogach, a serce przeszło od galopu do cwału.

Ruszyły do stajni wykładaną białymi kawałkami marmuru i wysadzana bladoróżowymi różami dróżką. W miarę zbliżania się do stajni nikł zapach róż, a zastępowała go woń wilgotnego siana, skóry i koni. Dobrze znany, kiedyś uwielbiany zapach, przypomniiał Allison jej marzenia.

Marzenia pogrzebane zostały w dniu wypadku, ale Allison dowiedziała się o tym i odczuła otaczającą ją pustkę znacznie później. Długie miesiące rehabilitacji i dochodzenia do zdrowia wypełniały inne cele, które czasami przypominały zdobywanie złotego medalu. Serce Allison, jej umysł i siła woli skoncentrowały się na tym, aby wyzdrowieć.

Dopiero kiedy kości się zrosły, strzaskane nerwy przestały nieustannie wysyłać bolesne sygnały i kasztanowe włosy przykryły bliznę na głowie, pojawiło się uczucie palącej pustki.

A potem zjawił się Dan. Miły, sympatyczny, łagodny młody mężczyzna, który się w niej zakochał. Dan powiedział jej, że jest piękna i Allison roześmiała się, spoglądając na niego zaskoczonymi, rozbawionymi oczyma. Przynajmniej znów się śmiała. Uczucie pustki znikło. Zgodziła się wyjść za niego. Powiedziała, że na pewno w Hillsborough są jakieś butiki, choć nie była wcale pewna, czy nadal chce kontynuować karierę w tym kierunku.

Było cudownie. Dan wypełnił pustkę, stał się nowym marzeniem. Allison zatraciła się w jego miłości. Zatraciła się i powstał nowy problem. Kiedy zagoiły się rany wiedziała już, kim nie jest, ale jeszcze nie odkryła, kim jest nowa Allison.

Musiała się tego dowiedzieć, przekonać, co potrafi, czego chce. Dan pomógłby jej, ale jego cudowna miłość dodała jej siłę, aby mogła zacząć na nowo całkiem sama.

Zerwała zaręczyny. Powiedziała Danowi, że zawsze będzie go kochać i że dziękuje mu za wszystko, co dla niej zrobił. Za miesiąc miała rozpocząć pracę w Elegancji, pielęgnując swój niewiarygodny nowy talent, który wyrósł jak Feniks z popiołów jej spalonych marzeń.

A dziś będzie jeździć konno. Allison nie miała złudzeń, wiedziała, że nigdy nie będzie skakać, nigdy nie weźmie udziału w zawodach, nie zdobędzie żadnego medalu, nie spędzi reszty życia jeżdżąc konno, a potem trenując innych.

Allison nie chciała, aby to marzenie zamartwychwstało.

Kiedy doszły do stajni, Allison skierowała się do przebieralni. Poprzedniego dnia zadzwoniła i upewniła się, że jej klucz nadal pasuje i że będzie mogła pojeździć na jednym z klubowych koni. Zaskoczony głos zapytał, dlaczego mieliby nagle zmieniać zamki czy też klubowe przepisy i przywileje.

Bez powodu, poza tym, że w życiu Allison wszystko się zmieniło.

- Halo, Ginger - szepnęła dziesięć minut później, kiedy wzięła siodło i uzdę, wpisała się do książki gości i odnalazła znajomą przegrodę.  
- Pamiętasz mnie?

Koń zarżał cicho i Allison uśmiechnęła się. Oficjalnie koń nazywał się Kasztanowa Dama i przez kilka lat Ginger i Allison - kasztanowy koń i dziewczyna o kasztanowych włosach - były dwiema Kasztanowymi Damami Bel Air.

Nawet kiedy miała już Tuxedo i spędzała całe godziny na treningach, nadal jeździła w wolnym czasie na Ginger. Tuxedo nie lubił zwykłych przejażdżek, a Ginger je uwielbiała.

Na myśl o jeździe wróciła panika, początkowo małymi falami, ale każda z nich groziła, że przerodzi się w wielką niszczącą wszystko, zatapiającą falę.

Allison walczyła z paniką i ze wspomnieniem niespodziewanego potknięcia konia, przez które znów mogła pograżyć się w nieprawdopodobnym koszmarze.

Ginger się nie potknęła. Szła kłusem i cwałem zgodnie z milczącymi, wyćwiczonymi poleceniami Allison. Winter obserwowała przyjaciółkę z daleka, zaciskając kciuki, wstrzymując oddech. Po piętnastu minutach lekko się rozluźniła, pod wrażeniem wdzięku, rytmu i elegancji konia i jeźdźca. Oczy Winter wypełniły się na chwilę łzami, najpierw na myśl o straconych marzeniach, a potem na widok szczęścia, kiedy zobaczyła radosny uśmiech Allison. Fizyczne rany przyjaciółki dawno się zagoiły, ale psychicznie Allison dopiero teraz doszła do siebie.

Po pół godzinie Allison zatrzymała się obok Winter.

- Wspaniale. - Winter uśmiechnęła się na widok zaróżowionej, szczęśliwej twarzy przyjaciółki.

- Dzięki. Tak się cieszę. Chyba wybierzemy się z Ginger na przejażdżkę po torze Kensington.

Tory jezdzieckie w klubie miały cudowne angielskie nazwy: Kensington, Windsor, Knightsbridge, Covent Garden. Kensington był torem wiodącym na wschód przez las palm i paproci do urwiska nad morzem, z którego roztaczał się widok na Los Angeles, góry San Bernardino i wschodzące słońce.

Winter zaczęła protestować przeciwko samotnej jeździe Allison, ale po chwili zrezygnowała. Allison doskonale dawała sobie radę.

- Czy mam pójść na kawę do klubu i wrócić tu za jakieś dwie godziny?

- Nie. Zadzwoń do mamy, kiedy skończę.

Allison nie poinformowała rodziców, że wybiera się na konną przejażdżkę, teraz jednak chciała podzielić się z nimi swoim najnowszym osiągnięciem. Sean Fitzgerald był namiętym koniarzem i na pewno uściskają z radością. Uścisk matki był równie pewny. Wprawdzie Patricia nie podzielała pasji męża, ale razem z nim będzie się cieszyła ze szczęścia córki.

- Dobrze. Może wobec tego wybierzemy się dziś wieczorem na kolację do „Chart House” w Malibu?

- Chętnie. Dziękuję ci, Winter, że przyjechałaś tu ze mną.

Winter zacisnęła dłonie na skórzanym pokrowcu kierownicy mercedesa. Od dwudziestu minut siedziała nieruchomo na parkingu klubu. Członkowie klubu zjeżdżali się powoli na spotkania przy eleganckim śniadaniu, lekcje tenisa, przejażdżki konne. Jej samochód zaczynał wzbudzać zainteresowanie.

Allison znalazła spokój. Allison pokonała swoje demony. Allison znajdzie nowe marzenie.

A ona? Czyżby nie była tak silna jak przyjaciółka? Przypomniało jej się to, co powiedział Mark: Następnym razem twoja kolej. Co miała mu powiedzieć? Nie mogła przecież kłamać, nie pozwoliłyby na to jego oczy.

I wtedy pomyślała o domu na Bellagio. Jej dom znajdował się zaledwie o kilometr od klubu. Ile razy podczas ostatnich pięciu lat przejeżdżała obok niego, zmuszając się całą siłą woli, żeby ani na moment

nie spojrzeć na bramę w trzymetrowym murze porośniętym bugenwillą i na kręty podjazd prowadzący do domu?

Tam mieszkały demony Winter, tam umarły jej marzenia.

Minęło pięć lat, czemu miałyby wracać? Czuła, że musi wreszcie znaleźć drogę do tej samotnej, niekochanej, przerażonej małej dziewczynki, która w niej mieszka.

Winter westchnęła i przekreśliła kluczyk.

Tylko kilometr...

## 5

λ

*Los Angeles, Kalifornia,  
styczeń 1961 roku*

**V**anessa Gold pierwsza napisała w swoim felietonie o narodzinach Winter Carlyle, wyprzedzając wszystkie inne gazety, nie tylko w Los Angeles, lecz także - ku swej ogromnej radości - w Londynie.

To dziecko, dziecko miłości amerykańskiej aktorki, ulubienicy Hollywood, Jacqueline Winter, i znanego, szalenie popularnego brytyjskiego reżysera, Lawrence'a Carlyle'a, miało znaleźć się na łamach całej prasy od Hollywood po Londyn. Dziecko miłości miało się urodzić - jakże by inaczej - w dzień św. Walentego.

Tymczasem wkrótce po północy w sylwestra, gdy wciąż rozlegały się dźwięki *Auld Lang Syne*, sypało się konfetti i wszyscy wymieniali coraz gorętsze, podlane szampanem pocałunki, Vanessa dostała ze sprawdzonego źródła, telefoniczną wiadomość o narodzinach dziecka.

Wyszła z balu w „Cyrano” od razu po telefonie. Najpierw udała się do szpitala, gdzie porozmawiała z uśmiechniętym i rozradowanym Lawrence'em Carlylem, potem do swego biura, a na koniec do drukarni, gdzie nie ustąpiła, dopóki rozżłoszczony drukarz nie zamienił złożonych dużo wcześniej słów na nowe.

Następnie Vanessa pojechała do swego domu przy St. Cloud i nałała sobie kieliszek szampana. Wzniosła go najpierw na południe, w kierunku szpitala, gdzie znajdowało się nowo narodzone dziecko, a potem na wschód, w kierunku Londynu i jej konkurentów prasowych, którzy jeszcze nie wiedzieli, że wyprzedziła ich swoją sensacyjną wiadomością.



## OCZEKIWANE DZIECKO MIŁOŚCI PRZYBYWA Z NOWYM ROKIEM!

Tuż po północy, gdy stary rok definitywnie się z nami pożegnał, Jacqueline Winter urodziła córeczkę. Winter Elizabeth Carlyle urodziła się pięć miesięcy po bardzo nagłośnionym ślubie zachwycającej amerykańskiej aktorki Jacqueline Winter i znanego brytyjskiego producenta i reżysera, Lawrence'a Carlyle'a. Sławne już przed narodzeniem dziecko miłości miało urodzić się w dzień św. Walentego, ale świeżo upieczony tatuś stwierdził dumnie: Jest wprawdzie drobna i delikatna, ale świetnie daje sobie radę.

Aktorka i reżyser spotkali się dwa lata temu na planie filmu *Marrakesz*. Gwałtowne i burzliwe uczucie - w Casablance! - zakończyło się fiaskiem. Jacqueline i Lawrence pogodzili się jednak podczas ceremonii wręczenia Oscarów, którego każde z nich dostało za *Marrakesz*. Miłość pokonała wszystkie przeszkody i w sierpniu zakochani wzięli ślub.

Carlyle jest właścicielem posiadłości ziemskiej Laurelhurst w rodzinnej Anglii, ale młoda para zamieszka w domu w Bel Air, którego poprzednim właścicielem był legendarny *Ben Samueis*. Lawrence kupił dom trzy miesiące temu. Carlyle, podwójny zdobywca Oscara, właśnie zakończył pracę nad swym najnowszym filmem *Przeznaczenie*. Aktorka i matka w jednej osobie zamierza wrócić do pracy w kwietniu, grając główną rolę w filmie *Sława i bogactwo*.

Rok i dwa miesiące później Vanessa pisała o rozwodzie. Przysięga wierności sprowadziła na manowce kolejne małżeństwo. Plotka głosiła, że Lawrence Carlyle zdradzał żonę i ta wyrzuciła go z domu. Vanessa podejrzewała, że nie wszystko przebiegało tak, jak mówiono, ale nigdy nie odkryła niczego, co by temu przeczyło. Lawrence Carlyle wrócił do Anglii, gdzie dziewięć miesięcy później ożenił się z pisarką Margaret Reilly - skromną, utalentowaną i cieszącą się wielką popularnością autorką kryminałów.

Małżeństwo Carlyle'a i Jacqueline Winter stało się jeszcze jedną informacją statystyczną z Hollywood, jeszcze jednym nieudanym związkiem, który - przynajmniej z pozoru - zakończył się bez większych problemów i nadmiernej agresji. Vanessa miała jednak wątpliwości. Według powszechnej opinii Lawrence nigdy nie widział córki po rozwodzie, co było zaskakujące i zupełnie do niego nie pasowało. Opiekę nad małą Winter sprawowała jedynie matka. Dziewczynka nie miała więc nikogo.

Dopiero w wieku czterech lat Winter odkryła, że w jej życiu nie ma nikogo, kogo nazywałaby „tatusiem”. Oczywiście była mama. Mama miała długie, platynowe włosy, szafirowe oczy. Pojawiała się i znikwała jak wróżka z bajki. Miękki głos matki, czarujący uśmiech i delikatny dotyk nigdy nie były przeznaczone dla córki, lecz dla wiecznie zmieniających się, przystojnych i sławnych mężczyzn, którzy zjawiali się w rzadkich chwilach, kiedy matka wracała do domu.

W wieku czterech lat Winter odkryła, że nie ma ojca. Ojcowie byli w telewizji i w książkach, czasem także w domach innych dzieci, dokąd zapraszano ją na przyjęcia urodzinowe.

Początkowo Winter była zbyt nieśmiała, aby o cokolwiek pytać. Zbyt nieśmiała i bardzo samotna. Jacqueline płaciła obcym ludziom - nianiom, guwernantkom i gospodyniom - bardzo dużo pieniędzy za opiekę nad córką, którą sama widywała rzadko i niechętnie. Wynajęta służba zajmowała się Winter obowiązkowo i obojętnie. Trudno było lubić spokojną i poważną małą dziewczynkę o smutnych, fiołkowych oczach. Powszechnie uważano, że Winter odrzuca uczucia otaczających ją ludzi i woli swój własny, wymyślony świat. Żyła w świecie fantazji pełnym cudownych przygód i kochających przyjaciół; z nimi dzieliła się wątpliwościami, o których wstydziła się mówić na głos. Dlaczego nikt mnie nie lubi? Dlaczego nikt mnie nie przytula? Dlaczego mama się ze mną nie bawi? Wymyśleni przyjaciele nie potrafili jej odpowiedzieć, choć dzieliła się z nimi także swymi obawami. Co będzie, kiedy umrę? Co będzie, jeśli mama umrze? Czy śmierć jest zimna i ciemna?

Winter wiedziała, że nikt jej nie lubi, ale nie miała pojęcia dlaczego tak jest. I wiedziała też, że nie ma ojca, lecz tego także nie rozumiała.

Wreszcie zdobyła się na odwagę i zadała swej pięknej matce pytanie, które powtarzała w myślach tysiące razy:

- Mamo, gdzie jest mój tata? Wszyscy...

Jacqueline podniosła wzrok znad pierwszego tego dnia drinka i spojrzała ze zdumieniem na córkę. Mimo oszałamiającej kariery i niekończącego się szeregu sławnych i bogatych mężczyzn, którzy jej pragnęli, Jacqueline Winter nie była szczęśliwa. Wśród wielu rzeczy, które ją denerwowały, najbardziej chyba irytowała Jacqueline córka. Chorobliwie nieśmiała i w dodatku z takim wyglądem...

Córka Jacqueline Winter powinna być co najmniej ładna i urocza, a najlepiej czarująca i rozkoszna. Tymczasem Winter, blada i niezgrabna, patrzyła krytycznie na świat wielkimi, szarymi oczyma. Zdaniem matki, była naprawdę bardzo brzydką dziewczynką.

Brzydka, ponurą i zbyt poważną. Teraz w dodatku pytającą o ojca.

Jacqueline westchnęła, przypominając sobie nieudane małżeństwo. Nienawidziła Lawrence'a Carlyle'a za to, że ją porzucił. Powinna była oddać mu Winter, ale ponieważ postanowiła go ukarać, nie mogła się zgodzić, aby zabrał dziecko. Znadto mu na tym zależało.

- Gdzie on jest? - spytała Winter.

- W Anglii.

- Jak się nazywa? Co robi? - dopytywała się dziewczynka z niezwyczajną, jak na siebie, odwagą. Miała ojca!

- Nazywa się Lawrence Carlyle - odparła Jacqueline, zdumiona własną cierpliwością. Czuła się chwilowo troszeczkę samotna. Skończyła właśnie kręcić film *Róże są czerwone* i, przynajmniej ze swego punktu widzenia, zakończyła romans z filmowym kochankiem. Teraz z powrotem wkraczała w realny świat. Może rozmowa z córką jakoś ją rozewie? A kolejny drink na pewno nie zaszkodzi. - Kręci filmy.

- Tak jak ty?

- Nie. Jest reżyserem i producentem.

Winter zmarszczyła czoło, słysząc nieznanne i trudne słowa. Jacqueline nie miała ochoty na wyjaśnienia, ale nie chciała też zostać sama.

- Pokażę ci.

Jacqueline i Winter siedziały w jadalnej wnęce kuchni, utrzymanej w tonacji kremowo-wrzosowej. Jacqueline wstała, zawahała się przez chwilę, a potem zdecydowanie podeszła do szuflady kredensu i wyjęła klucz. Dolała sobie dżinu i soku pomarańczowego, i gestem nakazała Winter, aby poszła za nią. Przeszły przez salon i korytarz do pokoju, który Winter znała, ale specjalnie się nim nie interesowała. Był to wielki pokój z brzoskwiniowymi ścianami i wyściełanymi krzesłami oraz sofami, które stały zwrócone w stronę malowidła na jednej ze ścian. Winter spędziła kiedyś całe popołudnie, przyglądając się wyblakłemu włoskiemu freskowi, ale nie rozumiała, na czym polega jego uroda.

Jacqueline przekreśliła wyłącznik na ścianie i malowidło rozsunęło się, ukazując wielki ekran. Potem otworzyła szarą szafkę wbudowaną w ścianę, włożyła klucz i przekreśliła go, wyłączając specjalny system alarmowy, zainstalowany przez Lawrence'a do ochrony ogromnej filmoteki, przechowywanej w szafkach ściennych.

System alarmowy obejmował cały dom, ale pokój kinowy miał specjalne zabezpieczenia. Niektóre taśmy były wyjątkowo cenne, rzadkie i oryginalne. Lawrence kupił filmotekę Bena Samuela razem z domem, i drogo go to kosztowało.

Jacqueline zakochała się w domu ze względu na cudowny widok na Los Angeles i ocean oraz wspaniałe pokoje z kryształowymi kandelabrami

i marmurowymi posadzkami. Lawrence zakochał się w tajemniczych, ukrytych ogrodach, stawie z japońskimi rybkami koi i rzadkimi skarba-  
mi w filmotece.

Kolekcja filmowa Bena Samuela była najlepsza na świecie, a Lawrence jeszcze ją wzbogacił. Dodał kopie wszystkich filmów swoich i Jacaeline oraz uzupełnił filmy z okresu „złotej ery Hollywood” współczesną „klasyką”. Lawrence ofiarowywał Jacaeline ogromne sumy za filmotekę, ale ona odmówiła, wiedząc, ile ten zbiór dla niego znaczy. Jacaeline trzymała wszystkie karty - Lawrence chciał jak najprędzej być wolny. Jej wściekłość i jego desperacja spowodowały, że oddał jej prawie wszystko... oprócz siebie.

Jacaeline nie była w pokoju kinowym, odkąd Lawrence wyjechał. Teraz otworzyła jedną z szafek i wyjęła taśmę *Marrakeszu*, filmu, za który oboje dostali Oscara. Winter poszła za matką do salki projekcyjnej, gdzie, po paru próbach, Jacaeline udało się uruchomić projektor. Potem usiadły obie na wyściełanych krzesłach przed ekranem.

Kiedy skończyła się pierwsza taśma, Jacaeline pobieżnie wytłumaczyła córce, jak założyć następną, i poszła zrobić sobie drinka. Małe dłonie Winter prędko przygotowały taśmę i dziewczynka znów zasiadła przed ekranem, czekając na matkę i na ten nowy, cudowny świat.

- Byłaś fantastyczna, mamo - szepnęła Winter, kiedy film się skończył. - I mój tata zrobił ten film?

Jacaeline kiwnęła głową.

- Dlaczego jest w Anglii? - spytała, nie wiedząc nawet, gdzie jest ten kraj. - Kiedy wróci do domu?

- Nigdy.

- Dlaczego nie? Czy nas nie lubi? - zapytała, zastanawiając się w duchu, czy może, tak jak wszyscy, nie lubił tylko jej.

- Tak, Winter, on nas nie lubi - powiedziała ponuro Jacaeline, wpatrując się wściekłym wzrokiem w pustą szklanekę.

- Chodźmy - powiedziała po chwili, wstając.

- Nie! Czy nie możemy znów obejrzeć tego filmu?

- Nie.

- Proszę!

- Nie.

- Są tu jakieś inne filmy, mamo? - Winter była niesłuchanie dzielna, ale także zdesperowana. Pierwszy raz w życiu poczuła się bezpiecznie. W tym zaczarowanym miejscu, oglądając zaczarowany świat, czuła się bezpieczna. I szczęśliwa.

Jacaeline wzruszyła ramionami.

- Możemy jeszcze coś obejrzeć.

Przez całe rano i popołudnie oglądały ulubione filmy Jacqueline, takie jak: *Wielka nagroda*, *Czarodziej z Oz* czy *Przeminęło z wiatrem*. Pod wieczór Winter wiedziała, że zostanie aktorką.

Do tej pory żyła w wymaginowanym świecie, ale to było jeszcze lepsze. Teraz poznała czarodzieja z Oz i mogła wyobrazić sobie, że jest Dorotą, wiedziała, co to jest Anglia, tam gdzie mieszkał tata, i mogła być Velvet, bohaterką *Wielkiej nagrody*, widziała Tarę i mogła grać Scarlett.

Była prawdziwą Dorotą. Śpiewała japońskim rybkom, pływającym sennie w stawie, w ukrytym za nieużywanym skrzydłem domu ogrodzie, wyśpiewywała im serenady o tęczy i drodze z żółtych cegieł. Rozmawiała z nimi, a rybki jadły jej z ręki.

Winter wcielała się w Dorotę, Velvet i Scarlett, a także w setki innych, cudownych postaci, które odkryła podczas wielu szczęśliwych godzin w pokoju kinowym, gdy, obiecując ostrożność, udało się jej namówić matkę, aby pokazała jej, jak się obchodzić z systemem alarmowym.

Winter perfekcyjnie odgrywała swoje role. Nikt o tym nie wiedział, nikt jej nigdy nie widział. Gdyby miała jakąś publiczność, oprócz japońskich rybek, widzowie przekonaliby się, że Winter ma prawdziwy talent. Ona o tym wiedziała, choć nikomu się nie zwierzała. Nieśmiałość coraz bardziej wpędzała ją w marzenia i w nierzeczywisty świat.

Zamierzała zostać aktorką, właściwie już nią była, ale pragnęła czegoś więcej - chciała grać w filmach ojca, wiedząc, iż będzie z niej dumny.

Była pewna, że ojciec ją polubi.

Do tej pory nikt nie lubił Winter. Dowiedziała się o tym w drogich, prywatnych szkołach w Szwajcarii, w Genewie i w Zurychu, gdzie spędziła większość czasu, odkąd ukończyła osiem lat. Inne dziewczyny gapiły się na nią, pokazywały palcami, chichotały. Spoglądały na nią z błyskiem niechęci i pogardy, szepcząc złośliwie: „dziwna”, „chuda”, „brzydka”, „czarownica”.

Okrutne wyzwiska boleśnie raniły Winter. Wpatrywała się w złośliwe stworzenia przez łyzy, żałując, że brak jej odwagi, aby powiedzieć im, iż jest Dorotą, Velvet, Scarlett. Że potrafi być każdą z nich i wieloma innymi bohaterkami, tak powszechnie lubianymi i podziwianymi.

I nagle wszystko się zmieniło.

Gdzieś między styczniowym wyjazdem do Zurychu, tuż po swoich czternastych urodzinach, a powrotem do Los Angeles w maju, Winter Elizabeth Carlyle stała się piękną. Sama o tym nie wiedziała, bo

nigdy nie spoglądała do lustra. Jeśli inne dziewczyny to zauważyły, nie powiedziały, przyglądając się jej z jawną zazdrością.

Winter dowiedziała się o tym od obcego, młodego człowieka w drodze do domu. Stał przy niej, gdy oglądała książki na lotnisku w Londynie.

- Jest pani najpiękniejszą osobą, jaką w życiu widziałem - powiedział wreszcie.

Miał brązowe, szczerze oczy, miękki brytyjski akcent i nie chciał od niej niczego więcej oprócz tego, żeby wiedziała, iż uważa ją za piękność. Winter uśmiechnęła się nieśmiało. Odpowiedział jej uśmiechem i odszedł. Po paru minutach Winter poszła do damskiej toalety i przekonała się, że nieznajomy mówił prawdę.

Brzydkie kaczątko zmieniło się w łabędzia. Wdzięk, piękna cera, jedwabiste, czarne włosy, pełne, czerwone wargi i uwodzicielskie oczy - to zobaczyła Winter w lustrze.

Stała się tak piękna jak Scarlett O'Hara.

W czasie lotu do Los Angeles Winter mało myślała o swej urodzie, a dużo o nieznanym mężczyźnie z londyńskiego lotniska. A jeśli to był jej ojciec? Oczywiście Winter wiedziała, że naprawdę to nie mógł być on. Założyła sobie specjalny zeszyt, do którego wklejała artykuły o ojcu i jego zdjęcia. Wiele razy widziała wszystkie jego filmy. Czytała kryminały napisane przez jego żonę, a swoją macochę, i całymi godzinami studiowała rzadkie zdjęcia, które znalazła w jakimś piśmie, przedstawiające Lawrence'a i jego dwóch synów, jej przyrodnych braci. Stała się znaleźć rodzinne podobieństwo, ale dostrzegła tylko, że ojciec jest bardzo przystojny, a dwaj przyrodni bracia mają różowe policzki i wyglądają na bardzo szczęśliwych.

Młody człowiek na lotnisku Heathrow nie był Lawrencem, był jednak Anglikiem, tak jak ojciec. I powiedział jej, że jest piękna. Może to dobra wróżba?

Nagle wszyscy ją polubili. Obcy ludzie uśmiechali się do niej, podobnie jak nieprzyjazna do tej pory gospodyni w domu i matka. Jacqueline miała pewien dylemat - z jednej strony zazdrościła córce młodości i urody, z drugiej - ucieszyła się, że Winter wreszcie wygląda tak, jak powinna. Przygarnęła nową córkę do serca - choć nie w sensie fizycznym - i zaczęła zabierać ją na zakupy do znanych sklepów i na obiady do znanych restauracji.

Nieśmiałość i milczenie Winter nikomu już nie przeszkadzały, liczyła się tylko jej uroda. Jednakże Winter nie była zadowolona, gdyż chciała się wreszcie wypowiedzieć. Za długo milczała. Nieśmiałość wprawdzie pozostała, ale uroda dodała jej odwagi.

Początkowo mówiła poważnie. Chciała podzielić się swym długoletnim bólem i strachem, chciała się obudzić ze złego snu. Nie wiedziała gdzie jest ani co się stało.

Miała tyle pytań. Kiedy jednak pytała, Jacqueline, gospodyni i koleżanki na basenie w klubie wycofywały się, zmieszane, znów jej nie lubiąc.

Winter zamilkła. Gdy znów zaczęła się odzywać, mówiła miękko i łagodnie, używając czarujących i dowcipnych słów, w sposób prowokacyjny i ożywiony. Wszyscy ją kochali i czuła się wspaniale. Używała własnych słów, ale sposób mówienia i zachowanie zapożyczyła od tak dobrze znanych sobie bohaterek: kokieteryę od Scarlett, marzycielstwo od Doroty, odwagę od Velvet, namiętność od Lary, bezczelność od Fanny, słodycz od nich wszystkich.

Winter stała się aktorką. Stworzyła cudowną, uwodzicielską i czarującą osobowość, pasującą do jej zdumiewiającej i prowokacyjnej urody. Uplotła prawdziwy dywan emocji i nastrojów, zawsze pewna siebie i swojego zachowania.

Cieszyła się, że jest powszechnie lubiana, choć cały czas żyła obawą, że samotna, przestraszona, mała dziewczynka, którą w głębi serca wciąż była, zostanie odkryta i znów wszyscy ją opuszczą. Winter nie nienawidziła tej dziewczynki, przecież była jej częścią, lecz czasem marzyła o chwili, kiedy będzie mogła komuś o tym opowiedzieć, o swojej samotności i strachu, o cudownych snach, o tym, jak bardzo chciałaby zobaczyć ojca.

Kiedy skończyła piętnaście lat, stała się bardziej niezależna i dojrzała niż matka. Dawno już porzuciła nadzieję, że matka ją pokocha, jednakże zdając sobie sprawę z desperacji Jacqueline pozwoliła, aby jej gniew przeistoczył się w troskę. Jakimś cudem kariera Jacqueline ciągle trwała. Co roku grała w ważnym filmie, czterokrotnie była nominowana do Oscara za najlepszą rolę kobiecą i raz (nie licząc *Marrakeszu*) go zdobyła. Jacqueline Winter odniosła nieprawdopodobny sukces i zarobiła mnóstwo pieniędzy, choć dużo mniej niż wynosiła fortuna ulokowana w klejnotach i prezentach, jakimi obdarowywali ją mężczyźni.

Piła za dużo i za często, brała rozmaite pigułki. Życie między filmami było puste i nieszczęśliwe. Mimo licznych propozycji nie wyszła drugi raz za mąż. Winter nigdy nie słyszała jej prawdziwego śmiechu. Jacqueline oszałamiała swą obecnością na przyjęciach w Hollywood, kiedy jednak o świcie wracała do domu, czuła się źle i samotnie.

Wtedy właśnie, gdy słońce wschodziło nad górami San Bernardino i oświetlało złotymi promieniami Los Angeles, Jacqueline i Winter

stawały się „przyjaciółkami”, dwiema dziewczynami, które przesiadują do rana i rozmawiają szczerze, gdyż są zbyt zmęczone, aby udawać.

Rudy, jakie Jacqueline dawała Winter, wynikały z jej własnych błędów. Nigdy wprawdzie nie powiedziała jej, iż błędem było ignorowanie swego dziecka, jednakże Winter wierzyła, że w zamglonych alkoholem oczach matki widziała żal. Jacqueline koncentrowała się na błędach dotyczących mężczyzn i naiwnej wiary, że jej uroda jest nieśmiertelna i nie wymaga żadnej troski.

- Nie siedź na słońcu, Winter. Och, widzę, że już to wiesz - dodała z uśmiechem. W połowie sierpnia cera Winter nadal była mlecznobiała.

Przez pierwszych czternaście lat swego życia Winter żyła w zaciemnionym pokoju kinowym i w kinach Zurychu i Genewy. Potem przedstawiała swoje fantazje w ocienionym drzewami ogrodzie nad stawem lub w swoim skromnym pokoiku w szwajcarskim internacie. Do czasu wielkiej zmiany nigdy nie spacerowała po białym piasku plaży niedaleko domu ani nie siedziała na basenie w klubie.

Lato, gdy stała się piękną i stworzyła sobie nową osobowość, spędzała niemal bez przerwy na basenie. Ale wówczas była Scarlett. Nosila eleganckie, słomkowe kapelusze z szerokim rondem, popijała lemoniadę pod różowym parasolem, mrugała długimi, ciemnymi rzęsami i miękkim głosem z południowym akcentem wyjaśniała, że musi chronić cerę przed ostrym, letnim słońcem. Młodzi mężczyźni byli zafascynowani, a dziewczyny starały się bez powodzenia ją naśladować. Winter miała cudowną mleczną cerę, inne dziewczyny, bez opalenizny, wyglądały blado, anemicznie i niezdrowo.

- Nie wychodzę na słońce, mamó.  
- I nie pal.  
- Nie palę.  
- Nie powinnaś też pić. - Jacqueline uśmiechnęła się ironicznie, unosząc w górę na wpół pustą szklanę z dżinem.

Obserwując matkę, Winter już dawno obiecała sobie, że nie będzie pić ani palić. Ani zażywać narkotyków.

- Ty także nie powinnaś tyle pić - powiedziała teraz cicho.  
- Ale piję. - Jacqueline uśmiechnęła się krzywo i wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że dla niej jest już za późno. - Uważaj na#mężczyzn, Winter. Będą cię pożądać. I to jak! Bierz ich, wykorzystuj, ale zawsze na twoich warunkach. I nie pozwól, aby ktokolwiek stał ci się zbyt bliski.

Winter z powagą skinęła głową. Tego też już się nauczyła, choć stosowała do wszystkich, nie tylko do mężczyzn. Każdy czegoś od niej



chciał. Mężczyźni pożąдали jej ciała, kobiety chciały być blisko niej, pławić się w jej złotej aurze, z nadzieją, że choćby garstka złotego kurzu, odrobina jej czarów przejdzie i na nie. Wszyscy czegoś chcieli. Ale dopiero teraz, kiedy była olśniewająca i piękna. Nikt nie chciał słuchać o jej strachu, samotności i sekretach.

Winter nie potrafiła jednak powiedzieć Jacqueline, iż zostanie aktorką i że dzięki temu nawiąże kontakt z ojcem. Nie wiedziała, dlaczego Lawrence odszedł i dlaczego przez wszystkie te lata nigdy nie próbował się z nią skontaktować.

Słyszała jednak gorzki ton głosu Jacqueline, gdy o nim mówiła i zakładała, że rozstanie wynikało z problemów między ojcem a matką i z nią nie miało nic wspólnego. Jacqueline powiedziała kiedyś: „On nas nie lubi”. A przecież, kiedy ojciec odszedł, Winter była małym dzieckiem i jej to nie mogło dotyczyć. Lawrence odszedł z powodu Jacqueline. Winter mogłaby go teraz odszukać, ale to byłoby porzucenie matki, postanowiła więc zaczekać.

Odnajdzie ojca, który ją pokocha, nawet gdy opowie mu o małej, nieśmiałej i bojaźliwej dziewczynce, nadal żyjącej w jej sercu.

Matka postanowiła, że Winter nie będzie już chodziła do szkoły w Szwajcarii i dziewczyna przyjęła to z ulgą. Ostatnie dwa lata nauki spędziła w żeńskiej szkole średniej w Bel Air.

Kiedy pojawiła się tam pierwszego dnia, koleżanki powitały ją okrzykami radości i zachwytu. Znały ją z basenu w klubie, letnich wieczornych tańców i przejażdżek jachtem na Catalinę. Winter była ich idolem i zazdrość nawet nie wchodziła w rachubę, gdyż nie mogły marzyć, aby się z nią równać.

Wszystkie dziewczyny chciały się grzać w jej blasku; wszystkie oprócz Allison Fitzgerald. Winter i Allison mieszkały w Bel Air od urodzenia, ale nie znały się, dopóki Winter nie zaczęła chodzić do szko-

Winter spędzała letnie dni na basenie w klubie, Allison w tym czasie jeździła konno. Wieczorami, gdy Winter uwodziła młodych mężczyzn w świetle księżyca, Allison spała, gdyż nazajutrz znów musiała rano wstać na trening. A kiedy w wieku szesnastu lat Winter postanowiła przestać być dziewczicą- oddać dziewictwo, jak się wyraziła - Allison nadal czerwieńiła się gwałtownie, gdy zagadał do niej jakiś chłopak i była najszczęśliwsza, galopując po zielonych wzgórzach z rozwianymi wiatrem długimi, złotorudymi włosami.

Allison ciepło i sympatycznie przyjęła nową koleżankę. Sama niczego od niej nie chciała, gdyż żyła w szczęśliwym świecie, otoczona kochającymi ją ludźmi, pełna planów i marzeń. Przyjęła ją serdecznie, dzieląc się swymi rodzicami i marzeniami, i nie oczekując niczego w zamian.

Allison została jedyną, najprawdziwszą i najlepszą przyjaciółką Winter. Wprawdzie Winter nie podzieliła się z Allison swymi sekretami, ale wierzyła, iż kiedyś będzie to możliwe.

W przeddzień osiemnastych urodzin - w sylwestra - Jacqueline podarowała Winter jasnoniebieskiego sportowego mercedesa i kolczyki z szafirami.

- Samochód jest ci potrzebny, a kolczyki chcę ci po prostu dać. Dostałam je od Lawrence'a, kiedy zaczęły się bóle porodowe, osiemnaście lat temu. Powiedział, że są dokładnie w kolorze moich oczu. - Głos Jacqueline stał się rozmarzony.

- Rzeczywiście tak jest.

- Pomyślałam, że chciałabyś je mieć. - Jacqueline wzruszyła niepewnie ramionami, nastrój stał się niebezpiecznie sentymentalny. - Nigdy ich nie noszę. W sejfie jest też naszyjnik do kompletu.

- Dziękuję.

- Szczęśliwego Nowego Roku i wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Jacqueline lekko dotknęła policzka Winter i wyszła na sylwestrowe przyjęcie. Winter najpierw zbyt była zaskoczona, aby zareagować, a kiedy pobiegła do drzwi, żeby uściskać matkę, żeby jej podziękować, zapłakać ze szczęścia, Jacqueline już nie było.

Winter nigdy już jej nie zobaczyła. Tuż przed świtem samochód Jacqueline spadł w przepaść na Mulholland Drive. Miała we krwi bardzo dużą ilość alkoholu. Winter zastanawiała się potem, czy matka przeżywała śmierć i dlatego podarowała jej kolczyki, nawiązując w ten sposób, po wielu latach gorzkiego milczenia, kontakt z byłym mężem.

„Mówi Jacqueline. Albo nie ma mnie w domu, albo nie mogę podejść do telefonu. Jeśli dzwonisz z propozycją roli, za którą dostanę Oscara, zostaw wiadomość. W przeciwnym wypadku...”

Winter wielokrotnie słuchała głosu matki nagranych na automatycznej sekretarce. Miała dziesiątki filmów z matką w roli głównej, ale na nich Jacqueline była aktorką. Jacqueline na taśmie magnetofonowej była sobą. Winter nie była w stanie skasować nagrania i w końcu schowała taśmę do sejfu, gdzie trzymała biżuterię.

Allison i jej rodzice chcieli, aby Winter przeprowadziła się do nich i stała się członkiem tej kochającej się rodziny, ale Winter nie przyjęła propozycji. Zwolniła całą służbę i została sama w domu, czekając na ojca.

Najpierw spodziewała się, że Lawrence Carlyle przyjedzie na pogrzeb Jacqueline. Zjechało się całe Hollywood, wszyscy kochankowie Jacqueline, oprócz Lawrence'a. Z jednej strony zasmuciło to Winter, z drugiej - dało nadzieję. Zyskała dodatkowy dowód na to, iż ojciec nie odzywał się przez wszystkie te lata wyłącznie z powodu Jacqueline.

Trzy miesiące po śmierci matki Winter dowiedziała się od Leo Stilesa, starszego kolegi w firmie prawniczej, zajmującej się posiadłością, jaki majątek odziedziczyła. Sam budynek wart był osiem milionów dolarów. A do tego: pięć oryginalnych obrazów impresjonistów, w tym dwa Monety; wielki sejf w sypialni pełen biżuterii od Tiffany'ego, Winstona i Cartiera wartej tysiące karatów; bezcenna filmoteka; dwa Oscary Jacqueline; zarobione i nigdy nie wydawane miliony; drogie meble i fundusz powierniczy Winter, założony przez Lawrence'a Carlyle'a.

- Fundusz powierniczy?

- Tak. Twój ojciec od rozwodu wpłacał rocznie znaczne sumy na twoje potrzeby - wyjaśnił Leo Stiles. - Ponieważ twoja matka zawsze miała dość pieniędzy, odkładaliśmy te pieniądze na specjalne konto. Fundusz jest obecnie wart około dziesięciu milionów dolarów.

- Czy on wciąż...

- Dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat.

Winter przygryzła dolną wargę. Minęły już trzy miesiące i codziennie miała nadzieję, że Lawrence zjawi się, aby odzyskać swą ukochaną, utraconą córkę. A jeśli nie wiedział o śmierci Jacqueline? Postanowiła to sprawdzić.

- Czy wie pan, jak można się z nim skontaktować? - spytała, choć znała adres ojca w Laurelhurst, adres jego studia filmowego w Londynie, nawet numer jego telefonu.

- Oczywiście.

- Czy mógłby pan do niego zadzwonić, powiedzieć, że matka nie żyje i... - Winter urwała. Ta wiadomość dla ojca była szalenie ważna. - Proszę mu podziękować za wszystkie te pieniądze, powiedzieć, ile dla mnie znaczą, ale też, żeby już więcej nic mi nie przysyłał.

Dwa tygodnie później Winter zadzwoniła do Leo Stilesa, żeby upewnić się, że przekazał jej wiadomość.

- Tak. Osobiście z nim rozmawiałem.

- Co powiedział?

- Że dobrze i że dziękuje mi za telefon.

- I nic więcej?
- Nie.

Winter czekała na Lawrence'a Carlyle'a, cierpiąc w samotności i opłakując śmierć matki. Ale Lawrence nie przybył i cała miłość i nadzieja Winter zmieniły się w nienawiść. Winter postanowiła, że nie zostanie aktorką. Jak mogła szukać radości i spełnienia w czymś, co stało się przyczyną nieszczęśliwego życia matki i mogło doprowadzić ją do człowieka, którego serdecznie nienawidziła?

Porzuciła swoje marzenia tak, jak porzucił ją ojciec, o którym marzyła. Lawrence Carlyle nie był już częścią jej życia. Będzie musiała po prostu o nim zapomnieć. Wyrzuciła zeszyty z artykułami i zdjęciami oraz obiecała sobie solennie, że nigdy już nie będzie o nim czytać ani nie pójdzie na żaden jego genialny film.

Podczas dziewięciu miesięcy, które minęły od śmierci Jacqueline do pierwszego dnia na uniwersytecie, Winter często myślała o lekcjach, jakie dało jej życie.

Lepiej jest być lubianym niż nielubianym, nawet jeśli oznacza to ukrywanie najgłębszych uczuć.

Zbytne przywiązanie do innej osoby jest niebezpieczne. Zależało jej na Jacqueline i kiedy wreszcie zaczęło się między nimi tworzyć coś delikatnego, co przypominało miłość, matka odeszła. Zależało jej na ojcu, a kiedy przekonała się, że nic go nie obchodzi, coś w niej umarło.

Ludzie odchodzili, zwłaszcza ci, którzy znali ją najlepiej, tak jakby nie można jej było kochać.

Trzy tygodnie przed rozpoczęciem roku akademickiego Winter umówiła się z Leo Stilesem. Powiedziała sekretarce, że chodzi o dom.

Zastanawiała się, gdzie zamieszkać podczas studiów. Allison, jej najlepsza przyjaciółka, zamierzała zostać w domu. Miała kochających rodziców, blisko na uniwersytet i równie blisko do stajni w Klubie Myśliwskim Bel Air. Allison znów zaproponowała przyjaciółce, aby się do niej przeniosła, lecz Winter i tym razem odmówiła. Nie mogła mieszkać z Fitzgeraldami i nie mogła też mieszkać dłużej we wspólnym budynku, który nigdy nie był jej rodzinnym domem. Obawiała się, że wróci do fanatacji z lat dziecińczych, zamknie się w pokoju kinowym, odizoluje od świata, udając, że jej marzenia nie umarły.

Skoro jednak marzeń już nie było, Winter musiała walczyć ze sobą, żeby nie pójść najłatwiejszą drogą i nie zostać w domu, gdzie mogłaby umrzeć tak jak jej marzenia. Postanowiła się wyprowadzić i znaleźć nowe

marzenia, coś, co mogłaby robić, gdy nie zostanie aktorką. Na pewno znajdzie coś z setki najróżniejszych wydziałów na uniwersytecie!

- Czy chcesz sprzedać ten dom? - spytał Leo Stiles.

- Nie. Jeszcze nie. Zakładam, że jego wartość będzie rosła. - Winter miała zamiar sprzedać go pewnego dnia, kiedy znajdzie inne miejsce dla filmoteki celulooidowych snów, Oscarów, klejnotów i obrazów, które były jedynymi symbolami olśniewającego i tragicznego życia Jacqueline. - Nie chcę tam mieszkać, ale zależy mi, żeby ktoś się domem opiekował. Mam ogrodników i firmę, która sprząta raz w tygodniu, ale...

- Jestem pewien, że firma sprzątająca jest z naszego polecenia i nie musisz się obawiać o sprawy bezpieczeństwa. Sprawdzę to, jeśli chcesz. Rachunki mogą przychodzić na nasze biuro, a ja będę ci posyłać kwartalne sprawozdania. Zajmujemy się kilkoma niezamieszkanymi posiadłościami w Bel Air.

- Dobrze. Dziękuję. - Winter urwała na moment. — W stawie w ogrodzie są ryby, japońskie koi. W zeszłym tygodniu umówiłam się z człowiekiem ze sklepu zoologicznego w Brentwood. Mówi, że mają w stawie dość naturalnego pożywienia, ale można im na wszelki wypadek ustawić dodatkowe zbiorniki z jedzeniem. Chciałabym, żeby ten człowiek przychodził raz w miesiącu i zajmował się tym. Tutaj jest jego nazwisko i numer telefonu.

- Wybierasz się na studia?

- Tak. Za dwa tygodnie przeprowadzam się do mieszkania przy Holman Avenue. Przekażę panu dokładny adres i telefon.

Winter drżącymi rękami zamknęła frontowe drzwi domu. Zostawiła za sobą całe swoje dzieciństwo i marzenia. Z domu przy Bellagio zabrała do mieszkania przy Holman Avenue oddalonego o trzy kilometry bardzo niewiele - prezenty od matki, mercedesa i kolczyki oraz gorzkie doświadczenia, jakich nie szczędziło jej życie.

Przez cztery z następnych pięciu lat Winter postępowała tak, jak się tego nauczyła. Niewiele mówiła o sobie, czarowała i uwodziła innych, cały czas kontrolowała wszystkie związki z ludźmi i bawiła się, nie angażując serca. Była najpiękniejszą i najbardziej popularną studentką.

Grała i udawała wobec wszystkich oprócz Allison. Jednego roku nie grała jednak wcale. Ten rok spędziła, pomagając Allison w jej dzielnej walce, i w głębi duszy opłakując jej los.

Kiedy obserwowała, jak Allison stara się, aby znów wrócić do normalnego życia, często przychodziły jej na myśl słowa: „Przywiązanie

jest niebezpieczne. Ludzie odchodzą". Początkowo uważała, że własnego pecha przeniosła na przyjaciółkę, ale Allison chroniła otoczką miłości. Wyzdrowiała, a potem zakochała się w Danie i odkryła nowe talenty, które miały zastąpić stare, zniszczone marzenia.

Winter wróciła po roku na uniwersytet z nadzieją, iż wreszcie znajdzie coś, co ją zafascynuje i natchnie pomysłem na dalsze życie. Uważnie studiowała informatory, ignorując wszelkie kursy związane z dramatem, teatrem i sztukami pięknymi, i próbując niemal wszystkich innych.

Nic jej nie zaintrygowało, nie stało się wyzwaniem, nie uspokoiło nieustannych podszeptów serca, które mówiły, że jest aktorką i tylko to ma sens. I do diabła z Lawrence'em Carlylem.

Tego wieczoru, kiedy wybrała się na samotny spacer po miasteczku uniwersyteckim, wciąż szukała czegoś nowego, a może tylko szukała w sobie siły, aby mimo wszystko zostać aktorką. Spacer przywiódł ją do Ogrodu Rzeźb i do mężczyzny z intensywnie niebieskimi oczami, przy których zapomniała o udawaniu, i które sprawiły, że zaczęła mówić o magii.

Zmysłowe szafirowe oczy, które powiedziały, że następnym razem ona będzie musiała opowiadać o sobie.

Winter siedziała w samochodzie na szczycie wijącej drogi i wpatrywała się w dom. Nie mogła tam wejść. Klucze do drzwi znajdowały się w biurku, w jej mieszkaniu. Postanowiła, że weźmie je ze sobą następnym razem.

Następnym razem musi także opowiedzieć Markowi o wszystkim - o niekochanej, małej dziewczynce, która wciąż żyła w jej sercu, o smutnej matce, o ojcu, którego nienawidziła, o swoich marzeniach. Musi mu powiedzieć wszystko, gdyż on nie zadowoli się niczym innym. Nie miała wyboru.

A gdyby to wszystko okazało się dla niego zbyt skomplikowane, gdyby Mark nie chciał poznać jej sekretów, gdyby przestał ją lubić...

Winter zadrżała. Ludzie odchodzą - przypomniała sobie.

## 6

Mark przyszedł w piątek wieczorem, o ósmej. Pocałował ją na powitanie i od tej chwili do niedzielnego południa żyli w świecie

miłości i namiętności, w intymnym świecie bez granic, w zmysłowym świecie bez czasu.

W niedzielę w południe Winter szepnęła uwodzicielsko, całując Marka:

- Podania o staż.
- Ach tak - odparł Mark szeptem. - Pomożesz mi?
- ~ Jasne. Umiem pisać na maszynie.

Podczas gdy Mark układał podania do wypełnienia na kuchennym stole, Winter studiowała broszurki.

Każdy program interny zachwalał doskonałe możliwości edukacyjne, świetnych nauczycieli, fundusze na badania i nowoczesne wyposażenie kliniczne. Każdy program podawał także szczegółowy rozkład zajęć na stażu, liczbę miesięcy w każdej klinice, posiłki zapewniane w czasie dyżurów i terminy urlopów.

- To nie jest raczej klub wakacyjny, co? - powiedziała Winter po dokładnym przestudiowaniu broszurek.

- Raczej nie.

Mark uśmiechnął się. W kolorowych prospektach pełno było zdjęć lekarzy w białych fartuchach i skomplikowanych urządzeń medycznych, a nie fotografii desek surfingowych ślizgających się po białych falach, nadmorskich dyskotek i uśmiechniętych wczasowiczów, popijających pina coladę.

- Jak możesz zdecydować, który zestaw wybrać? - spytała Winter, jakby chodziło o wybór oferty wakacyjnej. - Wszystkie twierdzą, że są najlepsze.

- To już są najlepsze - odparł cicho Mark.

Wysłał podania do najlepszych klinik stażowych w kraju.

- A czy jest coś najlepszego z najlepszych? - spytała z uśmiechem Winter.

- To zależy od tego, z kim rozmawiasz i co jest dla ciebie najważniejsze. Od wielu lat na czele obiektywnych list znajduje się szpital w Bostonie.

- A więc tam się wybierasz? Do Bostonu?

- Chciałbym. Nie wiem, czy mnie zechcą.

- Na pewno.

- Obiektywnie rzecz biorąc...

Winter jeszcze raz rzuciła okiem na dziesięć broszur, sprawdzając to, co już wcześniej zwróciło jej uwagę, i powiedziała:

- Wysyłasz podania jedynie do szpitali na Wschodnim Wybrzeżu.
- Tak.

Mark podjął tę decyzję już wiele miesięcy wcześniej. Nigdy dotąd nie mieszkał na Wschodnim Wybrzeżu, a szpital w Bostonie był najlepszy. Pomyślał teraz, że przed poznaniem Winter wszystkie plany były bardzo łatwe.

W ciągu ostatnich kilku dni zastanawiał się nad stażem w Los Angeles, Stanford lub w szpitalu klinicznym uniwersytetu w Waszyngtonie, ale staż właściwie wszędzie był taki sam: długie godziny, emocje i odpowiedzialność. W tę podróż należało wybrać się samemu.

- Wyobrażam sobie, że Boston jest cudowny. Czarujący, pełen historycznych miejsc, słonego powietrza i zapachu krabów i ostryg - powiedziała Winter.

- Nigdy tam nie byłaś?

- Nie.

- Grudzień i styczeń spędzę w Bostonie - stwierdził cicho Mark, marszcząc lekko brwi.

- Och - westchnęła Winter. Nie dosyć, że Mark następnego dnia wyjeżdżał na dziesięć dni, to jeszcze miała go nie zobaczyć przez dwa miesiące. Zaraz skarciła się w duchu za zbytnią pewność siebie. Był dopiero czerwiec, kto wie, co się zdarzy do grudnia...

- W grudniu będę miał praktykę na oddziale intensywnej terapii w Bostonie, a w styczniu na kardiologii w szpitalu Beth Israel w Nowym Jorku.

- Będziesz bardzo zajęty.

- Tak. Dyżury są co drugą noc. Gdybyś mnie odwiedziła, musiałabyś sama zwiedzać Boston - dodał cicho.

- Nic nie szkodzi - szepnęła Winter, wpatrując się w niebieskie oczy, w których widziała wyraźne zaproszenie. - Mogłabym przyjechać na Boże Narodzenie.

- To byłoby fantastyczne. Czy nie powinnaś jednak spędzić świąt z rodziną?

Winter potrząsnęła głową i lekko westchnęła. Przez cały weekend Mark nie zadał jej ani jednego pytania, lecz Winter wiedziała, że czeka, aż sama mu o sobie opowie. A ona zwlekała i robiła uniki z obawy, iż wszystko się zmieni. Kiedy mu powie, że nie zawsze była piękna i pewna siebie i że nadal, w głębi serca, jest nieśmiała i bojaźliwa, nie spojrzy już na nią z pożądaniem i nie zechce jej dotykać, brać w objęcia i kochać, ponieważ musiałby dotykać głupiej, brzydkiej dziewczynki.

- Winter?

Kiedy na niego spojrzała, poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Nie mogła płakać! Nie na czyichś oczach. Płakała w dzieciństwie, kiedy



koleżanki w szkole jej dokuczały, a łzy powodowały dalsze nieprzyjemne słowa. Od tej pory płakała z tęsknoty za Jacqueline, za ojcem i za utraconymi marzeniami wyłącznie w samotności.

- Skarbie - powiedział miękko Mark, klękając przy niej i biorąc w dłonie jej twarz.

Wyczuł cierpienie i tajemnicę, mając nadzieję, iż opowie mu o nich i poczuje ulgę. Nie chciał być przyczyną jej smutku. Wziął ją w ramiona, ale Winter się odsunęła.

- Kiedy skończymy wypełniać te formularze, chcę cię gdzieś zabrać - powiedziała.

- Zabierz mnie teraz.

Pomyślał, że pojadana cmentarz, gdzie w marmurowej krypcie leżą jej rodzice, zobaczył jednak, że Winter wyciąga z szuflady klucz.

Pojechali niebieskim mercedesem Winter, gdyż wyjaśniła mu, że zna go patrol policyjny w Bel Air. Jechali wzdłuż zakrętów Bellagio w kierunku klubu myśliwskiego. Kilometr przed wjazdem do klubu Winter wjechała przez obrośniętą fuksją i bugenwillą bramę na podjazd wysypany białym żwirem, który prowadził do majestatycznego domu z kamienia.

Winter zaparkowała, wysiadła i poszła przodem do drzwi frontowych. Drżącymi rękami włożyła klucz do zamka. Wiedziała, co czai się z drugiej strony - duchy. Duchy jej nieszczęśliwego dzieciństwa i roztrzaskanych marzeń.

Kiedy otworzyła drzwi, odruchowo podeszła do szarej stalowej szafki w holu, włożyła klucz, przekręciła go i odczekała aż czerwone światełko zmieni się na zielone. Alarm został wyłączony. Stała przez chwilę nieruchomo, a potem stanęła twarzą w twarz z ciemnymi i złowieszczymi cieniami domu.

Miesiące po śmierci matki, nieskończenie długie noce i dni, kiedy czekała na ojca, były ponure i duszące. Teraz zrozumiała, że czarne potwory istniały tylko w jej sercu.

W holu błyszcząły marmury, pastelowe jedwabie w salonie były jasne i wesołe, letnie słońce wpadało przez duże okna, a w ogrodzie kwitły setki róż.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Mark, przerywając ciszę, która zapadła, gdy Winter wyjęła z szuflady klucz.

Mark już raz zadał jej takie pytanie; wówczas znajdowali się we wspianym ogrodzie różanym w klubie. A teraz otoczenie było jeszcze bardziej imponujące. Jednakże na twarzy Winter malowało się zdenerwowanie, a jej ramiona, mimo upału, pokryły się gęsią skórka.

- W domu.

Winter opowiedziała mu swoją historię, oprowadzając go po domu. Mówiła cicho, jakby była w transie. Czasami Mark zastanawiał się, czy zdaje sobie sprawę z jego obecności. Chciał ją wziąć za rękę, ale nie pozwoliła.

- Byłam brzydka. Widzisz? - Pokazała mu jedną z rzadkich fotografii, wykonanych przez jakąś pilną nianię, która chciała udowodnić, że dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków. Autorka zdjęcia ustawiła Winter obok urodzinowego tortu z siedmioma świeczkami. Fotografii robionych przed ukończeniem czternastu lat było bardzo mało. Później miała ich setki, robione przez wielbicieli i darowane Winter, która niedbale wrzucała je do szuflady.

- Nie, nie widzę.

Mark uśmiechnął się do małej dziewczynki, która spoglądała na niego poważnymi fiołkowymi oczyma. Chciał przytulić do siebie tę dziewczynkę i chciał przytulić kobietę, w którą się zmieniała, ale Winter na to nie pozwoliła.

- Nikt mnie nie lubił. Byłam bardzo samotna i bardzo się bałam - szepnęła, kiedy przechodzili puszystym dywanem z jej dziewczęcej sypialni do sypialni matki.

- Czego się bałaś?

- Czego? Wszystkiego. Samotności, tego, że nie jestem lubiana, śmierci, śmierci mojej matki - odparła Winter, kiedy weszli do sypialni Jacqueline. W suficie znajdowało się okno, teraz lazuruwonebieskie. W nocy stawało się ekranem dla gwiazd i księżyca. Łóżko z baldachimem pokrywały koronki, a na ścianach kwitło tysiąc ręcznie malowanych polnych kwiatów. - To był jej pokój.

Przystanęła przy szarej szafce obok drzwi, identycznej, jak ta w holu, włożyła kolejny kluczyk i wyłączyła alarm. Potem podeszła do obrazu Moneta i delikatnie pociągnęła za prawy brzeg. Bezcenny obraz przesunął się, odsłaniając ścienny sejf. Winter przekręciła pokrętło, polegając na własnej pamięci, i za drugim razem go otworzyła.

Spośród wielu bordowych, granatowych i czarnych aksamitnych pudełek wyjęła jedno i sprawdziła, czy nadal jest w nim wspaniały diamentowy naszyjnik. Przeczytała zapisaną pismem Jacqueline kartkę, na której odnotowała kto i kiedy podarował jej klejnot, potem delikatnie zamknęła pudełko i odłożyła do sejfu. Sprawdziła jeszcze na chybił trafił dwa inne pudełka - z bransoletką z rubinami i diamentami, i ze szmaragdowymi kolczykami, po czym zamknęła sejf i przekręciła szyfrowane zamknięcie.

- Tylko ja mam klucze do obu alarmów - wyjaśniła - i chciałam sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Mark kiwnął głową. Winter sprawdzała swą oszałamiającą fortunę. Jej bogactwo zadziwiało, ale nie miało prawdziwej wartości: kolekcja klejnotów, posiadłości i pieniędzy bez emocji. Nie, mylił się. Jej fortuna związana była z ogromną ilością bólu i nieszczęścia.

Stała przed marmurowym kominkiem, delikatnie przesuwając palcami po dwóch błyszczących statuetkach Oscarów. Ich błysk świadczył o tym, że firma zajmująca się sprzątaniami dobrze spełnia swe obowiązki. Winter zmarszczyła brwi.

- Była cudowną aktorką, ale...

Zaczęła opowiadać cichym, montonnym głosem historię Jacqueline, kiedy wyszli z sypialni i zeszli na dół po kręconych schodach. W słonecznej kuchni opowiedziała Markowi o ojcu, o tym, jak się o nim dowiedziała, jak bardzo to przeżywała. Niechętnie zaprowadziła go do pokoju kinowego, sprawdzając po drodze alarm i otwierając szafki, w których znajdowały się bezcenne taśmy.

Z rozmarzonym uśmiechem opowiadała Markowi o zaczarowanych godzinach, jakie spędzała na oglądaniu filmów.

- A później wychodziłam i odgrywałam, to co zobaczyłam. Możemy przejść tędy, na skróty - powiedziała, prowadząc go dalej. - Tej części domu nigdy nie używano, nawet jej nie odnowiono.

Wnętrza zmieniły się dramatycznie, gdy weszli do północnego, nieużywanego skrzydła. Pokoje były duże i jasne, ale tapety odpadały z gipsowych ścian, a na posadzkach leżały wytarte dywany. Zamiast widoków Los Angeles, rozciągających się aż do oceanu, przez okna widać było ogród z płaczącymi wierzbnami.

- Zawsze najbardziej lubiłam tę część domu - powiedziała cicho Winter.

Lubiła ją, gdyż miała stąd blisko do swego prywatnego teatru i stawu z japońskimi rybkami, a także dlatego, że w wyobraźni zapełniała duże, puste pokoje braćmi i siostrami, rodzeństwem, które miałaby, gdyby Jacqueline i Lawrence się pogodzili. Robiła to, dopóki nie dowiedziała się, że ojciec ma nową rodzinę, żonę i dwóch synów o różowych policzkach, których kochał o wiele bardziej niż ją.

- Zwłaszcza ten pokój - dodała.

To miał być jej pokój, otoczony pokojami braci i sióstr, pełnymi śmiechu i gwaru. Podwójne balkonowe drzwi wychodziły na ogród i na staw. Winter otworzyła je i westchnęła, czując znajome zapachy.

Nawet kiedy stała się piękna i codziennie odgrywała swoją rolę w klubie, nawet gdy jej publiczność składała się z oczarowanych

mężczyzn i zachwyconych młodych kobiet, Winter nadal tu przychodziła, choć nie dawała już przedstawień dla ryb. Karmiąc je z ręki dzieliła się z nimi sekretami i obawami, których, czekając na ojca, nie chciała powierzać nikomu innemu.

W ciągu ostatnich pięciu lat tysiące razy myślała, aby tu wrócić, dokładnie w to miejsce, nie wchodząc do domu, ale nie zrobiła tego. Nie mogła się przemóc.

Jednakże często myślała o swoich rybkach. A teraz podeszła do stawu, wstrzymując oddech i czując, jak łzy napływają jej do oczu.

- Toto - szepnęła, gdy czarny pyszczek, zaciekawiony i zawsze głodny, wysunął się nad powierzchnię wody. - Toto.

Wzięła garść kulek ze zbiornika, ustawionego tak, jak zarządziła, i usiadła na skraju stawu, karmiąc pomarańczowe, złote, białe i czarne pyszczki, gdy wynurzały się nad wodą i powtarzając ich imiona:

- Belinda. I Lion, świnka, jak zwykle. Cześć, Scarecrow, proszę, twoja kolej. Witaj, Woodmanie.

- Ty je znasz - szepnął Mark, walcząc z uczuciem, które przejęło go na myśl o tej samotnej, przerażonej dziewczynce, której najlepszymi przyjaciółmi były ryby.

Winter odwróciła się do niego z radosnym uśmiechem.

- Znam je od dziecka. Koi żyją pięćdziesiąt lat, czasami nawet sto.

Jej uśmiech przygasł. Dłużej niż moja matka - pomyślała.

- Dopiero w dwudziestym wieku człowiek zaczął żyć dłużej niż ryby. Tego dowiedziałem się pierwszego dnia na studiach.

Winter poważnie skinęła głową i wróciła do karmienia ryb, kończąc swoją historię. Koi wielokrotnie słyszały o tym, jak brzydkie kaczątko przemieniło się w łabędzia, jak nagle wszyscy ją polubili, jak zaczęła nawiązywać nić porozumienia z matką, jak Jacqueline umarła, jak czekała na ojca i w końcu zrezygnowała ze swych marzeń.

Mark dowiedział się wreszcie całej prawdy. Winter zamilkła i wpatrywała się w ryby. Przyglądały jej się z nadzieją, licząc na jedzenie, a ona czekała, aż Mark się odezwie. Może nic nie powie. Może kiedy Winter w końcu się odwróci, jego już nie będzie.

Na razie czuła za plecami jego obecność i spojrzenie niebieskich oczu. Mark poruszył się. Winter zadrżała, gdy dotknął jej nagich ramion.

- Nie jestem tym, za kogo mnie uważałaś, prawda?

- Jesteś dokładnie taka, jak myślałem. - Mark pochylił się i pocałował ją w kark, tuż przy pachnących, jedwabistych włosach. - Dokładnie... -szepnął.

Winter z zachwytem przyjęła pocałunek, po czym zeszytniała, słysząc niewypowiedziane: „ale”.

- Ale — mówił dalej Mark - chcę, żebyś była szczęśliwa.
- Jestem.

Teraz nareszcie była. Dzięki niemu.

- I chcę mieć rację.
- Rację?
- Że jesteś znaną aktorką. Byłem tego pewien, gdy obserwowałem cię na weselu.

- Mark...

- Kochanie, nasi nieobecni ojcowie wywarli na nas obojgu wielki i negatywny wpływ. Przez mojego spędziłem wiele lat, nie robiąc tego, co chciałem i to samo dzieje się z tobą. Byłaś aktorką, nim się w ogóle dowiedziałaś o istnieniu Lawrence'a Carlyle'a. Stworzyłaś cudowną fantazję, ale on stał się jej celem, a nie twoje aktorstwo. Kiedy cel zniknął, odrzuciłaś wszystko inne.

- Może - szepnęła.
- Nie musiałybyś grać w filmach, prawda? Wystarczy ci teatr. Może nigdy nawet nie spotkasz ojca.
- Chcę grać w filmach - powiedziała szybko Winter.
- Dobrze - odparł ze śmiechem Mark. - Wydawało mi się tylko, że teatr jest najważniejszy, a dopiero potem jest kino i telewizja.
- To tak, jak z twoim stażem, Mark. Zależy z kim o tym rozmawiasz.

- Dlaczego filmy są najważniejsze?

- Bo film jest obrazem stworzonym przez artystę dokładnie tak, jak on chce. Nie chodzisz do Luwru, żeby sprawdzić, czy uśmiech Mony Lizy nie jest bardziej skrzywiony, poważny lub figlarny niż ostatnim razem. Znasz jej uśmiech. Nie potrafisz tego dobrze wytłumaczyć...

- Ależ świetnie dajesz sobie radę. Rhett Buttler zawsze jest tak samo ironiczny, a Scarlett, z takim samym przekonaniem, zawsze odkłada wszystko na jutro.

- Tak.
- Dobrze.
- Co dobrze?
- Dobrze, niech będą filmy.
- Naprawdę tak uważasz?
- Naprawdę. - Mark objął ją. - Mam też inne przemyślenia, gdybyś chciała je usłyszeć.
- Słucham.

Mark usiadł obok Winter i spojrzał na nią poważnymi, łagodnymi oczyma.

- Sądzę, że to on najwięcej stracił przez to, że nigdy cię nie poznał.
- Mark. - Czy Winter znów wypełniły się łzami, ale tym razem nie starała ich ukryć. - Dziękuję.
- Nie ma za co. Myślę też, nie, jestem pewien, że nie wyobrażam sobie następnych dziesięciu dni bez ciebie.
- Ale twoja matka i siostry... Musisz tam pojechać.
- Czy muszę jechać sam?
- Nie.

Kiedy potrząsnęła głową, pasmo długich, czarnych włosów przykleiło się do wilgotnego od łez policzka. Winter podniosła rękę, ale Mark ją uprzedził.

- Nie uczyłaś się nigdy na lekcjach higieny o chorobach zakaźnych? - zażartował, spoglądając wymownie na jej delikatne palce, którymi karmiła ryby.
- Och, Mark, Toto nie ma żadnych zarazków.
- Nie wątpię, ale mimo to musimy umyć ręce, nim zabierzemy się do wypełniania formularzy, jedzenia wędzonych ostryg i...

Winter nie wierzyła własnym uszom. Najpierw Mark powiedział jej, że jest dokładnie taka, jak sobie wyobrażał, potem stwierdził, że musi zostać aktorką filmową, w końcu zaprosił ją, aby pojechała z nim do matki, a teraz planuje ich życie...

- Mark - powiedziała, wybuchając śmiechem. - Spójrz na Toto, spójrz tylko na jego oczy. On ci nie wierzy. Daj mu coś do jedzenia.

Mark porzucił swoje myśli, zwłaszcza tę najważniejszą, przez którą nie mógł planować szczęśliwej i długiej przyszłości z Winter.

Wiedział, że ją kocha i że będzie kochał tak długo, jak długo będą razem... Dopóki jego marzenia nie zabrają go do Bostonu, a Winter nie zostanie w Los Angeles.

**M**ysłisz, że naprawdę mogłabym to zrobić? - spytała następnego dnia rano Winter, w drodze do San Francisco.

Mark zaczął mówić o aktorstwie, zachęcając ją, żeby zaplanowała swoje działania, gdy tylko wyjechali z zatłoczonego Los Angeles.

- Tak. Jeśli zechcesz.
- Chcę.
- A więc?
- Więc tak. Chyba muszę wrócić na uniwersytet i pójść na kurs

dramatyczny. Ciekawe, czy mogę to zrobić.

Mark zatrzymał samochód przy następnej stacji benzynowej.

- Dowiedz się. Zadzwoń na uniwersytet.
- Teraz?
- Dlaczego nie?

Dziesięć minut później Winter wróciła do samochodu promiennie uśmiechnięta.

- Powiedziałam, że niedawno skończyłam studia z dobrą oceną. Okazuje się, że mogę się zapisać na semestr jesienny jako specjalna studentka.

- To dobrze brzmi. - Mark się uśmiechnął. - Teraz możesz zacząć chodzić na przesłuchania.

- Na razie się nie spieszę. - Winter zakończyła poszukiwania nowych marzeń i teraz czuła się spokojna i szczęśliwa, że może powrócić do starych, dobrze znanych projektów. - Myślisz, że gdy skończę studia aktorskie, to będą mnie musieli fotografować przez pończochę? - zartowała po chwili.

- Przez pończochę? - zdumiał się Mark.

- Nakładają na obiektyw kawałek gazy albo jedwabną pończochę, żeby nie było widać zmarszczek. Przeważnie działa, a jak nie, zawsze można zrobić lekko nieostre, „romantyczne” zbliżenie. - Winter uśmiechnęła się i dodała: - Chyba mogę zacząć przeglądać ogłoszenia o przesłuchaniach.

- Nieznane aktorki też mają szansę, prawda?

- Owszem, choć niezbyt dużą.

Ale tak się zdarzyło Vivien Leigh, która grała Scarlett - pomyślała.

- Nie zaszkodzi, jeśli poczytasz ogłoszenia.

Podjęli zatem decyzję. Winter miała jesienią zacząć kurs dramatyczny na uniwersytecie w Los Angeles, a wcześniej, w lecie, czytać ogłoszenia o nowych rolach i może nawet zgłosić się na jakieś przesłuchanie.

Poza tym postanowiła, że spędzi trochę czasu w rodzinnym domu. Podczas ciepłych letnich dni, gdy Mark będzie odbywał staż na chirurgii ortopedycznej i na gastroenterologii, Winter będzie czytać skrypty Jacqueline, o połączanych brzegach i w skórzanych okładkach, oglądać stare filmy i ćwiczyć nad stawem.

Kiedy już wszystko omówili, zamilkli na jakiś czas, trzymając się za ręce i uśmiechając do siebie od czasu do czasu. Jechali przez gorącą dolinę San Joaquin.

- Brałaś kiedyś pigułki antykoncepcyjne? - spytał nagle Mark, przerywając milczenie.

- Tak, Było mi po nich niedobrze.

Winter nie miała pojęcia, czy wynikało to z zawartości hormonów, czy z jej wyjątkowej niechęci do jakichkolwiek pigułek. Jacqueline brała wiele różnych tabletek i popijała je alkoholem, ale na dłuższą metę w niczym jej to nie pomagało. Doprowadziło jedynie do przedwczesnej śmierci.

Winter nie mogła brać pigułek antykoncepcyjnych. Najchętniej poddałaby się sterylizacji, ale lekarz, do którego poszła, nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że żaden szanujący się lekarz tego nie robi, bo Winter jest za młoda. Nawet jeśli teraz jest przekonana, że nigdy nie będzie miała dzieci, to zawsze może jeszcze zmienić zdanie.

Winter wiedziała, że nigdy nie będzie miała dzieci. Jej własne dzieciństwo było zbyt smutne. Nie zamierzała brać na siebie odpowiedzialności za dzieciństwo innego człowieka. Nawet gdyby bardzo się starała, żeby jej dziecko było szczęśliwe, któregoś dnia może umrzeć, tak jak umarła Jacqueline, i jej dziecko zostałoby samo, przestraszone i dezorientowane...

- Ze spiralą mogą być różne problemy, Winter - powiedział poważnie Mark.

- Wiem. - Kiedy lekarz wyjaśniał działanie spirali, nie słuchała go zbyt uważnie. Nic jej to nie obchodziło! Nie chciała mieć dzieci. - Miałam spiralę tylko przez rok. Problemy zaczynają się przy dłuższym używaniu, prawda?

- Tak, ryzyko wzrasta z czasem, ale...

- Nie rozmawiajmy o tym teraz.

- Są inne rzeczy, które możemy robić.

- Jakie rzeczy, panie doktorze?!

Mark zaczął tłumaczyć, ale Winter go powstrzymała.

- Wiem. Muszę się nad tym zastanowić, dobrze?

•\* Dobrze.

Cisza - już nie tak sympatyczna, jak przedtem - trwała przez następnych kilka kilometrów. Tym razem pierwsza odezwała się Winter.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie, Mark. Co powinnam wiedzieć, nim poznam twoją matkę i siostry?

- Że będą tobą szalenie zainteresowane.



- Dlaczego? Nie przywozisz dziewczyn do domu?
- Nie - odparł Mark z uśmiechem. Jeszcze nigdy mu się to nie zdarzyło.
- Niemów im, kim jestem.
- Jeśli sobie tego nie życzysz, nie powiem nic o twoich rodzicach, ale same zobaczą, jaka jesteś cudowna i natychmiast cię polubią.

Rodzina Marka faktycznie polubiła Winter, a i jej spodobały się wszystkie trzy kobiety. Matka, Roberta, siostra, Gayle, która studiowała balet i druga siostra, Jean, studentka pierwszego roku prawa w Dartmouth, przyjęły Winter z otwartymi ramionami. Były bardzo zainteresowane piękną młodą kobietą, która uszczęśliwiła Marka, ale ich ciekawość nie przekraczała taktownych granic.

W rozmowach wyjaśniały aluzje i żarty, stanowiące część historii rodziny, która razem przeżyła burzliwe czasy i wyszła z nich zwycięsko.

- Joannę urodziła bliźniaczki, ale nie są identyczne - powiedziała któregoś dnia Roberta. - Joannę to moja siostrzenica - dodała ze względu na Winter.

- Mama tęskni za wnukami - rzuciła lekko Jean.

- Zgadza się - powiedziała Gayle. - Jej uwaga na temat dzieci kuzynki ma ukryte podteksty.

- Wcale nie! - Roberta roześmiała się, ale jej wzrok spoczął przez moment na Marku, najstarszym dziecku, którego dzieciństwo było najtrudniejsze. Mark na pewno byłby cudownym ojcem - pomyślała.

Mark i Winter zostali w San Francisco przez pięć dni. Zamieszkali w motelu, gdyż Markowi zależało na prywatności, ale większość czasu spędzali z jego rodziną. Winter miała łzy w oczach, kiedy zegnała się z Robertą, Gayle i Jean. Lubiła być z Markiem sam na sam, ale wizyta wypadła szalenie sympatycznie.

Podróż z Los Angeles na północ zabrała im pięć godzin. Podróż powrotna trwała pięć dni. Jechali krętą autostradą nad oceanem, nocując po drodze w osobliwych hotelikach w Carmel, San Luis Obispo i Santa Barbara, spacerując przy wschodach i zachodach słońca po białym piasku plaży, rozmawiając, śmiejąc się, kochając...

- Celowo wzięłaś tę bluzkę, prawda?

- Moją jedwabną bluzkę z tysiącem guziczków? - zdziwiła się Winter. Ubóstwiała sposób, w jaki Mark ją rozbierał, powoli, delikatnie

całując każdy kawałek nagiego ciała, jaki stopniowo odsłaniał i doprowadzając ją do drżenia i pożądania, które następnie zaspokajał. - Tak.

Trzeciego wieczoru Mark i Winter obserwowali zachód słońca z werandy w Nepenthe, popijając szampana. Winter zaczęła pić szampana, gdyż nadawał dodatkowego smaku pocałunkom, a poza tym przy Marku czuła się zupełnie bezpieczna.

Nagle zdała sobie sprawę, że uczucie bezpieczeństwa i cudownej euforii nie jest wynikiem szampana, lecz tego, że jest z Markiem.

- Grosik za twoje myśli - szepnęła, przenosząc wzrok z pomarańczowego zachodu słońca na Marka.

- Nie sprzedaję. To irracjonalne myśli.

- Dam ci dziesięć milionów dolarów.

- To są bezwartościowe myśli, Winter.

- Przyjmijmy, że twoje myśli są bardzo dla mnie ważne. Może i są bezwartościowe, ale chcę za nie zapłacić dziesięć milionów dolarów. Myślę, że powinieneś skorzystać z oferty.

- Co ty wiesz o moich myślach? - spytał ironicznie.

- Studiowałam psychologię - odparła Winter. - Z niezłymi wynikami.

- Nie wątpię.

- Robisz uniki. Dziesięć milionów. Uważam, że to rozsądna cena, może nawet okazyjna za taką rzadkość. Nie miałam pojęcia, że mie-wasz irracjonalne myśli.

- Kiedyś nie miałem. - Mark uśmiechnął się i powiedział cicho: - Myślałem o tym, jak zagrasz sceny miłosne.

To było coś więcej niż myśl, gdyż wyraźnie widział taką scenę w wyobraźni. Cudowne piersi artystycznie ocienione, ale jednak odsłonięte, eleganckie ciało, miękkie westchnienia, pożądanie widoczne we fiołkowych oczach. Wyobraził sobie też wszystkich mężczyzn, którzy będą ją oglądać, rozmawiać i marzyć o niej.

- To tylko gra.

- Nie myślałem o tobie i twoim partnerze, lecz o tych wszystkich ludziach, którzy będą cię oglądać. Mówiłem ci, że to kompletnie irracjonalne.

Irracjonalne myśli zakochanego mężczyzny - pomyślał.

Winter uśmiechnęła się. Była szczęśliwa, że Mark chce, aby ich miłość i intymne chwile zostały tylko dla nich.

- Dlaczego się uśmiechasz?

- Dlatego, że to jest naprawdę warte dziesięć milionów. - Uśmiech Winter znikł. - Mark, co myślisz o moich pieniądzach?

- To samo, co myślę o pieniądzach w ogóle. Że nie dają szczęścia, ale można za nie kupić wolność.

- Wolność?

- Wolność robienia tego, co się chce, bycia tam, gdzie się chce, bycia tym, kim się chce. - Mark pocałował ją delikatnie. - Nawet gdybym miał pieniądze całego świata, i tak chciałbym być teraz, tutaj, z tobą.

- A za trzy dni będziesz chciał być na oddziale chirurgii ortopedycznej, zajmując się -jak nazywałeś te uszkodzenia z wypadków na rolkach? - złamaniami Collesa.

Tego też chcę - pomyślał Mark. Chciał Winter i chciał być lekarzem, choć nie bardzo wiedział, czy da się to pogodzić.

Gdy tylko zapowiedziano odlot samolotu do Phoenix, Mick był gotów do drogi. Nawet nie udawał, że przykro mu będzie się z nią rozstać na dwa miesiące.

Grupa Micka wyjeżdżała na letnie tournée koncertowe. Mieli jeździć po całym kraju.

Przyciągnął do siebie Emily i pocałował na do widzenia, szorstko i bez czułości. Puścił ją, uśmiechnął się krzywo i z prawej kieszeni dzinśów wyjął brązową buteleczkę z pigułkami.

- Mały upominek na do widzenia - powiedział, wtykając jej w rękę opakowanie z tabletkami amfetaminy i innych środków halucynogennych.

- Dziękuję. - Emily wsunęła buteleczkę do kieszeni luźnych dzinśów, mając nadzieję, że tego lata nie będzie musiała brać żadnych środków. Zwłaszcza że Mick wyjeżdżał.

- Do zobaczenia we wrześniu.

Emily kiwnęła głową, choć liczyła na to, że znajdzie w sobie tyle siły, aby pożegnać się z Mickiem na dobre. Wiedziała, że bez niego czuje się lepiej i jest spokojniejsza.

Miała całe lato, żeby się do tego przygotować, choć liczyła na trochę szczęścia. Może Mick znajdzie sobie kogoś i nie będzie musiała z nim zrywać.

Trochę szczęścia. Czy kiedykolwiek zaznała prawdziwego szczęścia? Jeśli kiedykolwiek w życiu miała szczęście, radość czy nadzieję, zupełnie tego nie pamiętała.

- Obudziłam cię? - spytała Winter, kiedy Allison, piątego lipca o wpół do ósmej rano, podniosła słuchawkę.
- Ależ skąd! Witaj. Jak ci się udał wyjazd?
- Wspaniale - powiedziała Winter miękko. - Naprawdę cudownie.
- Podoba ci się rodzina Marka?
- Tak, bardzo.
- To dobrze.
- Aha. Allison?
- Tak?
- Podjęłam decyzję w sprawie kariery.
- Naprawdę?

Allison obserwowała nerwowe poszukiwania Winter z sympatią i troską. Na początku każdego semestru przyjaciółka entuzjastycznie ogłaszała, że znalazła nowy kierunek studiów, ale ani jej niespożyta energia, ani żarliwe chęci nie mogły zamienić małych płomyków w płomień. Nic jej nie cieszyło, nic na dłużej nie zaprzętało uwagi. Zdanie: „Podjęłam decyzję w sprawie kariery” Allison słyszała ze sto razy. Teraz jednak w głosie Winter dźwięczała jakaś nowa nuta.

- Na co się zdecydowałaś?
- Będę aktorką.
- To świetnie - odparła szybko Allison.

Wreszcie - pomyślała z ulgą.

- Świetnie?
- No, ja...

Allison zabrakło słów. W szkole było to takie oczywiste. Winter uwielbiała grać w szkolnym teatrze, nieustannie rozmawiała o filmach, a na początku ostatniej klasy planowała, jakie kursy dramatyczne wybierze na uniwersytecie na jesieni. Ale po śmierci Jacqueline...

- Byłaś fantastyczna w szkolnych przedstawieniach - powiedziała w końcu.
- Och, zupełnie o tym zapomniałam. W każdym razie jesienią wracam na uniwersytet i zaczynam studia dramatyczne. - Winter uśmiechnęła się. - Mark naturalnie uważa, że już powinnam się zgłaszać na przesłuchania.
- Dlaczego nie?
- On mówi to samo.
- Mogłabym porozmawiać z Vanessą - zaproponowała Allison. - Ona zawsze wie wcześniej o zbliżających się przesłuchaniach.
- Nie, dziękuję. I tak są ogłaszane w gazetach. Zamierzam czytać ogłoszenia, a jeśli znajdę coś interesującego, to kto wie? A co u ciebie? Nadal wariujesz?

- Jeśli w ten niesłychanie subtelny sposób pytasz, czy wciąż jeżdżę konno, to odpowiedź brzmi tak. Czytam stopy powieści i mnóstwo zawodowych pism, takich jak: „Projekt”, „Sztuka i antyk”, „Przegląd architektoniczny”, „Architektura”, „Wnętrza”. - Z każdym upływającym dniem Allison czuła się coraz lepiej, pewniejsza swoich decyzji, gotowa na przyjęcie wyzwań. - Ach, tak, wczoraj dzwoniła Meg. Wrócili już z podróży poślubnej. W sobotę wyjeżdżają do Nowego Jorku i Meg chce, żebyśmy przyszły dziś wieczorem i obejrzały zdjęcia ze ślubu i wesela.

- Chyba żartujesz! - Winter roześmiała się z niedowierzaniem. - Dlaczego miałybyśmy oglądać jej zdjęcia ślubne?

- Meg myślała, że może zechcemy dla siebie jakieś dodatkowe odbitki - odparła Allison, tłumiąc chichot.

- Najlepiej wielkości plakatu, gdy Meg i Cameron składają przysięgę ślubną. Tylko dla siebie wzięłabym ze cztery odbitki do powieszenia na ścianach, a jeszcze więcej na prezenty.

- Przestań! - Allison roześmiała się. - Podobno zdjęcia są rewelacyjne - dodała, myśląc ciepło o Emily. - Nie tylko Meg i Camerona, ale nas wszystkich. Poza tym to będzie okazja, żeby zobaczyć państwa młodych, nim wyjadą na wschód. Oczywiście Mark też jest zaproszony.

- Ma dyżur - powiedziała z westchnieniem Winter.

Cudowne wolne dni były już tylko wspomnieniem. Mark wyszedł do szpitala przed godziną. Miał do niej zadzwonić, jeśli znajdzie chwilę czasu, i przyjść następnego wieczoru, o ile nic się nie wydarzy.

- Wybierzesz się ze mną? Meg zapraszała na siódmą.

- Pewnie, że tak. Kto wie, może pokażą slajdy z podróży poślubnej.

Nim dojechały do posiadłości Montgomerych na St. Cloud, Allison i Winter doszły do wniosku, że srebrny jaguar, za którym jechały, odkąd skrzyżowały z Bulwaru Zachodzącego Słońca i wjechały do Bel Air, także wiezie amatorów oglądania ślubnych zdjęć.

- To Rob Adamson i Elaina Kingsley - mruknęła Winter, gdy Allison parkowała za jaguarem.

Allison miała nadzieję porozmawiać z Meg, albo nawet z Cameronem o Sarze Adamson. Wciąż o niej myślała i nie mogła sobie z tym poradzić. Te przykre myśli przenikały czasem nawet do jej snów. Sny zazwyczaj znikwały nad ranem, ale jeden z nich stale się powtarzał i towarzyszył jej przez cały dzień.

W tym śnie szczęśliwa Sara jechała na Tuxedo. A potem przeskoczyła przez zielono-białą przeszkodę, spadła z konia i zabiła się. Nie był to jednak nieszczęśliwy wypadek, lecz morderstwo. Jakiś mężczyzna - przebrany za Arlekina z twarzą diabła - przecinał skórzany pasek siodła ostrym, zakrwawionym nożem. Wstrętny arlekin uśmiechał się złośliwie, gdy Sara spadała na ziemię i wybuchał ochryplym śmiechem, gdy umierała.

W miarę jak Allison stawała się spokojniejsza, gotowa do rozpoczęcia nowego życia i skorzystania z drugiej szansy, którą dostała od losu, częściej wracała myślami do Sary. Sara nie miała drugiej szansy.

- Wygląda na to, że Rob i Elaina czekają na nas - powiedziała Allison, odwzajemniając przyjacielski gest Roba.

- Super. Uwielbiam rozmowy z Elainą- mruknęła Winter ze sztucznym uśmiechem.

Winter nie lubiła Elainy od dzieciństwa. To ona przewodziła innym dziewczynom w szkole, prześladowując wystraszoną Winter i wyśmiewając się z niej. Za to Roba Winter lubiła i ceniła, ale...

- Winter - powiedziała ostrzegawczo Allison, kiedy wysiadały z samochodu.

- Będę dla niej miła - obiecała Winter.

Dlaczego by nie - pomyślała. Była zakochana. Te wstrętne małe dziewczynki, które ją kiedyś prześladowały, należały do przeszłości. Terazniejszość była cudowna.

- Cześć, Allison. - Rob uśmiechnął się do nich. - Cześć, Winter. Znacnie Elaine?

Allison spojrzała w ciepłe, uśmiechnięte oczy Roba i pomyślała, że tego wieczoru niczego się o Sarze nie dowie.

Czego właściwie chciała się dowiedzieć? Na co przyda jej się jakkolwiek wiedza na ten temat? Na nic. Gdyby jednak znała nawet najgorsze fakty, mogłaby poradzić sobie z rzeczywistością i skończyć z domysłami. No, tak, to były bardzo samolubne powody.

Allison spojrzała na Roba i zdała sobie sprawę, że kieruje się jeszcze czymś innym. Gdzieś w wyobraźni, może w znikających o świecie snach, udawało jej się zmusić okrutnego arlekina do przyznania się do winy.

- Straszne tłumy - powiedziała Winter, kiedy szli w stronę domu. - Twoi rodzice, Allison, i Vanessa na pewno przyjdą pieszo.

- Moi rodzice są w Argentynie.

- Ach, prawda. Turniej polo.

- Polo? - zainteresował się Rob.

- Wszyscy się tam teraz wybierają - wyjaśniła wesoło Winter. - Królowie, księżeta, hrabiowie. I oczywiście ich małżonki.

W letnie wakacje między szkołą podstawową a średnią Winter i Allison pojechały z Seanem i Patricią do Argentyny na doroczne zakupy kuców i turniej polo.

- Fantastyczne - powiedziała z podziwem Elaina.

- Owszem.

- A propos, Meg mówi, że zdjęcia też są fantastyczne - powiedziała Allison. A potem przypomniała sobie słowo, którego nigdy przedtem nie słyszała od swej przyjaciółki. - Meg mówi, że są po prostu nadzwyczajne.

- Mnie też to mówiła - przyznał Rob niechętnie.

Kiedy przyglądał się drobnej, nieśmiałej i poważnej Emily Rousseau, gdy robiła zdjęcia, miał nadzieję, że dobrze wyjdą, bo wiedział, jakie to było dla niej ważne. Teraz nie myślał już o dziewczynie tak dobrze i miał nadzieję... Nie, nie miał powodu, aby jej źle życzyć. Mimo to odczuwał pewne zakłopotanie na wieść, że jej fotografie okazały się nadzwyczajne.

Może Meg przesadzała. Jak zawsze.

Ale zdjęcia naprawdę były doskonałe. Meg z matką starannie rozłożyły fotografie na stołach, krzesłach, parapetach okiennych i półkach nad kominkami we wszystkich pokojach na parterze. Każde z nich zasługiwało na uwagę. Goście chodzili z pokoju do pokoju w skupionej ciszy, jakby znajdowali się w muzeum na wernisażu.

- Meg - szepnęła Winter. - Te fotografie są zachwycające.

- Tak - zgodziła się Meg. Artystyczna ilustracja jej ślubu poruszyła ją do głębi. - Wydaje mi się, że Emily zrobiła przynajmniej jedno zdjęcie każdej obecnej osobie.

- Jedno nadzwyczajne zdjęcie każdego gościa.

- Jest kilka zapierających dech w piersiach fotografii twoich i Marka. Tak ma na imię, prawda?

- Tak - odparła Winter.

Zapierające dech w piersiach zdjęcie Marka - pomyślała - i fotografia ich obojga tańczących na tarasie. Emily zakłóciła ich prywatność, ale Winter to nie przeszkadzało. Dla osób postronnych będzie to po prostu zdjęcie Winter i Marka w tańcu, ale Winter wiedziała, że było to coś więcej. Emily uchwyciła intymny moment, gdy Winter szepnęła: „Chodźmy teraz”.

- Wszystkie zdjęcia są zachwycające, Meg. Chciałabym mieć odbitkę tego z tobą i Cameronem, z Seanem i Patricią przy rzeźbie z lodu i Allison...

Aliison przez dłuższą chwilę podziwiała zdjęcie, nim zorientowała się, że podziwia własną fotografię. Letnie słońce błyszczało w długich, czerwono-złotyach włosach, jej oczy miały kolor ciemnego jadeitu, była zamyślona i prawie piękna. Emily uchwyciła moment spokojnej zadumy, ale Aliison wiedziała, że jej myśli pełne były niepokoju. W chwili, gdy Emily robiła zdjęcie, Aliison myślała o Sarze.

- Wiem, że twoi rodzice chcieliby mieć odbitkę tego zdjęcia - powiedziała cicho Vanessa, stając za Aliison. - Jest bardzo ładne.

- Dziękuję. - Aliison wzruszyła lekko ramionami. - Emily potrafi robić zdjęcia, na których człowiek wygląda lepiej niż w rzeczywistości.

- Wcale nie. - Rob usłyszał uwagę Aliison i podszedł bliżej. Już wcześniej podziwiał fotografię Aliison. - Wcale nie - powtórzył zdecydowanie.

Ona po prostu opanowała do mistrzostwa sztukę portretu - pomyślał, chyba po raz setny tego wieczoru. Jej cudowne, genialne, naprawdę artystyczne zdjęcia były najlepsze, jakie Rob kiedykolwiek widział.

W „Portrecie” pracowała utalentowana grupa ludzi, która potrafiła stworzyć za pomocą słów doskonałe portrety: głębokie, uczciwe i intrygujące profile ludzi, z którymi rozmawiali. Każdemu bezbłędnie napisanemu artykułowi towarzyszyło zdjęcie, które powinno oddawać to, co wyrażały słowa, jednakże rzadko się to zdarzało. Rob korzystał z usług wolnych strzelców, gdyż nie znalazł do tej pory nikogo, kogo chciałby zatrudnić na stałe i czyj talent idealnie uzupełniałby treść artykułów.

Teraz znalazł taką osobę. Emily Rousseau robiła fotografie - niepozowane, głębokie, uczciwe i pełne wyrazu - jakich Rob od początku poszukiwał dla swego pisma.

Nawet sposób, w jaki Emily zrobiła odbitki, był oryginalny - ich struktura i przejrzystość odzwierciedlały to, jak postrzegała portretowane osoby, ich nastrój, a nawet cechy charakteru. Niektóre fotografie były ostre, wyraźne i błyszczące, jakby uzewnętrzniały ambicję i władzę. Rob uśmiechnął się na widok takich właśnie zdjęć Elainy. Inne portrety - Meg i Camerona, Winter w tańcu z Markiem, a nawet jego samego - wyglądały miękko i romantycznie, niczym delikatne, pastelowe akwarele. Jeszcze inne, w tym piękne, poważne zdjęcie Aliison, miały w sobie głębię, jakby namalowane były olejną farbą.

Rob szukał fotografa dla swego pisma i właśnie go znalazł.

Emily Rousseau. Narkomanka i coś jeszcze, co sprawiło, że wyglądała i zachowywała się wtedy tak, a nie inaczej. Nie mógł sobie wyobrazić, że wysyła ją do domów, biur i pracowni bogatych, sławnych i możliwych tego świata, choć...



Choć właściwie jakoś musiał to sobie wyobrazić, gdyż koniecznie chciał dla „Portretu” niewiarygodny talent Emily.

- To są najlepsze zdjęcia, jakie kiedykolwiek widziałam, mimo że przedstawieni na nich ludzie często są fotografowani - powiedziała Vanessa. - Przypuszczam, że Emily Rousseau otworzy własne studio. Gdy tylko to zrobi, nie opędzi się od klientów.

Kiedy Allison to usłyszała, pomyślała, że musi jak najszybciej zadzwonić do Emily i umówić się z nią na sesję zdjęciową. Nie chciała dawać rodzicom zdjęcia ze ślubu Meg, gdyż widziała w nim głęboki smutek. Gdyby Emily mogła zrobić jej inny, szczęśliwszy portret, byłby to doskonały prezent na październikową rocznicę ślubu rodziców.

Winter także postanowiła umówić się z Emily. Potrzebowała fotografii do swego portfolio. Wątpiła wprawdzie, czy zgłosi się tego lata na jakieś przesłuchanie, ale należało się przygotować.

## 8

Vanessa codziennie poświęcała kilka minut na przeczytanie swego felietonu w gazecie. Nie czyniła tego ze względu na błędy, gdyż zawsze sama robiła korektę. Lubiła po prostu czytać własne słowa w tym samym czasie, co jej czytelnicy. Rozmazany druk, wytłuszczone słowa, zgrabne wykrzykniki i kursywa nadawały jej tekstowi życia i charakteru, i stawały się znacznie bardziej interesujące, niż te same słowa na białej kartce papieru, wkręconej w maszynę do pisania.

Cały felieton z szesnastego lipca Vanessa poświęciła *Miłości*, „najgorętszemu scenariuszowi” Hollywood. Czytając wydrukowany w gazecie tekst, przy oknie, które wychodziło na Bulwar Zachodzącego Słońca, Vanessa rozmyślała o tym wspaniałym scenariuszu, który dostała od Steve'a Gannona już w czerwcu, na miesiąc przed tym, jak poznało go całe Hollywood, wszyscy agenci i młode aktorki.

Zazwyczaj producenci przekazywali Vanessie streszczenia swych najnowszych projektów. Zabierali ją na obiad do kawiarni Pod Czterema Dębami, Ma Maison lub Rebecca's i z entuzjazmem opowiadali o „niewiarygodnym scenariuszu”, „wspaniałym reżyserze” i „fantastycznej obsadzie”, oczekując, że Vanessa napisze o tym w swych felietonach.

Steve Gannon wiedział, że jego scenariusz jest prawdziwym arcydziełem, ale jako stary przyjaciel postępował tak, jak Vanessa lubiała -

pozwolił, aby sama doszła do tego wniosku. Gdy tylko podał jej dokładną datę rozpoczęcia przesłuchań dla aktorów, dała do druku felieton, który napisała miesiąc wcześniej, po przeczytaniu scenariusza.

## ZDUMIEWAJĄCA MIŁOŚĆ PETERA DALTONA

*Miłość* - scenariusz reżysera Petera Daltona, zdobywcy nagrody Pulitzera i trzykrotnego laureata nagrody Tony - jest zdumiewającym studium miłości. U gorszego, mniej utalentowanego pisarza taki tytuł byłby nadużyciem, tymczasem Dalton stworzył prawdziwą apoteozę miłości.

W najnowszym scenariuszu Dalton pokazuje swój niezaprzeczalny talent. Jego wcześniejsze prace udowodniły, że potrafi spenetrować głębię ludzkiej duszy, przekroczyć cienką linię oddzielającą szaleństwo od normalności. Teraz geniusz Daltona wynurza się z mrocznych ciemności i skupia się na cudzie miłości. Historia zapiera dech w piersiach i bywa niebezpieczna, ale Dalton kończy ją happy endem.

Trzydziestodwuletni Dalton jest z pewnością najjaśniejszą gwiazdą w galaktyce utalentowanych młodych dramaturgów i scenopisarzy. Jego nadzwyczajna kariera teatralna zaczęła się dziewięć lat temu, gdy nowojorskie teatry - La Mama's i American Place Theater - po raz pierwszy wystawiły jednoaktówki Daltona. Od tej pory jest uznanym autorem i reżyserem.

*Karuzelę*, pierwszą pełnoaktową sztukę Daltona, wystawiono poza Broadwayem w 1979 roku i nagrodzono nowojorską nagrodą krytyków teatralnych. Następnego roku dostał dwie nagrody Tony - dla najlepszego reżysera i za najlepszą sztukę - za *Wachtę sztormową*. W 1981 roku otrzymał nagrodę Tony za *Echa*. W 1982 roku Peter Dalton wszedł do świata literatury utworem pod tytułem: *Powiedz do widzenia*, wstrząsającym studium beznadziei i rozpacz, dzięki któremu został laureatem nagrody Pulitzera. Antologię tekstów Daltona opublikowało na początku tego roku wydawnictwo Random House.

Ale wróćmy do *Miłości*. Wydawać by się mogło, że autor podarował światu ten scenariusz jako zadośćuczynienie za *Powiedz do widzenia*, ale podobno *Miłość* powstała wcześniej. Kiedy Steve Gannon, prezes Brentwood Productions i producent filmu, zaproponował Daltonowi w styczniu zeszłego roku filmową realizację *Karuzeli*, Dalton wybrał inną kolejność:

najpierw *Miłość*, scenariusz, który od dawna leżał u niego w szufladzie, a potem *Karuzela*. Ciekawe, jakie jeszcze skarby trzyma Dalton w zakamarkach swego biurka!

Dalton przerwie więc na chwilę swą karierę teatralną i osobiście wyreżyseruje *Miłość*. W grudniu przeprowadzi się do Los Angeles, aby rozpocząć przygotowania do filmu, nad którym zastrzegł sobie „całkowitą kontrolę artystyczną”. Film będzie kręcony wyłącznie w Los Angeles, od stycznia do kwietnia. W kwietniu Dalton wraca do Nowego Jorku, gdzie kieruje powstałym niedawno teatrem „Szekspir na Broadwayu”, który tego lata zainaugurował działalność wystawieniem *Hamleta*, w najlepszej, amerykańskiej i angielskiej, obsadzie.

Mimo iż scenariusz przedstawiono najlepszym młodym aktorkom Hollywood, Gannon chciałaby obsadzić w roli głównej aktorkę nieznaną: „Julia to połączenie niewinności, odwagi, miłości i magii. Kiedy ją zobaczę, będę wiedział, że to ona”. Główną rolę męską zagra jeden z pięciu najlepszych aktorów, którzy czekają, na zdjęcia próbne z aktorką wybraną do roli Julii. A zatem, moje drogie aktorki, jeśli wierzycie w miłość, magię i przeznaczenie, Gannon i Dalton pragną się z wami spotkać w pierwszej połowie sierpnia. Kontakt: ...

Winter z bijącym sercem po raz drugi czytała felieton Vanessy.

Wierzę w miłość, magię i przeznaczenie - pomyślała. Wiem, co to miłość. Żyję nią.

Zastanawiała się, co mogłaby zobaczyć kamera w jej fiołkowych oczach, gdyby miała odgrywać „miłość”, nim poznała Marka. Czy potrafiłaby zagrać przekonująco? Chyba nie. W najbardziej romantycznych fantazjach nie była w stanie wyobrazić sobie takich uczuć, jakimi żyła teraz.

Ciekawe, czy jestem Julią? - pomyślała i postanowiła się przekonać. Najpierw musiała napisać krótki życiorys i dołączyć do niego jeden z cudownych portretów, które zrobiła jej w poprzednim tygodniu Emily, a potem pójść na przesłuchanie i sprawdzić, czy jest aktorka, jakiej szukali Steve Gannon i Peter Dalton.

Winter miała przecucie, że dostanie tę rolę.

Emily jechała autobusem do redakcji „Portretu” w Beverly Hills, gdzie była umówiona z Robem Adamsonem w sprawie jego zdjęcia

portretowego. Tak przynajmniej myślała. Sekretarka, Frań Cummings, mówiła ogólnikowo o zdjęciach i o tym, że Rob chciał się nią spotkać osobiście. Frań dała jej do wyboru kilka możliwości: obiad w dowolnej restauracji, studio Jerome'a Cole'a, kolacja w dowolnej restauracji. Emily zdecydowała się jednak na spotkanie w redakcji.

Teraz Emily wiedziała już, kim jest Rob Adamson - Jerome zachwycał się jego zdjęciem, które zrobiła na weselu. Nie mogła zaproponować, aby przyszedł do niej do pracowni. Nie chciała też iść z nim do restauracji.

Emily nie miała ochoty na to spotkanie, pamiętając ciemnoniebieskie oczy, które podążały jej śladem na weselu...

Z okna autobusu zobaczyła zegar na stacji benzynowej. Nie spóźni się. To dobrze. Miała szczęście, że złapała ten autobus. Spóźniła się na przystanek, ale autobus na szczęście nie przyjechał punktualnie, z powodu źle działających świateł.

Słowa „dobrze” i „szczęście” nie figurowały dotychczas w jej słowniku, coś jednak zaczynało się zmieniać. Podczas minionych dwóch tygodni miała masę pracy: robiła zdjęcia i sama robiła odbitki. Gdyby mogła w ten sposób spędzić resztę życia - fotografując i nie mając czasu na myślenie - może byłaby nawet... szczęśliwa.

W redakcji „Portretu” w Beverly Hills znalazła się trzy minuty przed wyznaczonym czasem.

- Nazywam się Emily Rousseau - powiedziała recepcjonistce. - Jestem umówiona z panem Adamsonem.

- Ach tak. - Recepcjonistka z trudem kryła lekceważenie. Po co pan Adamson umawiał się z kimś takim? Ludzie, którzy zazwyczaj do niego przychodzili promieniowali pewnością siebie i poczuciem sukcesu. Ta kobieta zachowywała się tak, jakby dobrze wiedziała, że jest nikim. - Frań, sekretarka pana Adamsona, wyszła na obiad, ale on pani oczekuje. Jego gabinet jest na końcu korytarza. Zadzwoń i powiem, że pani przyszła.

Rob stanął w otwartych drzwiach swojego gabinetu i uśmiechnął się do Emily.

- Dzień dobry, jestem Rob Adamson.

- Dzień dobry. Jestem Emily Rousseau.

- Proszę wejść.

Rob gestem wskazał jej kąt pokoju, gdzie wokół stolika ze szklanym blatem stał zestaw wypoczynkowy z niebieskiej skóry. Nie miał zwyczaju przyjmować gości, siedząc za bezosobowym dębowym biurkiem.

- Dziękuję.

Miała zdumiewająco miękki i delikatny głos. W ogóle nie odpowiadała wizerunkowi, jaki sobie stworzył. Jej błyszczące złote włosy opadały na ramiona jedwabistymi falami, szare oczy były przejrzyste, a do workowatych dzinsów włożyła białą bawełnianą bluzkę z długimi, bufiastymi rękawami.

Z długimi rękawami mimo upału. Być może musiała zakryć ślady po ukłuciu igieł. Co sobie wstrzykiwała - heroinę? Kokainę?

Rob spojrział w jej szare oczy. Dziś niczym nie przypominała kobiecie o nieprzytomnym, szklanym wzroku, którą widział nad brzegiem oceanu. Dzisiaj była młodą kobietą z wesela - delikatną, nieśmiałą, poważną i eteryczną.

Najwyraźniej nie pamiętała go też z tamtego wieczornego spotkania. Rob sam już nie wiedział, czy mu się ono przypadkiem nie przywidziało. Miał ochotę zapytać, czy ma przypadkiem siostrę bliźniaczkę.

- Pańska sekretarka powiedziała, że chciałby pan, abym zrobiła kilka zdjęć.

- Więcej niż kilka. Chciałbym panią zatrudnić jako fotografa w piśmie „Portret”.

- Och!

Emily nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Nie знаła zdjęć z „Portretu”. Oczywiście widziała to pismo w supermarketach i wiedziała, że Rob jest jego właścicielem, ale samego pisma nigdy nie czytała.

Rob właściwie zrozumiał zmieszanie Emily. Dlaczego miałyby znać jego pismo? Prawdopodobnie miała mało pieniędzy, które wydawała na narkotyki, a nie najedzenie czy ubrania, a co dopiero mówić o drogim piśmie, takim jak „Portret”. Nawet jako początkująca autorka zdjęć portretowych nie szukałaby inspiracji w jego piśmie. I dobrze, bo by jej tam nie znalazła.

Sięgnął po lipcowy numer, który leżał na stoliku.

- Co miesiąc opisujemy dziesięć, piętnaście osób, mężczyzn i kobiety, które są z czegoś znane, coś w życiu osiągnęły. Piszemy, kim są i jak do tego doszli, co ich motywuje.

Rob wyjaśnił jej ideę pisma, nie używając określeń, jakich nie szczędzili krytycy na widok pierwszego numeru przed dwoma laty: „wyjątkowy”, „jedyny”, „zaskakujący”, „jeden z najlepszych”. Teraz podał jej numer lipcowy. Kiedy Emily wyciągnęła rękę, którą dotychczas trzymała zaciśniętą w pięść na podołku, zobaczył cienkie palce i obgryzione paznokcie. Poczuł ukłucie w sercu.

Emily przejrzała pismo, uważnie przyglądając się całostronicowym, kolorowym fotografiom każdej z opisywanych postaci.

- Zdjęcia nie odpowiadają jakościowo tekstom. Dlatego potrzebuje pani - powiedział w końcu Rob.

Potrzebował jej wyjątkowej umiejętności docierania do wnętrza portretowanej osoby. Tak doskonale oddała wrażliwość Allison Fitzgerald, miękkość Winter Carlyle, zadziwiająca twardość Elainy Kingsley czy ciekawość jego samego.

- Myśli pan, że potrafię robić lepsze zdjęcia niż te? - spytała Emily słabym głosem. Uważała, że fotografie w piśmie są doskonałe.

- Wiem, że są nie najgorsze. Pracuje dla mnie wielu z najlepszych fotografików na świecie. Ale jestem pewien, że pani jest lepsza. - Rob spodziewał się uśmiechu, o ile Emily Rousseau w ogóle umiała się uśmiechać, tymczasem spoglądała na niego z powątpiewaniem i niepokojem.

- Zdaję sobie sprawę, że przypuszczalnie zamierza pani otworzyć własne studio...

- Własne studio?

- Zakładam, że po weselu wiele osób zgłosiło się do pani z zamówieniami.

- No tak, ale...

Emily najwidoczniej zamierzała pozostać w studio Jerome'a Cole'a. Dlaczego? Wiedziała chyba, że będzie miała teraz mnóstwo bardzo znanych klientek. Czyżby nie była ambitna? Nie, na pewno nie, sądząc po tym, jak bardzo się starała na weselu. Prędzej chodziło o brak pewności siebie i zaufania do swych umiejętności.

- Być może będzie pani wolała założyć własne studio - powiedział Rob, żeby przekonać ją do tego pomysłu. Postanowił, że jeśli Emily nie zechce pracować dla niego, poprosi Elainę, aby jej pomogła. Elainie nie brakowało pewności siebie. - Ale najpierw proszę posłuchać, co chciałbym pani zaoferować, dobrze?

- Dobrze.

- Wysokie wynagrodzenie. Możemy już teraz omówić szczegóły. - Rob zamierzał dać jej bardzo wysokie uposażenie, większe niż mogłaby oczekiwać.

Emily potrząsnęła głową.

- Dobrze. Co dalej? Miałyby pani dużo artystycznej swobody. Oczywiście musiałbym aprobować wszystko, co szłoby do druku, ale widziałem zdjęcia z wesela Montgomery i Elliota i bardzo mi się podobały. Inaczej nie proponowałbym pani pracy. - Jego słowa pogłębiły tylko jej zmieszanie. Rob z uśmiechem przeszedł do dalszych szcze-

gółów: - Chciałbym, żeby robiła pani zdjęcia do każdego numeru, ale wiem, że to jest nierealne. Opisujemy ludzi z całego świata, ważnych ludzi, którzy są bardzo zajęci. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, ile portretów miesięcznie może zrobić jeden fotograf. Przekonamy się. Powiedziałem, że to szaleńcza praca i że będzie pani bardzo zajęta, lecz muszą też dodać, iż czasem będzie spokojniej. Jestem pewien, że pięć, sześć, nawet piętnaście portretów miesięcznie nie sprawi pani kłopotu, nie będę zatem miał nic przeciwko temu, aby robiła pani także inne zdjęcia. Pod warunkiem, że moje pismo potraktuje pani priorytetowo.

- Nie robiłabym żadnych dodatkowych zdjęć.

- Czasami tu nie będzie zbyt wiele pracy - powtórzył Rob, widząc w jej oczach zainteresowanie i nie będąc pewnym, co ją tak zaintrygowało.

- Czy będę podróżować? - spytała cicho Emily.

- Oczywiście, po całym świecie, pierwszą klasą, z noclegami w pięciogwiazdkowych hotelach. - Pociągały ją podróże, nie pieniądze. - Jak pani widzi, do lipcowego numeru robiliśmy zdjęcia w Rzymie, Londynie, Nowym Jorku, Buenos Aires, Tokio i Paryżu.

- Paryżu... - Zabrzmiało to niemal jak westchnienie.

- Jest pani Francuzką? - spytał. Miała francuskie nazwisko, choć mówiła bez akcentu.

- Mój ojciec był Francuzem. Ja urodziłam się w Quebecu.

- Czy Paryż to pani ulubione miasto?

- Nigdy tam nie byłam - odparła Emily. - Ale zawsze wierzyłam, że kiedyś tam zamieszkać.

W tym momencie Rob przekonał się, że Emily potrafi się uśmiechać. Lekko wykrzywiła usta, a w jej oczach zabłyśło szare światło. Była piękna.

- Mogę pani obiecać wyjazdy do Paryża. A jeśli zakocha się pani w tym mieście, może się pani tam przenieść.

Oficjalnie nie przyjęła jego propozycji, kiedy jednak zobaczył błysk jej oczu, wiedział, że się zgodziła.

- Kiedy może pani zacząć?

- Mamy bardzo dużo pracy w studio, przynajmniej do połowy września. ..

To ona przyciągnęła klientów - pomyślał Rob. Wiedział, że swoją pracą zapewni Cole'owi dużo pieniędzy, ale sama niewiele z tego dostanie, poza skromnym wynagrodzeniem, takim samym, jakie dostawała do tej pory.

- Umówmy się na początek października. Będzie pani mogła trochę odpocząć.

Tak naprawdę Rob chciałby, aby Emily zaczęła pracować dla niego od następnego dnia. Z drugiej strony nie chciał podkupywać jej Cole'owi, choć wątpił, czy ten w podobnej sytuacji byłby wobec niego równie lojalny.

- Może być w połowie września.

Rob podszedł do biurka i zajrzał do kalendarza.

- Siedemnastego września? To jest poniedziałek.

Emily skinęła głową.

- A wynagrodzenie...

- Jakie pan uważa za stosowne.

- Dobrze.

W duchu miał nadzieję, że nie wyda wszystkich pieniędzy na narkotyki, lecz na coś, dzięki czemu będzie mogła częściej się uśmiechać.

Emily wstała i wyciągnęła do niego małą, szczupłą dłoń.

- Do zobaczenia we wrześniu i dziękuję panu.

- Mam na imię Rob. To ja ci dziękuję, Emily.

Emily, wracając autobusem do studia, myślała o propozycji, którą właśnie przyjęła. Była przerażona. Obawiała się, że nie potrafi robić takich fotografii, na jakich zależało Robowi. Będzie się musiała bardzo postarać, bo od tego zależała jej ucieczka do Paryża.

Nie miała pojęcia, dlaczego Paryż tak wiele dla niej znaczył. Był czymś ulotnym i dalekim, czymś z przeszłości albo z przyszłości. Nie pamiętała czasów, kiedy była szczęśliwa, kiedy jej serce przepełniał śmiech, zaufanie i nadzieja. Nie pamiętała tych czasów, ale one kiedyś istniały, przez pierwsze dziesięć lat jej życia w Quebecu. Była wtedy szczęśliwą, złotowłosą dziewczynką-Francuzką.

Kiedy Emily wyszła, Rob - czekając na Elaine, z którą umówił się na obiad - przeglądał gazetę. Jego wzrok przyciągnął felieton Vanessy Gold o *Miłości* Petera Daltona. Po dłuższej chwili zmusił się, aby go przeczytać.

W miarę, jak czytał, zaciskał pięści i robił się coraz bardziej wściekły. To jakiś potworny dowcip, diabelski żart... Peter Dalton nie miał pojęcia o miłości.

Umiał tylko zdradzać.

Peter Dalton. Rob nienawdził tego mężczyzny. Był pewien, że jest odpowiedzialny za śmierć jego ukochanej młodszej siostry...



*Greenwich, Connecticut,  
listopad 1954 roku*

Jeffrey i Sheila Adamsonowie powitali na świecie swego syna, Roberta Jeffreya, z radością, ulgą i dumą. Piękny pierworodny! Dziedzic! Jeszcze przed urodzeniem, jako dziedzic imperium Adamsonów, miał wytyczoną dalszą drogę życia. Drogę wybrukowaną złotem, przywilejami, luksusem i sukcesem. Złota droga wiodła z dzieciństwa w Greenwich przez szkołę podstawową w New Hampshire do uniwersytetu Harvarda, a potem z powrotem do Greenwich i na Wall Street. Miała jeden cel: przygotowanie Roba do przejęcia imperium Adamsonów. Wymagano tylko jednego: Rob musiał być doskonały.

Przez pierwsze dwadzieścia dwa lata swego życia Rob podążał drogą bez najmniejszego z niej zbaczania, pokonując kolejne stopnie kariery. Jeffrey i Sheila obserwowali swego genialnego, czarującego i przystojnego syna bardzo z siebie zadowoleni. Nigdy nie musieli się o niego martwić. Całą troskę, obawę i nadopiekuńczość mogli przelać, na Sarę.

Sara Jane Adamson była o cztery lata młodsza od brata. Kiedy miała sześć lat, zachorowała na dziwną chorobę i w ciągu paru minut zapadła w śpiączkę. Natychmiast przewieziono ją do szpitala w Greenwich. Lekarze postawili diagnozę: cukrzycowa kwasica ketonowa.

Po pierwszym ataku choroby Sara dość szybko doszła do siebie, ale lekarze ostrzegli, że będą następne ataki. Sara miała jedną z ostrych form cukrzycy dziecięcej insulinozależnej.

Dziewczynka, od chwili, gdy wróciła ze szpitala, zrezygnowała nawet z tej niewielkiej kontroli, jaką miała przedtem nad swoim życiem. Zawsze była dzieckiem delikatnym i biernym, a teraz nie sprzeciwiała się zupełnie reżimowi narzuconemu przez cały zastęp pilnujących ją opiekunek.

Lekarze ostrzegli Adamsonów, że Sara będzie się buntować przeciwko tak sztywno ustalonym regułom; jest w końcu dzieckiem i w naturalny sposób będzie sprawdzać, jak daleko może się posunąć, opuszczając posiłki lub pijąc słodkie, gazowane napoje. Młodzi diabetycy zazwyczaj na początku buntowali się i protestowali przeciwko narzuconym im przez chorobę ograniczeniom. Chcieli wieść takie samo życie jak ich rówieśnicy.

Sara się nie buntowała. Sara była aniołem. Żyła jak drobny, kruchy ptaszek w złotej klatce i nigdy nie zaprotestowała ani jednym słowem

czy westchnieniem. Nie wolno jej było trzymać zwierząt, bo zwierzęta roznosiły choroby. Nie wolno *jej* było *jeździć* konno i na łyżwach ani wspinać się na drzewa, bo nawet drobne skaleczenia też były niebezpieczne.

Sara nie знаła dzieci w swoim wieku, więc tak naprawdę nie wiedziała nawet, co traci. Bawiła się ze swymi sympatycznie zatroskanymi opiekunkami, z rodzicami lub z Robem.

Rob opiekował się młodszą siostrzyczką, zanim jeszcze zdiagnozowano u niej cukrzycę. Instynktownie wyczuwał jej fizyczną i psychiczną kruchość i bawił się z *nią*. w *spokojne* zabawy, powściągając wrodzoną energię. Rob i Sara składali układanki, grali w gry słowne i planszowe, budowali wspaniałe królestwa z klocków i wymyślali na ich temat zaczarowane historie. Rob rozrabiał oczywiście z Cameronem EUiottem i innymi młodymi, złotymi dziedzicami, ale najbardziej lubił spokojne chwile spędzane ze swą siostrą o niezwykłej wyobraźni.

Kiedy miał trzynaście lat, a Sara dziewięć, posłano go do Phillips Exeter Academy w New Hampshire. Wcześniej chodził do szkoły podstawowej w Greenwich, a Sara miała lekcje w domu. Codziennie wieczorem rodzeństwo opowiadało sobie, czego się w ciągu dnia nauczyło.

Teraz jednak Rob wyjechał i Sara bardzo za nim tęskniła. Rob też za nią tęsknił, ale w nowej szkole miał dużo wrażeń, a poza tym przeistaczał się z dziecka w młodego mężczyznę. Kiedy podczas Świąta Dzięczynienia zobaczył swą drobną, samotną siostrzyczkę, łyzy miłości i wyrzutów sumienia napłynęły mu do oczu. Jego życie było podniecające, radosne i pełne cudownych przygód. Życie Sary było puste i samotne. Z nadzieją czekała na brata.

- Dlaczego Sara nie chodzi do szkoły? - spytał rodziców pewnego popołudnia, gdy Sara odpoczywała. - Mogłaby chodzić tutaj do szóstej klasy, a potem przenieść się do mojej szkoły. Na pewno by się ucieszyła. "

- To zbyt niebezpieczne, Rob.

- Nie rozumiem.

- Jej cukrzyca - powiedział tylko ojciec, choć na końcu języka miał słowa: „Nie wiadomo, jak długo będzie żyła”. Były za bardzo brutalne dla trzynastolatka. Nikt nic nie wiedział na pewno.

Tak samo twierdzili specjaliści. Nikt nie wiedział, kiedy nastąpią komplikacje i jak szybko choroba będzie postępować. Lekarze zastanawiali się tylko, kiedy to się stanie, bo nie mieli wątpliwości, że zdarzy się to prędzej czy później. Wprawdzie specjaliści mieli różne zdania na temat tego, jak ścisły reżim należało stosować, ale wszyscy zgadzali się

co do powagi sytuacji. Delikatnie ostrzegali Adamsonów, przygotowując ich na najgorsze.

- Czy coś się stało?

- Nie. - Jeffrey uśmiechnął się smutno. - Sara dobrze sobie radzi.

Rob chciał zaprotestować, powiedzieć, że jest bardzo samotna, że cierpi w swojej klatce, może powoli umiera. Aż wzdrygnął się na tę myśl. Pomyślał z obawą, czy zostanie ją przy życiu, gdy przyjedzie do domu na święta Bożego Narodzenia. W pierwszej chwili chciał zrezygnować z powrotu do Exeter, ale zdał sobie sprawę, że dość już jest wokół Sary ludzi, którzy przez cały czas z zapartym tchem ją obserwuje

- Nie ma nawet takiej specjalnej bransoletki - mruknął.

- Nie musi. Jest stale z kimś, kto wie, że ma cukrzycę - odparła Sheila.

- To źle.

- Słucham? - powiedziała z oburzeniem Sheila.

Rob westchnął. Nie warto było wdawać się z nimi w jakąkolwiek dyskusję. Rozmawiali wprawdzie o wolności Sary, ale stąd był już tylko jeden krok do rozmowy o jego wolności. Rob zaczął mieć wątpliwości, czy naprawdę chciałby spędzić całe dorosłe życie na Wall Street.

- Wszyscy nauczyciele i pracownicy w tutejszej szkole są szalenie odpowiedzialni. Tak samo jest w Exeter. Sara miałaby bardzo dobrą opiekę. Mogłaby jadać w domu albo zabierać przygotowane wcześniej posiłki. Zapytajcie ją. Może się myłę. Może wcale nie zechce chodzić do szkoły.

Kiedy Sheila i Jeffrey spytali córkę, czy chciałaby chodzić do szkoły podstawowej w Greenwich, rozpłakała się ze szczęścia. Jej łzy zaszkokowały wszystkich. Sara nigdy nie płakała!

- Czekam na twoje listy - powiedział Rob siostrze w przeddzień swego powrotu do szkoły.

- O czym mam pisać? - spytała z entuzjazmem.

- O ludziach, których poznasz. Chcę wiedzieć, jak wyglądają i jacy są.

- Chcesz ich portrety - powiedziała cicho. - Chcesz, żebym malowała słowami ich portrety.

- Tak - przyznał Rob, zaskoczony przenikliwością swej mądrej siostrzyczki. - Portrety.

- Ty też będziesz do mnie pisał?

- Oczywiście, Saro, obiecuję. .

Oboje dotrzykali obietnicy. Rob uwielbiał „portrety”, które przysyłała mu siostra. Poznał w ten sposób jej nauczycieli, koleżanki, listonosza i lekarzy. Opisy Sary pełne były humoru, przenikliwości i zaangażowania. Doskonale porafiła opisać charakter ludzi, których spotykała. Rob miał wrażenie, że też ich zna, choć Sara nigdy nie pisała, jak się nazywają.

Nigdy też nie nazwała w swoich listach Allison Fitzgerald, ale Rob dobrze poznał tę wspaniałą rudowłosą wołyżerkę o złotym sercu. Kiedy czytał w Harvardzie listy od siostry, wdzięczny był tej dziewczynie za uczucie okazywane Sarze.

Z początkiem marca w ostatnim roku nauki Sary w żeńskiej szkole w Greenwich i ostatniego roku Roba w Harvardzie opisy nowego różanego ogrodu w posiadłości Adamsonów zastąpiły opowieści o dziewczynie, która skakała na koniu.

*Mama wreszcie ma różany ogród za biblioteką - pisała Sara. - A ja pomagam ogrodnikowi wybierać kwiaty! Czy znasz się na różach? Każda ma inny kolor, zapach i własną nazwę. Moją ulubioną różą jest Pristine. Jest kremowobiała z delikatnym różowym brzeżkiem i pięknie pachnie. Posadziliśmy też taką, która nazywa się Portret (ciemnoróżowa) i inne - Smoky SterlingSilver, Christian Dior, Summerwine, Blue Moon... Zakwitną wspaniałą feerią zapachów i kolorów, codziennie trochę inaczej, codziennie nowy cud! Sam zobaczysz, kiedy w czerwcu przyjedziesz do domu.*

Były to najszcześniejsze listy, jakie do tej pory napisała. Nigdy jednak nie przysłała mu portretu ogrodnika, który pozwalał sobie pomagać w planowaniu kolorów i zapachów.

Rob zakładał, że ogrodnikiem tym był Joseph Dalton. Zdumiał się nieco, że Sara nie pokusiła się o opis emigranta z Europy Wschodniej, który od wielu lat zajmował się ogrodami w Greenwich. Spodziewał się wrażliwej, głębokiej opowieści o starym, siwym człowieku, mężczyźnie, którego niebieskoszare oczy widziały całą okropność wojny, a który mimo to tworzył piękne krajobrazy. Sara jednak pisała do brata wyłącznie o ogrodzie.

**W kwietniu napisała:** *Postanowiłam studiować w Vassar, a nie w Radcliffe. Wiem, że planowaliśmy wspólny pobyt w Bostonie w przyszłym roku, ale jeszcze przez rok poprzestaśmy na portretach, dobrze? Poughkeepsie jest blisko Nowego Jorku, więc za rok, kiedy będziesz pracował na Wall Street, mam zamiar stale cię odwiedzać.*

W liście Sary pełno było rysunków zachmurzonych i uśmiechniętych twarzy, ale nie znalazł w nim wyjaśnienia nagłej zmiany planów, o których rozmawiali od lat.

Jednakże plany się zmieniały i decyzja Sary pomogła mu podjąć postanowienie, które od wielu miesięcy spędzało mu sen z powiek - nie pójdzie na studia podyplomowe do Harvard Business School. W każdym razie nie najbliższej jesieni, a może nawet nigdy.

Nie musiał przecież zostawać prezesem firmy Adamson & Wit, prawda? Ani prezesem nowojorskiej giełdy? Nie musiał spędzić reszty życia jeżdżąc tam i z powrotem między Greenwich i Wall Street, prawda?

Postanowił, że będzie tym, kim on zechce. Rozwinie swoje zainteresowania literaturą, pisaniem i dziennikarstwem. Będzie podróżował, spotykał nowych ludzi i uczył się świata, który istniał za złotym murem.

Nim jeszcze dostał list od Sary, w którym informowała go, że wybiera się na uniwersytet Vassar, złożył podanie o stypendium Hathaway. To prestiżowe, trudne do otrzymania stypendium oznaczało trzy lata studiów humanistycznych i artystycznych na uniwersytecie w Oksfordzie. Przygotowując starannie umotywowane podanie, cały czas zastanawiał się, co będzie, jeśli je dostanie. Czy zdecyduje się na wyjazd do Anglii?

W czerwcu, na tydzień przed ogłoszeniem wyników, podjął decyzję, że w żadnym razie nie będzie studiował w Harvard Business School. Nikomu o tym nie powiedział, nawet Sarze, ale nie mógł spać na myśl o tym, co go czeka.

Na tydzień przed rozdaniem dyplomów na uniwersytecie (Rob otrzymał najwyższą lokatę) dostał list z Londynu. Przedstawiciele fundacji stypendium Hathaway z przyjemnością zawiadamiali... Szczególnie podobał im się zbiór błyskotliwych esejów, jakie napisał o zeszłorocznej wycieczce do Londynu. Zaintrygowała ich także obietnica, że w trakcie stypendium opublikuje kilka esejów o Anglii. Przedstawiciele fundacji nawiązali już nawet kontakt z redaktorem naczelnym „The London Times”. Jeśli jakość zaplanowanych tekstów dorównywałaby jakości tego, co im posłał, miał zapewnioną publikację w tej prestiżowej gazecie pod wspólnym tytułem: *Jankes z Connecticut*.

Rob telegraficznie potwierdził przyjęcie stypendium, poinformował rektora Harvard Business School, że nie zgłosi się na studia jesienią, odwołał podróż jachtem na Karaiby, którą planował na lipiec i sierpień z Cameronem Elliottem i nie mógł się doczekać, aby pochwalić się rodzicom i Sarze tymi wspaniałymi wiadomościami.

Kiedy jednak dojeżdżał do domu, przyszło mu do głowy, że rodzice wcale nie muszą być jego niespodzianką zachwyceni i postanowił najpierw opowiedzieć o tym Sarze.

- Taka jestem z ciebie dumna, Rob! Oczekuję od ciebie częstych portretów.

- Na pewno je dostaniesz. Będziesz do mnie pisać z Vassar?

- Oczywiście. Czy naprawdę wydrukują to, co napiszesz, w „The London Times”?

- Tak napisali. Pod warunkiem, że moje teksty będą dobre.

- Będą. Zawsze są. Strasznie mi się podoba ten tytuł: *Jankes z Connecticut*.

- Przyszedł mi do głowy pewnego wieczoru i nie zastanawiając się wpisałem go do formularza.

- Jest doskonały.

- A propos doskonałości, to bardzo podoba mi się twój ogród, Saro. Siedzieli na ciepłej trawie pośród pachnących, kolorowych krzaków róż.

- Dziękuję. W gruncie rzeczy to jest ogród Petera.

- Jakiego Petera?

- Petera Daltona, syna Josepha.

- Och...

- Jak często będziesz przyjeżdżał do domu? - Sara wolała omawiać plany brata, gdyż nie chciała się zdradzać ze swoimi.

- Nie jestem pewien.

- Chyba przyjadę do ciebie do Europy.

W pierwszej chwili nie chciał się zgodzić, myśląc o jej zdrowiu.

- Zawsze chciałam zobaczyć Rzym - ciągnęła Sara. - Moglibyśmy się tam spotkać.

W pewnej chwili Rob zdał sobie sprawę z czyjejs obecności w otoczonym murem, prywatnym ogrodzie. Zobaczył cię wysokiego, ciemnego, obcego mężczyzny. Wstał i spojrzał bez słowa, zdziwiony i zaniepokojony, w ciemnobrazowe oczy intruza. Mężczyzna odpowiedział równie zdumionym spojrzeniem, a potem, gdy poczuł dezaprobatę Roba, w jego spojrzeniu pojawiło się zimne wyzwanie. Kiedy jednak zwrócił się do Sary, na jego twarzy zagościł miły uśmiech.

- Przepraszam, Saro, nie chciałem przeszkadzać.

- Nic nie szkodzi, Peter. Chciałabym, abyś poznał mojego brata. Rob, to jest Peter. Peter, to jest Rob.

Peter przełożył z prawej ręki do lewej ciemnoniebieski notes i wyciągnął do Roba muskularne ramię. Mężczyźni podali sobie ręce, bez uśmiechu, wzajemnie taksując się wzrokiem.

- Mogę przyjść później - zaproponował Peter.
- Nie - powiedział Rob do Sary. - Muszę poinformować rodziców o moich planach.
- Potem mi opowiesz, jak było.
- Dobrze. Nie martw się, dam sobie radę. - Rob uśmiechnął się do Sary i wyszedł ze wspaniałego różanego ogrodu, nie spoglądając na Petera Daltona.

Jego pewność siebie nie znalazła pokrycia w rzeczywistości. Sheila i Jeffrey, siedząc w eleganckim salonie, wpatrywali się w syna z nieskrywanym przerażeniem.

Czyżby ich złoty synek nie wiedział, że złota droga nie miała objazdów, skrzyżowań i znaków stopu? Najwyraźniej nie miał o tym pojęcia i musieli mu to wytłumaczyć.

- Musisz podjąć dalsze studia w Harvard Business School, Rob.
- Może zrobię, ale na pewno nie w tym roku.
- W tym.
- Tej jesieni będę w Oksfordzie. -1 jeszcze przed trzy kolejne lata - pomyślał.
- Nie.
- Tak. Nie rozumiecie - szepnął Rob. Musiał wyjaśnić, jak bardzo był nieszczęśliwy, gdy myślał o tym, co dla niego zaplanowali. Z pewnością ..

- Ależ rozumiemy, synu - stwierdził poważnie Jeffrey.

Rob spojrział na ojca z nadzieją, ale stracił ją, słysząc dalsze słowa.

- Zapewne martwisz się, że nie uzyskasz najlepszej lokaty.
- Wcale się tym nie martwię!
- Nie musisz być zawsze najlepszy - szepnęła rozczarowana Sheila. Może jej doskonały, genialny syn czuł się trochę niepewnie. Sheili nie podobały się te oznaki słabości, ale wołała słabość od buntu. - Nie oczekujemy tego od ciebie - dodała bez przekonania.
- Ale oczekujecie, że skończę te studia, zajmę się interesami i pewnego dnia pokieruję rodzinną firmą?
- Tak - odparli zgodnym chórem.

Rob spojrział na ich pełne przekonania miny i aż zadrżał z przerażenia. Nie rozumieli i nawet nie zamierzali spróbować. Zależało im jedynie na tym, aby spełnił ich oczekiwania. Ich oczekiwania, a nie swoje własne, jakby wierzyli, że to im zawdzięcza doskonałe wyniki w szkole i na studiach. Czyżby nie wiedzieli, że to on sam najwięcej od siebie

wymagał? Czyżby nie wiedzieli, że zawsze musiał być najlepszy, niezależnie od tego, jaką drogę dla siebie wybrał?

Stypendium Hathawaya łączyło się z ogromnym prestiżem. Na całym świecie mniej było stypendystów Hathawaya niż studentów na jednym roku w Harvard Business School. Czyż to nie powinno napawać ich dumą?

- Przyjąłem to stypendium i pojedę do Anglii - powiedział w końcu Rob z wysiłkiem, jakby coś przygniatało mu piersi i dusiło za gradło.

- Jutro wyjeżdżam.

- Nie ośmielisz się - szepnęła Sheila.

- Bo co? - zapytał Rob, idąc do drzwi. Musiał jak najszybciej wyjść, nim zamkną go w więzieniu pełnym luksusu i rozpaczy.

- Wydziedziczymy cię - stwierdził Jeffrey.

- Naprawdę? Zrobilibyście to? - Kiedy Rob spoglądał na rodziców, zrozumiał coś jeszcze i to było najbardziej bolesne. Byli jego rodzicami, a nie znał ich wcale. A oni nie znali jego. Wszystkie te uśmiechy dumy i zadowolenia, jakimi go przez lata obdarzali, były uśmiechami dumy i zadowolenia z siebie, z tego co stworzyli.

- Dlaczego nie?

- Proszę bardzo! Róbcie co chcecie, a ja zrobię, co muszę! - zawołał Rob i szybko wyszedł z pokoju.

Musiał jak najprędzej wyjechać. Pobiegł do swego pokoju po paszport. Niczego więcej nie potrzebował. Ubrania mógł sobie kupić następnego dnia w Nowym Jorku albo po przylocie do Londynu.

Musiał jednak pożegnać się z Sarą.

Siedziała w ogrodzie różanym obok Petera, który czytał jej coś z ciemnoniebieskiego notesu.

- Rob! Co się stało?

- Powiedzieli, że mnie wydziedziczą - szepnął z niedowierzaniem w głosie.

- To niemożliwe. Tak tylko straszą. Boją się.

- A ja nie? - Do tej pory Rob czuł jedynie podekscytowanie; teraz jednak odrzucił cumę i płynął tam, gdzie prowadził prąd, w kierunku odległego horyzontu.

Sara wstała i mocno objęła swego dużego, silnego brata szczupłymi ramionami.

- Nic im nie będzie. Tobie też nie. Nie zrezygnowałeś z wyjazdu, prawda?

- Nie.

- To dobrze - powiedziała z uśmiechem. - I nie martw się, że cię wydziedziczą. Chyba że już roztrwaliłeś swoje dwanaście milionów.



Oboje dostali na osiemnaste urodziny po dwanaście milionów dolarów. Zwykle takie fundusze powiernicze ustanawiane przez dziadków dla wnuków określały wiek dziedziczenia na dwadzieścia jeden albo nawet dwadzieścia pięć lat, jednakże z powodu choroby Sary otrzymali pieniądze po dziadkach w wieku lat osiemnastu. Nikt nie wiedział, jak długo Sara będzie żyła, ale właśnie w lutym tego roku skończyła osiemnaście lat i dostała pieniądze. Rob naturaJnie dostał swoje cztery lata wcześniej,

- Nie, nawet ich nie ruszyłem.
- Jeśli będziesz potrzebował więcej, zgłoś się do mnie.
- Dziękuję. - Rob pocałował ją w policzek i lekko uściśnął. - Jak tylko znajdę jakieś mieszkanie, przyślę ci adres.
- Dobrze. Rob?
- Co, skarbie?
- Czekam na portrety!
- Ja też.

Następnego dnia Rob poleciał do Londynu. Unosząc się nad oceanem, wyrzucił z pamięci nieprzyjemną rozmowę z rodzicami i zastąpił ją wyobrażaniem sobie tego, co go czeka. Jednakże przez cały czas nie dawała mu spokoju jedna myśl: czego chciał od Sary Peter Dalton?

## 10

*Oxford,  
grudzień 1976 roku*

**R**ob pisał do Sary długie i entuzjastyczne listy. Był zachwycony Oksfordem, studiami, Anglią i pisaniem artykułów do „The London Times”. Podjął właściwą decyzję.

Sara w odpowiedzi przysyłała równie entuzjastyczne listy, pisząc więcej o sztukach teatralnych i poezji niż o ludziach. W okolicach Święta Dziękczynienia listy Roba pełne były zawiłych interpretacji *Finnegan s Wake*, podziwu dla talentu Szekspira, radości z prostoty Roberta Frostta i krytycznych uwag na temat sztuk, które wystawiano w Londynie i w Nowym Jorku.

Sara spędzała mnóstwo czasu w Nowym Jorku. Rob niepokoił się tym trochę, ale pisała tak interesująco i z takim zadowoleniem, że tłumiał w sobie obawy.

Na Boże Narodzenie Rob prawie zapomniał o wściekłości, która wypędziła go z domu. Podążał prostą drogą do kariery dziennikarskiej. Sara wiedziała, że brat jest szczęśliwy. Rob chciał, aby rodzice także się o tym dowiedzieli.

Być może spowodowała to świąteczna atmosfera Londynu, kołędniczy przed Harrodsem, oczarowane bajkami dzieciaki o zaróżowionych policzkach i zapachy choinek i wawrzynu. A może nostalgiczne wspomnienia bożonarodzeniowych zakupów w Bostonie i w Nowym Jorku, poszukiwania odpowiednich prezentów dla Sary. Tak czy inaczej Rob postanowił zadzwonić do rodziców.

Boże Narodzenie w domu Adamsonów zawsze było czasem radości i szczęścia. Oczywiście była to także pora zwycięskiego powrotu Roba ze szkoły, jako zdobywcy kolejnych laurów w Exeter i na Harvardzie.

Nawet gdyby rodzice nie chcieli z nim rozmawiać, Rob marzył o rozmowie z Sarą. Ostatnio nie dostawał od niej listów, co przypisywał lekturom i egzaminom semestralnym na uniwersytecie. Ostatni list, jaki do niego dotarł, nosił datę 10 grudnia.

- Mama?

- Rob! Jeffrey, Rob dzwoni! Wracasz do domu? - pytała gwałtownie i z niepokojem matka. Zupełnie to nie pasowało do opanowanej Sheili Adamson.

- Nie, mamo, jeszcze nie.

Jeffrey podniósł słuchawkę drugiego aparatu w bibliotece i zadał to samo pytanie.

Kiedy Rob powtórzył, że nie wraca, zapanowała długa chwila ciszy.

- Chciałem wam złożyć życzenia. Czy jest Sara?

- Sara odeszła - szepnęła Sheila.

Odeszła? Serce Roba zatrzymało się na moment. Tylko Sara znała jego adres w Oksfordzie. Jeśli coś jej się stało...

- Odeszła? - powtórzył, myśląc gorączkowo, że tak pięknie wyglądała latem w różanym ogrodzie, że od dwóch lat nie była w szpitalu.

- Sara już tu nie mieszka. - Zabrakło słówka „też”, choć wisiało w powietrzu i dało się słyszeć po drugiej stronie Atlantyku.

Rob odczuł ulgę, radość i zaniepokojenie.

- Dokąd się wyprowadziła?

- Nie wiesz? - spytał sarkastycznie Jeffrey. Jeffrey i Sheila byli święcie przekonani, że ich dzieci spiskowały za ich plecami.

- Nie.

- Sara mieszka w Nowym Jorku, w dzielnicy Greenwich Village, ze swoim mężem.

- Z mężem?

- Z Peterem Daltonem, synem ogrodnika. Pobrali się w tajemnicy dwa tygodnie temu.

- Nie mogliście ich powstrzymać? - spytał Rob, chwilowo połączony z rodzicami wspólną troską o Sarę, zapominając, że dzwoni do nich z Londynu, dokąd wyjechał bez ich zgody.

Przez jeden okropny moment zastanawiał się, czy mógłby powstrzymać Sarę przed wyjściem za męża. Gdyby tylko został na lato w domu! Gdyby nie zaślepiął go egoizm!

Powinien zobaczyć to już wtedy - w „ogrodzie Petera”. Sara tak miękko wymawiała imię ogrodnika i wpatrywała się w niego zakochanymi oczyma.

Tego letniego dnia Rob myślał jedynie o swojej desperackiej ucieczce, ale obrazy, które zapadły mu w pamięć, teraz wróciły. Peter Dalton miał w sobie coś dzikiego i podstępного, ciemne gniewne oczy, skrywaną seksualność.

Gdyby tylko Rob został tego lata w domu! Mógłby ostrożnie i delikatnie wytłumaczyć siostrze, że Peter kocha nie ją, lecz jej pieniądze, te dwanaście milionów dolarów, o których tak beztrzesko przy nim rozmawiali.

Rob zawiódł Sarę. Powinien był wiedzieć... przewidzieć... mimo wszystko zostać w domu... ochronić siostrę.

- Nie mogliśmy jej zatrzymać - powiedział z ciężkim westchnieniem Jeffrey.

- Macie jej numer telefonu? - Może jeszcze nie było za późno.

- Tak.

Sheila odczytała mu numer Sary, a potem zaczęła niespokojnie:

- Rob...

- Słucham?

Sheila westchnęła cicho. To nie były sprawy, o których powinno się dyskutować z synem, ale sytuacja wymagała poważnych rozwiązań.

- Sara nigdy nie powinna mieć dzieci, Rob. Cięża jest dla niej zbyt niebezpieczna.

- Czy Sara o tym wie?

- Och, tak.

Lekarze od samego początku wspominali o tym jej rodzicom oraz poinformowali samą dziewczynkę, gdy skończyła czternaście lat. Większość kobiet chorych na cukrzycę mogła mieć dzieci pod uważną kontrolą lekarską, ale choroba Sary w każdej chwili groziła poważnymi komplikacjami. Fizjologiczny stres spowodowany ciężką ciążą mógł ją zabić.

Czternastoletnia dziewczynka słuchała grzecznie wyjaśnień lekarzy, choć wówczas niewiele z nich rozumiała. Teraz jednak została żoną człowieka, o którym nic nie wiedzieli, poza tym, że ukrywał swoje uczucie, a potem ukradł im ukochane dziecko.

- Sara wie, ale nie mam pojęcia, czy mu powiedziała.
- Porozmawiam z nią o tym, mamo - powiedział zakłopotany Rob.
- Dziękuję.

- Przykro mi - powiedział na koniec Rob rodzicom. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien popędzić na lotnisko, złapać pierwszy samolot do Nowego Jorku i zapisać się do Harvard Business School. Nie, nie mógł tego zrobić, chyba że... Gdyby wiedział, że i Sara wróci wówczas do domu... - Przykro mi - powtórzył.

Przez następne pięć minut, przed wykręceniem numeru do Nowego Jorku, chodził nerwowo po mieszkaniu. Usiłował wymyślić, w jaki sposób powinien przekonać Sarę, aby natychmiast porzuciła Petera.

Mógł jej wytłumaczyć, że nie jest jeszcze za późno, że jest młoda... A gdyby mu odpowiedziała, że nigdy nie będzie stara?

Wreszcie, nie bardzo wiedząc, co powie, wziął głęboki oddech i wykręcił numer.

Peter-ogrodnik, Peter-łowca fortuny, Peter z prowokującym wzrokiem, Peter, którego Rob nienawidził tak bardzo, że aż sam się tego bał, odebrał telefon. Rob przedstawił się i poprosił Sarę.

- Rob! Wesołych świąt!

Rob przygotował się na to, że w jej głosie usłyszy żal, smutek i rozpacz, a tymczasem słyszał radość, szczęście i miłość.

- Wesołych świąt, Saro. Coś ty, do cholery, zrobiła?
- Zbuntowałam się jeszcze bardziej niż ty - odparła ze śmiechem.
- Chyba tak. - Rob też się lekko roześmiał, bo dobry nastrój Sary był zaraźliwy. - Chociaż to mnie pierwszego wydziedziczyli.

- Jestem pewna, że niczego takiego nie zrobili. Natomiast z pewnością wydziedziczyli mnie.

- Saro... - zaczął poważnie.

- Rob... - odpowiedziała równie poważnym tonem, po czym szybko dodała: - Tylko mnie nie pouczaj. Przepraszam, że nic ci nie powiedziałam. O mało tego nie zrobiłam w dniu, w którym wyjechałeś.

- Już wtedy wiedziałas?
- Tak. I chciałam ci powiedzieć. Chciałam, żebyś zrozumiał, ale...
- Ale co? - Na pewno wiedziała, że starałby się wybić jej to z głowy.
- Spoglądałeś na Petera tak nieprzyjemnym wzrokiem...
- Nieprawda!

- Prawda! Kochamy się - stwierdziła miękko Sara, - Wzięliśmy ślub. Jesteśmy szczęśliwi.

- Cieszę się - odparł bez przekonania Rob. - Co robisz w Nowym Jorku?

- Peter pisze sztuki i reżyseruje. Jest genialny.

- Parę miesięcy temu był ogrodnikiem - mruknął pod nosem Rob, starając się nie myśleć w tej chwili o *Kochanku lady Chatterley*.

- Czy zawód ogrodnika to coś złego?

- Nie.

Chyba że się go wykorzystuje jako okazję, aby zbliżyć się do osiemnastoletniej dziewczyny, która dopiero co odziedziczyła dwanaście milionów dolarów. Dwanaście milionów dolarów z pewnością pomogło w karierze na Broadwayu.

- Dlaczego tak trudno wam zrozumieć, że Peter mnie kocha? - spytała Sara smutnym głosem. - Czy mnie nie można kochać?

- Och, Saro, skarbie, nie to miałem na myśli - zawołał szybko Rob. Serce ścisnęło mu się z poczucia winy. Zakładał, że Peter ożenił się z Sarą dla pieniędzy, ale w ten sposób sugerował, że nie można jej było kochać dla niej samej. - Wcale nie jest mi trudno w to uwierzyć. Po prostu jesteście przyzwyczajeni, aby się tobą opiekować.

- Teraz już nie musisz mnie chronić, zwłaszcza nie przed Peterem. On jest cudowny. Wiem, że go polubisz. Nie ożenił się ze mną dla pieniędzy. Na razie w ogóle ich nie ruszamy i wykorzystamy je tylko na opłacenie moich rachunków za leczenie. Mieszkamy w bardzo fajnym domu. Nie wrócę już na uniwersytet. Większość książek, wierszy i sztuk, o których ci pisałam, czytałam albo oglądałam razem z Peterem, a nie na uniwersytecie. Masz jeszcze jakieś pytania?

Rob postanowił zapytać o najważniejszą sprawę.

- Czy on wie o twojej cukrzycy?

- Oczywiście! Przed ślubem spotkaliśmy się z doktorem Williamsem, specjalistą, który opiekuje się mną w Nowym Jorku. Peter wie o wszystkim.

Rob zawahał się, nie chcąc sprawiać jej przykrości, a jednocześnie wiedząc, że musi to zrobić dla niej samej.

- Saro, czy Peter wie, że nie powinnaś mieć dzieci?

- Tak - odparła cicho i smutno, lecz bez gniewu. - Peter wie, że nie powinnam mieć dzieci. Rozumiem, że to matka ci powiedziała?

- Tak. Martwi się o ciebie. Oni bardzo za tobą tęsknią, Saro.

- Pamiętasz, jak łudziłeś się, że się ucieszą z twojego stypendium? Peter i ja podobnie się łudziliśmy, mieliśmy nadzieję, że ucieszą się

z naszego szczęścia, może nawet zechcą przyjechać na nasz ślub. Złudzenia! Najpierw chcieli przekupić Petera, a potem zażądali umowy przedślubnej.

- Jak stwierdziła kiedyś moja mądra siostra: „Bali się”.
- Jesteś bardzo łaskawy.
- Mamy święta Bożego Narodzenia, Saro. I mogę sobie na to pozwolić, bo jestem wolny.
- Ja też, ale na to jest o wiele za wcześnie.
- Myślałem, że pošlę rodzicom kartkę z życzeniami.
- ~ Nie krępuj się. Najlepiej londyńskie więzienie.
- Bardzo śmieszne. A propos kartki, to nie dostałem od ciebie odpowiedzi na mój ostatni list.
- Wiem. Czy może to być portret Petera? Czekam z nim od paru miesięcy.
- ~ Tak.

Peter Dalton urodził się w zimny, listopadowy wieczór, w skromnym domku w Danbury, w stanie Connecticut, dokładnie dwa lata przed narodzinami złotego dziedzica, Roberta Jeffreya Adamsona, we wspańskiej posiadłości w pobliskim Greenwich.

W czasie surowych i ostrych zim w jego domu panowało przenikliwe zimno, ale Peter nawet tego nie zauważał, gdyż otoczony był miłością rodziców.

Matka, Annę, uczyła go wagi słów; miękkiem głosem z cudownym angielskim akcentem czytała synowi swoje ulubione wiersze i sztuki: Szekspira, Brechta, Tennysona, O'Neilla, Williama, Longfellowa, Shawa. Z radością dzieliła się z inteligentnym i zdolnym synem swą miłością do literatury.

Dzięki wykształconej matce Peter poznał bogactwo języka. Od ojca, Josepha, nauczył się tajemnic kwiatów. Jako małe dziecko towarzyszył mu w pracy we wspańskich ogrodach w bogatych posiadłościach w Greenwich, pomagając mu sadzić cebulki w ciepłej, żyznej ziemi i słuchając ze zdumieniem, jak ojciec przepowiada losy tych małych cebulek. Joseph był człowiekiem małomównym i dlatego Peter traktował każde jego słowo z najwyższą uwagą. Joseph mówił łamaną angielszczyzną, a wyraźny akcent i głęboki głos przydawały jego obietnicom mistycznych znaczeń.

- Z tej cebulki - mówił Joseph, trzymając w dłoni cebulkę taką samą jak inne - wyrośnie kwiat jasnoniebieski jak letnie niebo.

Kwiaty zawsze wyrastały takie, jak obiecywał Joseph. Czasem Peter zastanawiał się, skąd ojciec zna sekrety kwiatów. Czyżby był czarownikiem jak Merlin? Lub Cyganem o magicznych zdolnościach?

Przez sześć lat Peter żył w świecie pięknych słów i pięknych kwiatów, w świecie ciepła, śmiechu i miłości. To, że Daltonowie byli biedni, nie miało znaczenia. Joseph tworzył ogrody - kolorowe, pachnące dzieła sztuki - dla bogatych mieszkańców Greenwich, ale sam zarabiał niewiele. Projektował zaledwie kilka ogrodów rocznie; był artystą, a sztuka wymagała czasu, cierpliwości i troski. Annę zamierzała zostać nauczycielką, kiedy Peter zacznie szkołę, na razie jednak spędzała z nim każdą chwilę. Daltonowie byli biedni i czasem bardzo marzli zimą, ale w ich domu panowały szczęście i miłość.

Kiedy Peter skończył sześć lat wszystko się zmieniło.

Annę zachorowała i zmarła nagle w środku nocy. Joseph zamilkł całkiem i mały domek, dotychczas pełen śmiechu i radości, stał się ciemny i duszny niczym trumna.

Peter obserwował zaskoczony milczenie i ból ojca i cierpiał w samotności z powodu śmierci matki. Właśnie wtedy, w wieku sześciu lat, zaczął pisać. Słowa wypływały jak łzy z biednego, samotnego serca.

Dwa miesiące po śmierci matki Petera obudził krzyk w ciemności. To ojciec po raz pierwszy od śmierci żony przerwał płaczem straszną ciszę. Ten płacz był ostateczną próbą wyzwolenia się z grożącego mu szaleństwa.

Peter objął ojca chudymi ramionkami i w zimnej ciemności wysłuchał ponurej historii jego życia.

Joseph Dalton musiał uciekać z domu i z ojczyzny, porzucając wszystko, co kochał, wyrzucony przez żołnierzy podczas najokropniejszej wojny wszech czasów. Joseph uciekał ze swą młodą, pierwszą żoną i prawie im się udało. Prawie, bo tę młodą, ukochaną kobietę, zamordowano na jego oczach. Kolejna ucieczka przywiodła go do Anglii, gdzie znalazł pracę w wiejskich ogrodach hrabstwa Kent, zmienił nazwisko i poznał nową miłość. Po wojnie oboje z Anną wyjechali do Ameryki i tu stworzyli wspólny, pełen miłości dom. Niestety, zły los zabrał Annę.

Sześćoletni Peter w milczeniu słuchał opowieści o cierpieniu i miłości ojca. Po tej nocy więzy między ojcem a synem jeszcze się zacieśniły. Każdy z nich był artystą, powodowanym milczącą namiętnością i wizją. Joseph oddał życie pachnącym, pastelowym ogrodom, które tak czule projektował, a Peter wyrażał to, co czuł słowami. Każdego roku Peter pomagał ojcu tworzyć kilka nowych ogrodów, tyle, żeby wystarczyło im na przeżycie zimy, a podczas długich zimowych wieczorów

Joseph z dumą czytał sztuki, opowiadania i wiersze, które tworzył jego utalentowany syn.

Peter otrzymał stypendium na uniwersytecie Yale, a po studiach przeniósł się do Nowego Jorku. Zamieszkał w Greenwich Village i często odwiedzał ojca w Danbury.

Półtora roku po tym, jak zamieszkał w Nowym Jorku, pół roku po tym, jak „Village Voice” zachwyciła się jego pierwszą jednoaktówką, u ojca stwierdzono gruźlicę. Po jakimś czasie okazało się także, że ma raka. Peter wrócił do Danbury, aby być z ojcem i pomóc mu w projektowaniu ogrodów, które stary ogrodnik obiecał stworzyć na wiosnę. Sheila Adamson chciała mieć za oknami biblioteki ogród różany. Peter i Sara zaprojektowali go wspólnie.

Joseph nigdy nie zobaczył tego ogrodu. Był już zbyt słaby, aby wychodzić z domu. Peter i Sara opowiadali mu o nim podczas długich godzin, jakie spędzali z nim przed śmiercią. Byli z nim, gdy umierał, z łagodnym uśmiechem na zniszczonej twarzy, z uśmiechem dla Petera i dla Sary.

Sara знаła historię życia Petera i jego ojca. W portrecie, który wysłała bratu, nie podała szczegółów, lecz samą kwintesencję charakterów ojca i syna, tak do siebie podobnych, dumnych, utalentowanych artystów, których wizje świata bywały czasami brutalnie weryfikowane przez okrutny los.

Sara zaczęła swój opis, tak jak Szekspir zaczął *Romea i Julię*: „Dwa domy, oba jednakie w godności...”

Kiedy Rob czytał portret nakreślony przez Sarę w swym mieszkaniu koło Oksfordu, znalazł między wierszami rzeczy, które bardziej go niepokoiły, niż uspokajały.

Domy Adamsonów i Daltonów były podobne w godności, dumie i sile, ale były także w stanie wojny. Utalentowany i wrażliwy syn dumnego, udęczonego ojca nosił w sobie niechęć do bogatych i uprzywilejowanych Adamsonów.

Rob martwił się, choć list Sary przepełniały miłość, radość i szczęście. Zakończyła dziesięciostronicową epistołę słowami:

*A gdybyś tego sam nie zauważył mój kochany, gdybyś tego nie zauważył, kiedy tak krzywo na niego spoglądałeś, to chcę Ci powiedzieć, że Peter Dalton jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znam (o rodzinie się nie mówi).*



Następnego dnia Rob dostał krótki list od Petera.

*Rob!*

*Gdyby Sara była moją siostrą, czułbym na pewno to samo, co ty. Uwierź mi, że wiem, jak jest nadzwyczajna i wspaniała, i że bardzo ją kocham. Obiecuję, że będę się nią opiekował. Będę ją zawsze kochał i dam jej wszystko, co mam.*

*Peter*

Rob spotkał ponownie Petera następnego lata, kiedy przyjechał do Stanów na długi weekend z okazji Święta Niepodległości. Chciał na nowo nawiązać stosunki z rodzicami i bliżej poznać Petera. Pragnął przekonać się, czy nieustanne zachwyty Sary nad jej życiem u boku Petera, które przesyłała w listach i przekazywała przez telefon, odpowiadały prawdzie.

Rob na tyle dobrze znał siostrę, iż widział, jak bardzo - mimo swej wrodzonej powściągliwości - jest zakochana i szczęśliwa. Trudniej byłoby mu cokolwiek powiedzieć o Peterze, którego nie znał, a który w obecności szwagra zachowywał się dość sztywno. Spostrzegł jednak, że Peter zawsze spoglądał miękko i czule na Sarę, tak samo jak tamtego dnia w ogrodzie różanym. Rob doszedł do wniosku - ponieważ w to wierzyła Sara i ponieważ on sam chciał w to uwierzyć - że Peter jest także bardzo zakochany.

Razem z Sarą byli w teatrze na dwóch jednoaktówkach Petera i Rob mógł się przekonać o niesłychanym talencie szwagra. Ponadto Rob był łącznikiem między Sarą a rodzicami, przekonując Sheilę i Jeffrey'a, iż ich córka jest szczęśliwa i że nic jej nie zagraża.

Sam jednak nie był wcale tego pewien i ósmego lipca wracał do Londynu z ciężkim sercem. Czy naprawdę jego siostrze nie groziło nic u boku milczącego, obcego mężczyzny, który zabierał ją na przejażdżki konne po Central Parku, na łyżwy w Rockefeller Center i na wycieczki statkiem po rzece? Mógł tylko się modlić i mieć nadzieję.

- Co to za hałas, Saro? - spytał Rob, kiedy zadzwonił do niej z życzeniami na jej dwudzieste pierwsze urodziny. W telefonie słyszał coś przypominającego szczekanie.

- To Bułeczka. Chyba telefon ją wystraszył.

- Kto jest Bułeczka?

- Wiem, że to śmieszne imię, ale pasuje do niej - powiedziała ze śmiechem Sara. - Chodź tu, skarbie, przywitaj się z wujem Robem.

- Saro?
- Bułeczka jest jasnozłotym szczeniakiem rasy cocker-spaniel. Teraz nagle się zawstydziła i zwinęła w kłębek na kolanach Petera.
- Saro...
- Nie ma żadnych powodów, abym nie mogła mieć psa, prawda? Rodzice zawsze mieli paranoiczne przekonanie o czyhających wszędzie zarazkach.
- Troszczyli się o ciebie.
- Wiem.
- Rozmawiałaś z nimi? - spytał Rob z nadzieją.
- Tak. Wykorzystałam twój pomysł i od czasu do czasu wysyłałam im pocztówkę. W końcu Statua Wolności przełamała lody. Symbol łatwy do odczytania, ale skuteczny. W zeszłym tygodniu zjadłam z nimi obiad. Myślę, że osiągnęliśmy jeśli nie rozejm, *to* przynajmniej zawieszenie broni.
- W moich stosunkach z nimi także zapanował rozejm. Wydaje mi się, że wszystko zmierza do traktatu pokojowego - dodał cicho Rob.
- To świetnie - stwierdziła z zadumą Sara. W jej przypadku do zawarcia pokoju było jeszcze bardzo daleko. Sheila i Jeffrey Daltonowie nadal hołubili nadzieję, że któregoś pięknego dnia Peter Dalton zniknie z ich życia, a Sara wróci do Greenwich. - Wysyłałam ci recenzje z *Karuzeli*. Ta sztuka cieszy się wielkim powodzeniem - dodała Sara z dumą w głosie.

Na dwudzieste pierwsze urodziny Sara dostała Bułeczkę. Na dwudzieste drugie urodziny pojechała do Rzymu.

Wysłała telegram do Roba, do jego biura w „The London Times”, gdzie pracował od ośmiu miesięcy, odkąd skończyło się stypendium.

Rzym. 'Moje urodziny. Bądź tam. Sara.

Rob uśmiechnął się, czytając telegram. Po chwili zmarszczył brwi, gdyż uświadomił sobie, że nie widział siostry od dwóch i pół roku. Czuł się z nią blisko związany częstymi listami i rozmowami telefonicznymi, ale teraz nie mógł się już doczekać, żeby ją zobaczyć. Miał jej coś ważnego do powiedzenia, coś, o czym chciał porozmawiać z Sarą i z Peterem.

Kiedy jednak Rob zjawił się w hotelu George Byron, zastał tylko Sarę.

Zezłościło go to. Jak Peter mógł puścić ją samą! Jak mógł pozwolić jej na tak daleką podróż? A jeśliby zachorowała? Jeśli samolot by się spóźnił i Sara nie mogła zjeść posiłku o określonej godzinie? Gdyby samolot ktoś porwał?

Jednakże Sara wyglądała tak zdrowo i szczęśliwie, że Rob nie mógł się dłużej złościć.

- Sama nie wiem, który z moich silnych i przystojnych mężczyzn jest większym nerwusem, ty czy Peter - powiedziała ze śmiechem. - Jak widzisz, nic mi nie jest.

- Przyznaję, że świetnie wyglądasz.

- Oczywiście Peter chciał ze mną przyjechać, ale jest w trakcie prób do *Jak wam się podoba*. I jeszcze chciałam ci powiedzieć, że na jesieni wystawiana Broadwayu jego sztukę *Wachta sztormowa*. To wspaniała sztuka. Peter będzie ją także reżyserował.

- Nie mogę się doczekać.

- Przyjedziesz?

- Na premierę. - Rob uśmiechnął się. - Wtedy będę już mieszkał w Nowym Jorku. Mam pewien plan, który chciałem z tobą omówić.

- Ja też muszę z tobą porozmawiać - powiedziała cicho Sara. Przyjechała sama, bo chciała z nim o coś porozmawiać.

Następny tydzień Sara i Rob spędzili na zwiedzaniu Rzymu - chodzili po wspaniałych placach z fontannami, gdzie wrzucone monety zapewniały spełnienie życzeń, byli na Schodach Hiszpańskich, w Kaplicy Sykstyńskiej, w ogrodach Borghese, na Via Condetti i w Watykanie. Sara wyglądała cudownie, ale szybko się męczyła.

- Za dużo świeżego powietrza - twierdziła.

Ucinała sobie drzemki w ciągu dnia, kolację jedli wcześniej, żeby mogła przed dziewiątą pójść do łóżka.

Rob opowiedział jej o swoim planie, nad którym rozmyślał już od dwóch lat.

- To będzie specjalne pismo pod tytułem „Portret”. Będziemy malować portrety słowami, tak jak zawsze to robiliśmy, choć będą także fotografie.

- To fantastyczny pomysł, Rob!

- Cieszę się, że tak uważasz.

Był szalenie podekscytowany swoim pismem, które dopiero miało się narodzić. Cały projekt na pewno wymagał ciężkiej pracy i był dość ryzykowny, jednakże jeśli Rob ustawiłby wysoko poprzeczkę, zatrudnił najlepszych dziennikarzy i najlepszych fotografów, jeśli wybrałby odpowiednich ludzi...

- Chcesz moje dwanaście milionów?  
- Nie! Są twoje i Petera.  
- My ich nie potrzebujemy. Jesteśmy szczęśliwi.  
- Nie chcę twoich pieniędzy, ale potrzebuję ciebie.  
- Mnie?  
- Miałem nadzieję, że zostaniesz jednym z autorów.  
- Naprawdę? - Sara spojrzała na niego szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami.

- Oczywiście. Wyobrażam sobie, że w samym Nowym Jorku będziemy mieli wiele okazji do wywiadów. Nie zamierzam wysłać cię gdzieś w świat. Jestem pewien, że Peterowi też by się to nie podobało.

- Nie.  
- Pomyślałem, że portret Petera, napisany przez ciebie, byłby dobrym początkiem.

Sara uśmiechnęła się z miłością do brata.

- Jestem pewna, że polubisz Petera, kiedy go bliżej poznasz. Wiem, że wciąż jesteś wobec niego sceptycznie nastawiony.

- Nie.  
- Tak. Chciałabym wiedzieć, że ty i Peter zawsze będziecie przyjaciółmi, niezależnie od tego, co się stanie - ciągnęła Sara rozmarzonym głosem.

- Saro...

Rob słyszał w jej głosie coś złowróżbnego, coś, co nie pasowało do jej szczęśliwego, zdrowego wyglądu. Miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy, jakby nigdy w życiu nie była chora i miała żyć wieki.

- Obiecuj mi, Rob.

- Obiecuję, Saro.

Obiecał, bo chciał jak najszybciej przerwać ten ponury nastrój. Dla Sary polubi Petera. Zostaną trójką dobrych przyjaciół. Razem podbijają Nowy Jork.

Rob złożył obietnicę bez wahania i w dobrej wierze. Nie mógł jej jednak dotrzymać.

Dwa miesiące później Sara nie żyła. Stało się to tak prędko, że nikt, oprócz Petera, nie zdążył się z nią zobaczyć. Od momentu, gdy Sara zaczęła krwawić do chwili, gdy zmarła w Columbia Presbyterian Medical Center minęła zaledwie godzina.

Doktor Williams, specjalista, który opiekował się Sarą w Nowym Jorku, zadzwonił do jej rodziców do Greenwich i do Roba w Londynie.

- Krwawienie, szok, zakażenie ogólne, uremia, niedomoga nerek - wyjaśnił.

- Dlaczego? Dlaczego? - pytali z niedowierzaniem.

Zdziwił się, że nie byli przygotowani, że Sara nic im nie powiedziała. Nie wiedzieli, że była w piątym miesiącu ciąży.

- Jak śmiałeś się tu pokazać? - syknął Rob na widok wychudzonej, bladej twarzy Petera Daltona, kiedy otworzył drzwi domu rodziców.

- Chciałem wyjaśnić - szepnął Peter.

- Wyjaśnić?! Wiem, jak kobiety zachodzą w ciążę i wiem, że mężczyzna, który kochałby Sarę, nigdy by na to nie pozwolił.

- Kochałem Sarę.

- Kochałeś? Sara nie żyje. Nigdy jej nie kochałeś. Zależało ci tylko na jej pieniądzach.

- Nie! Jak możesz tak mówić? Proszę cię, Rob, pozwól mi wyjaśnić.

- Wynoś się stąd!

Rob poczuł nagłe, że za moment zrobi Peterowi coś złego. Obawiając się własnej reakcji, zatrasnął mu drzwi przed nosem.

Dwa tygodnie po śmierci Sary Rob, Sheila i Jeffrey spotkali się z doktorem Williamsem. Koniecznie chcieli znaleźć jakieś wytłumaczenie tego, co nie mieściło im się w głowie.

- Sara mówiła mi, że przyszła do pana z Peterem przed ślubem i że Peter wiedział wszystko o jej chorobie, łącznie z niebezpieczeństwem ciąży.

- To prawda. Nie owijałem niczego w bawełnę.

- Czyli Peter nie mógł pana źle zrozumieć?

- Nie. Zrozumiał wszystko doskonale. Postanowił poddać się wasektomii. Powiedziałem mu, im obojgu, że powinni to jeszcze przemyśleć, ale Peter nalegał. Nim wyszli, załatwiłem mu wizytę u kolegi.

- Zabieg się nie udał?

Czy to właśnie Peter Dalton chciał mu wyjaśnić? Czy to wszystko było po prostu nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności?

- Nie. Sprawdziłem w zeszłym tygodniu. Zakładałem, że Peter poddał się wasektomii, ale tak się nie stało. Wizyta została odwołana trzy dni po naszej rozmowie.

- I nigdy go pan o to nie pytał?

- Zobaczyłem go dopiero tej nocy, kiedy umarła Sara. Zawsze przychodziła do mnie sama.

- Peter z nią nie przychodził? - szepnęła z niedowierzaniem Sheila. Sama towarzyszyła Sarze podczas każdej wizyty u lekarza, dopóki córka nie wyszła za mąż. Gdyby Peterowi na niej zależało, przychodziłby do lekarza razem z nią.

- Nie. Mówiłem Sarze, żeby go przyprowadziła. - Doktor Williams zmarszczył brwi. - W zeszłym roku stan jej zdrowia znacznie się pogorszył. Należało podjąć decyzję w sprawie hemodializy i...

- Ale Sara tak dobrze wyglądała! - przerwała mu Sheila. - Dwa miesiące temu, po powrocie z Rzymu, spędziła z nami kilka dni i wyglądała bardzo zdrowo.

Dlatego właśnie spotkała się ze mną w Rzymie - pomyślał Rob. Wiedziała, że jest w ciąży i jak wiele ryzykuje.

- Sara wyglądała świetnie - przyznał doktor Williams - ale była chora. Była umierająca - dodał, gdyż prawda czasem pomagała zrozumieć. - Nawet przy największych wysiłkach nie pożyłaby długo.

- Ale ciąża jeszcze bardziej jej zaszkodziła?

- Tak - powiedział ponuro doktor Williams.

- Czy Sara o tym wiedziała?

- Oczywiście. Staraliśmy się za wszelką cenę przekonać ją, aby usunęła ciążę.

- My?

- Ginekolog Sary i ja.

- A Peter? Gdzie był Peter?

- Nie wiem.

- Dlaczego pan do niego nie zadzwonił? Albo do nas?

- Nie mogłem tego zrobić bez pozwolenia Sary. Wiedzą państwo o tym.

Kto zajmował się Sarą? Kto się o nią troszczył? - zastanawiał się gorączkowo Rob. Bo przecież nie Peter Dalton, choć twierdził, że ją tak bardzo kochał.

Kiedy doktor Williams wyszedł, Rob, Sheila i Jeffrey pozostali w salonie, w zapadającym zmroku, pogrążeni w ponurych rozmyślaniach. Wreszcie Sheila przerwała ciszę.

- Zabił ją. To Peter ją zabił.

- Mamo... - Ale Rob też tak myślał.

- Sheila - szepnął cicho Jeffrey.

- Udawał, że miał operację, a kiedy zaszła w ciążę, twierdził prawdopodobnie, że zabieg się nie udał. Peter wiedział, że Sara nigdy by się

nie zgodziła na usunięcie ciąży - Sheila urwała. - I wiedział, co się wtedy stanie - szepnęła po chwili.

- Posłuchaj, Sheila, doktor Williams powiedział, że Sara była umierająca. Umarłaby, nawet gdyby nie zaszła w ciążę.

- Ale Peter chyba o tym nie wiedział! Sara wyglądała kwitnąco. Jakby miała żyć wiecznie - Sheila załkała cicho.

A może Peter dobrze wiedział - pomyślał ponuro Rob. Może nie chciał tracić pieniędzy na kosztowne leczenie. Tak czy inaczej...

- Peter zamordował Sarę - powiedziała Sheila, jakby kończąc na głos myśl syna. Równie dobrze mógł ją zastrzelić.

Sheila Adamson wierzyła, że śmierć Sary była zaplanowanym z zimną krwią morderstwem. Adwokaci Adamsonów cierpliwie wysłuchiwali jej argumentów, może nawet podzielali jej wiarę, jednakże wiedzieli, że nie mogą nic zrobić. Wszystko było przypuszczeniem, nie mieli żadnych dowodów. Gorąco radzili rodzicom Sary, aby nikomu nie wspominali o swej teorii. Jeśli Peter Dalton był takim człowiekiem, za którego go uważali i jeśli doszłyby do niego ich oskarżenia, mogłoby się to okazać bardzo niebezpieczne.

Rob i Jeffrey zastosowali się do rad adwokatów. Sheila zwierzyła się tylko swojej przyjaciółce, Victorii Elliott.

Adamsonowie przeżywali swą żałobę w pełnym godności milczeniu. Nienawiść drażyła jednak ich serca i powoli zabijała.

Rob przeniósł się do Nowego Jorku i założył zdumiewająco popularne pismo, które, zgodnie z planem, nazwał „Portret”. Był to jednak triumf pozbawiony radości. Pismo opisywało historie nadzwyczajnych, utalentowanych i twórczych kobiet i mężczyzn, takich jak Peter Dalton, który zrobił oszałamiającą karierę, tak jak przewidywała to Sara. Sam Peter rzadko udzielał się w popularnych miejscach, takich jak: Sardi's, Lutece, Le Cirque czy Brook Club.

Rob z bezsilną wściekłością śledził jego osiągnięcia, odpowiadając na pytanie: „Kiedy zamieścisz portret Daltona w »Portrecie«?” zinnym milczeniem.

Wreszcie, kiedy Rob nie mógł już wytrzymać w Nowym Jorku, przeniósł się do Los Angeles.

Nadal winił Petera za śmierć Sary, ale z czasem widział jego winę raczej w beztrosce człowieka zajętego własnymi sprawami niż w faktycznym morderstwie. Nie był w stanie uwierzyć, że ktoś mógłby zrobić coś takiego z zimną krwią. A już na pewno nie tak cudownej i łagodnej istocie jak Sara.

Przestępstwo Petera było bezmyślnym zaniedbaniem, ale nie zimnym, wykalkulowanym zabójstwem.

Peter powinien był chronić Sarę. Obiecał, że będzie to robił. Nie dotrzymał obietnicy i Sara umarła.

I za to Rob nienawidził Petera Daltona z całego serca.

## 11

*Los Angeles, Kalifornia,  
sierpień 1984 roku*

To nie jest moje miejsce, pomyślała Allison, wreszcie zdając sobie sprawę, co jest nie w porządku.

W „tym miejscu” zaczynały się zawody hippiczne letniej olimpiady. Wszędzie pełno było koni i zawodników. Allison dostała specjalną przepustkę od ekipy amerykańskiej, w której miała wielu przyjaciół. Doceeniła ten szczególny gest, a przyjaciele przyjęli ją niezwykle ciepło.

- Świetnie wyglądasz, Allison - słyszała co chwilę.

Ale oni nosili bryczesy do konnej jazdy, a ona lekka, bawełnianą sukienkę. Mieli szczupłe, silne ciała, ona tymczasem była tylko szczupła, lecz zbyt słaba. W świecie, który tak długo był jej światem, zajmowała jedynie miejsce widza.

Wydawało jej się nawet, że w wielu oczach widziała litość i współczucie. Litość i zdumienie, że jednak przysłała.

Te dziesięć sierpniowych dni miało być ostatnim rozdziałem historii o Allison Fitzgerald, mistrzyni jeździeckiej. Dziewczyna wierzyła, że dni spędzone na olimpiadzie będą doskonałym zakończeniem pewnego etapu życia. Teraz jednak doszła do wniosku, że się pomyliła. Jej historia skończyła się trzy lata wcześniej.

Pospiesznie opuściła padok, spodziewając się, że łzy napłyną jej do oczu. Tymczasem nic takiego się nie stało. Zamiast pustki odczuła prawdziwą ulgę. I dawno zapomniane uczucie determinacji i zadowolenia. To byli starzy przyjaciele. Zawsze towarzyszyli Allison w stajni, a w tym momencie znów się przy niej znaleźli i nie opuścili jej, gdy jechała zakorkowanymi drogami do Beverly Hills. Parkowała samochód na zapleczu Elegancji z błyszczącymi oczyma i z uśmiechem na ustach.

- Allison!



- Witaj, Claire. Zgłaszam się do pracy.  
- Dzisiaj? Olimpiada właśnie się zaczyna.  
- Dzisiaj.  
- Fantastycznie. Tylko nie przygotowałam ci jeszcze miejsca do pracy. Zamówiłam ścianki działowe, ale jeszcze nie przyszły. Chcę oddzielić to miejsce tutaj.

Claire przeszła między kolorowymi próbkami dywanów, wykładzin, tapet i materiałów dekoracyjnych, które stale leżały na podłodze butiku. Elegancja była miejscem pracy, bez pretensji do wykwintu i przepychu. „Biuro” AUison miało być małą przestrzenią, oddzieloną od reszty sklepu skromnym przepierzeniem.

- Spójrz. - Z małego pudełka stojącego na podłodze Claire wyciągnęła kremową wizytówkę. Złotymi literami, nad nazwą, adresem i numerem telefonu Elegancji wypisane było jej imię i nazwisko. - Dowód, że to jest twoje miejsce.

- Wygląda doskonale - pochwaliła Allison. - Miejsce pracy nie jest tak strasznie ważne, jak sama praca. Chciałabym zacząć działać - dodała poważnie.

- Proszę bardzo. - Claire spojrzała na zegarek. - Możesz zacząć działać już za piętnaście minut.

- Naprawdę?

- Tak. To od samego początku był twój projekt, a ja tylko chwilowo cię zastępowałam.

- Co to jest?

Claire uśmiechnęła się chytrze.

- Bellemeade.

- Och!

Bellemeade był punktem orientacyjnym w Bel Air, ślicznym wiejskim dworkiem w stylu francuskim, zbudowanym pod koniec lat trzydziestych przez producenta filmowego, Francois Revela, dla jego ukochanej, słynnej Celeste. Bellemeade był, jak na Bel Air, domem niewielkim i romantycznym. Czarującym gniazdkiem miłości z widokiem na oszałamiające zachody słońca nad szafirowym Pacyfikiem.

' - Niedawno Steve Gannon kupił Bellemeade. Jest prezesem Studia w Brentwood i moim bliskim przyjacielem. Traktuje tę posiadłość jako inwestycję, której cena na pewno pójdzie w górę, a tymczasem będzie jej używał importowanym talentom, uzyskując odpis podatkowy.

- Jakim importowanym talentom?

- Aktorom, aktorkom, reżyserom, którzy muszą gdzieś mieszkać, kiedy kręcą tutaj filmy, piszą scenariusze albo odbierają Oscary. Elegancki

dom w Bel Air to coś znacznie lepszego niż najelegantszy nawet apartament w hotelu Beverly Hills.

- Pan Gannon chce, abyśmy urządzili Bellemeade?

- Tak, a poza tym na pewno powie ci, żebyś mówiła do niego Steve. To wspaniałe zadanie. Dom jest solidny, ale wymaga sporo zachodu. Ostatnio dekorowano go gdzieś w połowie lat pięćdziesiątych, ale elegancki lifting i gustowny makijaż zrobią z niego cacko. - Claire uśmiechnęła się. - Masz pole do popisu, moja droga.

- Ja?

- Steve daje ci bardzo ładny budżet, bliski siedmiocyfrowej sumie, o czym porozmawiamy później, i całkowicie wolną rękę. Chyba że ten Peter Dalton zechce się wtrącić.

- Peter Dalton?

- Jest pierwszym importowanym talentem, który zamieszka w Bellemeade. To ten, który napisał *Miłość* i przyjeżdża tu na zimę, aby wyreżyserować film. Jestem pewna, że Vanessa Gold ci o tym mówiła, jeśli ostatnio z nią rozmawiałaś.

Allison skinęła głową. Widziała Vanessę na przyjęciu powitalnym dla rodziców z okazji ich powrotu z Argentyny i Vanessa rozplątywała się nad „niesamowitym” scenariuszem i jego „niewiarygodnie utalentowanym” autorem.

- Dalton ma przyjechać pierwszego grudnia, będziesz więc miała masę roboty.

- I dobrze. Co się dzieje dzisiaj?

- Dalton jest w Los Angeles, ponieważ w tym tygodniu wybierają obsadę. Steve ma go tu przywieźć po obejrzeniu Bellemeade, żeby nam, a raczej tobie, przekazał swoje ewentualne uwagi. - Claire mrugnęła do Allison. - Steve wie, że są rzeczy, których nie zrobimy, ale sądzi, że Peter Dalton ma raczej konwencjonalny gust. O, właśnie są.

Claire poszła przodem w stronę wejścia.

Steve Gannon wyglądał jak producent filmowy: bogaty, silny, energiczny. Allison podświadomie dobrze się czuła w towarzystwie takich mężczyzn, gdyż przypominali jej ojca - człowieka bogatego, silnego, energicznego i kochającego. Uśmiechnęła się do Steve'a, kiedy Claire go przedstawiała.

Nadszedł czas, aby poznać Petera Daltona.

- Allison - przedstawiła się, spoglądając w ciemnobrązowe oczy z długimi rzęsami.

- Peter.

- Cześć. - Allison uśmiechnęła się i Peter odwzajemnił uśmiech, choć w ciemnych oczach widziała smutek.

Nie, to raczej niemożliwe - pomyślała. Ten przystojny mężczyzna jest przecież pisarzem, który daje światu dzieło o miłości ze szczęśliwym zakończeniem. Nie może być smutny.

- Allison będzie urządzać Bellemeade - wyjaśniła Claire. - Czy miał pan okazję zobaczyć dom?

- Właśnie stamtąd wracamy - odparł Steve. - Pokazałem Peterowi Bel Air, klub i uniwersytet.

- Czy ma pan jakieś pomysły dekoratorskie, Peter? - spytała Allison.

- Nie - powiedział Peter. - Jestem pewien, że doskonale pani wszystko urządzi - dodał po chwili.

- Mam nadzieję.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Claire mruknęła coś o talencie Allison, Steve stwierdził coś podobnego o Peterze. Allison i Peter uśmiechnęli się do siebie z zażenowaniem, a Steve oznajmił, że muszą jechać na spotkanie w związku z obsadą filmu.

- Peter mógłby być odrobinę bardziej entuzjastyczny - zauważyła zgryźliwie Claire, kiedy Steve i Peter wyszli. - To fakt, że wnętrza są teraz dość ponure, ale przecież wie, że wszystko zostanie odnowione, a miejsce jest prześliczne.

- Jestem pewna, że myśli głównie o filmie - powiedziała Allison.

- Steve też, a mimo to zachowuje się uprzejmie, prawda? Wyobrażam sobie, że Peter Dalton raczej zastanawia się, po co opuszcza swój apartament na Piątej Alei i posiadłość w Hamptons, i przenosi się na cztery miesiące do zdeklasowanego Bel Air w zdeklasowanej Kalifornii. Gdyby to Peter, a nie Steve, był naszym klientem, zasugerowałabym temu aroganckiemu pisarzowi, żeby poszukał sobie innego dekoratora.

- Mnie nie wydał się arogancki - zaprotestowała cicho Allison. Na niej zrobił wrażenie człowieka smutnego i samotnego.

- Nie? W każdym razie jest jakiś wyniosły. No, ale tak czy inaczej, Bellemeade to dla ciebie życiowa szansa, Allison. Szkoda tylko, że musisz się spieszyć, zwłaszcza że wcale nie jestem pewna, czy Peter Dalton potrafi docenić twoją pracę. Zastanawiam się, czy powinnam raczej zadzwonić do Steve'a i powiedzieć mu, że pierwszy grudnia to dla nas termin niemożliwy do dotrzymania i żeby zainstalował Daltona w hotelu Beverly Hills.

- Nie mam nic przeciwko pierwszemu grudnia, Claire.

- Jest jeszcze pies.

- Jaki pies?

- Dalton przyjeżdża z psem. Dlatego zależy mu na domu, a nie na hotelu. Prawdopodobnie ma jakiegoś przerasowanego dobermana.

- Claire... - zaczęła Allison i urwała.

Chciała powiedzieć, że to miło ze strony Petera Daltona, iż przywozi ze sobą psa. Że jej wydaje się smutnym i samotnym człowiekiem, a nie aroganckim i wyniosłym pisarzem. Choć z drugiej strony ktoś „niewiarygodnie utalentowany” powinien być raczej arogancki i wyniosły, a nie smutny i samotny.

- Czy masz klucze do Bellemeade? - spytała. - Chciałabym od razu tam pojechać i się rozejrzeć.

- Mam klucze i znam kod alarmowy, ale nie zdążysz się tam wybrać przed następnym spotkaniem.

- Mam jeszcze jakieś spotkanie? Claire, podobno dziś jestem na olimpiadzie.

- Wiem. Widzisz, jak się wszystko świetnie układa.

- Jeśli jakimś cudem uda mi się skończyć Bellemeade na pierwszego grudnia, to muszę tam spędzać cały czas.

- Wiem. Nie denerwuj się. Twój następny klient chce, abyś zaczęła dla niego pracować drugiego grudnia.

- Kto jest tym klientem?

- Nazywa się Roger Towne. Jest właścicielem sieci hoteli Chateau. Na pewno o nich słyszałaś - małe luksusowe hotele na całym świecie, bardzo eleganckie i ekskluzywne. Najbardziej znany jest Chateau w St. Moritz, ale być może prześcignie go Chateau w Bel Air, który, miejmy nadzieję, będziemy urządzić.

- Od czego to zależy?

- Od tego, czy Rogerowi Townemu spodoba się twoja praca. Mieszka w San Francisco i przyleciał do Los Angeles na otwarcie olimpiady. Pokazałam mu wtedy zdjęcia twoich wnętrz, dom Doheny'ów, bibliotekę Marchów, dom Fairchildów oraz umówiłam się, że skontaktuje się z tobą, kiedy przyleci tu następnym razem.

- Dlaczego akurat ja?

- Ktoś mu ciebie polecił.

- Kto? - To musiał być Dan. Dan mieszkał w Hillsborough, niedaleko San Francisco.

- Rob Adamson - powiedziała Claire, prowadząc Allison do swego biura. - Roger przyjdzie za dziesięć minut. Skorzystaj z mojego biurka. Teczka ze zdjęciami leży na biurku.

Czekając na Rogera Towne'a, Allison myślała o Robie Adamsonie. Przed ślubem Meg w ogóle go nie znała, a teraz spotykała go co chwilą.

Przypomniała sobie, że kiedy była dzieckiem i nauczyła się jakiegoś nowego słowa - „azyl”, „indygo”, „Serbia”, „rekwiem” - nagle wszyscy zaczynali go używać. Zawsze się zastanawiała, czy to słowo istniało zawsze, a ona po prostu nie zwróciła na nie uwagi, czy też był to nadzwyczajny zbieg okoliczności. Teraz to samo działo się z Robem Adamsonem - był wszędzie. Kiedy Allison jadła obiad z Winter w klubie, na ścieżce prowadzącej z tarasu na korty zjawiał się Rob z Elainą. Kiedy oglądała ubrania u Chanel czy Gucciego, obok stał Rob. Pewnego poniedziałkowego wieczoru oboje stanęli w tej samej kolejce w sklepie w Santa Monica i oboje kupowali sześć puszek lemoniady bez cukru. Ostatniej soboty Allison spotkała go, gdy biegał na San Vincente.

Przy tych częstych przypadkowych spotkaniach wymieniali uśmiechy i przyjacielskie pozdrowienia, nie wymagające wielu słów. Tak samo było z Sarą. Niewiele słów, lecz mimo to ciepła przyjaźń.

A teraz Rob podsyłał jej ważnych klientów, opiekując się nią jak starszy brat. To było miłe.

- Halo? - Głęboki, przyjemny głos przerwał jej rozmyślenia.

Allison podniosła głowę i spojrzała w jasnoniebieskie oczy, zauważając także jasne włosy, szeroki uśmiech i pewność siebie człowieka, który ciężką pracą i marzeniami stworzył własne imperium. Ten sam pewny siebie wyraz twarzy miał Rob, Steve Gannon, ojciec Allison i Dan. Allison, uśmiechając się do nowego klienta, pomyślała, że tak samo powinien wyglądać Peter Dalton, który jednak zupełnie nie przypominał człowieka sukcesu. Peter zajmował się duszą i emocjami, przelewając na papier swoje uczucia i spostrzeżenia, ale w jego ciemnych oczach krył się smutek.

- Halo.

- Jestem Roger Towne.

- A ja Allison Fitzgerald.

- Ma pani wysokie notowania. - Roger usiadł w fotelu naprzeciwko Allison.

- Rob nie ma najmniejszego pojęcia o mojej pracy! - wykrzyknęła ze śmiechem.

- Adamson wcale nie mówił o pani pracy. Mówił o pani.

- Ach tak?

- Powiedział, że jeśli pani praca choć w drobnej części będzie taka jak pani wygląd i charakter, na pewno nie pożałuje.

Allison zaczerwieniła się, ale nie spuściła wzroku. Czuła się tak, jakby znała Rogera Towne'a od lat.

- Od jak dawna zna pan Roba? - spytała.
  - Mniej więcej od dwóch lat. Poznaliśmy się w moim hotelu w Nowym Orleanie. Dlaczego pani pyta?
- Allison spojrzała na niego szeroko otwartymi, błyszczącymi oczyma.
- Rob oszalał.

- Mamy Chateau w Bel Air - Allison poinformowała Claire półtorej godziny później.

- Oczarowałaś go. Słyszałam twój kokieteryjny śmiech.
  - Dobrze nam się rozmawiało. Jest bardzo miły i bardzo zabawny.
- Petera Daltona też uważała za bardzo miłego. Roger Towne i Peter Dalton, dwaj zupełnie różni mężczyźni. - Poza tym nie mogłabym nikogo oczarować tą szopą włosów.

Milczenie Claire potwierdziło domysły Allison. Już wcześniej przyszło jej to do głowy, gdy zobaczyła się w lustrze w biurze Claire. Dłgie, rozpuszczone, złotorude włosy dobrze wyglądały na padoku, lecz nie tu, u projektantki wewnątrz w Beverly Hills.

- Byłam dziś u Rinaldiego. Zwykle są zajęci od świtu do nocy, jednak stali mieszkańcy wyjechali z miasta z obawy przed tłumami kibiców i zakład jest pusty. Jestem pewna, że gdybyś zadzwoniła, przyjęliby się od razu.

- I mogłabym wyjść wcześniej?
- Myślę, że wykonałaś dzienną normę.

Allison zamierzała wprawdzie najpierw się dobrze zastanowić, ale... Czemu nie?

- Dobrze.
- Dam ci klucze do Bellemeade i instrukcje w sprawie alarmu, żebyś mogła zajrzeć tam jutro rano w drodze do pracy. Obejrzyj wszystko dokładnie, a kiedy się tu zjawisz, będziesz już miała własne biuro.

Allison zupełnie zapomniała o lokach! Włosy kręciły jej się, kiedy powoli odrastały po operacji, ale wtedy ledwo to zauważyła.

Teraz uśmiechnęła się, spoglądając na krótkie, sprężyste loki, które pojawiły się w miejsce długiej, gładkiej fryzury. Wesołe loki przynoszące nadzieję.

Nie jestem już młodą klaczką- pomyślała. Żegnaj ruda damo z Bel Air.

- Podoba się pani, prawda? - zapytała stylistka na widok uśmiechu Allison.

Allison zaintrygowało to, co działo się z jej włosami, ale wcale nie zastanawiała się, jak będzie wyglądała w nowej fryzurze.

— Znam kobiety, które marzą o takich kręconych włosach - mówiła fryzjerka. - Są miękkie, bardzo kobiece i niesłychanie eleganckie. I oczywiście przy pani oczach...

Allison spojrzała na powiększone nagle zielone oczy i otaczające złotorudą ramę - miała wrażenie *deja vu*: nie tak dawno patrzyła na swój piękny wizerunek, nie zdając sobie początkowo sprawy, że patrzy na siebie. Kiedy to było?

Ach tak. Piękna choć smutna fotografia, którą zrobiła jej Emily na ślubie Meg. To przypomniało jej coś, o czym zupełnie zapomniała. Emily miała przyjść do niej o wpół do ósmej wieczorem, żeby zrobić jej portret na rocznicę ślubu rodziców - portret szczęśliwej Allison po pierwszym dniu na olimpiadzie.

To, że zapomniała o umówionym spotkaniu przypomniało jej straszne miesiące po wypadku, kiedy nie pamiętała niczego. Trochę się przestraszyła, lecz zaraz zdała sobie sprawę, że miała przecież za sobą dzień pełen wrażeń, a jednak sama przypominała sobie o Emily.

Uśmiechnęła się i zastąpiła zmartwienia z przeszłości planami na przyszłość. Najważniejszą sprawą było oczywiście Bellemeade. Potem przyjdzie Chateau, a praca z Rogerem Townem zapowiadała się zabawnie i interesująco.

A Bellemeade? Też będzie zabawnie? Nawet jeśli nie, to projekt był niesłychanie interesujący.

Oczywiście zaprojektuje wnętrza w stylu francuskim, lekkie, wesołe, z dużą ilością kwiatów, z cudownymi tapetami i zasłonami od Charlesa Barone'a, z pastelowymi obiciami mebli z jasnego drewna i kryształami Lalique. Może Emily znajdzie u siebie jakieś ładne zdjęcia róż, bżów lub polnych kwiatów.

Chciałabym, aby ten dom był bardzo piękny i bardzo szczęśliwy - pomyślała Allison. - Bardzo piękny i bardzo szczęśliwy dla Petera... Dla smutnego, samotnego i miłego Petera Daltona.

## 12

restauracji Dynastia podają doskonałe jedzenie - poinformował Petera Steve, kiedy zatrzymał samochód przy Hilgard Avenue,

przed hotelem Westwood Marquis. - Przypuszczam, że możesz je zamówić do pokoju. Jesteś pewien, że nie chcesz towarzystwa?

- Nie, dziękuję, Steve.
- Dobrze. Przyjadę po ciebie jutro o siódmej.
- Świetnie. Do widzenia.

Steve, jadąc do domu przy Mountain Drive w Beverly Hills, po raz kolejny zastanawiał się, czy nie zrobił kolosalnego błędu, przystępując do produkcji *Miłości*.

Wszystko w tym projekcie było inne niż zwykle, poczynając od nie-małych ustępstw, jakie poczynił dla tego bardzo poważnego i spokojnego Petera Daltona.

Bardzo poważny, spokojny i zdecydowany pisarz wiedział dokładnie, czego chce, a właściwie czego żąda, i Steve zgodził się na wszystko. Peter chciał sam decydować o obsadzie głównych ról, a zwłaszcza roli Julii. Żądał zastrzeżenia na piśmie, że nie będzie musiał udzielać wywiadów ani osobiście promować filmu. Chciał sam decydować o ostatecznym kształcie filmu, z prawem do zablokowania jego rozpowszechniania, gdyby nie był zadowolony z końcowego efektu.

Steve poszedł na te wszystkie niewiarygodne ustępstwa, ponieważ *Miłość* była najlepszym scenariuszem, jaki kiedykolwiek czytał. Nim zgodził się na żądania Petera, zasięgnął informacji na jego temat, pomijając to, co już wiedział: trzy nagrody Tony, nagroda Pulitzera i sukcesy na Broadwayu. Rozmawiał z aktorkami i aktorami, z którymi Peter pracował, zarówno tymi znanymi, jak i nieznanymi, oraz z producentami. I był pewien, że dobrze wybrał.

Peter Dalton był najlepszy. I aktorzy, i producenci nie kryli swego podziwu i szacunku. Peter miał mnóstwo energii i nigdy się nie męczył. Oczywiście był perfekcjonistą, ale potrafił także wydobywać z innych, to, co najlepsze. Zawsze był spokojny i poważny, nigdy się nie denerwował.

Kobiety i mężczyźni, z którymi Peter pracował na Broadwayu, uśmiechali się ciepło, kiedy o nim mówili, ale nie były to uśmiechy bliskich przyjaciół. Nikt nie wiedział nic o jego prywatnym życiu, poza tym, że kiedy nie przebywał akurat w teatrze, to musiał gdzieś pisać, ponieważ mimo ciężkiej pracy reżyserskiej regularnie wydawał nowe sztuki.

Był zamkniętym w sobie geniuszem i człowiekiem, który doskonale wiedział, czego chce. Nawet na ten krótki pobyt w celu skompletowania obsady zażyczył sobie hotelu niedaleko miasteczka uniwersyteckiego, a nie zwyczajowego apartamentu w hotelu Beverly Hills.



W *Miłości* wszystko będzie inaczej - pomyślał Steve, skręcając do domu. - Mam nadzieję, że okaże się warta zachodu.

Peter nalał sobie szklanekę bourbona z pełnej karafki w swoim pokoju w hotelu Westwood Marquis i wypił duży łyk. Po chwili poczuł w zmęczonej głowie działanie alkoholu, który rozluźnił go i wyzwolił wspomnienia.

Był bardzo zmęczony. Poprzedniej nocy prawie nie spał z powodu swych zwykłych koszmarów. Zazwyczaj spędzał takie ciemne, bezsenne noce na pisaniu, ale poprzedniej nocy czytał słowa, które cztery lata wcześniej napisał dla Sary, i na które od tamtej pory nie spojrział. Później, gdy świt rozjaśnił letnie niebo, błąkał się bezradnie po miasteczku uniwersyteckim, zastanawiając się, po co tu w ogóle przyjechał.

Aby dotrzymać obietnicy danej Sarze - przypomniał sobie.

Teraz westchnął, znów się napił i z niechęcią pomyślał o męczącym dniu, jaki spędził po bezsennej nocy.

Steve był bardzo grzeczny i miły, ale Peter nie chciał być traktowany jak król. Nie potrzebował przywilejów w Klubie Myśliwskim Bel Air. I z całą pewnością nie potrzebował takiego wspaniałego domu jak Bellemeade.

Skarcił się w duchu za to, że nie okazał większego podziwu i wdzięczności, lecz jego zmęczony umysł opanowały wspomnienia.

Jeśli Steve uważał brak entuzjazmu za niegrzeczność, przypuszczałnie złożył ją na karb artystycznego temperamentu Petera lub zwyczajne zmęczenie z powodu zmiany czasu. Steve miał tylko jedno zmartwienie - żeby Peter nakręcił film dziesięciolecia. Wszystko inne tak naprawdę się nie liczyło.

Steve'a nie obchodziło, czy Peterowi zależy na wstępie do klubu czy na mieszkaniu w Bellemeade, ale komuś jednak zależało. Peter zmrużył ciemne oczy i pomyślał, że to był jedyny moment z całego dnia, który mógłby przeżyć jeszcze raz.

Spotkanie w Elegancji. Projektantka, Allison, była szalenie miła, entuzjastyczna i wyraźnie zainteresowana urządzeniem Bellemeade tak, żeby mu się podobało. Jej koloryt przypominał Peterowi bogactwo jesieni - zgaszoną zielenią, oświetloną słońcem czerwienią, błyszczące złoto - a jej wesołe oczy i pełne wargi wiele obiecywały. Tymczasem zachowanie Petera spowodowało błysk niepewności w pięknych oczach.

Powinien okazać zainteresowanie i być grzeczniejszy. Teraz było mu przykro, ale to nie miało większego znaczenia. Nic nie miało znaczenia

- ani to, gdzie mieszkał, ani to, że rozczarował tę dziewczynę, ani to, że prawdopodobnie uważali go za aroganta.

Peter przyjechał do Los Angeles wyłącznie po to, aby dotrzymać obietnicy złożonej Sarze.

Złożył jej trzy obietnice. Jednej, tej właśnie, dotrzyma. Drugiej spróbuje dotrzymać jeszcze raz. Trzeciej nie spełni nigdy.

*Obietnice do spełnienia* - to był wers z ulubionego wiersza Sary autorstwa Roberta Frosta:

*Lasy są cudownie ciemne i głębokie  
Aleja mam obietnice do spełnienia  
I długą drogą przed sobą zanim pójdę spać.*

Takie właśnie było życie Petera od jej śmierci. Chciał spać, znaleźć cudowny ciemny las i zasnąć na zawsze. Ale najpierw musiał spełnić obietnice...

W życiu Petera zawsze były dziewczyny. Od chwili, gdy jego młode, męskie, zdrowe ciało zażądało kobiety, znajdował je bez najmniejszego trudu. W szkole średniej w Danbury spotykał dziewczyny podobne do siebie, z niewielkimi pieniędzmi, których rodzice pracowali dla bogatych i uprzywilejowanych mieszkańców Greenwich. Seks był darmową, cudowną, szaloną radością w życiu na ogół pozbawionym przyjemności. Później, w Yale, studiowało wiele dziewczyn, które miały *zostać* prawnikami, lekarzami, sędziami, a nawet liczyły na stanowisko prezydenta USA. Seks z inteligentnymi dziewczynami nie był już tak szalony ani tak swobodny.

Potem Peter przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie poznał dziewczyny, które były niezależne i pewne siebie. Nigdy nie znały kogoś takiego jak Peter. Kochały jego szaleństwa, ciemną i niespokojną część jego duszy, jakiej nie dawało się okiełznać. A przede wszystkim kochały namiętność - namiętność udręczonego poety - w jego zmysłowych, ciemnych oczach. Te dziewczyny usiłowały okiełznać współczesnego Heathcliffa, wiedząc, iż to niemożliwe, lecz uwielbiając tę ekscytującą, prowokacyjną grę.

W życiu Petera zawsze były dziewczyny, ale nigdy nie było miłości.

Potem Joseph zachorował i Peter wrócił do Connecticut, ponieważ ojciec obiecał Sheili Adamson różany ogród. Tam spotkał Sarę i się zakochał. Ani Peter, ani Sara nie spodziewali się w swoim życiu miło-

ści. Tymczasem zakochali się w sobie z całą młodzieńczą radością i zaufaniem.

- Jestem chora na cukrzycę - powiedziała Sara Peterowi w miesiąc po tym, jak się poznali, w dwa tygodnie po tym, jak po raz pierwszy wyznali sobie miłość.

- Co to znaczy? - spytał delikatnie Peter. Jego oczy tymczasem mówiły: „No i co z tego?”.

Sara wytłumaczyła Peterowi, co jej groziło i dlaczego musiała żyć w szklanej klatce, niczym nieustannie obserwowany okaz. I co to miało oznaczać dla nich: zapewne nie będzie długo żyła i nie będzie mogła mieć dzieci.

Peter słuchał, walcząc ze łzami i przysięgając w duchu, że nigdy nie zamknie Sary w klatce. Odczuwał gniew i pogardę w stosunku do jej rodziny, której i tak nigdy nie lubił za jej bogactwo.

Jednak jeszcze przed ślubem Peter zrozumiał, jak trudno mu będzie dotrzymać obietnic. Chciał chronić Sarę, chciał nad nią czuwać i troszczyć się o nią, ale obiecał jej wolność.

- Nie chcę, żebyś miał wasektomię, Peter.

- Aleja tego chcę, Saro.

- Pomyśl tylko, co się stanie, jak wynajdą skuteczne lekarstwo na cukrzycę. - Ciemnoniebieskie oczy Sary błyszczały nadzieją i miłością.

- Dobrze - szepnął, mocno przytulając ją do siebie. Zamrugał oczyma, aby powstrzymać łzy i zastanawiał się, czy Sara liczy na lekarstwo dla siebie, czy też chciałaby, aby on mógł mieć dzieci, kiedyś...

Sara wysunęła się z jego objęć i spojrzała na niego poważnym wzrokiem.

- Nigdy nie miałam kontroli nad moim życiem. Pozwól, abym teraz wzięła na siebie tę odpowiedzialność.

- Za naszą antykoncepcję?

- Tak.

- Dobrze. Ale chciałbym z tobą chodzić na wizyty u doktora Williamsa.

- Nie, Peter. Cukrzyca jest moją chorobą. Jest częścią mnie, przyjazną rywalką, ale nie chcę, aby została częścią nas obojga. Będę dbać o siebie, obiecuję, ale...

- Ale co?

- Kiedyś być może trzeba będzie podjąć jakąś decyzję. Musisz mi zaufać.

- A ty musisz zaufać mnie i poprosić o pomoc, jeśli będzie trzeba.

- Dobrze.

Peter dotknął czule bladego policzka Sary, a ona chwyciła jego dłoń w swą drobną rączkę i szepnęła:

- Kochaj się ze mną. Nie jestem aż tak krucha.

Peter i Sara zamieszkali w intymnym świecie miłości. Peter został jedną z błyszczących gwiazd migotliwej galaktyki zamieszkującej Manhattan. Niektóre gwiazdy szukały światła reflektorów, wielkich przyjęć, lejącego się szampana, uwagi i zainteresowania mediów i fanów. Inne gwiazdy, takie jak Peter, wołały spokojną, anonimową samotność. Na Manhattanie można wybrać sobie sposób życia.

- Czy jesteś szczęśliwy? - spytała Sara, gdy obchodzili drugą rocznicę ślubu w udekorowanym przez Sarę mieszkaniu w Greenwich Village.

- Mój Boże, Saro, czy nie widzisz, jaki jestem szczęśliwy?

- Wiem. - Sara wiedziała także, że życie Petera przed poznaniem jej nie było szczęśliwe i dlatego pisał tak, jak pisał. - Ale twoje sztuki są...

- Ponure? Tragiczne? Realne?

- Udęczone, ciemne, raniące serce - dodała.

- Van Gogh malował kwiaty, a nie był szczęśliwym człowiekiem.

- Van Gogh malował udęczone kwiaty.

- Aha.

- Spójrz na Szekspira. Pisał i tragedie, i komedie.

- Porównujesz mnie do Szekspira? Ach, jaka jesteś dla mnie dobra! - Peter roześmiał się i spojrzał w jej kochające oczy. - Dobrze, Saro Dalton, któregoś dnia napiszę szczęśliwą sztukę specjalnie dla ciebie. O sercach, które nie są złamane i kwiatach, które nie są udęczone. Ale jeszcze nie teraz. To zniszczyłoby mój wizerunek autora ciemności.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Peter kochał Sarę za bardzo i stale toczył ze sobą walkę. Z jednej strony chciał ją chronić przed każdym niebezpieczeństwem, z drugiej - obiecał jej wolność. Sara chciała jeździć na łyżwach, więc Peter zabierał ją do Rockefeller Center. Potem Sara opowiedziała mu o dziewczynie, którą znała w szkole w Greenwich, mistrzyni jazdy konnej, o rym, jak wspaniale Allison skakała przez przeszkody i jaka się czuła wolna i szczęśliwa. Peter wstrzymywał dech i modlił się w duchu o bezpieczeństwo Sary, gdy razem uczyli się jeździć konno w Central Parku. Sara miała zaróżowione policzki i błyszczące ze szczęścia oczy.

Peter dotrzymywał obietnicy, pozwalając jej być wolną, a Sara dbała o siebie, starając się zachować delikatną równowagę.

Mieli żyć i kochać się wiecznie. Peter zaczął nawet wierzyć, że ktoś wynajdzie lekarstwo na cukrzycę, albo że to ich miłość będzie takim lekarstwem...

Potem Sara zachorowała. Peter natychmiast zauważył zmiany - osłabienie, zmęczenie, przygaszony wzrok.

- Jak się czujesz, kochanie?

- Świetnie. - Sara zmusiła się do uśmiechu, ale jej ciemnoniebieskie oczy zasnuła lekka mgiełka.

Peter wiedział, że Sara umiera i walczy ze sobą, czy zdecydować się na terapię, która może przedłużyć jej życie, a na pewno przysporzy wielkich cierpień.

- Kocham cię, Saro.

- Ja też cię kocham. Muszę...

- Co musisz? - spytał cicho. Oddałby za nią życie.

- Muszę wiedzieć, że ufasz, iż podejmę właściwą decyzję.

- Ufam ci, ale chciałbym ci pomóc.

- Pomagasz mi.

Dwa tygodnie później Peter pomyślał, że najgorsze minęło. Sara wyglądała lepiej, nawet całkiem dobrze, ale to trwało tylko parę tygodni. Życie nabrało nowego rytmu - złe dni przeplatały się z dobrymi - choć stale zachodziły subtelne zmiany. Peter udawał, że ich nie zauważa, ponieważ wiedział, jak bardzo żona stara się ukryć. Jednak oboje wiedzieli. Byli teraz stale razem, wciąż się dotykali i obejmowali.

Później, cztery miesiące przed śmiercią Sary, wszystko znów się zmieniło. Sara wyglądała cudownie - zdrowo i szczęśliwie. Tryskała energią, a oczy błyszczały radością i nadzieją. Chciała koniecznie pojechać sama do Rzymu i Peter wstrzymał oddech. Z drugiej strony wiedział, że będzie tam z bratem, który także ją kochał i dzielił z Peterem tę dwoistą konieczność dbania o Sarę i dawania jej odrobiny wolności.

Sara bezpiecznie i szczęśliwie przyleciała z Rzymu, spędziła dwa dni, godząc się z rodzicami i wróciła do domu, aby spędzić resztę życia z Peterem.

- Będziemy mieli dziecko.

- Co ty mówisz, Saro?

- Jestem w czwartym miesiącu ciąży.

- Moje kochanie! - Powinien był uprzeć się przy wasektomii, ale Sara chciała ponosić odpowiedzialność za tę część ich związku. Peter jej na to pozwolił i coś się nie udało. Kiedy spojrzął na jej błyszczące

oczy i dumny uśmiech, zrozumiał, że *to* nie był przypadek. - Celowo zaszałaś w ciążę?

- Tak.

- Ale Saro... - Już trzy lata wcześniej lekarz powiedział im, że zbyt dużo by ryzykowali, a teraz..., Nie!

- Chcę mieć nasze dziecko.

Chcę, abyś ty miał nasze dziecko - pomyślała.

- A ja chcę tylko ciebie, Saro. To za wielkie ryzyko.

- Peter! - Sara walczyła ze łzami.

I tak już niedługo odejdę - myślała.

- Saro! - Peter przytulił ją do siebie i pocałował we włosy. Z oczu płynęły mu łzy.

Po kilku minutach Sara odsunęła się i delikatnie scałowała łzy z jego policzków.

- Posłuchaj, Peter, ani mnie, ani dziecku nic się nie stanie. Jedy-  
nym problemem jest to, że nasze mieszkanie będzie za małe dla czwórki - powiedziała, obrzucając kochającym spojrzeniem Bułeczkę, która obserwowała całe zajście smutnymi oczyma, a teraz pomachała ogonem.

Proszę *cią*, Peter, udawaj, że mi wierzysz - błagała w duchu.

- Czy chciałabyś się przenieść do większego mieszkania przy Park Avenue?

Będę udawał, kochanie - pomyślał. To będą najpiękniejsze dni naszego życia i naszej miłości.

- Może. - Sara uśmiechnęła się i przytuliła do męża.

Następnego dnia Peter wrócił z teatru i oznajmił:

- Postanowiłem wziąć kilka miesięcy wolnego.

- Premiera *Jak wam się podoba* jest za dwa tygodnie - odparła cicho Sara, ale ten słaby protest potwierdził jedynie obawy Petera.

- Premiera nie jest tak ważna, jak to, co będę robił - ogłosił. - Na ogólne życzenie postanowiłem napisać opowieść miłosną.

I spędzić z tobą każdą sekundę - dodał w myśli.

- Peter! Naprawdę? Happy end i tak dalej?

- I tak dalej.

Dwa ostatnie wspólne miesiące Sara i Peter spędzili razem w mieszkaniu w Greenwich Village, kochając się delikatnie i czule, wiedząc, że się żegnają, udając, że Sara urodzi dziecko, nawet czasami w to wierząc, gdyż ich miłość była silna, magiczna i pełna szczęścia.

Peter napisał *Miłość* w ciągu sześciu tygodni. Dał Sarze do przeczytania, ale oddała mu i poprosiła, aby przeczytał jej na głos. *Miłość* była

miłosną pieśnią pożegnalną Petera dla ukochanej Sary, potwierdzeniem tego, ile dla niego znaczyła, hymnem ich wiecznej miłości.

- Nie jestem Julią- stwierdziła Sara, gdy Peter powiedział jej, że to ona jest bohaterką.

- Ależ jesteś, kochanie.

- Nie, lecz i tak ci dziękuję.

- Właśnie, że jesteś - powtórzył uparcie Peter i czule ją ucałował.

- Co chcesz zrobić z tą sztuką? - spytała po chwili pieszczot Sara.

- Czytać ci ją w kółko, a potem czytać naszemu dziecku, naszym dzieciom i naszym wnukom. Niewątpliwie będziemy już znali nasze role na pamięć.

- Myślę, że cały świat powinien ją poznać.

- Tak sądzisz?

Peter od początku wiedział, że Sara zechce, aby wystawił tę sztukę. I dlatego opowieść nie przedstawiała ich życia. Julia była Sarą, kochaną, niewinną i odważną, ale tylko ludzie, którzy ją naprawdę znali - Peter i Adamsonowie - mogli ją rozpoznać w bohaterce *Miłości*.

- Ludzie stoją godzinami na mrozie, z nadzieją, że w ostatniej chwili dostaną bilety na twoje sztuki o udęczonym życiu udęczonych bohaterów. Nie sądzisz, że miło byłoby pokazać im coś innego?

- Może...

Dwa dni później Sara obudziła Petera o północy.

- Peter, musimy jechać do szpitala.

Przeraził go jej spokojny głos. Sara pogodziła się z tym, co miało nastąpić.

- Co się stało, Saro?

- Mam bóle. I krwawię. Wezwałam już karetkę.

Peter wziął ją za rękę i nie puścił aż do śmierci. Lekarze i pielęgniarki kręcili się zaferowani, na próżno starając się uratować Sarę i dziecko. W oku cyklonu Peter i Sara patrzyli na siebie z miłością i szeptali czułe słowa, zapominając o otaczającym ich świecie.

- Peter, obiecaj mi, że ty i Rob zostanieie przyjaciółmi. Proszę.

- Dobrze, kochanie. Nasza trójka zostanie najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Rob też niedługo zamieszka w Nowym Jorku.

- Ty i Rob. Peter, proszę.

- Obiecuję.

- Peter?

- Co, kochanie?

- Obiecuj mi, że nakręcisz film na podstawie *Miłości*.

- Film? Chcesz pojechać do Hollywood?

- Film, tak jak to napisałeś. Z happy endem. Dobrze?
  - Dobrze. - Peter uśmiechnął się przez łzy na widok błysku w jej niebieskich oczach.
  - Peter?
  - Tak?
  - Znajdź sobie kogoś. Znajdź kobietę, którą pokochasz i będziesz mógł dzielić z nią życie.
  - Saro...
  - Dziękuję, że dałeś mi wolność.
  - Saro...
  - I dziękuję, że mnie pokochałeś.
  - Och, Saro, tak bardzo cię kocham!
- Nie zostawiaj mnie proszę. Nie mogę bez ciebie żyć - myślał rozpaczliwie.

Po śmierci Sary, Peter czuł, że wpada w milczący obłąd, który ogarnął jego ojca po śmierci matki.

Milczący obłąd!

Dwa tygodnie po śmierci żony głuchą ciszę przerwał dzwonek telefonu. Adwokaci Sary chcieli się z nim spotkać w sprawie spadku. Peter nie chciał o tym słyszeć. Powiedział adwokatom, aby oddali wszystkie pieniądze fundacji działającej na rzecz młodych diabetyków. Peter nie chciał pieniędzy Sary, skoro nie mógł mieć jej samej. Nienawidził choroby, która ją zabrała, ale wiedział, że Sara była z nią pogodzona. Jemu przypadła w udziale tylko gorzka wściekłość.

Życie uratowała mu Bułeczka. Dbał o nią, karmił, wyprowadzał na spacer. Robił to wszystko dokładnie tak samo obojętnie i w milczeniu, jak Joseph Dalton dbał o swego sześciolatniego syna.

Pewnego dnia Peter spojrzał na Bułeczkę. Na psa, którego kochała Sara. Na psa, który zastępował im dziecko, jakiego nigdy nie mogli mieć. Na psa, który nigdy nie machał ogonem, lecz spędzał całe dnie, leżąc w kącie i łagodnie dziwiąc się zmianie w swoim życiu.

Zaskoczone oczy Bułeczki spojrzały w smutne oczy Petera. Nagłe, uważne spojrzenie Petera natchnęło psa odrobiną nadziei.

- Bułeczko - szepnął Peter.

Karmił ją i wyprowadzał na spacer, ale nie odezwał się do niej od sześciu tygodni.

Pies lekko poruszył krótkim ogonkiem.

- Chodź tutaj, Bułeczko.



Skoczyła radośnie i z wdzięcznością i pobiegła przez cały pokój, wprost na kolana Petera.

- Och, piesku, ty też za nią tęsknisz, prawda? - jęknął, chowając twarz w jej sierści. - Ty też za nią tęsknisz?

Tego wieczoru, z Bułeczka na kolanach, Peter znów zaczął pisać, wrywając sobie słowa z duszy. Pierwszą sztuką, którą napisał po śmierci Sary była *Powiedz do widzenia*, za którą dostał nagrodę Pulitzera. Teraz całe życie Petera wypełniała praca: pisanie, reżyserowanie, pisanie. W dzień reżyserował, a w nocy, kiedy nie mógł spać osaczony koszmarami, pisał.

Dwa lata po śmierci Sary Peter i Bułeczka przenieśli się z jasnego mieszkania w Greenwich Village do Chelsea. Nowe mieszkanie było małe, ciemne i prawie puste, ale miało ogród i znajdowało się blisko teatru.

Peter pisał, reżyserował, odnosił sukcesy.

I jakoś przeżył.

Choć część jego serca marzyła o tym, aby połączyć się z ukochaną Sarą w ciemnym, pięknym lesie i zasnąć na zawsze.

Peter przeżył.

Musiał dotrzymać obietnic.

Obietnice. Po raz trzeci napełnił szklanekę w apartamencie w hotelu Westwood Marquis.

Zrobię ten film, Saro - obiecał. Poszukam Roba i jeszcze raz spróbuję się z nim zaprzyjaźnić.

Dwa lata wcześniej, kiedy brat Sary mieszkał jeszcze w Nowym Jorku, chciał się z nim spotkać, ale Rob odmówił.

Nigdy w życiu nie potrafił jednak spełnić trzeciej obietnicy.

Tej jednej nie spełnił nigdy, kochana Saro - pomyślał.

## 13

**T**woje włosy naprawdę mi się podobają- powiedziała Winter po raz trzeci, w czasie krótkiej przejażdżki z Holman Avenue do Bel Air. Martwiła się, że nie spodoba jej się nowa fryzura Allison. Pamiętała złotorude loki, które wreszcie pojawiły się po operacji i wielkie, zielone

oczy Allison, wpatrujące się we wszystko z niedowierzaniem. Winter obawiała się, że krótkie włosy będą przyjaciółce przypominać tamte czasy.

Tym razem jednak Allison nie wpatrywała się w nią z niedowierzaniem, a jej fryzura była piękna i pełna nadziei. Allison znów miała oczy mistrzyni, która wyobraża sobie złote medale na niebieskich wstążkach.

- Dziękuję. - Allison roześmiała się. - Mnie też.
- Po co jedziemy do Bel Air?
- Żeby rzucić okiem na mój pierwszy oficjalny projekt.
- Będziesz urządzić dom w Bel Air? Fiu, fiu!
- Nie jakiś zwykły dom, Winter. Bellemeade.
- Żartujesz? Ale numer!
- Boję się.

Allison skręciła z Perugii w brukowany podjazd, który prowadził do domu w stylu francuskiej posiadłości wiejskiej.

- To miejsce zawsze mi się szalenie podobało - powiedziała Winter. - Jest romantyczne i czarujące.
- Byłaś kiedyś w środku?
- Nie i nie mogę się doczekać.

Kiedy chodziły po Bellemeade, entuzjazm Winter znacznie się zmniejszył, a Allison - wzrósł.

- Tu jest ciemno, wilgotno i ponuro - szepnęła Winter.
- Spójrz tylko na te przestrzenie! Na te katedralne sufity, okrągłe schody, marmurowe kominki i drewniane posadzki! Spójrz na okna, Winter! Można z tego zrobić coś pięknego. - Allison zmarszczyła czoło. - W rekordowo krótkim czasie. Wszystko musi być gotowe na trzydziestego listopada.

Kiedy Allison skończyła wyjaśniać, że pośpiech spowodowany był przyjazdem Petera Daltona, Winter do czegoś jej się przyznała.

- Nie chciałam ci tego mówić. Pomyślałam, że opowiem ci już po wszystkim, kiedy dowiem się, które zajęłam miejsce, setne czy tysięczne, ale... Zgłosiłam się na przesłuchania do *Miłości*.
- I co?
- Nadal nic nie wiem. Zapraszano mnie trzykrotnie na rozmowy, a w ostatni piątek miałam próbne zdjęcia.
- To fantastyczne, prawda?
- Chyba tak. Wydaje mi się, że jestem jedyną nieznaną aktorką, której zrobiono próbę przed kamerą. Podobno Peter Dalton rzadko bywa w kinie. Nie zna nawet największych gwiazd.
- W ten sposób masz równe szanse.

- Może. - Winter uśmiechnęła się. - Odnoszę wrażenie, że mam nad nimi pewną przewagę. Kiedy czytam poszczególne sceny, wyobrażam sobie, że rozmawiam z Markiem.

- Czy to jest naprawdę miłosna historia dziesięciolecia? - spytała Allison.

- Ja i Mark?

- Że ty i Mark to wiem. Pytałam o *Miłość*.

- Chyba tak. Czytałam tylko fragmenty, a nie cały scenariusz. Ale to, co czytałam, jest zdumiewające i niewiarygodnie piękne.

- Kiedy przeczytasz cały scenariusz?

- Już bym to mogła zrobić, ale boję się zapeszyć. Jeśli będę miała szansę, dostanę własną kopię. Podobno Peter Dalton jest w tym tygodniu w mieście i będzie przeglądał materiał filmowy. Zobaczmy.

Allison nie przyznała się Winter, że spotkała Petera. Przyjaciółka pytałaby, jaki on jest, a ona nie potrafiłaby odpowiedzieć.

Peter i Steve pochylili się do przodu w tej samej chwili, jakby przyciągnięci silnym magnesem. Na ekranie ujrzeli śliczną, czarującą kobietę z fiołkowymi oczami i cerą koloru kości słoniowej, miękko przemawiającą o miłości.

- Mój Boże - szepnął Steve.

Peter tylko skinął głową. W końcu znaleźli Julię.

Było piątkowe popołudnie. Przez ostatnie cztery dni Peter i Steve oglądali zdjęcia próbne. Teraz poszukiwania się zakończyły.

- Kim ona jest? - spytał Peter.

Zakładał, że była znaną gwiazdą, nieznaną - tak jak wszystkie - tylko jemu.

- Nie mam pojęcia.

Steve zapalił światła w sali kinowej, przerzucił stertę teczek na stole i wyjął tę, której numer odpowiadał numerowi na ekranie. Zaczął ją otwierać, lecz przypomniał sobie, że to Peter ma decydujący głos w sprawie obsady. Powściągnął więc ciekawość i podał teczkę reżyserowi.

- Wygląda na to, że nie ma żadnego doświadczenia - powiedział Peter, przebiegając wzrokiem przez standardowy kwestionariusz przygotowany przez jego asystentów. - W rubryce: Poprzednie role wpisa-no - „żadne”.

Steve zaklął w duchu. Sami amatorzy. Wprawdzie scenariusz był genialny i Peter był przypuszczalnie najlepszym reżyserem na Broadwayu,

ale teatr to teatr, a film to film. Nowicjusz jako reżyser i do tego niezna-  
na, niedoświadczona aktorka.

- Nie grała w filmie?

- Nie grała nigdzie. Zaczekaj. - Peter wziął krótki życiorys przy-  
pięty do kwestionariusza i uśmiechnął się. - Tu wpisała: „Kilka ról  
w szkolnych przedstawieniach” i postawiła dwa wykrzykniki.

- Super. Jak się nazywa?

- Winter Carlyle.

Steve przestał się denerwować. Winter Carlyle. Może nie miała do-  
świadczenia, ale aktorstwo musiała mieć w genach.

Winter Carlyle. Steve szukał w pamięci jej twarzy. Pamiętał czarne  
włosy, czarną sukienkę, czarny welon.

Nie stał dostatecznie blisko na pogrzebie Jacqueline, aby dojrzeć twarz  
pod welonem. Pamiętał tylko to i jeszcze coś z zamierzchłej przeszłości.  
Jak dawno temu? Dziesięć lat, nie, dwanaście, nim poznał swoją żonę.  
Kręcili z Jacqueline film pod tytułem *Ostatni raz*, ona jako aktorka, on -  
reżyser. Połączyło ich coś więcej niż wspólny film. Przez trzy wspaniałe  
miesiące przeżywali... no, co najmniej namiętność. Widział jej córkę tyl-  
ko raz, z daleka, ale zapamiętał wielkie, nieśmiałe, fiołkowe oczy.

Ta dziewczynka wyrosła na piękną kobietę. Piękną jak jej matka  
i z jej niewiarygodnym talentem. Steve ciekaw był, co jeszcze Winter  
odziedziczyła po matce.

- To córka Jacqueline Winter i Lawrence' a Carlyle'a - wyjaśnił Pe-  
terowi.

Potem odwrócił się do asystentki odpowiedzialnej za obsadę, która sie-  
działa w milczącym triumfie dwa rzędy za nimi. Cztery dni wcześniej po-  
wiedziała Steve'owi, że ma obiecującą debutantkę, ale on nalegał - cał-  
kiem słusznie - żeby zaczęli od zdjęć z Michelle, Madolyn, Paulą, Rachel  
i wszystkimi innymi znanymi aktorkami, które chciały zagrać Julię.

- Wiedziałaś o tym? - zapytał. - Wiedziałaś, kim ona jest?

- Nie - odparła asystentka. - Nie przyznała się. Zachowywała się  
spokojnie i poważnie, bez cienia arogancji. Wydaje mi się, że nie ma  
nawet kopii scenariusza.

- To jej poślij - powiedział Steve. - I wyślij też umowę do jej agen-  
ta. Dajmy im czas do namysłu do poniedziałku.

Steve spojrział na Petera. Wiedział, że reżyser chciał jak najszybciej  
wracać do Nowego Jorku. Przerwał próby swojej nowej sztuki, *Cienie  
umysłu*, żeby zająć się obsadą *Miłości*.

- Jeśli chcesz, Peter, zakładając, że dogadamy się z Winter i z jej  
agentem, możemy spotkać się na kawie w Garden Terrace w twoim

hotelu, w poniedziałek rano, zamiast na martini w Polo Lounge w poniedziałek po południu.

Właściwie dlaczego nie? - pomyślał Steve. Wszystko układało się inaczej niż zwykle. Mogli podpisać umowę przy czarnej kawie, a nie przy koktajlu z martini.

- Jeśli zaangażujemy Winter i zaufasz mi na tyle, aby dać mi wolną rękę w wyborze jednego z pięciu aktorów, możesz być w Nowym Jorku w poniedziałek wieczorem.

- Doskonale. - Peter ponownie spojrzął na papiery Winter. - Tu nie ma nazwiska jej agenta.

- Naprawdę? To pošlemy wszystko wprost do niej.

Mark otworzył drzwi do mieszkania Winter o wpół do szóstej w sobotnie popołudnie. W nocy miał dyżur w szpitalu. Winter czekała na niego, lecz nie słyszała jak wszedł. Mark znalazł ją na łóżku, zapłakaną nad scenariuszem.

- Kochanie. - Mark pocałował wilgotne oczy. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy smutne i szczęśliwe łzy płynęły bez oporów, powodowane emocjami, które przedtem skrzętnie ukrywała. - Co za kupka nieszczęścia.

- Cześć. - Winter uśmiechnęła się przez łzy. - Czytam to chyba po raz piętnasty i za każdym razem płaczę.

- Takie smutne? Myślałem, że to miał być film o szczęściu.

- Bo jest.

Przypomina mi nas - pomyślała.

- Nie wiem, czy potrafię wypowiedzieć te piękne słowa, nie płacząc, a zwłaszcza tak, jak powinny być powiedziane.

- Są tak dobre?

- Tak. Ten film musi być namalowany najdelikatniejszymi pociągnięciami pędzla, a każdy najmniejszy ruch musi być doskonały.

- Ale chcesz spróbować?

- Tak. Jeśli potrafię, chciałabym stworzyć najwspanialszą Julię. Pod warunkiem, że nie będzie scen erotycznych - dodała cicho.

- Och, Winter, nie powinienem był o tym wspominać.

- Owszem, powinieneś. - Winter przytuliła się do Marka i szepnęła cicho: - Powiem im przy kawie w Westwood Marquis, że nie zgadzam się na sceny rozbierane.

Winter przyszła do Garden Terrace wcześniej, zamówiła kawę i czekała. Przed przyjściem Petera i Steve'a nerwowo powtarzała sobie to, co chciała im powiedzieć, zastanawiając się, czy nie powinna była jednak zatrudnić tej ostrej baby, Elainy Kingsley, oraz modląc się w duchu, by Peter Dalton jej nie rozczarował.

Miała nadzieję, że nie będzie miał na sobie rozpiętej kolorowej koszuli, ciężkich złotych łańcuchów i słonecznych okularów. Nie chciała, aby Peter Dalton okazał się komercyjnym cwaniaczkim, gładkim autorem scenariuszy, które pisał wyłącznie po to, żeby wzruszenia innych nabijały mu kabzę.

Chciała, aby Peter Dalton wyglądał jak... Jak ten ciemny, przystojny i poważny mężczyzna, z miłym uśmiechem i wrażliwymi brązowymi oczami, który właśnie podchodził do jej stolika. Ktoś, kto tak jak ona, wiedział, co to jest miłość.

- Winter? Jestem Peter Dalton.

- Witaj.

Steve Gannon przyszedł razem z Peterem. Kiedy się przedstawił, usiedli i zamówili kawę, przeszedł wprost do sedna sprawy.

- Przeczytałaś scenariusz, Winter?

- Tak. - Winter uśmiechnęła się do Petera. - Jest cudowny. Bardzo mi zależy na tej roli.

- A więc załatwione - powiedział Steve. - Zaczynamy kręcić na początku stycznia, kończymy w marcu, wchodzimy do kin w sierpniu. To oznacza napięty program, ciężką pracę, może nawet przez siedem dni w tygodniu.

- Czy cały film zostanie nakręcony w Los Angeles? - spytała Winter.

Tak pisała Vanessa, ale Winter chciała się upewnić. Nie wzięłaby roli, gdyby musiała rozstać się z Markiem. Oczywiście on wyjeżdżał na praktykę do Bostonu, ale wybierała się do niego na święta, zaraz po zakończeniu zajęć na uniwersytecie, a potem, gdy będzie zajęta kręceniem filmu, drugi miesiąc jego nieobecności przeleci niepostrzeżenie.

- Tak, wyłącznie w Los Angeles. - Steve urwał. - Czy czekamy na twojego agenta?

- Nie.

- Przeczytałaś umowę? Oczywiście to standard, ale muszę być pewien, że wszystko zrozumiałaś.

- Przeczytałam.

Winter spędziła w sobotę trzy godziny w dawnym domu rodzinnym, starannie porównując swoją umowę z umowami Jacqueline, które

leżały, posegregowane alfabetycznie według tytułów filmów, w dębowej szafce w bibliotece.

- I co?

- Są dwa problemy.

A nawet trzy - pomyślała, jeśli liczyć to, że za chwilę serce wyskoczy jej z piersi. Spokojnie - powiedziała sobie w duchu. Teraz musisz to dobrze rozegrać.

- Ach, tak?

Winter uśmiechnęła się słodko, jakby chodziło o drobiazgi.

- Żadnych rozbieranych scen.

- Co?!

- I żadnych sugestywnych scen erotycznych. Pocałunki są w porządku, ale nic więcej.

- Posłuchaj, Winter, nie planujemy żadnej pornografii, ale muszą być sceny miłosne. Nagie piersi *i...*

- Więc ja nie mogę przyjąć tej roli.

- Praktycznie każda aktorka w Hollywood... - Steve zaczął wymieniać nazwiska.

- To zaproponuj tę rolę którejś z nich.

Winter dzielnie spojrzała w oczy Steve'a, ale odwróciła się, gdy usłyszała cichy śmiech Petera.

- W porządku, Steve.

- Co jest w porządku?

- Nie musimy mieć rozbieranych scen.

- O Boże - westchnął Steve, ustępując, bo Peter zastrzegł sobie pełną kontrolę artystyczną. - Mogę sobie wyobrazić ten film dozwolony nawet dla dzieci.

- Ja nie mam problemu z tym, żeby miłość była dozwolona dla wszystkich - stwierdził spokojnie Peter.

- Dobrze. - Steve znów westchnął. - A drugi problem, Winter?

- Chciałabym mieć swój udział w zyskach.

Steve przyglądał jej się przez moment zaskoczony, a potem wybuchnął śmiechem.

- A ja się zastanawiałem, czy naprawdę jesteś córką Jacqueline.

Jacqueline Winter nigdy nie miała problemów z nagością, na planie i poza nim, i zawsze domagała się udziału w zyskach. Oczywiście to było normalne w przypadku sławnej aktorki, ale nie nowicjuszki!

- Znałeś moją matkę?

- Jasne. - Steve zobaczył smutek w oczach Winter i dodał łagodnie: - Bardzo żałowałem, kiedy umarła.

- Znasz mojego ojca?

- Tak. Niezbyt dobrze. Spotykam go raz na jakiś czas w Cannes. Spotykałbym go także na rozdaniach Oscara, ale nigdy się po nie nie fatyguję.

Problem Lawrence'a Carlyle'a, o ile taki w ogóle istniał, martwił Steve'a, odkąd okazało się, że obsadzi Winter w roli Julii. Steve nie znał prawdziwych powodów szybkiego rozwodu Jacqueline i Lawrence'a, nikt ich nie znał, ale nawet wiele lat później, kiedy miał romans z Jacqueline, aktorka wyrażała się o swym byłym mężu z gorzką niechęcią. Jeśli Winter podzielała te uczucia, prasa miałaby pole do popisu, szukając ukrytych motywów braku jakichkolwiek stosunków między sławnym ojcem i zapowiadającą się na wspaniałą aktorkę córką.

- A ty go znasz? - spytał Steve po chwili.

- Nie. Odszedł, kiedy miałam rok. W ogóle go nie pamiętam.

- I od tamtej pory go nie widziałas?

- Nie.

- A chciałybyś?

- Nie.

To była fatalna sytuacja, fatalna! Dziennikarze wykorzystają każdy strzęp informacji. Jeśli zarówno *Miłość*, jak i Winter Carlyle staną się sensacją, jak spodziewał się Steve, problem Lawrence'a i jego córki musi być rozwiązany na długo przed nominacjami do Oscara.

Oczywiście - pomyślał sarkastycznie Steve ~ biorąc pod uwagę, że w filmie nie będzie scen erotycznych, główną rolę zagra debiutantka, a reżyserować będzie ktoś bez filmowego doświadczenia, mogę się martwić tylko tym, że wyrzucę masę pieniędzy w błoto.

- Dostaniesz procent z zysków - westchnął w końcu Steve. - Ile byś chciała?

Allison spojrzała na zdjęcia, które leżały na biurku jej świeżo ukończonego „biura” w Elegancji i pomyślała z uśmiechem, że Emily Rousseau ma prawdziwy talent.

Portret, który zrobiła jej Emily, promieniował radością i zadowoleniem. Tydzień później, na zamówienie Allison, Emily przyniosła wiele genialnych fotografii kwiatów, zachodów słońca, widoków księżycy i morza.

Po długim namyśle Allison wybrała sześć fantastycznych zdjęć, które miały być powiększone, oprawione w ramki i powieszono na ścianach Bellemeade. Niezależnie od wszystkiego, Peter Dalton będzie miał sześć pięknych i kojących widoków. Niezależnie od wszystkiego...



Położyła rękę na słuchawce telefonu i zamyśliła się na moment. W ciągu ostatnich trzech tygodni nauczyła się dawać sobie radę z telefonem. Najpierw zadzwoniła do Roba i podziękowała mu za to, że polecił ją Rogerowi. Później, kiedy zadzwonił Roger z pomysłami co do Chateau Bel Air powiedziała mu ze śmiechem, że nie może na razie myśleć o jego hotelu, bo pracuje nad Bellemeade. Wreszcie złożyła zamówienia w Laliąe, u Charlesa Barone'a, McGuire'a i Stiffela, stanowczo domagając się krótszych terminów, niż to było w zwyczaju.

Rozmowy telefoniczne przychodziły jej z coraz większą łatwością. Z westchnieniem wykręciła numer.

- Brentwood Productions, słucham - powiedział po trzecim dzwonku męski głos.

- Mówi Allison Fitzgerald. Chciałabym rozmawiać z Steve'em Gannonem.

- Chwileczkę.

- Allison? Minęły dopiero trzy tygodnie, a ty już dzwonisz po pieniądze? - zażartował Steve.

- Witaj, Steve. Nie, mam tylko jedno głupie pytanie.

- Strzelaj.

- Czy wiesz, jakiego psa ma Peter Dalton? Dużego czy małego?

- Budujesz drugą willę dla psa?

- Nie całkiem.

Jedynie poduszki, przytulne miejsca do odpoczynku, zrobione na zamówienie tak, aby pasowały do narzuty w sypialni, wesołych zasłon w kuchni i drogiej sofy koło kominka w salonie. Frywolne, eleganckie, wesołe.

- To cocker-spaniel. Wiem, bo moja córka o takim marzy.

- Dziękuję za informację.

A zatem nie doberman. Claire nie miała racji. Miły, śliczny cocker-spaniel.

- Coś jeszcze, Allison? Może chcesz trochę pieniędzy?

- Nie, dziękuję, Steve. Na razie nie.

## 14

**D**onald Alexander Fullerton zmarł na białaczkę siódmego września. Mark był przy nim, kiedy umierał. Śmierć Donalda kończyła walkę

toczoną przy użyciu wszystkich środków, jakimi dysponowała nowoczesna medycyna i siły woli młodego umierającego człowieka.

Donald miał dwadzieścia dziewięć lat, tyle co Mark. Żona Donalda, Mary Annę, miała dwadzieścia siedem i spodziewała się dziecka. Mark od siedmiu dni pracował na oddziale hematologiczno-onkologicznym. Donald był jego pacjentem i Mark zdażył go dobrze poznać. Podobnie jak Mary Annę.

A teraz wszystko się skończyło. Życie skończyło się po zaledwie dwudziestu dziewięciu latach. Dlaczego?

Po śmierci Donalda Mark przez długą chwilę trzymał w objęciach Mary Annę. Potem zabrała ją rodzina. Mark wykonał niezbędną papierkową robotę, zrobił obchód, przekazał informacje zespołowi, który objął po nim dyżur i wyszedł ze szpitala w jasne, jesienne słońce. Było późne popołudnie, prawie wieczór, ale słońce nadal świeciło zbyt jasno, zbyt ciepło, zbyt jaskrawie, na taki smutny dzień.

Mark przeszedł piechotą do mieszkania przy Manning i szybko przebrał się w dres.

Musiał pojechać na plażę i biegać aż do zupełnego zmęczenia, kiedy wyschną wreszcie słone łyzy i nie będzie już miał ochoty krzyczeć z bezsilnej wściekłości.

Dopiero potem pójdzie do Winter.

Od lipca Mark i Winter praktycznie mieszkali u niej, ale Mark zatrzymał swoje mieszkanie, gdzie mógł w miarę potrzeby przespać się i spędzić chwile koniecznej samotności.

W praktyce wyglądało to trochę inaczej.

Czasem, po całej nocy i całym dniu spędzonym w szpitalu Mark dzwonił do Winter, o jedenastej wieczorem:

- Idę do siebie, biorę gorący prysznic i padam - mówił.
- Dobrze.
- Zadzwoń do ciebie jutro.
- Dobrze;

Winter nigdy nie narzekała, nie obrażała się, nie miała pretensji. Mark mógł od razu powiedzieć jej „dobranoc”, ale tęsknił za jej ciepłym głosem, za czułością i pieszczotami.

- Jak minął dzień, Winter? - pytał.

Po pół godzinie wciąż był w szpitalu i szeptał niechętnie, że musi już iść.

- Mógłbyś u mnie wziąć prysznic, Mark, a potem się położyć - mówiła cicho Winter.

I tak Mark zawsze w rezultacie spał z Winter w jej mieszkaniu.

W ciągu ostatnich dwu i pół miesiąca nie zetknął się z taką tragedią, jaka spotkała Donalda i Mary Annę. Do chwili obecnej Mark nigdy nie odczuwał potrzeby emocjonalnego oddalenia od Winter.

A teraz? niesprawiedliwe byłoby zabieranie do niej smutku i milczącego gniewu. A może nie?

Mark jechał wzdłuż Westwood Boulevard do Wilshire. Powinien był skręcić w prawo na Wilshire, ale jechał dalej, do Westwood i po paru przecznicach skręcił w lewo, w Holman Avenue.

Otworzył kluczem drzwi wejściowe na dole, ale na drugim piętrze zapukał do mieszkania Winter.

- Cześć, nie musisz pukać. - Winter uśmiechnęła się i spojrzała uważnie w jego udreżone niebieskie oczy.

- Chodź ze mną pobiegać, Winter.

- Pobiegać? *Moil*

Winter nie uprawiała żadnych ćwiczeń fizycznych, mimo to była szczupła, zgrabna i pełna energii.

- Któregoś dnia...

- Któregoś dnia zostanę ofiarą naturalnej kolei rzeczy, jak każda kobieta na świecie.

- Co to jest naturalna kolej rzeczy?

- Piersi, które nie mogą wiecznie sprzeciwiać się prawu przyciągania, cellulit, który zjawia się nie wiadomo skąd... Dlaczego się śmiesz?

Niebieskie oczy uśmiechnęły się lekko, ale nadal czaił się w nich smutek.

- Z ciebie.

- Nie uważam, aby bieganie cokolwiek zmieniało, a mam za sobą lata obserwacji. Ale pójdę z tobą pobiegać.

Mark usiadł na łóżku, a Winter poszła się przebrać. Kiedy wróciła, miała na sobie obcisły złoty top, nylonowe szorty w kolorze pawiego ogona i tenisówki.

Okręciła się naokoło i spytała:

- Jak wyglądam?

- Nie widzę żadnych efektów naturalnej kolei rzeczy.

- Chyba zaplotę włosy.

Winter stanęła przed lustrem, tyłem do Marka. Kiedy zaplatała długie, czarne włosy, widziała w lustrze jego zamyśloną twarz.

Mark spojrzał na doskonałe ciało Winter i pomyślał o przyszłości: Winter z białymi pasmami w czarnych włosach, Winter z siateczką

zmarszczek wokół oczu, Winter z różowo-białymi rozstępami na brzuchu po dzieciach, które urodziła, Winter z opadającymi piersiami.

To był bardzo miły obrazek, ponieważ obok postarzałej Winter Mark widział siebie, a to oznaczało, że przetrwali razem, mieli wspólną historię i cudowne zmarszczki.

Mark uśmiechnął się lekko drżącymi wargami. Jego szczęśliwą wizję zakłóciło wspomnienie Donalda i Mary Annę, dla których wieczna miłość właśnie się skończyła.

- Ile warta jest ta myśl? - spytała cicho Winter, odwracając się od lustra.

- Nie jest na sprzedaż. To zbyt ryzykowna inwestycja. - Mark zobaczył błysk bólu w oczach Winter i dodał łagodnie: - Powiem ci za darmo, że myślałem, jak świetnie będziesz wyglądać z cellulitem.

- A zatem załatwione. Będę biegła wolnym tempem po piasku, może nawet po wodzie, a ty możesz zataczać koła wokół mnie, albo pobiec do horyzontu i z powrotem. - Winter zdjęła z toaletki słomkowy kapełusz z szerokim rondem. - Idziemy?

Przy drzwiach zatrzymała się na moment.

- Coś bardzo smutnego zdarzyło się dziś w szpitalu, prawda?

- Tak.

- Powiesz mi?

Wziął ją w ramiona, mocno do siebie przytulił i szepnął:

- Tak, kochanie, powiem.

Allison rozmawiała przez telefon, kiedy dwunastego września, tuż przed południem, Winter weszła do Elegancji. Uśmiechnęła się na powitanie i gestem zaprosiła ją do zatłoczonego „biura”.

- Gwarantujecie dostawę najpóźniej piętnastego listopada? Proszę to potwierdzić pisemnie. Tak, mówię poważnie. Dobrze. Doskonale. Dziękuję.

- Mówisz jak jakiś adwokat - stwierdziła Winter, gdy Allison skończyła rozmawiać.

- Muszę. To, kiedy dostarczą mi meble, żyrandole, zasłony i dywany, ma zasadnicze znaczenie,

- Jak się posuwa praca w Bellemeade?

- Ja dotrzymuję wszystkich terminów. I mam nadzieję, że inni też ich dotrzymają. Co słychać? Byłaś na zakupach.

- Chciałam tylko zobaczyć, co Rodeo Collection ma w swojej jesiennej kolekcji.

- Najwyraźniej coś niecoś się znalazło. - Allison uśmiechnęła się na widok pękatych toreb z firmowymi nazwami, które Winter postawiła na folderach z próbkami.

- Tak, kupiłam parę rzeczy. Nie mam pojęcia, co tej jesieni nosi dobrze ubrana, wyjątkowa studentka. Dowiem się w poniedziałek. Możesz pójść ze mną na obiad?

- Chyba nie.

- Nie ma sprawy. Wpadłam, żeby cię zaprosić w imieniu Marka i swoim na kolację w piątek.

- Nie ma takiej potrzeby, Winter.

- Myślałam, że w piątek pójdziemy do Spago, a w sobotę my dwie, bo Mark ma dyżur, wybierzemy się do klubu.

- Jesteś taka sama jak moi rodzice. - Allison uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Oni też zaprosili mnie w piątek i w sobotę na kolację, choć nie tam, gdzie miała się odbyć próbna kolacja i przyjęcie weselne.

- Myślałam, że to dobry pomysł - wyjaśniła Winter. - To ty uważasz, że po każdym upadku powinno się z powrotem wsiadać na konia.

- Winter, postanowiłam nie wychodzić za Dana i to była słuszna decyzja. Nie zamierzam spędzić całego weekendu na żałowaniu tego, czego nie ma.

- To świetnie, ale Mark i ja nadal chcielibyśmy zjeść z tobą w piątek kolację.

- Wobec tego ja zapraszam was na kolację z moimi rodzicami.

- Bardzo się cieszę.

- W tym tygodniu kompletuję porcelanę, srebra, kryształy i obrusy - powiedziała po chwili Allison.

- Po co?

- Do Bellemeade. Porcelana jest łatwa, wybrałam wzór Bellemeade Mintonna, ale co do reszty jeszcze się nie zdecydowałam. W sobotę rano będę oglądać rzeczy u Pratesiego, Geary'ego i Neimana-Marcusa. Mogłabyś mi pomóc.

- Jasne. A potem zjemy razem kolację w klubie?

- Umówiłam się na kolację z Emily.

Winter czekała, starając się zinterpretować wahanie Allison. Wreszcie zapytała ze śmiechem:

- To co? Mogę się do was przyłączyć?

- Oczywiście. - Allison lekko zmarszczyła brwi.

- Ale?

- Ale planowałyśmy z Emily, że wybierzemy się do jakiejś restauracji w Westwood: Alice's, Stary Świat, może Acapulco. Nie jestem

pewna, czy Emily ma odpowiednie ubranie, które mogłaby *założyć* na kolację do klubu. Mogłaby się czuć skrępowana.

- Może być Westwood, mogą być dzinsy - powiedziała szybko Winter, ale Allison nadal spoglądała na nią z niepokojem. - Co jeszcze?

- Emily zaczyna w poniedziałek pracę w „Portrecie”. We wtorek jedzie w pierwszą podróż służbową do Hongkongu.

- A zatem planowałeś pójść na *Hongkong*, najnowszy film Lawrence'a Carlyle'a?

- Jestem pewna, że Emily aż tak na tym nie zależy.

- Chętnie zobaczę *Hongkong*. Przypuszczalnie będę musiała obejrzeć wspaniałe dzieła Lawrence'a Carlyle'a na seminarium o współczesnym filmie. Wcale mi to nie przeszkadza, naprawdę.

- Jesteś pewna?

Allison nie wiedziała, dlaczego Winter nienawidziła swego ojca, którego nie znała, ale kilka miesięcy po śmierci Jacqueline usłyszała w jej głosie gorzki ton.

- Jestem pewna. - Winter wstała. - W sobotę włożę dzinsy, ale w piątek wieczorem zamierzam wyglądać olśniewająco.

Kiedy Winter wyszła, Allison rozmyślała o swej najbliższej przyjaciółce. Powinna była bez wahania powiedzieć jej o tym, że Emily może być zażenowana kolacją w Klubie Myśliwskim Bel Air. Powinna była wiedzieć, że Winter zareaguje z sympatią i współczuciem.

Winter nigdy nie ustępowała kobietom w typie Elaine Kingsley, ale wobec kogoś tak skromnego jak Emily Rousseau zawsze zachowywała się opiekuńczo.

Allison uśmiechnęła się miękko. Winter była najlepszą przyjaciółką, gdy Allison najbardziej jej potrzebowała.

Winter spędzała w szpitalu całe dni i nieustannie mówiła do Allison, gdy leżała w śpiączce. Wprawdzie nie mogła nic odpowiedzieć, ale słyszała Winter i rozmawiała z nią w duchu, jeszcze bardziej walcząc o przeżycie.

Czasami Winter krzyczała na nią i w jej głosie słychać było strach.

- Allison Fitzgerald, nie ośmielisz się umrzeć! Pamiętaj! Nigdy bym ci tego nie wybaczyła!

Czasami zaś szeptała cicho i z miłością, ze łzami w głosie.

- Kocham cię, Allison. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, moją siostrą. Nie zostawiaj mnie, proszę.

Kiedy Allison odzyskała przytomność, *jej życie nadal* przypominało koszmar. Teraz widziała strach w oczach ukochanych rodziców. Sean

i Patricia cierpliwie przypominali córce nowe słowa, które ona natychmiast zapomniała, a wtedy ich oczy wypełniały się łzami. Początkowo Allison nie rozumiała zasad gry, ani smutku rodziców, kiedy nie umiała z nimi grać. W miarę jednak jak jej stan się poprawiał, zrozumiała, że nie jest w stanie niczego zapamiętać i sama wpadła w przerażenie.

Gdy Sean i Patricia, nie mogąc powstrzymać płaczu, wychodzili z pokoju, Winter zostawała, przemawiając - na zmianę - czule i karząc.

- Niedługo będzie Boże Narodzenie, Allison. Czy wiesz, jaki jest najwspanialszy prezent, który mogłabyś dać rodzicom? Twoją pamięć. A teraz uważaj. - Winter pogroziła jej smukłym palcem, tak jak kiedyś groziła żarłocznym japońskim rybkom. - Uważaj i zapamiętaj te trzy rzeczy, dobrze? Cukierki... Złotko... Przepiórka na drzewie.

Trzy dni później, w Wigilię, Allison szepnęła:

- Winter?

- Tak?

- Czy dobrze? Cukierki, złotko, przepiórka?

Winter pomogła jej obudzić się ze śpiączki, walczyć o pamięć i wreszcie, w czasie długich, męczących miesięcy, wrócić do zdrowia. Pomogła jej na nowo nauczyć się czytać, pisać, rozmawiać i chodzić.

## Część 2



## 15

*Bel Air, Kalifornia,  
listopad 1984 roku*

**T**o niewiarygodne, Allison - zachwycił się Steve, gdy w południe, trzydziestego listopada, razem z Allison i Claire przechodzili z jednego wspaniałego pomieszczenia w Bellemeade do drugiego. Nowe wnętrza były gotowe na czas. - Wiedziałaś, Claire.

- Oczywiście! - uśmiechnęła się Claire. Do samego końca nie pozwoliła Steve'owi obejrzeć domu. Wiedziała, że wewnątrz mu się spodoba, tak samo, jak wiedziała, że cały zaszczyt spadał na Allison. Claire służyła jako siatka ochronna, ale doskonały instyngt Allison ani razu jej nie zawiódł. - Dzieło sztuki.

- To prawda - przyznał Steve.

- Cieszę się, że ci się podoba - mruknęła Allison zmęczonym głosem.

Była wykończona. Ile razy przyjeżdżała do Bellemeade tylko po to, aby sprawdzić, czy poranne, popołudniowe i wieczorne słońce pieściło pastelowe zasłony tak, jak sobie wyobraziła? Ile razy chodziła w dół i w górę po eleganckich, kręconych schodach, prowadzących do głównej sypialni? Ile rozmów telefonicznych odbyła, strasząc, prosząc, grożąc?

Kiedy teraz spojrzała na ukończone dzieło, pamiętała jedynie walki, które toczyła. Tapetę w kuchni naklejono nie dość perfekcyjnie i kazała nakleić ją ponownie. Osobiście jeździła do magazynu, żeby odnaleźć materiał na obicia krzeseł w jadalni, który tajemniczo zniknął. Ręcznie malowany kufer z Francji uszkodzono w czasie transportu i nowy przyjechał dopiero poprzedniego dnia.

Allison nie przypominała właścicielki domu, która sama wykonała remont i doskonale wiedziała, o wszystkich ukrytych wadach. Było dokładnie odwrotnie - Allison wiedziała, że w Bellemeade nie było żadnych wad. Mimo wysokich kosztów całego przedsięwzięcia nie pozwoliłaby na nie. Teraz jej zmęczony umysł domagał się snu, a biodro piekło i bolało.

Dobrze, że przynajmniej Steve'owi się podobało.

- Zadzwoń do Paige, jak tylko wrócę do biura - powiedział Steve.

- Nadaje się wprost do „Przeglądu architektonicznego”, prawda? - stwierdziła z uśmiechem Claire.

- Zadzwoń też do żony. Albo zechce, żebyśmy się tu wprowadzili zaraz po wyjeździe Petera^ albo, na co Claire już od dawna nas namawia, zechce na nowo urządzić nasz dom. Jesteś wolna, Allison?

Allison uśmiechnęła się milcząco, lekko drżącymi wargami. Biodro dokuczało jej coraz bardziej.

- Allison musi się teraz zająć Chateau Bel Air - poinformowała Claire. - Najpierw jednak weźmie zasłużony tydzień urlopu. - Claire zwróciła się do Allison. - Mówię poważnie. Wrócisz wypoczęta, żeby zająć się Chateau, a później wszystkimi klientami, którzy będą czekać w kolejce.

- Proszę mnie wpisać na listę - powiedział Steve.

- Oczywiście.

Po chwili skierowali się do wyjścia.

- Czy mogę już wziąć klucze? - spytał Steve.

- Muszę tu jeszcze przyjść po południu - odparła Allison.

- Po co?

Allison wzruszyła lekko ramionami. Chciała wstawić świeże róże do wspaniałych wazonów Lalique. Może to będzie jej znak firmowy - świeże róże w pastelowych kolorach, w pięknych kryształowych wazonach, w każdym domu, hotelu i mieszkaniu, które zaprojektuje. Niezależnie jednak od przyszłości chciała zostawić róże w Bellemeade, aby następnego dnia Peter wszedł do pachnących wnętrz.

- Chcę wstawić róże do wazonów. Podrzucę klucze do twojego biura w Brentwood, dobrze, Steve?

- Naturalnie, ale nie musisz się spieszyć. Mam drugi komplet, który dam Peterowi.

- Podrzucę je dzisiaj. Nie będą mi już potrzebne.

Allison odebrała róże, zapakowane w pudełka ze złotej folii, z kwiatarni w Beverly Hills, zabrała Winter spod bramy uniwersyteckiej przy Westholme Avenue i razem pojechały do Bellemeade.

- Nie wierzę, że to jest to samo ponure, ciemne miejsce. Czuję się jak na romantycznej, ukwieconej łące - wykrzyknęła Winter.

Romantycznej? Allison zakręciło się w głowie. Chciała, aby wnętrze Bellemeade było lekkie, ładne, spokojne i szczęśliwe, ale romantyczne? Czyżby przesadziła?

- Allison, biodro ci dokuczka, prawda? - spytała wprost Winter, kiedy obejrzała już dom.

Allison układała w kuchni kwiaty. Winter zobaczyła w oczach przyjaciółki wielkie zmęczenie i napięcie. Przypomniały jej się długie miesiące rekonwalescencji, kiedy Allison nigdy nie narzekała, lecz w milczeniu, zaciskając zęby, walczyła z bólem.

Allison spojrzała na Winter, zdumiona tak bezpośrednim pytaniem.

- Boli mnie - odparła szczerze.

- Nie możesz odpocząć?

- Mogę. Claire dała mi tydzień wolnego. Będę się kąpać w pianie, spać i czytać.

Tydzień wcześniej Allison kupiła niedawno wydany komplet sztuk Petera Daltona. Zbiór zawierał zarówno jednoaktówki, jak i dłuższe sztuki: *Karuzelę*, *Wachtę sztormową*, *Echa*, *Powiedz do widzenia* i cztery inne. Nie było w niej nowej sztuki *Cienie umysłu* ani scenariusza *Miłości*.

Allison zamierzała zwinąć się w kłębek na łóżku z filiżanką herbaty i czytać ciekawe sztuki człowieka, którego poznała w sierpniu. Człowieka, dla którego tak się starała, urządzając Bellemeade.

- I bardzo dobrze - powiedziała stanowczo Winter. Przechyliła głowę i spytała z figlarnym uśmiechem: - Czy myślisz, że będziesz czuła się na siłach, aby piętnastego grudnia upiec świąteczne ciasteczka?

- Jasne. Czemu pytasz?

- Obiecałam Markowi, że przywiozę je na święta do Bostonu.

A sama przecież nie umiała ich upiec. Nikt nigdy nie pokazał chorośliwie nieśmiałej Winter Carlyle, jak się piecze świąteczne przysmaki. Nikomu nie zależało, aby poznała tę przyjemność związaną z Bożym Narodzeniem. Kucharka w rodzinnej posiadłości nie chciała zawracać sobie głowy i narażać na bałagan w kuchni. Oczywiście miała w domu świąteczne wypieki, delicje przysyłane w ozdobnych pudełkach i ręcznie malowanych puszkach z najlepszych cukierni całego świata.

- Marka nie ma dopiero od sześciu godzin, a ja już liczę minuty do szesnastego - westchnęła Winter.

Przeszła po grubym, niebieskim dywanie, który leżał w salonie i spojrzała na wiszącą na ścianie fotografię nowiu księżycy, podpisaną „Emily Rousseau”. Przez chwilę przyglądała jej się z przyjemnością, a potem spytała:

- Nie uważasz, że Emily mogłaby nam pomóc piec ciasteczka, o ile nie będzie akurat w Hongkongu, czy gdzieś indziej?
- Ja... Możemy ją zapytać.
- Zadzwońię do niej - powiedziała Winter. - Ona ma prawdziwy talent, prawda?

Emily wzięła dopiero co zrobione odbitki i starannie powkładała je do teczek. Za kilka minut miała wyjść, żeby zdażyć na autobus. O czwartej była umówiona z Robem.

Wkładając zdjęcia do teczek, spojrzała na swoje paznokcie, długie i lekko spiłowane. Nieobgryzione, wypielęgowane paznokcie były dla Emily niewiarygodnym osiągnięciem. Nie nosiła już też džinsów, lecz komplety, identyczne jak te, które widziała na manekinach w sklepach w Bullock's-Westwood. Kupiła nowe ubrania - spodnie, bluzki, swetry i kamizelki - w spokojnych kolorach i luźnych rozmiarach. Wyglądała znacznie lepiej, a przynajmniej miała taką nadzieję.

Ciekawa była, czy Rob to zauważył.

Na pewno nie.

Rob nigdy nie zwróciłby na nią uwagi, ale podobały mu się jej zdjęcia, a to było najważniejsze.

Kiedy wychodziła z ciemnego mieszkania na zalaną słońcem ulicę, myślała o kobietach, na które zwracał uwagę Rob Adamson.... O pięknych, zachwycających i pewnych siebie kobietach, takich jak Elaina Kingsley.

Zrobiła portretowe zdjęcie Elainy na początku listopada. Miał to być prezent niespodzianka od Elainy dla Roba. Robiła fotografie w luksusowym apartamencie Elainy przy Roxbury w Beverly Hills. Właściwie nie wiedziała nawet, czy Elaina mieszkała tam sama, czy z Robem.

Elaina upozowała się na kanapie w elegancko urządzonej, brzoskwiniowo-kremowym salonie, wpatrując się krytycznym wzrokiem w Emily, która ustawiała obiektywy i filtry. Elaina nie kryła się ze swoim krytycyzmem, jakby Emily, spoglądając na świat przez obiektyw

aparatu, nie miała oczu ani uczuć. Może nie dbała o to, że sprawia Emili przykrość? Właściwie dlaczego miałyby o to dbać?

Początkowo Elaina niecierpliwiła się, kręciła niespokojnie i wyraźnie irytowała z powodu powolności Emili. Telefon dzwonił nieustannie, ale odbierała automatyczna sekretarka. Emili i Elaina słyszały każdą nagrywaną wiadomość: ważne wiadomości od ważnych ludzi dla ważnej Elainy, nieustraszonej negocjantki. Między nimi znalazła się wiadomość wypowiedziana, ciepłym, znajomym głosem:

- Cześć, mała. Zarezerwowałem na ósmą stolik w Bordeaux Room. Przyjadę po ciebie o wpół do ósmej.

W końcu nerwowe zachowanie Elainy i jej niecierpliwość znikły. Rozluźniła się i, jak większość ludzi, których fotografowała Emili, zaczęła mówić - otwarcie, szczerze, bez zahamowań - do aparatu, jakby Emili w ogóle tam nie było. Zazwyczaj właśnie w takich chwilach Emili robiła najlepsze i najbardziej naturalne portrety.

Większość fotografowanych osób mówiła do aparatu, nie przejmując się Emili, która była jedynie milczącym świadkiem. Zdarzały się wyjątki. Allison rozmawiała wprost z Emili i pytała o jej sprawy. Gdy Emili nie kwapiła się z odpowiedzią na pytania osobiste, Allison zmieniła temat. Powiedziała, że podziwia talent Emili i że chciałyby w urządzonych przez siebie wnętrzach wieszać jej zdjęcia. Allison nie mówiła nic o sobie, podobnie jak Winter, która pozowała cierpliwie i bez śladu irytacji.

Elainie usta się nie zamykały. Mówiła o wielu różnych sprawach, między innymi także o Robie oraz o tym, jak bardzo się kochają.

- Mam nadzieję, że będziesz robić zdjęcia na naszym ślubie, Emili. Rob też by tego chciał. - Elaina lekko zmarszczyła brwi, a potem dodała: - Wprawdzie Rob oficjalnie mi się jeszcze nie oświadczył, ale niebawem to zrobi. Przepuszczalnie weźmiemy ślub w czerwcu, w klubie.

Rob oczekuje, że kobieta będzie piękna, pewna siebie i oszałamiająca, jak Elaina - myślała Emili, jadąc autobusem z Santa Monica do Beverly Hills. Nawet nie zauważy, że Emili ma wypiełgnowane paznokcie czy porządniejsze ubranie. Te zmiany miały znaczenie wyłącznie dla Emili i świadczyły o tym, że jej życie było teraz inne, lepsze.

Lepsze. O wiele lepsze. Mick miał kogoś innego, a Emili całymi dniami robiła piękne zdjęcia. Raz w tygodniu, jeśli miała szczęście, spotykała się z Robem. Była spokojna i zadowolona z życia. Przestała nawet myśleć o przeprowadzce do Paryża! Najważniejsze było robienie

zdjęć i spotkania z Robem, jego niebieskie oczy i łagodny głos, kiedy mówił, jak bardzo podziwia jej fotografie.

Doskonały sposób na zakończenie dnia - pomyślał Rob z uśmiechem, czekając na Emily. Spotkanie z nią było absolutnie niepotrzebne, lecz Rob lubił na nią patrzeć, czekał niecierpliwie na te spotkania i żałował, kiedy ich podróże czasem je uniemożliwiały.

Oczywiście Emily mogła załatwiać wszystkie służbowe sprawy z Frań. Rob nie musiał jej także tłumaczyć, jak ma robić zdjęcia. Sam nawet nie bardzo wiedział, czego chce, dopóki nie zobaczył najnowszych, nadzwyczajnych portretów Emily.

Potrafiła portretować najbardziej olśniewające kobiety bez makijażu i wyglądały piękniej niż zwykle. Potrafiła uchwycić błysk uśmiechu w oczach mężczyzn, którzy nigdy się nie uśmiechali i zamyślony wyraz twarzy u tych, którzy zawsze się śmiali. Jej niedoścignione portrety były przelotnym wejrzeniem - ostrożnym, łagodnym i delikatnym - w duszę portretowanej osoby.

Rob nie musiał spotykać się z Emily ani przed jej kolejnym zadaniem, ani po jego wykonaniu, aby wybrać zdjęcia, które miały się ukazać w piśmie. Mógłby, oczywiście, sam podejmować decyzję, ale pytał Emily o zdanie i ona zawsze wybierała tę fotografię, na którą już wcześniej się zdecydował.

W ogóle nigdy nie musiałyby spotykać się służbowo z Emily, ale tego chciał.

Jeśli nic nie stało im na przeszkodzie, spotykali się raz w tygodniu. Gawędzili o piśmie i o jej zdjęciach, spokojnie, poważnie i profesjonalnie. Emily Rousseau uśmiechała się bardzo rzadko, ale jej jasnoszare oczy zawsze były przejrzyste. Rob myślał czasem o narkotykach i o mężczyźnie, którego widział z Emily nad oceanem. Wolał nie ryzykować i w dniu, gdy Emily zaczęła pracować w „Portrecie”, zmienił trasę swoich biegów, żeby nawet przypadkiem nie natknąć się na tę parę.

Teraz spojrzął na zegarek. Emily przyjdzie za pięć minut, punktualna jak zawsze, na spotkanie, tak dla niego ważne i wyczekiwanie.

- Rob? - Emily stanęła w drzwiach lekko zaczerwieniona, trochę spóźniona. - Przepraszam, po drodze był wypadek.
- Nic nie szkodzi. Wejdz, proszę.
- Przyniosłam fotografie Prince'a.

- Doskonale.

Rob nieraz miał ochotę powiedzieć Emily, aby nie przynosiła zdjęć. Mogli przecież i tak porozmawiać. Fotografie były czymś w rodzaju pretekstu, choć rozmowa rzadko schodziła na inne tematy. Może bez tych zdjęć nie mieliby o czym rozmawiać?

Z drugiej strony Rob chciał Emily zadać tak wiele pytań.

Kim jesteś, Emily Rousseau?

Czy mogę zrobić twój portret?

Chciałbym się dowiedzieć, jaka jesteś i dlaczego.

Obejrzał z podziwem zdjęcia Prince'a, powiedział, które uważa za najlepsze, a kiedy skończyli omawiać sprawy służbowe, wypalił:

- Obiecałem ci wycieczkę do Paryża.

- To nie... Nie zależy mi.

- Postanowiłem przedstawić czterech wiodących twórców mody z Paryża- La Croix, Chanel, St. Laurenta i Diora. Dobrze znasz francuski?

- Dobrze.

- Możesz zatem służyć mi za tłumacza.

- Ty jedziesz?

- Jedziemy razem. Chciałbym sam przeprowadzić wywiady, przy których pomogłabyś mi jako tłumaczka. I, oczywiście, robiłabyś zdjęcia.

- Kiedy?

- Jeśli wszystko uda się załatwić, to w trzecim tygodniu stycznia. Wcześniej i później mam już umówione spotkania, ale ten tydzień jest wolny. Myślałem, że chciałabyś zostać na trochę we Francji, zrobić sobie wakacje. Oczywiście musiałabyś wrócić najpóźniej w połowie lutego, kiedy ogłaszają nominacje do Oscara.

Teraz, gdy „Portret” miał swą siedzibę w Los Angeles, Rob postanowił wydawać co roku specjalny numer poświęcony nominacjom. W pierwszym tego rodzaju numerze planował piętnaście sylwetek: pięć aktorek nominowanych w kategorii „najlepsza aktorka”, pięciu aktorów w kategorii „najlepszy aktor” i pięciu reżyserów w kategorii „najlepszy reżyser”. Numer pojawiłby się w kioskach przed ceremonią rozdania Oscarów, co oznaczało pięć tygodni wyęźonej pracy.

- Czy masz jakiś problem z wyjazdem do Paryża, Emily?

Rob spodziewał się, że Emily będzie zadowolona z jego propozycji. Miał nawet nadzieję, że się uśmiechnie, tymczasem w jej szarych oczach widział niepewność.

- Nie, Rob.

Dwa tygodnie później, czternastego grudnia tuż przed czwartą, Rob spojrzął na imię Emily wpisane do kalendarza i zmarszczył brwi. Mieli się spotkać, ale Emily zatrzymano w San Francisco.

- Wpisałam ją na następny piątek - wyjaśniła Frań, gdy Rob zapytał, czy ustaliła nowy termin, kiedy Emily zadzwoniła i powiedziała, że nie może przyjechać. - Wcześniej trudno byłoby ją ściągnąć.

- W porządku.

O wpół do piątej Frań, z nieśmiałym uśmiechem, stanęła w drzwiach.

- Tak? - spytał zaciekawiony Rob, odwzajemniając uśmiech.

- Dzwoni Peter Dalton. - Wobec braku jakiegokolwiek reakcji uśmiech Frań znikł. - Peter Dalton, Rob. Wiesz, ten znany reżyser z Broadwayu, który kręci tutaj *Miłość*, film stulecia. Kojarzysz? Poprosiłam, żeby poczekał, bo byłam pewna, że zechcesz z nim porozmawiać. Zakładam, że będzie w naszym specjalnym numerze z nominacjami do Oscara w 1986 roku. To wprawdzie dopiero za rok, ale... Rob?

Frań odbierała wszystkie telefony i nigdy nie łączyła Roba z kimś, kto nie był wcześniej umówiony. Tym razem zrobiła wyjątek, pewna, że Rob zechce porozmawiać z utalentowanym reżyserem.

- Powiem, mu, żeby zostawił wiadomość - mruknęła w końcu Frań.

- Nie, przełącz go na mój telefon.

Frań wróciła do sekretariatu, a Rob zamknął drzwi do swego gabinetu. Czekał, zaciskając pięści, nie będąc w stanie pozbyć się starych emocji.

- Czego chcesz?

- Witaj, Rob.

Cisza.

- Będę w Los Angeles przez cztery miesiące - powiedział wreszcie Peter. - Pomyślałem... Miałem nadzieję, że moglibyśmy się spotkać i porozmawiać.

- O czym?

- O Sarze. Obiecałem jej...

- Obiecałeś mnie, że będziesz się nią opiekował, że będziesz ją chronić i kochał. - Rob przerwał i kontynuował po chwili lodowatym tonem: - Teraz ja ci coś obiecuję i dotrzymam, jeśli mi się uda. Nie wiem, czy potrafisz kochać kogoś oprócz siebie, ale jeśli pokochasz jakąś kobietę i ja się o tym dowiem, obiecuję ci, że zrobię wszystko, aby odebrać ci tę miłość.

- Rob...

- Jeśli potrafię cię zranić, Peter, jeśli potrafię sprawić ci taki ból, żebyś marzył o śmierci, bo nie będziesz w stanie go wytrzymać, na pewno to zrobię. To jest moja obietnica.



Rob delikatnie i cicho odłożył słuchawkę. Jego wściekłość była pod kontrolą, zimna i potężna. Nienawiść do Petera nie zmniejszyła się z upływem czasu, ani z odległością, jaka ich dzieliła. Była żywa i silnie zakorzeniona w sercu Roba.

Wiedział, że jego groźba jest w gruncie rzeczy bez znaczenia. Gdyby Peter kogoś pokochał, Rob nawet by o tym nie wiedział. Jego wściekłość nigdy nie stała się obsesją. Nie zamierzał przez całe życie śledzić Petera Daltona, czekając na okazję do zemsty, ponieważ zemsta byłaby pusta i bezsensowna w porównaniu ze straconym życiem ukochanej Sary.

Rob spojrział na swój terminarz. Żałował, że nie mógł spędzić tej godziny w towarzystwie Emily o ślicznych szarych oczach i miękkim głose. Tak bardzo by chciał, żeby weszła teraz do jego gabinetu. Może powiedziała by jej, dlaczego pobladł, dlaczego drży, dlaczego ma chmurny wzrok. A może nie powiedziała by nic, ale sama obecność Emily...

- Dzięki za podwiezienie.

Winter złapała za klamkę i zaczęła podnosić ją do góry, kiedy podjechały do terminalu na międzynarodowym lotnisku w Los Angeles.

- Winter! Siedź i czekaj! - zawołała Allison ze śmiechem.

Ostatni raz ćwiczyła to polecenie na swym szczeniaku, kiedy miała dziewięć lat. Winter spojrzała na przyjaciółkę zaskoczonym wzrokiem, który przypominał wzrok tamtego szczeniaka.

- Jeszcze się nie zatrzymałam.

- To stań. - Winter zaśmiała się wesoło.

Poprzedni wieczór, gdy Allison, Emily i Winter piekły świąteczne ciasteczka, wypełniał beztroski śmiech. Wypieki Allison i Emily były prawdziwymi cudami, a ciasteczka Winter -jedyne odzwierciedleniem jej nieustającej euforii na myśl o spotkaniu z Markiem.

- Mamy jeszcze dwie godziny do twojego odlotu. Oczywiście znalezienie miejsca na twój bagaż może nam zabrać akurat tyle czasu - zażartowała Allison.

Wiedziała, co Winter miała w walizce. Przez ostatni tydzień codziennie wpadała do Elegancji, żeby pokazać przyjaciółce nowe zakupy. Przygotowywała nadzwyczajny zestaw garderoby, luskusowych kaszmirowych swetrów, wełnianych spódnic, spodni oraz płaszcz z wielbłądziej wełny, na pobyt w zimowym Bostonie.

- Czy myślisz, że Mark o mnie nie zapomni?

- Po szesnastu dniach?

- Po siedemnastu. Po siedemnastu samotnych dniach i nocach.

- Biorąc pod uwagę nieustanne telefony, myślę, że cię jeszcze pamięta. - Allison uściskała przyjaciółkę, nim Winter otworzyła drzwi i zawołała bagażowego. - Wesołych świąt! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Pozdrowienia dla Marka!

- Nawzajem. Dziękuję.

Allison uważnie prowadziła samochód w niespotykanym o wpół do ósmej tano w niedzielę ruchu. Jadąc na północ autostradą San Diego, planowała nadchodzący dzień. Niebo nabierało błękitnego koloru, obiecując słońce i orzeźwiające powietrze.

Piękny dzień na przejażdżkę - pomyślała Allison. Nie jeździła konno od olimpiady, jeszcze przed rozpoczęciem pracy nad urzędzaniem Bellemeade. Po *tygodniu* odpoczynku stan jej biodra znacznie się poprawił i znów nabrała chęci do życia i działania. Prace nad Chateau Bel Air tak bardzo posunęły się naprzód, że Allison mogła nawet zajmować się dodatkowymi projektami.

Spokojnie - powiedziała sobie. Wszystko jest pod kontrolą. Możesz się wybrać na długą, spokojną przejażdżkę.

„Lasy są piękne, ciemne i głębokie”. Słowa dźwięczały Peterowi w uszach, gdy jechał konno wzdłuż szlaku windsorskiego, prowadzącego przez gęsty las. Po dwóch kilometrach, gdy ścieżka wspięła się do góry, jasnoniebieskie niebo zastąpiło zielony baldachim z gałęzi. Ze szczytu roztaczał się widok na ocean.

Peter zsiadł z konia, przywiązał go do drzewa i podszedł na sam brzeg.

Jego nastrój nie pasował do wszechobecnego spokoju.

Staram się, jak mogę, aby spełnić dane ci obietnice - pomyślał.

Spojrzał w dół - zaledwie jeden krok do wieczności - i jego oczy pociemniały z gniewu, gdy przypomniał sobie piątkową rozmowę z Robem.

To nawet nie była rozmowa. Może Peter nie zasłużył sobie na szansę wyjaśnień. Winił siebie za śmierć Sary, za bardzo ją kochał, być może dał jej za dużo wolności. Rob najwyraźniej też go obwiniął i Peter skłonny był to zaakceptować, ale uważał, że powinni, przez wzgląd na Sarę i jej pamięć, porozmawiać i pewne rzeczy wyjaśnić.

Tymczasem niechęć Roba napełniła go złością, frustracją i nienawiścią.

Ginger zarżała, kiedy zobaczyła konia Petera, znajomego ze stajni. Allison uśmiechnęła się na widok Petera, ale jej uśmiech znikł, gdy spojrzała w jego ciemne oczy - smutne i niewidzące.

- Przepraszam.
- Nic się nie stało. Zaraz stąd odjeżdżam.
- To ja pojedę.
- Nie ma potrzeby.

Peter odwiązał wodze i nie wsiadając na konia znikł w zielonym labiryncie paproci i karłowatych palm.

Allison zaskoczona, rozczarowana i wściekła spoglądała za nim w milczeniu. Kiedy Peter znikł w lesie, zsiadła z konia i podeszła na brzeg skały.

Nie mam prawa się złościć - pomyślała. Peter Dalton nie prosił jej, aby urządziła mu szczęśliwe i przytulne miejsce do życia. Nigdy nawet nie udawał, że mu na tym zależy.

Czyżby rzeczywiście spodziewała się, że się do niej odezwie? W końcu jej klientem był Steve, który wylewnie chwalił jej pracę. Z drugiej strony miło byłoby usłyszeć choć dwa słowa od Petera, dowiedzieć się, że podoba mu się to, co zrobiła, że w ogóle zauważył jej starania.

Najwyraźniej opinia Claire okazała się słuszna. Peter Dalton zachowywał się arogancko i wyniośle. Natomiast wrażenia Allison - że Peter jest smutny, samotny i miły - nie znalazły potwierdzenia w rzeczywistości.

Przeczytała jego sztuki, płacząc i przez długie godziny rozmyślając o nieszczęśliwym człowieku, który napisał nieszczęśliwe, piękne utwory. A teraz...

- Allison?

W jej oczach pozostały jedynie rozterka i zwątpienie.

- Cześć, Peter.

- Nie poznałem cię, przepraszam.

- To przez nową fryzurę. - Allison przesunęła ręką po krótkich lokach. Wiedziała, że dużą rolę odegrało coś, o czym rozmyślał, kiedy nadjechała.

- Zgadza się - powiedział z uśmiechem. - Wiesz, ostatnio mam wrażenie, że mieszkam na obrazie francuskiego impresjonisty.

- Chyba przesadziłam.

- Nie, wcale nie. Bellemeade jest wspaniałe - dodał ciszej. - Już wcześniej powinienem był ci podziękować.

- To nie ma znaczenia.

- Owszem, ma. - Peter był oczarowany Bellemeade, ale pomyślał, że nikt go nie pytał, czy chce mieszkać w takim pięknym domu. Teraz, spoglądając na zamysłone zielone oczy Allison i jej zaróżowione policzki, zdał sobie sprawę, iż powinien był jej powiedzieć, jak cudownie

urządziła ten dom. Być może nie zasłużył sobie, aby tam mieszkać, lecz Allison Fitzgerald zasłużyła na podziękowania. - Przepraszam i dziękuję za wszystko.

- Nie ma za co.

- Bułeczka uwielbia swoje poduszki. Nie jest przyzwyczajona do takich luksusów.

Bułeczka? Peter Dalton, autor ciemnych i skomplikowanych dramatów, takich jak *Powiedz do widzenia*, nazwał swego cocker-spaniela Bułeczka?

- Och. - Allison zaczerwieniła się. - Cieszę się, że Bułeczka jest zadowolona.

Zapadła cisza.

- Muszę już jechać - stwierdził w końcu Peter. - Mamy jeszcze ze Stevem obejrzeć parę miejsc do filmu.

- Miło mi było cię znów zobaczyć, Peter.

- Mnie też było miło, Allison.

- Prawdopodobnie zapomnieli przeładować pani walizkę na lotnisku O'Hare - poinformował Winter i Marka urzędnik w dziale zagubionego bagażu. Zaczął pracę dopiero dwie godziny temu, a już musiał powtórzyć to samo pięćdziesięciu innym pasażerom. - Proszę wypełnić ten formularz. Dostarczymy pani walizkę pod adres w Bostonie, jak tylko przyleci.

- Kiedy to będzie?

- Przepuszczalnie jutro z samego rana.

Winter wzruszyła ramionami, wzięła formularz i podeszła do lady, aby go wypełnić. Zgubiona walizka się nie liczyła. Nic się nie liczyło. Była z Markiem i pożądanie w jego oczach mówiło jej, jak bardzo za nią tęsknił.

- Czy mogłabym pożyczyć jakąś koszulę? Moje nowe jedwabne peniuary są w Chicago.

- Mnie się podobasz bez ubrania - szepnął Mark, przyciągając ją do siebie i całując.

- Mnie też się podoba ten pomysł. Już niedługo...

Nie potrzebowała niczego, tylko Marka, oprócz...

Umówili się, że nie będą kupować prezentów. Winter wiedziała, że Mark w Bostonie nie będzie miał czasu, aby chodzić po sklepach, a tte chciała, żeby tracił czas przed wyjazdem z Los Angeles. Cenny czas, który mogli spędzić razem.

A zatem nie był to prezent, lecz niespodzianka, coś, co miało wygładzić zmarszczone od czasu do czasu czoło Marka. Winter kazała lekarzowi wyjąć spiralę i od tej pory miała używać kapturka.

Tyle że kapturek znajdował się w walizce w Chicago. Winter bezmyślnie wrzuciła go tam razem z jedwabnymi, romantycznymi peniurami.

To jest Mark, potrzebuję go - myślała teraz, jadąc taksówką. To będzie tylko jedna taka noc miłości, noc, jakiej nie chciałabym stracić za skarby całego świata.

## 16

Mark miał dyżur na oddziale intensywnej terapii co drugą noc. Pierwsze dwa tygodnie grudnia były w miarę spokojne, oddział prawie pusty, jakby ktoś machnął czarodziejską różdżką i na czas świąt zlikwidował choroby.

Następnego dnia po przyjeździe Winter zapanowało pandemonium. Oddział wypełnił się ciężko chorymi pacjentami. W co drugi wieczór, gdy Mark mógł wyjść ze szpitala, wracał do domu po północy, wykończony i pełen wyrzutów sumienia.

- Chyba lepiej, że masz co robić? - powiedziała Winter. - W ten sposób szybciej się przekonają, że jesteś fantastycznym lekarzem.

- A ty?

- Mnie nic nie jest. Boston to czarujące, cudownie stare miasto. Kocham śnieg, z prawdziwą przyjemnością chodzę na spacer, powtarzam rolę, patrzę na szpital po drugiej stronie rzeki i myślę, że tam jesteś i ratujesz ludziom życie.

Winter starała się go uspokoić. W końcu przez całe swoje dotychczasowe życie była sama.

To, że mogła być teraz tak blisko niego przez sześć godzin z każdego czterdziestu ośmiu, było znacznie lepsze niż samotny pobyt w Los Angeles.

Dla Marka też tak było lepiej... Lepiej i gorzej. Lepiej, bo wiedział, że niedługo znów ją weźmie w ramiona. Gorzej, bo czuł się winien, że spędza z nią tak mało czasu.

„Przepraszam” - to słowo Winter słyszała najczęściej. Mark zaczynał od przeprosin, gdy dzwonił, żeby powiedzieć, że nie wróci jeszcze przez parę najbliższych godzin. Przepraszają, kiedy wracał dopiero po

pięciu lub sześciu. Przepraszał, kiedy zasypiał, nim zdążyli się kochać, bo był zbyt zmęczony i za sześć godzin znów musiał wrócić do szpitala.

Słowo „przepraszam” dźwięczało Winter w uszach, gdy chodziła po romantycznym mieście Jennifer i Olivera, kochanków z *Love Story*. Czasem miała ochotę łagodnie przypomnieć Markowi, że w miłości nigdy nie trzeba przeproszać...

Mark jednak nigdy nie powiedział, że ją kocha. Winter też mu tego nie wyznała. Opowieść o Jennifer i Oliverze była zupełnie inną historią - ze smutnym zakończeniem. Poza tym Winter chciała znaleźć własny sposób, aby powiedzieć Markowi, że jest bezgranicznie szczęśliwa.

- W Wigilię będę mógł wyjść ze szpitala w południe. O ile rano kogoś nie przyjmą. Moglibyśmy wybrać się gdzieś na kolację.

- Zjemy tutaj romantyczną kolację przy świecach. - Winter uśmiechnęła się nieśmiało.

- Z wędzonymi ostrygami?

- Z czymś jeszcze lepszym. Zobaczysz.

Winter odwiedziła już najlepsze restauracje w Bostonie, sprawdziła kartę dań na wigilijną kolację i umówiła się z szefem kuchni w Colonial Inn, że przygotuje jej ucztę na wynos, którą będzie musiała tylko podgrzać na małej kuchence w ich mieszkaniu, gdy Mark wróci do domu.

W Wigilię o wpół do jedenastej miała już jedzenie w domu i świątecznie nakryty stół. Mark zadzwonił, aby powiedzieć, że najprawdopodobniej uda mu się wyjść ze szpitala w południe. Winter postanowiła pójść do szpitala i spotkać go, gdy wyjdzie.

Mark obiecał, że pokaże jej miejsce swojej pracy, ale jeszcze tego nie zrobił. Pewnego dnia wybrała się tam nawet i doszła aż do półkolistego podjazdu przed wielkim budynkiem z czerwonej cegły, przystrojonym jak choinka trzema czerwonymi neonowymi literami MGH - Massachusetts General Hospital - ale nie miała odwagi wejść do środka.

Dzisiaj jednak, gdy lekki śnieg złagodził nieco poranny ziąb i pomyślała o ukochanym mężczyźnie, który tam właśnie przebywał, MGH wydał jej się bardziej domem niż szpitalem.

Olbryzimim domem z posadzkami wyłożonymi linoleum, jasnożółtymi ścianami i kolorowymi znakami, które miały pomóc pacjentom orientować się w labiryntach korytarzy. Winter oglądała tabliczki, szukając znajomych nazw. Nie chciała znaleźć się na oddziale intensywnej opieki, żeby nie przeszkadzać Markowi. Zaczeka na niego o dwunastej przy głównym wejściu.

Przeszła do Phillips Hospital, prywatnej kliniki znajdującej się w tym samym budynku. Śliskie linoleum zastąpił miękki chodnik, a jasnożółtą

farbę na ścianach - ładne tapety. Wnętrze wyglądało jak zaprojektowane przez Allison.

Za piętnaście dwunasta Winter, kierując się napisami, wróciła do głównego wejścia i oddziału nagłych wypadków. Idąc korytarzem, zobaczyła Marka.

Mark zajmował się na oddziale urazowym nowo przyjętą pacjentką, co oznaczało, że jeszcze przez parę godzin nie będzie mógł wyjść ze szpitala. Winter była rozczarowana, zła i sfrustrowana. To było niesprawiedliwe. Kiedy jednak niezauważona obserwowała Marka, złość zmieniła się w miłość i dumę.

Pacjentką była starsza kobieta. Miała przerażony wzrok i urywany oddech. To jest czyjaś babcia - pomyślała Winter, przypominając sobie, co powiedział jej Mark, kiedy umarł Donald Fullerton. Tego jesienno-go dnia Mark nie poszedł biegać. Godzinami spacerowali razem po plaży.

„Jeśli będziesz traktować każdego pacjenta tak, jak byś chciała, żeby ktoś traktował twojego ojca, matkę, dzieci, rodzeństwo lub przyjaciół, będziesz w porządku. Nie możesz dać z siebie więcej, ale zawsze musisz dać aż tyle” - powiedział wtedy Mark.

Nowa pacjentka Marka była czyjąś babcią, przestraszoną, może cierpiącą, może umierającą. Mark uśmiechał się do niej uspokajająco, trzymał za rękę, obserwował popiskujący nieregularnie elektrokardiograf i podawał nazwy leków pielęgniарce.

I stał się cud. Strach kobiety znikł i jej oddech się uspokoił. Lekarstwo podawane przez kroplówkę pomagało. Mark skupił całą swoją uwagę na pacjentce. Nic nie wskazywało na to, że gdyby przyjęto ją do szpitala pół godziny później, on byłby już w drodze do domu. Oczywiście i opanowany głos Marka mówiły jedno: był tu, aby pomóc.

Gdyby tę kobietę przywieziono pół godziny później... - pomyślała Winter, a potem zawstydziała się własnych myśli. Ta staruszka nie zachowała z własnej woli. Akurat tego dnia na pewno wolałaby być w domu, piec ciasto i pakować prezenty w otoczeniu roześmianych wnuków.

Tymczasem znalazła się w szpitalu i miała szczęście, że zajął się nią Mark Stephens, z niebieskim oczami, łagodnym uśmiechem, silnymi rękami i genialnym umysłem.

To wszystko - chaos oddziału urazowego, szpitalne dramaty, walka z chorobami i ze śmiercią - były jego środowiskiem naturalnym. Tu był szczęśliwy, tu mógł pomagać, tu był na swoim miejscu.

Winter ruszyła ku wyjściu, obawiając się, że Mark ją w końcu zobaczy, ale zatrzymała się, gdy młoda pielęgniarka przysunęła się bliżej - za blisko! - do Marka i zaczęła coś mówić, spoglądając z widocznym

podziwem na jego przystojną, poważną twarz. Mark odpowiedział na jej pytanie, ale nie spuszczał wzroku z pacjentki, z elektrokardiografu i starannie odmierzanych kropli lekarstwa.

Tu jest jego miejsce - pomyślała Winter - nawet jeśli przez to tak często go przy niej nie ma i nawet jeśli na co dzień istnieje niebezpieczeństwo stałego kontaktu z młodymi, pięknymi kobietami.

Szybko wyszła ze szpitala. Padał ciężki, gęsty śnieg. Nie wróciła do domu, lecz poszła w stronę Beacon Hill z eleganckimi, jasno oświetlonymi, starymi domami. Nie mogła zebrać myśli.

Wcześniej zaczęła już nawet mieć żal do nieznanych pacjentów, którzy zabierali jej Marka. Jakby spiskowali przeciwko niej i jej miłości. To było głupie i samolubne. Mark, gdyby mu się do tego przyznała, uznałby to za naturalne.

Ale dokąd by ją to zaprowadziło? Do uczucia niechęci wobec Marka? Do myśli, że zostaje w szpitalu dłużej, niż jest to konieczne? Dlatego właśnie tak często lekarze mieli nieudane małżeństwa. Dlatego rozpadło się małżeństwo rodziców Marka.

Teraz dopiero Winter zrozumiała. Brnąć w miękkim śniegu, obiecała sobie, że pacjenci Marka nigdy nie będą dla niej anonimowymi postaciami, lecz czyjąś matką, czyjąś babką, czyjąś miłością.

Mark wyszedł wreszcie ze szpitala o piątej po południu i sześć minut później był w domu.

- Cześć. Wesołych świąt - powiedziała Winter.
- Cześć, ja...

Winter przerwała mu długim, namiętym pocałunkiem.

- Nie przepraszaaj - szepnęła po chwili.
- Dobrze. - Mark znów przyciągnął ją do siebie.

Wziął prysznic i przebrał się w dżinsy. Winter miała na sobie prowokacyjny, satynowy peniuar w kolorze czerwonego wina, który wyglądał jak wieczorowa suknia. Zjedli wyszukaną wigilijną kolację przy świecach.

- Jak sądzisz, Mark, czy Massachusetts Hospital jest najlepszy? - spytała Winter, kiedy skończyli posiłek. Jedli bardzo powoli, bardziej zainteresowani patrzyeniem sobie w oczy i pocałunkami smakującymi szampanem niż smakowitym jedzeniem.

Mark przez moment zastanawiał się nad pytaniem Winter. Czy MGH był najlepszy? Tak. Czy był najlepszy dla niego? Tak. Czy był najlepszy dla nich obojga? Nie.



- Myślę, że powinieneś tu właśnie odbyć swój staż - stwierdziła Winter, nim Mark zdążył odpowiedzieć na jej poprzednie pytanie.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Bo o tym marzysz.

Marzę także o tobie - pomyślał Mark.

- Zobaczmy - powiedział. - Może mnie nie zechcą.

- Na pewno zechcą - szepnęła, spoglądając w zmęczone oczy Marka. Nie spał całą noc i był *wykończony*, ale bardzo się starał przezwyciężyć zmęczenie, żeby spędzić z nią trochę czasu.

Winter zamilkła, zagubiona w myślach, które dręczyły ją od chwili, gdy zobaczyła Marka z chorą pacjentką. Nie powinna była tu przyjeżdżać. W Los Angeles miała swoje mieszkanie i Mark nie czuł się za nią odpowiedzialny, kiedy pracował. Tutaj, w Bostonie, Winter była jego gościem i czuł się w obowiązku zajmować nią, gdy nic nie powinno mu przeszkadzać w dążeniu do wymarzonego celu - stażu w MGH. Mimo jej zapewnień, że świetnie daje sobie radę i nie czuje się samotna, Mark poświęcał jej czas, który powinien przeznaczyć na sen i odpoczynek.

Mark zobaczył smutek i niepokój w oczach Winter i pomyślał, że to może być początek końca. Czyżby chciała mu powiedzieć, że czuje się tu samotna?

Winter spojrzała na talerze i mechanicznie, nadal pogrążona w myślach, zaczęła sprzątać ze stołu.

- Winter?

- Chcę schować resztki indyka do lodówki, żeby się nie popsuł - odparła zamyślona.

Mark uśmiechnął się i stanął za nią, gdy zawijała mięso w folię. Wsunął dłonie w jej długie czarne włosy i lekko pociągnął.

- Hej, Winter Elizabeth Carlyle, porozmawiaj ze mną.

Winter odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Chyba powinnam wrócić do Los Angeles, Mark.

- Dobrze. - Nie mógł protestować ani obiecać, że jutro będzie lepiej.

- Uważasz, że wyjeżdżam, bo za mało cię widuję, prawda?

- To byłby dobry powód - powiedział spokojnie.

- Ale to nie dlatego!

- Nie?

- Nie. Widziałam cię dzisiaj w szpitalu i...

- I co?

- Ten miesiąc jest dla ciebie taki ważny, i w dodatku ciągle się martwisz, że za mało się mną zajmujesz, choć wcale nie musisz, ale wiem, że tak jest.

Winter przerwała, żałując, że nie zastanawiała się wcześniej, co ma powiedzieć. Bardzo chciała przekonać Marka, że nie chodziło o to, iż jej na nim nie zależy. Wprost przeciwnie.

Mark przyciągnął ją do siebie, tak że prawie dotykał wargami jej ust, spojrzął z uśmiechem w fiołkowe oczy i spytał cicho:

- Czy już ci mówiłem, jak bardzo cię kocham?
- Nie - szepnęła Winter.
- Kocham cię. Bardzo.
- Ja też cię kocham.
- Mam coś dla ciebie.

Ku zdumieniu Winter Mark odszedł, ałe po chwili wrócił ze złotym, pudełkiem, przewiązany aksamitną, fiołkową wstążką.

- Mielśmy nie kupować sobie świątecznych prezentów - szepnęła, przypominając sobie własną niespodziankę.

Powiedziała Markowi o diafragmie po tym, jak się kochali czwartej nocy w Bostonie. Sam niczego nie zauważył, jak obiecał jej lekarz, i nawet nie przyszło mu do głowy, że wcześniej miała diafragmę w zagubionej walizce, a nie w torebce. Był zachwycony, że zrezygnowała ze spirali.

- To nie jest prezent gwiazdkowy - powiedział teraz z uśmiechem.  
- To podarunek na urodziny.

Była to pozytywka w kształcie wiejskiej angielskiej chatki w ogrodzie różanym. Kiedy Winter delikatnie uniosła dach chatki, pozytywka zaczęła grać *Here, There and Everywhere*.

- Mark?
- Aha.
- Co, aha?
- Czy mogę cię prosić do tańca?

Poruszali się powoli w takt muzyki, która przypomniała im pachnący różami taras i czerwcowy ślub - początek ich magicznej miłości. Tańcząc całowali się i rozmawiali szeptem.

- Jak się czuje twoja dzisiejsza pacjentka? - spytała Winter, dotykając wargami ust Marka.

- Lepiej. Myślę, że wyzdrowieje.
- A pielęgniarka?
- Jaka pielęgniarka?
- Ta z sarnimi oczami i w za ciasnym fartuchu, która wciąż cię dotykała?
- Nawet nie zauważyłem.
- To dobrze. Cieszę się.

- A ja się cieszę z naszego tańca.
- Mimo wszystko powinnam wyjechać, prawda?

W niebieskich oczach Marka wyczytała odpowiedź: „Tak, chyba tak, ale będę za tobą tęsknił”.

- Wyjadę pod jednym warunkiem.

Nie chcę, żebyś wyjeżdżała - pomyślał Mark - więc nie stawiaj mi żadnych warunków.

- Jakim?

- Kiedy zadzwonisz i obudzisz mnie w środku nocy, bo wcześniej będziesz zajęty, albo odezwiesz się dopiero po dwóch dniach, nie zaczynaj od przeproszania.

- Dobrze.

- Na początek powiedz, że mnie kochasz.

- To nic trudnego. Kocham cię, Winter.

- Ja też cię kocham, Mark. Czy moglibyśmy to sobie mówić, kiedy się kochamy?

- Dla mnie to bardzo proste, będę szeptał to, co cały czas myślę.

- Ja też.

- Spróbujemy?

- Tak. Natychmiast.

Allison uwielbiała klub w czasie świąt Bożego Narodzenia. Migoczące światełka, blask świec, wieńce z ostrokrzewu, zapach sosny i cynamonu. . .

I choinka. Jako mała dziewczynka Allison siadała tu, gdzie teraz stała, tuż przed błyszczącą choinką, oczarowana lampkami, kolorami i cudownymi ozdobami z całego świata. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie miała zawsze nadzwyczajnego wycucia koloru i szczegółu, które objawiło się *po* wypadku, gdyż tak żywe były wspomnienia choinki i błysków światła i kolorów: czerwonego, zielonego, złotego i czerwonego.

Delikatnie dotknęła złotej bombki, która zawirowała i rozbłysła małym fajerwerkiem. Allison cieszyła się, że wstąpiła na chwilę do klubu w drodze na wigilijną kolację z rodzicami i Vanessa. Syczały pomarańczowozłote płomienie, rozbrzmiewały ciche kolędy, a z daleka słychać było delikatny dźwięk srebra uderzającego o porcelanę. Co za luksus przebywać samotnie w takim pięknym, spokojnym miejscu...

- Dobry wieczór.

Właściciel miękkiego, niskiego głosu najwyraźniej kierował się tym samym impulsem, przychodząc w to zaczarowane miejsce.

- Witaj, Peter. - Allison odwróciła się i spojrzała w jego ciemne oczy.  
- Witaj, Allison. Pięknie tutaj, prawda?  
- Tak, bardzo. - Allison szukała słów, aby opisać piękno sali, ale dla niej było to miejsce pełne wspomnień z dzieciństwa. Nie znalazła słów dla wyrażenia uczuć, ale mogła zapytać o coś innego. - Jak się miewa Bułeczka?

- Jest okropnie rozpieszczona. Wyleguje się na specjalnie dla niej zaprojektowanych poduszkach.

- To dobrze.

- A ja czuję się rozpieszczony, mając taki wspaniały dom - powiedział z uśmiechem Peter.

To dobrze - pomyślała Allison i też się uśmiechnęła.

- Wybrałeś już miejsca do filmu? - spytała. - Winter mówi, że próby zaczynają się zaraz po nowym roku.

- Owszem, tak planujemy. Znasz Winter?

- To moja najlepsza przyjaciółka. Jest okropnie przejęta filmem. Mówi, że scenariusz jest cudowny - dodała cicho.

- Och, cóż...

Wymienili komplementy o Bellemeade - triumfie Allison i o *Miłości* - spodziewanym triumfie Petera. Zapadła cisza. Uśmiechnięci, wpatrywali się w migoczące lampki na choince i słuchali kolęd. Żadne z nich nie miało ochoty na rozmowę, ponieważ oboje dobrze się czuli w tym pięknym, spokojnym miejscu.

Wreszcie Allison stwierdziła, że powinna jechać, by nie spóźnić się na kolację.

- Muszę już iść. Wesołych świąt, Peter.

- Wesołych świąt, Allison.

## 17

*Beverly Hills, Kalifornia,  
styczeń 1985 roku*

**R**oba na pewno nie będzie, pomyślała Emily. Prawdopodobnie poszedł na obiad, ale...

Jeśli nie wyszedł i nie był zajęty, chciała mu pokazać zdjęcia Cecelii Fontaine. W ciągu czterech miesięcy, odkąd pracowała w „Portrecie”,

nigdy nie odwiedzała Roba bez zapowiedzi. W gruncie rzeczy to on zawsze wyznaczał jej spotkania.

Następnego dnia wyjeżdżali do Paryża. Gdyby go nie zastała, Emiły miała zamiar zostawić mu na biurku zdjęcia z karteczką: „Pomyślałam, że może zechcesz zobaczyć przed wyjazdem do Paryża fotografie C. Emily”. Może nawet dodałaby odważnie: „Cieszę się na Paryż”.

Drzwi do gabinetu Roba stały otworem i Emily usłyszała znajomy, południowy akcent... Elaina.

- Zatrzymasz się w Ritzu?
- Tak - odparł Rob.

Rozmawiali dalej, ale nie rozróżniała słów, jakby Rob oddalił się od drzwi. A może mówił niewyraźnie, bo całował Elainę? Emily położyła kopertę ze zdjęciami na biurku Frań i napisała krótkie wyjaśnienie: *Frań, to są fotografie Cecelii Fontaine. Emily. Zamierzała wyjść, gdy usłyszała kolejne pytanie Elainy:*

- Ona też tam będzie mieszkać?

Emily znieruchomiała. Elaina mówiła o niej! Pogardliwym tonem, który tak bardzo pasował do krytycznego spojrzenia, jakim obrzuciła ją tego dnia, kiedy Emily robiła *jej* zdjęcia. Emily powinna w tym momencie wyjść, ale została i wysłuchiwała całej, złośliwej i krytycznej przemowy Elainy.

- Naprawdę? W tych ciuchach? Przyznaję, że jej nowy wizerunek w stylu Annie Hall jest trochę lepszy od wizerunku przywiedłego dziecka-kwiatu, ale mimo wszystko! To jest dla ciebie zenujące, Rob. Niezależnie od tego, jak dobre są jej fotografie, nie chcesz chyba, aby była chodzącą reklamą twojego pisma. Nie rozumiem, dlaczego czegoś ze sobą nie robi. Może była biedna latem, kiedy robiła zdjęcia na ślubie, ale płacisz jej tyle, że teraz stać ją na przyzwoite ubrania i wizytę u fryzjera. Jeśli chcesz, mogę z nią porozmawiać.

Przez chwilę panowała cisza. Jeśli Rob coś powiedział, zrobił to tak cicho, że Emily nie słyszała.

- Wiem, że niechętnie jedziesz z nią do Paryża, Rob - powiedziała miękko i uwodzicielsko Elaina. - Ale jeśli sama nie mogę z tobą pojechać, to jestem zadowolona, że będziesz z Emily. O nią przynajmniej nie muszę być zazdrosna.

Emily, z twarzą zalaną łzami, wybiegła z budynku na jasne, styczniowe słońce. Czy naprawdę Rob z niechęcią myślał o wspólnym wyjeździe? Czy był zażenowany jej wyglądem? Czy płacił jej tak dobrze, bo miał nadzieję, że zadba o siebie i przestanie kompromitować zarówno jego, jak i jego ukochane pismo?

Oczywiście. Nie powinna mieć co do tego wątpliwości.

Rob z niechęcią myślał o wyjeździe do Paryża, a ona nie mogła spać z radości. Ćwiczyła francuski, język swego dzieciństwa, przypominała sobie historię Francji i studiowała plan miasta, na wypadek gdyby mieli czas na zwiedzanie. Nie oczekiwała niczego innego niż zadowolonego uśmiechu Roba, kiedy się okaże, że dobrze zna język i może mu w czymś pomóc. Nie spodziewała się, że w ogóle zwróci uwagę na jej wygląd i że mógłby być z niej niezadowolony.

Stojąc na Wilshire Boulevard, blisko Rodeo Drive i Elegancji, zastanawiała się przez chwilę, co robić. Miała na koncie mnóstwo pieniędzy zarobionych u Roba. Mogłaby pójść do Allison, która tak doskonale znała się na modzie i na stylach. Razem wybrałyby się na Rodeo Drive, kupić wspaniałe ciuchy, w których Emily...

Allison też pewnie czuła się zażenowana w jej towarzystwie! Allison i Rob byli do siebie podobni - doskonale wychowani, grzeczni, uprzejmi - zbyt grzeczni i delikatni, aby dać jej odczuć, co naprawdę myśla.

Emily nie poszła do Elegancji ani do sklepów na Rodeo Drive. Przeszła na drugą stronę ulicy, na przystanek autobusowy. Chciała jechać do Santa Monica, do swojego ciemnego mieszkania w suterenie i fiolki z tabletkami, której nie otworzyła od wyjazdu Micka.

Nie warto było iść na zakupy. Żadne pieniądze świata ani fantastyczne ciuchy z Rodeo Drive nie zmieniłyby jej w kobietę wartą Roba Adamsona. Emily nie miała pojęcia, co z nią jest nie tak, wiedziała jednak, iż gdzieś w głębi tkwi w niej coś takiego, co zawsze niszczy delikatne i nieśmiałe uczucia nadziei i radości, jakie bardzo rzadko pojawiały się w jej sercu.

Wcześniej nawet nie przyszło jej do głowy, aby zapakować fiolkę z tabletkami do małej walizki, którą brała do Paryża. Ale teraz, w autobusie wiozącym ją do domu, kiedy pozbyła się złudzeń i nie cieszyła już z wyjazdu, postanowiła wziąć tabletki. Na wypadek, gdyby ból stał się nie do zniesienia.

- Nie złość się na mnie, Rob!

Rob słuchał tyrady Elainy z rosnącą furią i wybuchnął kilka sekund po tym, jak Emily wyszła z biura.

- Nie mów tak o niej!

Reakcja Roba zaskoczyła i przestraszyła Elamę.

- Ależ, Rob, nie miałam nic złego na myśli. Przecież zaproponowałam, że z nią porozmawiam i jej pomogę. Nie krytykowałam Emily, lecz jej wygląd. Nie złość się na mnie, proszę!

Rob spojrział w zaniepokojone i zdumione oczy Elainy i zastanowił się nad przyczyną swego gniewu. Był równie zły na siebie, co na Elainę. On też na początku wahał się, czy zatrudnić Emily, wyobrażając ją sobie jak odwiedza domy znanych ludzi jako przedstawicielka „Portretu” w starych dzinsach i pod wpływem narkotyków.

Teraz ubrania Emily w ogóle go nie obchodziły. Widział tylko, że jej szare oczy są jasne i czyste, i że czasami się uśmiecha.

- Przepraszam cię, Elaino, zareagowałem zbyt gwałtownie. Wiedz jednak, że Emily nie przynosi mi wstydu. Jestem dumny, że pracuje w moim piśmie. I nie życzę sobie, abyś z nią rozmawiała.

Rob nie powiedział Elainie, że cieszy się na wspólny z Emily wyjazd do Paryża.

Tydzień później Rob spacerował wzdłuż lewego brzegu Sekwany i w myślach oceniał wyjazd do Paryża.

Z punktu widzenia interesów udał się doskonale. Wywiady z czterema wiodącym projektantami wyszły świetnie. Łatwość przeprowadzenia wywiadów zawdzięczał Emily, która słuchała, uważnie i z uśmiechem, cicho podpowiadając bezbłędną francuszczyzną właściwe tłumaczenie, gdy francuskich projektantów zawodziła znajomość angielskiego.

Emily intrygowała projektantów swym perfekcyjnym francuskim, drobną figurą, tak charakterystyczną dla paryżanek, pięknymi słonecznozłotymi włosami, interesującą twarzą. Ale jej ubrania...

Każdy z kreatorów mody reagował na jej stroje ze zdumieniem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie są one zaprojektowane przez jakiegoś nieznanego twórcę z Kalifornii, który dopiero przebiję się na łamy „Vogue” i wybiegi Nowego Jorku i Paryża. Po namyśle odrzucali jednak taką możliwość i w miarę upływu czasu koniecznie chcieli ubrać Emily w swe wspaniałe kreacje z jedwabiu, satyny i szyfonu.

Szkolna francuszczyzna Roba pozwalała mu zrozumieć, że proponowano jej prezenty - *Un petit cadeau, chérie, s'il vous plait. Une blouse, une robe élégante, les pantalons à la mode* - i grzeczne, choć zdecydowane odmowy Emily.

Rob nie wiedział, czy Emily w końcu nie dawała się skusić na przyjęcie jedwabnej bluzki czy apaszki, ponieważ wychodził po przeprowadzeniu wywiadu, a Emily zostawała, aby robić swe słynne portrety. Widział ją dopiero następnego ranka, kiedy spotykali się w holu Ritza, żeby pojechać do studia mody.

Z punktu widzenia interesów wyjazd do Paryża był triumfem, natomiast z osobistego punktu widzenia - katastrofą.

Rob miał nadzieję, że w trakcie pobytu w Paryżu lepiej się poznają, znajdują jakieś wspólne zainteresowania poza pracą. Tak się jednak nie stało. Najpierw, w przeddzień wyjazdu z Los Angeles, Emily poprosiła Frań, żeby zamieniła jej miejsce w samolocie z klasy biznes na klasę turystyczną oraz odwołała rezerwację w Ritzu. Rob wiedział, że Emily z zasady nigdy nie lata pierwszą klasą ani nie zatrzymuje się w pięciogwiazdkowych hotelach, sądził jednak, że fakt wspólnej podróży zmieni jej nastawienie.

Początkowo przyszło mu do głowy, że może leci z nią jej facet, ten, którego widział nad brzegiem oceanu, ale następnego dnia na lotnisku Emily była sama, wyraźnie zdenerwowana jego towarzysztem.

Miał nadzieję, że przynajmniej będą spotykać się codziennie na śniadaniu w Ritzu, przy gorącej kawie i świeżo upieczonych rogalikach z masłem i pomarańczową marmoladą, rozmawiając choćby o czekającym ich dniu. Może mieliby okazję przejść się po Polach Elizejskich czy obok Luwru. Wieczorami, kiedy Emily wracała z sesji fotograficznych, mogliby jeść razem kolację w Dzielnicy Łacińskiej.

Miał nadzieję, że zostaną przyjaciółmi.

Tak się jednak nie stało.

Emily przychodziła do hotelu na parę minut przed umówionymi spotkaniem, siedziała z nim przy wywiadach, które dzięki niej kończyły się sukcesem, kiedy Rob wychodził, zostawała, aby zrobić zdjęcia, i na tym koniec. Raz zaproponował jej kolację. Emily spojrzała na niego zaskoczona i zaniepokojona, po czym przecząco potrząsnęła głową. Rob spędzał wieczory w swym apartamencie, pisząc wstępne wersje artykułów, popijając szampana, patrząc na Miasto Światła i zastanawiając się, co robi Emily i gdzie się ukrywa.

Operacja się udała - pomyślał Rob, spacerując o zmierzchu nad Sekwaną- ale pacjent umarł.

Przeszedł bulwarem Saint Michel do centrum Dzielnicy Łacińskiej. Przy kawiarnianych stolikach wystawionych na ulicę siedzieli studenci Sorbony. Rob nie miał złudzeń - kiedyś rozmawialiby o Sartrze i sensie życia, dziś z pewnością omawiali sytuację na giełdzie, najnowsze marki samochodów i dobry seks.

Dawno temu Rob spędził tu, w cieniu starych uniwersyteckich murów, romantyczny wieczór, dyskutując na tematy egzystencjalne z piękną Francuzką o *dużych*, inteligentnych oczach i kuszących ustach. Razem spędzili ten wiosenny wieczór, w oparach taniego wina i gauloisów,



prowadząc bardzo głębokie rozmowy na temat sensu, lub bezsensu, życia. Resztę nocy spędzili w łóżku i to było najżywsze wspomnienie Roba.

Teraz, gdy skręcił z bulwaru Saint Michel w bulwar Saint Germain, spostrzegł w księgarni Emily. Wyglądała na rodowitą paryżankę. Jej luźne spodnie i obszerna tunika pasowały do Dzielnicy Łacińskiej. Rob wahał się przez moment. Emily nie chciała przebywać w jego towarzystwie i dała mu to jasno do zrozumienia. Pożegnali się po wywiadzie u Diora; Rob wracał następnego dnia do Los Angeles, a Emily zostawała w Paryżu jeszcze przez tydzień.

Rob odwrócił się, żeby jej nie niepokoić, ale Emily już go zauważyła. Rob uśmiechnął się niepewnie, podchodząc bliżej.

- Cześć.

- Cześć.

- Czy sesja fotograficzna się udała? - spytał Rob, czując się bezpiecznie na gruncie zawodowym.

- O, tak, doskonale.

- Wydaje mi się, że wszystkie wywiady poszły bardzo dobrze, prawda?

- Tak. Mam nadzieję, że zdjęcia też będą udane.

- Na pewno. - Rob uśmiechnął się i powiedział łagodnie, choć na tyle stanowczo, aby nie dać jej możliwości odmowy: - Wypij ze mną kawę. Chciałbym, żebyś opowiedziała mi swoje wrażenia z Paryża.

Usiedli w Cafe de Florę i Emily przyznała, że czuje się w Paryżu prawie jak w domu.

- Czy chcesz się tutaj przeprowadzić? - spytał Rob z obawą.

Wiedział, iż będzie mu jej brakowało, ale, z drugiej strony, widział w jej oczach blask radości.

- Nie wiem. - Emily spojrzała dzielnie w uśmiechnięte, ciemnoniebieskie oczy, zastanawiając się, czy Rob wolałby, aby się przeprowadziła, i powtórzyła cicho: - Nie wiem.

- Jak długo zamierzasz tu zostać?

- Wracam do Los Angeles w sobotę. Za tydzień.

- I przez cały czas będziesz w Paryżu?

- Paryż, Wersal, dolina Loary. - Emily zmarszczyła brwi i dodała:

- Robię jeszcze coś dodatkowego.

- Dla Chateau Bel Air. Wiem. Nie mam nic przeciwko temu, Emily. Już ci mówiłem.

- Czy to Allison ci powiedziała? - spytała Emily.

Czyżby Allison chciała się upewnić, że Rob faktycznie nie ma nic przeciwko temu, pod warunkiem, że nie zaniedba pracy dla „Portretu”?

Emily miała cichą nadzieję, że Allison nie rozmawiała o niej z Robem. Nietak jak Elaina.

- Nie, wiem *od* Rogera Towne'a. Euforycznego, podekscytowanego i zachłannego Rogera Towne'a.

- Dlaczego zachłannego?

- Jestem pewien, że Roger chciałby całkowicie zawłaszczyć twój talent dla swoich hoteli na całym świecie.

- Och, cóż...

- Przebiję każdą jego ofertę - powiedział Rob. Wiedział, że Roger nie będzie namawiał Emily, aby rzuciła „Portret”, mimo że bardzo by tego chciał. Tak się po prostu nie robiło. Z drugiej strony miał szansę, żeby ponownie okazać Emily, jak bardzo cenił jej pracę.

- Nigdy nie opuściłabym „Portretu” - powiedziała, dodając w myśli: „Ani ciebie”.

- Mam nadzieję. Czyli ten najbliższy tydzień to nie będą prawdziwe wakacje?

Emily przechyliła głowę i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Co takiego?

- Nie powinnam ci tego mówić.

- Powiedz.

- Robienie zdjęć to nie jest praca.

Pracą jest przeżycie każdego następnego dnia - pomyślała. - Robienie pięknych zdjęć jest ucieczką od życia i samą radością...

Kiedy doszli do mostu Tournelle, Emily zatrzymała się.

- Tu skręcam do mojego hotelu. Dziękuję za kawę, Rob.

- Mieszkasz na wyspie św. Ludwika?

Strasznie tam ciemno - pomyślał Rob, spoglądając na drugą stronę rzeki. Jasne światła Dzielnicy Łacińskiej były bardzo daleko.

- Tak.

- Pozwól, że cię odprowadzę. Tu jest ciemno i pusto.

A w dodatku wcale nie chcę się z tobą rozstawać - pomyślał. - Choć ty, zapewne, jak zawsze, chciałabyś się już uwolnić od mojego towarzystwa.

- Dobrze. Dziękuję.

Po drugiej stronie mostu, na wyspie św. Ludwika, stały duże, stare domy - klasyczne wspomnienie świetności dawnego Paryża.

- To tutaj.

„Hotel” Emily był niewielkim budynkiem z małymi pokojami do wynajęcia, znany jedynie Francuzom, którzy przychodzili tu w kon-

kretnym celu. Drzwi wejściowe z matowego szkła, prowadziły wprost na słabo oświetlone, strome schody.

Rob postanowił odprowadzić Emily na górę. Prawdopodobnie nic jej tu nie groziło, ale...

Jej pokój znajdował się na samej górze po prawej stronie. Niewielkie pomieszczenie na strychu, surowe i pozbawione okien. Wąski materac, zapadnięty w środku, leżał na łóżku, z którego wystawały połączone sprężyny. Z sufitu zwisała goła żarówka, jedyne źródło światła. Przy zniszczonym stole stało kulawe krzesło. Na łóżku leżała rozłożona mapa Paryża, przytrzymana na rogach przewodnikami po mieście.

- Stary Paryż - mruknęła Emily, zawstydzona nagle, że Rob zobaczył jej pokój.

Czuję się tu lepiej niż w Ritzu - pomyślała w duchu, choć nie powiedziała tego na głos. Schyliła głowę, zasłaniając oczy i twarz falą jedwabistych włosów. Bardzo delikatnie i niemal odruchowo Rob odsunął włosy, szukając szarych oczu.

Kiedy jej dotknął, Emily zeszytniała, a w jej szarych oczach pojawił się strach.

-\* Nie, proszę. - Cofnęła się o dwa kroki. Za sobą miała łóżko.

- Emily?

- Proszę.

- Co się stało?

Rob zrobił krok naprzód i przerażenie w oczach Emily wzrosło.

- Idź, proszę, idź, proszę, nie rób mi nic złego... - Głos Emily brzmiał słabo i z daleka, jak prośba dziecka, której nikt nie słuchał, niespełniona modlitwa, błaganie o litość.

- Emily! - To jego się bała. Rob milczał przez chwilę, zdezorientowany i zaniepokojony. - Już idę, Emily. Przepraszam - szepnął wreszcie.

Zamknął za sobą drzwi i Emily wpatrywała się w nie przez łyzy. Po tem zaczęła drzeć pod wpływem przeżytych emocji. Ulgi... Rozczarowania... Bólu...

Ulgi, że Rob sobie poszedł.

Rozczarowania, ponieważ wierzyła, że jest inny niż wszyscy, a okazało się, że jest taki sam. No, trochę inny, bo posłuchał jej prośby. Nie, w zasadzie taki sam - pomyślała gorzko.

Ból, okropny, nie do wytrzymania ból, schowany bardzo głęboko.

Emily sięgnęła do małej walizki i wyjęła fiolkę z tabletkami, które dostała od Micka. Drżącymi rękami odkręciła zakrętkę i tabletki wysypały się na kolorową mapę Paryża. Emily zdjęła z Monmartre'u szarą

pigułkę w zielone cętki i szybko połknęła. Dwie inne tabletki włożyła na później do kieszeni płaszcza, na wypadek gdyby pierwsza za wcześnie przestała działać.

Teraz czuła się znacznie spokojniejsza. Wiedziała, że ucieknie. Przez kilka dobrych godzin nie będzie żadnego bólu. Za parę minut pigułka zacznie działać. Postanowiła zapomnieć o Robie i pomyśleć o światłach i kolorach Paryża, kształtach i intrygujących halucynacjach, które na nią czekały, o przyjacielskich potworach...

Spokój...

Rob stał na moście, wpatrując się w katedrę Notre Dame i usiłując zrozumieć cokolwiek z tego, co zaszło.

Czego właściwie bała się Emily? Co mógłby jej zrobić? Jak mogła myśleć, że potrafiłby sprawić komuś ból? A zwłaszcza jej?

Wyszedł z pokoiku na poddaszu, bo go o to prosiła, ale nie mógł tego tak zostawić. Szybkim krokiem ruszył z powrotem, wszedł na górę, przeskakując co drugi stopień i zastukał w zniszczone drzwi.

- Wpuść mnie, Emily.

Zadrżała ze strachu na dźwięk jego głosu i gwałtowne łomotanie do drzwi. Jednakże Rob był dokładnie taki sam, jak inni. Przynajmniej zdążyła wziąć pastylkę. Teraz będzie lepiej, ale...

- Emily?!

Powoli otworzyła drzwi. Uniosła do góry delikatną twarzyczkę i spojrzała na niego dumnymi, szarymi oczyma. Mądrymi mądrością wiecznego bólu.

Rob widział w jej oczach bolesną bezradność.

- Emily, proszę, powiedz mi, co się dzieje.

Emily poczuła lekkie dreszcze, sygnał, że tabletki zaczynają działać. Chciała, aby Rob się pospieszył.

- Emily?

- Wiesz, co się stało.

- Nie.

- Chciałeś... - Przez moment Emily szukała odpowiedniego słowa. - ... Seksu.

- Co? Nie, Emily. - Oczywiście, że chciał, ale jedynie pod warunkiem, że znalazłby w jej oczach przyzwolenie i pożądanie. - Wydawało mi się, że wstydzisz się tego pokoju. Odsunąłem ci włosy z twarzy, żeby na ciebie spojrzeć i przekonać cię, że nie ma się czego wstydzić. To wszystko.

Rob wrócił myślami do tego dziwnego, letniego wieczoru w Santa Monica. Dłonie kochanka Emily błędnymi brutalnie po całym jej ciele, a ona pozwalała... Albo narkotyki jej na to pozwalały.

- Powiedz mi, Emily.

- Co?

- Powiedz mi, dlaczego sądziłaś, że chcę się z tobą kochać? — I dlaczego myślałaś, że cię do tego zmuszę?, dodał w myśli.

- Kochać się! - wykrzyknęła gorzko Emily.

Pigułka zaczynała działać. Emily czuła się trochę pewniej.

- Kochać się - powtórzył cicho Rob. Być może Emily spostrzegła w jego oczach pożądanie, ale jej reakcja była niewspółmierna. - Dlaczego tak myślałaś?

- Bo tego chcą wszyscy faceci - odparła po prostu Emily.

- Może twój przyjaciel...

- Jaki mój przyjaciel?

- Widziałem was razem w lecie, parę dni po ślubie, na którym robiłaś zdjęcia. Byliście w Santa Monica.

A zatem wszystko o mnie wie - pomyślała Emily z bólem. - Zawsze wiedział.

- Posłuchaj, Emily, może jemu zależy wyłącznie na seksie, ale...

Narkotyk działał i jej złudzenia - że Rob był serdeczny i ciepły, ponieważ zauważył w niej coś dobrego, coś, czego nikt inny nie widział - znikły. Nie miała już nic do stracenia. Równie dobrze mogła mu wszystko opowiedzieć.

- Seks to wszystko, czego przez całe życie chcieli ode mnie mężczyźni - powiedziała. - Było ich wielu - dodała zaczepnie. - Od dawna.

- Od jak dawna? - spytał łagodnie Rob, obawiając się tego, co usłyszy.

Emily nigdy tego nikomu nie mówiła. W głowie zawirowały jej wspomnienia, wzmocnione tabletką. Przypomniała sobie tych, którzy wcześniej ją o to pytali. Lekarzy, kiedy usiłowała się zabić.

„Czy ktoś cię dotyka, Emily? Czy ktoś robi coś, czego nie chcesz?”. Zaprzeczała, bo wiedziała, że on jej dotykał z miłości i że sama tego chciała, chciała zasłużyć na miłość. Wiedziała też, że wszystko było w gruncie rzeczy jej winą.

Nigdy nic nie powiedziała ani lekarzom, ani pracownikom społecznym, ani psychologom w szpitalu, ani nauczycielom. Nie dowiedzieli się, dlaczego wzięła garść tabletek i o mało nie umarła. Jednakże Emily czegoś się nauczyła. Dowiedziała się, jak działają tabletki. Nim prawie

umarła, czuła coś cudownego, jakby fruwała w powietrzu. Gdyby mogła znów to poczuć, bez umierania...

Jeśliby zaś wzięła ich w końcu za dużo i umarła, to też nic by się nie stało.

- Kiedy to się zaczęło, Emily?

Nigdy nikomu nie powiedziała, a teraz zamierzała powiedzieć Robowi, gdyż desperacko starała się uwierzyć, że on jest inny.

- Dawno temu, od mojego ojczyma - odparła spokojnie.

- Czy chcesz mi o tym powiedzieć?

Spojrzał w jej oczy, szukając odpowiedzi, ale szare oczy stały się mgliste. Zobaczył tabletki rozrzucone na łóżku.

- Co wzięłaś, Emily?

- Coś szarozielonego.

- Nie wiesz co?

- Specjalnie spreparowane środki halucygenne. - Uśmiechnęła się prowokująco.

Rob był bezradny i bardzo zły. Zły na mężczyzn, przez których Emily bała się teraz jego i zły na nią, że uważała go za takiego samego, jak tamci. I zły na siebie, że wyszedł i dał jej możliwość szukania ukojenia w tabletkach.

A teraz Emily odchodziła od niego do innego świata.

- Chodźmy na spacer - zaproponował.

Zamierzał zostać z nią tak długo, aż znów odzyska nad sobą kontrolę. Może zechce z nim rozmawiać, może nie, ale w każdym razie nie będzie to w ciasnym, źle oświetlonym pokoiku z łóżkiem, na którym leżały narkotyki. Rob postanowił zabrać Emily do błyszczącego światłami miasta, aby uchronić ją przed demonami nocy i -jeśli mu się uda - przed demonami w jej sercu.

Rob widział, że Emily ma halucynacje. Od czasu do czasu przystawała, przekrzywiała głowę i uśmiechała się łagodnie, oczarowana światłem, kształtem lub kolorem. Potem to, co widziała, znikało. Przez chwilę wydawała się zaniepokojona, a potem szła dalej, dopóki nie zobaczyła czegoś nowego.

Emily prowadziła, a Rob szedł za nią. Była jak Alicja w Krainie Czarów. Rob nie wiedział nawet, czy zdaje sobie sprawę z jego obecności. Spoglądała czasem na niego, jakby zaskoczona, i uważnie mu się przyglądała. Prawdopodobnie w jego twarzy widziała kalejdoskop tysięcy innych. Miał tylko nadzieję, że wszystkie te twarze były przyja-

cielskie i że, gdzieś pod pokładami narkotyku i bólu, Emily wie, iż mu na niej *zależy*.

Wreszcie sztuczny świat zaczął się rozplýwać. Emily obrzuciła go zaniepokojonym wzrokiem i wrócili tam, skąd przyszedli - do nieśmiałego, zawstydzonego spojrzenia i uspokajającego dotyku Roba, który przywoływał jej bolesne i bojaźliwe życie.

Może Emily Rousseau nigdy nie dotknął żaden mężczyzna, któremu naprawdę na niej zależało.

Rob i Emily siedzieli w rogu kawiarni, o drugiej nad ranem nadal pełnej klientów. Zamówił kawę dla nich obojga.

- Czy chcesz rozmawiać o swoim ojczymie?
- Nie ma o czym mówić.

Wiele godzin wcześniej, w innej kawiarni, Emily była pełna życia i entuzjazmu. Teraz w jej na powrót czystych, szarych oczach, Rob widział smutek i zniechęcenie.

Nie wiedział, czy rozmowa mogłaby jej pomóc. Oczywiście znał takie sprawy z gazet, ale łatwiej było udawać, że ich nie ma. A przynajmniej, że dotyczą innych, obcych ludzi, kobiet, których nie znał i nigdy nie pozna. Ale teraz dotyczyło to pięknej, siedzącej obok niego kobiety, a Rob nie umiał jej pomóc.

- Możesz mi zaufać, Emily. Jestem twoim przyjacielem. Naprawdę. Myślę, że rozmowa by ci pomogła.

- Co chcesz wiedzieć?
- Ile miałaś lat? - zapytał, choć w duchu mówił sobie: „Niczego nie chcę wiedzieć. Chciałbym, żeby ci się to nigdy nie przytrafiło”.

- Dziesięć, jedenaście i dwanaście.
- To się zdarzyło więcej niż raz?
- Cały czas. Chciałam go powstrzymać - dodała cicho. - Prosiłam go.

- Nie mogłaś go powstrzymać. Jakim sposobem? Był dorosłym człowiekiem, a ty małą dziewczynką. To nie była twoja wina.

- Przekonał mnie, że była.
- Nieprawda. Nikt ci tego wcześniej nie mówił?
- Nikt nie wie. Nikt oprócz ciebie. Nie powiesz nikomu, prawda? - A zwłaszcza Elaine i Allison - pomyślała.

- Nie powiem. Obiecuję. - Rob uśmiechnął się łagodnie. Chciał jej dotknąć, przytulić, ale to by ją znów wystraszyło. - Nigdy nie powiedziałaś policji, nikomu?

- Nie.  
- Przestał, jak miałaś dwanaście lat?  
- Odszedł. - Ojczym zniknął następnego dnia po tym, jak Emily usiłowała popełnić samobójstwo. Matka była zrozpaczona i Emily miała jeszcze większe wyrzuty sumienia, bo wiedziała, że to też była jej wina. - A ja wyjechałam cztery lata później, jak tylko skończyłam szkołę.

- To było w Quebecu?

- Nie, przeprowadziliśmy się do małego miasteczka w północnej Kalifornii, kiedy matka wyszła drugi raz za męża. Ojczym był, jest, Amerykaninem. Adoptował mnie. Wróciłam do nazwiska ojca, gdy skończyłam osiemnaście lat. Mój ojciec był Francuzem. Rybakiem. Jego łódź wyrzuciła się i utonął, kiedy miałam trzy lata.

- Przykro mi.

Jakże inne byłoby życie Emily - wesołe i szczęśliwe - gdyby sztor-mowa fala nie uderzyła w małą łódkę.

Emily uśmiechnęła się smutno. Tylu rzeczy nie mogła już zmienić.

- Uciekłaś z domu? - spytał po chwili Rob.

On też w pewnym sensie uciekł z domu z dwunastoma milionami w banku i złotymi marzeniami, które były cudowniejsze niż luksusowe obietnice, jakie dostał w kołysce.

- Nikt nie próbował mnie zatrzymać. - Emily wzruszyła ramionami. - Przyjęli mnie na uniwersytet, ale zabrakło mi pieniędzy. Jeszcze w szkole pracowałam i oszczędzałam, ale i tak nie wystarczyło na czesne i na życie.

Rob wstrzymał oddech. Miał nadzieję, że Emily nie uciekła z domu na ulice Los Angeles. Nie, znalazła pracę - pracowała jednocześnie w dwóch lub trzech miejscach i wynajęła małe mieszkanie w suterenie w Santa Monica, którego nikt nie chciał. Pewnego dnia zobaczyła w oknie studia fotograficznego Jerome'ego Cole'a ogłoszenie, że poszukuje ktoś do pomocy.

- A później, pewnego czwartkowego dnia, Jerome się zatrzał i wysłał mnie, żebym robiła zdjęcia na ślubie, i... - Emily uśmiechnęła się. I potem Rob przyjął ją do pracy w „Portrecie”. Uśmiech znikł, gdy przypomniała sobie, że Rob od początku wszystko o niej wiedział, a mimo to nadal patrzył na nią tak łagodnie. - Nie spotykam się już z Mickiem - dodała.

- Z jakim Mickiem?

- Z tym, co go widziałeś.

To nieźle - pomyślał Rob - choć wciąż za mało.

- Jeśli nigdy z nikim nie rozmawiałaś... Nie sądzisz, że to by pomogło? Są ludzie...



- Myślisz, że ze mną jest coś nie w porządku? - Emily wpatrywała się w filiżankę z kawą, na próżno szukając jakiegoś dowodu, że pigułka jeszcze działała.

- Nie - odparł szybko i zdecydowanie Rob. Wpatrywał się w nią, dopóki nie podniosła na niego oczu. - Wiem, że nie ma w tobie nic złego, Emily. Byłaś niewinną ofiarą. - I wciąż jesteś - dodał w myśli.

- Nic mi nie jest.

Nieprawda - zaprzeczył w duchu Rob, przypominając sobie jej gwałtowną reakcję na lekki dotyk i natychmiastowe szukanie ucieczki w pigułkach.

Wrócili do małego pokoiku na wyspie św. Ludwika o wpół do czwartej. Rob zaczekał, aż Emily otworzy drzwi i zapali światło.

- Dziękuję - powiedziała.

Rob uśmiechnął się, szukając odpowiednich słów: „Nie ma za co. Proszę. Spędziłem miły wieczór”. Uprzejma odpowiedź byłaby kłamstwem. Przez cały czas, obserwując jej samotną desperację, walczył z własną bezsilnością. A teraz nie chciał się z nią rozstawać.

- Mój samolot do Los Angeles odlatuje jutro o czwartej po południu. Czy zjadłabyś ze mną wcześniej obiad?

- Tak.

- To dobrze. Przyjdę po ciebie o jedenastej.

- Dobrze.

Wychodząc, dojrzał kątem oka mapę Paryża z rozrzuconymi pigułkami.

- Obiecuj, że wyrzucisz te tabletki.

Emily tylko smutno się uśmiechnęła. Nie mogła mu tego obiecać.

## 18

Czy nadal wybieramy się do Aspen, Rob? - Elaina zdawała sobie sprawę, że prośba w jej głosie wynika ze zwykłego strachu.

Wobec Roba Adamsona nie była taka twarda i ostra, jak wobec innych ludzi. Przez całe życie zawsze dostawała to, czego chciała. A jeszcze nigdy nie chciała niczego tak bardzo jak Roba. Awantura przed wyjazdem do Paryża, jego zdumiewający atak złości, gdy odezwała się

krytycznie na temat Emily, mocno ją przestraszyła. Rob szybko się uspokoił, ale następnego dnia wyjechał i wspomnienie jego wybuchu nie opuszczało Elainy. Kiedy zadzwonił do niej z Francji, był jak zawsze miły, lecz Elaina wiedziała, że poczuje się lepiej dopiero, gdy Rob wróci.

Od wielu miesięcy planowali tygodniowy wypad do Aspen. Mieli wyjechać w piątek po powrocie Roba z Paryża i zamieszkać w nowo otwartym Chateau Aspen. To miał być wspaiały tydzień, namiętny i luksusowy, w najnowszym hotelu Rogera Towne'a.

Rob wrócił z Paryża nieswój i zamknięty w sobie. Zapewnił Elainę, iż nie ma to nic wspólnego z nimi, ale ona, nawet w łóżku, czuła dzielący ich dystans.

- Oczywiście, że pojedziemy do Aspen. Muszę tylko najpierw załatwić parę rzeczy.

To zrób to jak najprędzej - krzyknęła w duchu Elaina.

Chodziło oczywiście o jedno - jak Rob chciał pomóc Emily. Przez pięć kolejnych wieczorów, odkąd wrócił z Paryża, zamiast spędzać czas z Elainą na kolacjach przy świecach w Adriano lub Pod czterema dębami, siedział nad książkami w bibliotece medycznej na uniwersytecie. To, co czytał - historie takie jak Emily, dotyczące wielu osób - było przykre, ale okazało się, że jest nadzieja i możliwość pomocy.

W dodatku pomoc była blisko. Doktor Beverly Camden, wiodąca specjalistka, która sama padła w dzieciństwie ofiarą przemocy seksualnej, przyjmowała pacjentów w Santa Monica. Rob przeczytał obie jej książki: *Zagubiona mała dziewczynka* i *Mała dziewczynka odnaleziona*. Pierwsza mówiła o tragedii, zdradzie, utraconej radości, zaufaniu i niewinności; druga - o nadziei.

Rob spotkał się z doktor Camden w środę, dwa dni przed wyjazdem do Aspen. Lekarka w milczeniu wysłuchiwała opowieści Roba o „znajomej”.

- Przeczytałem pani książki - powiedział Rob na koniec. - I sądzę, że mojej znajomej można pomóc.

- Na pewno. Wygląda na to, że dużo osiągnęła własnym wysiłkiem.

- Naprawdę? - spytał z nadzieją Rob.

- Tak, Choćby to, że panu o tym opowiedziała.

- To dlatego, że wzięła jakiś narkotyk.

- Nie. Wiedziała, co robi. Są także inne pozytywne symptomy: ubranie, paznokcie. - Doktor Camden spojrzała w niebieskie oczy, które potrafiły zauważyć szczegóły pozornie bez znaczenia. Zadbane paznokcie, po wielu latach obgryzania, były ważnym symbolem odzyskania

chęci życia i pewności siebie, które temu dziecku kiedyś okrutnie odebrano. - Szuka utraconej godności - dodała.

- Zasłużyła sobie na więcej.

- Oczywiście. Tak jak wszyscy. Ale na razie czuje się jej pozbawiona.

- To przecież nie jest jej wina - szepnął Rob. - Jest niewinną ofiarą, jak kociak, którego w czasie burzy trafia piorun.

- Nie jak kociak. Kociak instynktownie wiedziałaby, że nie można wychodzić na dwór w czasie burzy. Pańskiej znajomej nikt nie ostrzegł przed niebezpieczeństwem. To co ją spotkało, było nieoczekiwane, na przekór wszystkiemu, czego wcześniej nauczyło ją życie. Z pewnością była szczęśliwym, ufnym dzieckiem. Być może cieszyła się, że będzie miała nowego tatusia. A on zapewne był dla niej bardzo miły, mówił, że ją kocha i że będą się razem świetnie bawić.

- Czy w czasie terapii musiałyby jeszcze raz przejść przez to, co się wydarzyło?

- Nie, niekoniecznie. Tylko, gdyby miało pomóc. Wiele kobiet w ogóle wyrzuca z pamięci molestowanie seksualne i przypomina sobie o nim dopiero dużo później, po wielu nieudanych związkach i małżeństwach zakończonych rozwodem. Ale pana znajoma pamięta. Musi się teraz skoncentrować na małej dziewczynce, która grała w klasy na boisku, żartowała z innymi dziećmi, uśmiechała do słońca i cieszyła na widok lodów i małych szczeniąt. Moja pomoc polegałaby na tym, aby na nowo odnalazła niewinność, uwierzyła w to, że radość, nadzieja i szczęście, które wtedy odczuwała, były prawdziwe i że to co zaszło, stało się z powodu jakiegoś koszmarnego pecha i nigdy więcej się nie powtórzy.

- Wydaje mi się, że i później jej się to zdarzało. Jest przekonana, że każdy mężczyzna chce ją zranić.

- Powiedział pan, że nosi ubrania, które mają raczej zasłaniać jej ciało i że jest bardzo piękna. Wyraźnie stara się ukryć swoją seksualność, ale to jej się nie udaje, bo w ten sposób wygląda, jak ofiara, a to przyciąga okrutnych mężczyzn.

- Nigdy nie przypuszczałem, że ubrania nadają jej wygląd ofiary - mruknął pod nosem Rob. Owszem, Emily wydawała się wrażliwa i krucha, ale żeby ktoś z tego powodu chciał ją zranić... W to trudno mi było uwierzyć.

- Dlatego, że pan nie należy do tych, którzy szukają ofiary.

- Czemu miałyby się zadawać akurat z takimi mężczyznami?

- Szuka miłości, tak jak wszyscy i jestem pewna, że ci mężczyźni mówią, iż ją kochają. To samo mówił jej ojczym. Dla niej seks jest

aktem przemocy, a nie aktem miłości i czułości. Niczego innego w życiu nie zaznała. Jednakże jakiś głęboko ukryty instynkt mówi jej, że musi istnieć coś lepszego. Wie o prawdziwej miłości, ale nie jest pewna, czy może tej wiedzy zaufać.

- Zaufać - powtórzył z zadumą Rob.

To był zasadniczy problem. Jak Emily mogła zaufać jakimkolwiek mężczyźnie? Pierwszy, któremu zaufała z miłością i niewinną radością zranił ją okrutnie.

- Najmniej ufa samej sobie - powiedziała doktor Camden. - I nie ufa mężczyznom. Czy ma jakieś przyjaciółki?

Rob przez chwilę zastanawiał się nad jej pytaniem. Czy Allison Fitzgerald, sympatyczna i uprzejma, była przyjaciółką Emily? Bardziej wynikało to z rozmów z Allison, która z dumą opowiadała o talencie Emily, wzdychając czasem z troską, niż z tego, co Emily mówiła o Allison. Rob przypomniał sobie rozmowę w Paryżu na temat pracy Emily dla Chateau Bel Air. „Czy Allison ci powiedziała?”, spytała Emily z błyskiem rozczarowania w oczach, jakby się obawiała, że Allison też nie można ufać.

- Na pewno są ludzie, którzy chcieliby się z nią zaprzyjaźnić - odparł wymijająco Rob.

Doktor Camden z zadumą pokiwała głową. Najwyraźniej Rob Adamson chciał się zaprzyjaźnić ze swoją znajomą. Co najmniej zaprzyjaźnić. Ciekawa była, czy tamta kobieta o tym wie. Raczej nie. Nawet gdyby Rob wyznał, jak bardzo mu na niej zależy, i tak by nie uwierzyła. Doktor Camden spojrzała na Roba i poczuła, że jego znajoma powinna jak najszybciej poszukać pomocy. Miała przed sobą wspaniałe życie.

- Czy przyjdzie do mnie na wizytę?

- Nie wiem. Pomyślałem, że mógłbym zrobić pani portret. - Rob urwał, nie chcąc zdradzić zbyt wiele na temat Emily. Ale w końcu pracowało dla niego wiele osób. - Ona pracuje w moim piśmie. Mógłbym tak to załatwić, żeby...

- Nie może jej pan oszukiwać - przerwała mu doktor Camden. - Nie może dać jej pan ani jednego powodu, dla którego bałaby się panu zaufać.

- Więc powinienem...?

- Powiedzieć jej prawdę. Niech jej pan powie, że przeczytał pan wszystkie dostępne materiały, spotkał się ze mną, a ja chciałabym, żeby do mnie przysłała. To może odnieść negatywny skutek - dodała ostrzegawczo. - Pana znajoma może to odebrać jako zdradę. Może być zła i zawiedziona.

- Nie mogę jej sobie wyobrazić rozgniewanej.
- A zatem nie ma pan pojęcia o wściekłości niewinnej ofiary.
- Chyba muszę zaryzykować, jeśli chcę jej pomóc - stwierdził.
- Chyba tak.
- Chciałbym także przygotować dla „Portretu” artykuł o pani i o pani pracy. Już dawno powinienem był o tym pomyśleć.
- Zrobimy to, kiedy pomożemy pańskiej znajomej. Teraz mogłoby to tylko wprowadzić zamieszanie, a nawet zniechęcić ją do przyścia do mnie.
- Dobrze. - Rob wstał. - Bardzo pani dziękuję za możliwość spotkania i rozmowy.
- Proszę bardzo. I wie pan co? Ona ma szczęście, że pana spotkała.

- Nie zaplanowałam twojego następnego spotkania z Emily - powiedziała Frań, gdy Rob wrócił do redakcji po spotkaniu z doktor Camden. - Ona wraca z Europy następnego dnia po twoim wyjeździe do Aspen. A potem wyjeżdża do Nowego Jorku. Ach, coś sobie przypomniałam. Lawrence Carlyle z pewnością dostanie nominację do Oscara za *Hongkong*. Dzwoniłam do jego studia w Londynie. Za dwa tygodnie wyjeżdża na trzy miesiące kręcić film w Afryce. Dobrze by było, gdyby Emily zrobiła mu zdjęcia teraz. Wiem, że będzie dzwonić przed wyjazdem z Europy, aby się dowiedzieć, co dla niej zaplanowałam. Mogłabym jej powiedzieć, żeby się zatrzymała w Londynie w drodze powrotnej.

- Lawrence Carlyle jeszcze nie ma nominacji.
- Ale ją dostanie. I wtedy Emily, czy ktoś inny, choć ona jest najlepsza, żeby coś z niego wydobyć, będzie musiała szukać go w buszu!
- Zrobi to, jeśli będzie trzeba. - Rob postanowił, że Emily będzie fotografować tylko tych nominowanych reżyserów i aktorów, którzy będą w Los Angeles. W ten sposób będzie mogła chodzić na codzienne sesje do doktor Camden. - Kiedy mogę się z nią spotkać?

Frań przerzuciła kartki kalendarza Roba, gdzie notowała na marginesach szczególnie podróży Emily i innych dziennikarzy.

- Chcesz się z nią spotkać przed ogłoszeniem nominacji?
- Chcę się z nią spotkać, jak tylko to będzie możliwe.
- Dobrze. Najpierw Emily będzie w Nowym Jorku, a ty w San Francisco. Najbliższa możliwa data to czternastego, zgoda? - Frań postukała paznokciem w obwiedzioną czerwonym sercem datę. - O trzeciej?
- Dobrze. Niech będzie o trzeciej. Nikogo już tego dnia nie umawiaj. Skąd to czerwone serce?

- Jesteś niepoprawnym romantykiem! - stwierdziła z lekką ironią Frań, - Wyobraź sobie, że czternastego lutego są walentynki.

Rob szybko podjął decyzję. Chciał rozmawiać z Emily sam na sam, bez żadnych przeszkód i kręcących się wszędzie pracowników.

- Jako prezent walentynkowy dla wszystkich zamykamy biuro o trzeciej - powiedział.

- Żartujesz.

- Nie. Przygotuj jakąś zabawną informację w kształcie serca i rozślij wszystkim.

- Z największą przyjemnością. Nadal chcesz się spotkać o trzeciej z Emily?

- Tak.

Allison siedziała przy wielkim, panoramicznym oknie w eleganckiej jadalni nowo otwartego Chateau Aspen i obserwowała burzę śnieżną. Obiema rękami objęła kubek z gorącą czekoladą i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Całkiem szczęśliwa siedziała w przytulnym, ciepłym wnętrzu, przyglądając się wirującym na wietrze płątkom śniegu.

Ten moment, ten weekend, wszystkie chwile spędzane w towarzystwie Rogera Towne'a były ciepłe i wygodne.

Dokładnie tak samo czuła się z Danem.

Ciepło bez ognia, które zawsze mogło zmienić się w pożar. Może ciepłe uśmiechy i radosny nastrój były początkiem płomieni, ale Allison nigdzie się nie spieszyło. Dotykali się oczami, uśmiechami i słowami, a nie dłońmi i ustami; dobrze im było razem, ale nie cierpieli bez siebie; pracowali w zgodzie i harmonii nad nowym Chateau Bel Air.

Bez względu na to, jakie były oczekiwania Rogera, respektował jej życzenia. Gdy Allison przybyła poprzedniego wieczoru na długi weekend do Aspen, natychmiast zaprowadził ją do eleganckiego apartamentu, jakby chciał od razu pokazać, że nie spodziewa się, aby dzieliła z nim pokój.

Kiedy Allison się rozpakowała, Roger pokazał jej hotel, a potem zaprosił na przejażdżkę saniami po Aspen, kolację przy świecach i wieczornego drinka przed kominkiem, gdzie piekli kasztany. Później odprowadził ją do pokoju i uśmiechnął na dobranoc.

Następnego dnia Allison obudziła się wcześniej i zeszła do jadalni przed narciarzami, o ile ktokolwiek w ogóle się wybierał na narty.

- Dzień dobry, Allison.

- Rob! Witaj. Jesteście. Roger już się martwił.

- Przyjechaliśmy późnym wieczorem. W Denver były duże opóźnienia z powodu burzy, która, jak widzę, dziś dotarła do Aspen.

- Czuję się tak, jakbym znajdowała się we wnętrzu szklanej kuli, którą ktoś potrząsa. Wiesz, o co mi chodzi? - Allison uśmiechnęła się.

- Mnie się to szalenie podoba, ale narciarze nie będą uszczęśliwieni.

- Burza szybko minie i niedługo znów zobaczymy niebieskie niebo i śnieżny puch. Nie jeździsz na nartach?

- Nie.

- Czy mogę się przysiąc? Roger zaraz przyjdzie?

- Możesz. Jeśli chodzi o Rogera, to nie mam pojęcia.

Allison zmarszczyła brwi. Ona i Roger nie byli kochankami. Rob tego nie wiedział, ale zakładał, że tak jest. Od nowego roku dwa razy spotkali się na kolacji z Robem i Elainą, a trzy dni przed wyjazdem do Paryża ona i Roger zjedli z Robem obiad w bistro.

- Czy Elainą zjedzie niedługo?

- Wątpię. Na pewno nie wstanie w ciągu najbliższych paru godzin.

- Rob usiadł naprzeciwko Allison i zamówił kubek gorącej czekolady. Pochylił się i spojrzał na jej prawie pełen kubek. - Już zjadłaś pianki?

- Nie miałam żadnych pianek!

- I Roger mówi, że to jest luksusowy hotel?

- Bo jest. Oprócz pianek, które na pewno można dodatkowo zamówić, nie brakuje tu właściwie niczego.

- Właściwie?

- No, pomyślałam, że mogliby tu postawić wygodny fotel, w którym można by przesiedzieć cały dzień z podwiniętymi nogami, popijając gorącą czekoladę.

- W jadalni?

- Tak. Czy uważasz, że to zbyt ekstrawaganckie?

- Nie. Czego tu jeszcze brakuje?

- Powiesiłabym na ścianach parę fotografii naszej przyjaciółki.

- Dobrze ją znasz? - spytał od niechcienia Rob, ucieszony, że Allison dała mu pretekst do rozmowy o Emily.

- Emily?

- Tak.

Allison się zawahała.

- Uważam Emily za przyjaciółkę - powiedziała po chwili namysłu.

- Bardzo ją lubię, ale znam ją raczej mało. Jest dość skryta.

- A ty nie lubisz wtrącać się w cudze życie.

- Nie, nie lubię. - Allison nie wiedziała, czy powinna mówić dalej, ale zobaczyła troskę w oczach Roba i kontynuowała: - Mam wrażenie,

że w przeszłości spotkało Emily *coś* bardzo dramatycznego. - Allison zmarszczyła czoło. - Poza tym, mimo swego talentu i urody, jest bardzo niepewna siebie.

- To prawda - przyznał cicho Rob.
- Wiem, że Emily jest szalenie zadowolona z pracy w „Portrecie” - dodała Allison.
- Naprawdę?
- Aha. Wydaje mi się, że bardzo lubi pracować z tobą- powiedziała, choć Emily nigdy nic takiego nie mówiła.
- Ach tak.

Przez kilka minut przyglądali się w milczeniu wirującym płątkom śniegu.

- A propos „Portretu” - zaczął Rob, przenosząc wzrok z białej, roztańczonej kurtyny za oknem na uśmiechnięte zielone oczy, złoto-czerwone loki i różowe policzki. - Chciałbym zrobić twój portret. Genialnej dekoratorki wnętrz.

- Mój?
- Tak. Chciałbym, aby ukazał się po otwarciu Chateau Bel Air, w sierpniowym lub wrześniowym numerze.

W czerwcowym numerze „Przeglądu architektonicznego” mieli pokazać Bellemeade. Taką decyzję podjęli Claire i Steve. Artykuł miał dotyczyć architektury budynku, jego historii, najnowszego wystroju wnętrza. .. Artykuł w „Portrecie” mówiłby o Allison, a nie o Bellemeade czy Chateau Bel Air.

- To mi bardzo pochlebia, Rob.
- Czy to znaczy, że się zgadzasz?
- Nie. Jeszcze za wcześnie.
- Myślisz, że jesteś gwiazdą jednego sezonu?
- Nie...

Ale nauczyłam się, żeby nie liczyć złotych medali, dopóki ich nie zdobędę - pomyślała.

- Czy to z powodu twojego wypadku? - spytał delikatnie Rob. - Trudno byłoby pisać o tobie, nie wspominając o jeździe konnej i wypadku - dodał szczerze.

- Wiem. To mi nie przeszkadza, dopóki się mnie nie przedstawia jako dzielnej bohaterki.

- Ale wykazałaś się przecież dużą dzielnością.
- Nie. Zrobiłam to, co musiałam, żeby przeżyć.
- ~ A więc?
- Na razie nie zależy mi na rozgłosie.



- W porządku. Sądzę, że sama nie zadzwonisz, jeśli się zdecydujesz, co?

- Nie.

- Będę cię pytał co pół roku, dobrze?

- Jasne. Rob, posłuchaj... - Nie chciała już dłużej ukrywać znajomości z Sarą.

W tym momencie zjawił się Roger. Przez następne pół godziny rozmawiali w trójkę, zachwycali się wspaniałą, bezgłośnie mocą burzy śnieżnej, pili czekoladę. Potem Rob wyszedł.

Allison pomyślała, że powie Robowi o swej przyjaźni z Sarą jakiegось innego, śnieżnego poranka. Ale po chwili nie była tego taka pewna. Na razie czuła ulgę pomieszaną z wyrzutami sumienia. Jej wyznanie zakłopotałoby ich oboje i Allison nie chciała przypominać Robowi jego cierpienia ani oglądać smutku w ciemnoniebieskich oczach.

Po dłuższym namyśle i przeanalizowaniu swych uczuć doszła do wniosku, że nigdy nie powie Robowi, że znała Sarę.

- Chodź do łóżka - szepnęła Elaina, starając się, aby prośba w jej głosie była jak najmniej słyszalna.

Rob stał przy oknie, wpatrując się w zawieję śnieżną. Wydawał się daleki, a ona tak bardzo go potrzebowała. Miała nadzieję, że dzień spędzony w łóżku, dzień seksu i śmiałej intymności przywróciłyby jej Roba.

- Jest dziewiąta, Elaino. Czas wstawać.

- Po co? Jesteśmy zasypani śniegiem. Możemy zostać w łóżku, zamówić jedzenie do pokoju, wziąć kąpiel, wrócić do łóżka...

- Umówiłem się z Allison i Rogerem na drinka. O siódmej.

- Dziś wieczorem! To dopiero za dziesięć cudownych, zmysłowych godzin. Do tej pory będziemy umierać z głodu. Rob?

Rob jej nie słyszał. Myślał o Emily, zastanawiając się z niepokojem, co powie jej czternastego. „Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek, Emily. A tu masz parę książek, które powinnaś przeczytać, bo nic nie wiesz o miłości i walentynkach, znasz tylko przemoc i zdradę. A to nazwisko lekarki, do której powinnaś pójść”.

Chciał jej pomóc, chciał, aby była szczęśliwa. Żałował, że nie ma jej teraz w tym pięknym apartamencie, ciepłym i bezpiecznym, gdzie mógłby spędzać z nią długie godziny, rozmawiając i słuchając, wypędzając demony z jej serca.

Mogliby się tutaj schować i wyjść dopiero, gdy skończy się burza śnieżna i burza w jej duszy. Od tej pory życie Emily byłoby już zawsze szczęśliwe.

Rob wiedział, że fantazjuje. Emily czułaby się tutaj, jak w klatce. Nie wierzyła, że zasługuje na piękne, luksusowe rzeczy i marzyłaby jedynie, aby stąd uciec.

Gdyby chciał ją tu zamknąć, zatrzymać wbrew jej woli, byłby taki sam jak inni, którzy ją krzywdzili i więzili.

Nawet gdyby, jakimś cudem, Emily zgodziła się tu z nim zostać, słowa były tylko słowami, obietnice - obietnicami. Lata bolesnych doświadczeń Emily nie mogły zniknąć pod wpływem jego pięknych słów o miłości. To musi być długi i trudny proces, wymagający czułości i cierpliwości.

Tymczasem Rob chciał uzdrowić Emily natychmiast, chciał jej pokazać, czym jest miłość.

Ale teraz dzielił pokój i łóżko z Elainą. Miał w życiu wiele kobiet. Seks był łatwym sposobem na spędzanie wolnego czasu.

Nie dla Emily. Dla niej seks był terrorem.

- Idę na spacer - powiedział Rob, reagując wreszcie na słowa Elainy.
- Ależ, Rob, jest burza! To niebezpieczne!
- Nic mi nie będzie.

Brań w głębokim, świeżym śniegu, popychany lodowatym wiatrem, zdając sobie sprawę, że światła, które oświetlają drogę, są niewidoczne w białej, mglistej zamięci.

I takie właśnie jest życie Emily - pomyślał ze smutkiem. Każdy dzień jest przedzieraniem się przez mglisty, niebezpieczny świat.

Zawsze wiedział, że Emily jest cudownie krucha i wrażliwa, ale teraz zdał sobie sprawę, iż posiada także niewiarygodną siłę. Ileż odwagi wymagało codzienne zmaganie się z wrogim światem. Ileż wysiłku, aby wbrew własnym przeżyciom i doświadczeniom szukać spokoju i piękna.

- Możesz już iść, Elaino. Ja muszę jeszcze wykonać parę telefonów. Powiedz, proszę, Allison i Rogerowi, że niedługo przyjdę.

- Dobrze. Dziś jest sobota wieczór, Rob. Zapomnij o „Portrecie” choć na chwilę. - Pocałowała go lekko w usta i wyszła.

Po południu, kiedy Rob wrócił z długiego spaceru...

Elaina nie umiałaby znaleźć słów, aby opisać, jak się kochali. Rob był łagodny, delikatny, czuły, ostrożny, kochający... Nigdy jeszcze tak się z nią nie kochał. Zachowywał się tak, jakby...

Nawet o rym nie myśl - upominała się w duchu Elaina. Ale nie udało jej się odpędzić tej strasznej myśli: Jakby kochał się z kimś innym.

Kiedy Elaina wyszła, Rob wykreślił numer, którego nauczył się na pamięć przed wyjazdem z Los Angeles. Numer Emily był zarówno w notesie Frań, jak i w książce telefonicznej.

Chciał ją tylko przywitać, jeśli zastałby ją w domu. Tego dnia miała wrócić z Francji.

Za pierwszym razem odczekał piętnaście dzwonek. Po dziesięciu minutach znów zadzwonił, tym razem licząc do trzydziestu.

Może tak było lepiej. Zadziałał impulsywnie, to mogło przestraszyć lub zaniepokoić Emily.

W drodze do apartamentu Rogera doszedł do wniosku, że powinien się raczej skoncentrować na tym, co powie Emily, kiedy się spotkają. To miały być bardzo ważne słowa. Musiał się dobrze przygotować.

## 19

W dniu św. Walentego *Miłość*, nowy film Daltona, był dużo bardziej zaawansowany, niż zakładały najbardziej optymistyczne plany. Steve przychodził na plan prawie codziennie, obserwując w milczeniu postępy prac.

Peter Dalton działał spokojnie, poważnie i cierpliwie, a jego profesjonalizm był najwyraźniej zaraźliwy, gdyż cała ekipa, łącznie z aktorami, pracowała w zupełnej harmonii nad filmem już teraz nazywanym filmem dziesięciolecia.

Nawet Bruce Hunter. Bruce bardzo lubił się bawić. Zasłynął ze swych romansów z gwiazdami, z którymi występował, i stał się symbolem egocentryzmu w Hollywood. Poniekąd miał do tego prawo - jego role zawsze przyciągały miliony widzów. Niesłuchanie przystojny, szalenie seksowny i w dodatku - o dziwo! - był dobrym aktorem. Został wybrany do głównej roli męskiej w *Miłości*, ponieważ w czasie próbnych zdjęć fantastycznie porozumiewał się na planie z Winter Carlyle.

Peter Dalton jako reżyser pozwalał aktorom na dużo swobody twórczej, zapewniając niezbędną pomoc i dając ogólne wskazówki. Zakładał, że każdy aktor jest poważnie zainteresowany odtwarzaną przez siebie postacią. Aktorki i aktorzy, z którymi zazwyczaj pracował - najlepsi aktorzy teatralni Nowego Jorku i Londynu - zawsze bez reszty angażowali się w swoją pracę.

Bruce Hunter był wyjątkiem. Nie zastanawiał się nad charakterem ani motywacjami swego bohatera, lecz oczekiwał dokładnych wskazówek od reżysera i sumiennie je wypełniał.

- Tę ostatnią linijkę powinieneś wyrazić bardziej szczerze, Bruce - mówił Peter.

- Bardziej? Dobrze. Tak, jak teraz?

Bruce odgrywał swoją rolę dokładnie tak, jak mówił mu reżyser i z każdą perfekcyjnie wykonaną sceną był coraz bliżej Oscara.

- Więcej uczucia, Bruce.

- Więcej uczucia? Co masz na myśli, Pete?

- Masz na nią patrzeć tak, jakbyś mógł oddać za nią życie - wyjaśnił cicho Peter.

- O rany!

- Zrób to.

- Dobrze.

Praca Petera z Bruce'em była łatwa, ale mało inspirująca. Z Winter było inaczej - łączyła ich poważna, analityczna i artystyczna współpraca. Winter odbierała rolę Julii bardzo uczuciowo. Chciała jak najlepiej zagrać każdą linijkę tekstu i jak najlepiej przedstawić każdy niuans. Początkowo miała wątpliwości co do swego talentu, lecz dzięki spokojnej pomocy Petera jej pewność siebie rozkwitła, a naturalny talent rozwijał się z dnia na dzień.

- Jesteś zadowolona z tej sceny? - pytał Peter w czasie przerwy, czekając cierpliwie na uctwiwą odpowiedź Winter.

- Nie całkiem - przyznawała szczerze Winter.

- Co ci się nie podoba?

- Nie wiem, Peter. Coś mi tu nie gra. A co ty sądzisz?

Peter i Winter spokojnie analizowali wybraną scenę i próbowali tak długo aż, w ich przekonaniu, nic już nie można było poprawić.

- Stop! - powiedział Peter tuż przed południem czternastego lutego. - Przerwa na obiad.

Ekipa rozeszła się. Bruce Hunter, jak zwykle, wydawał się lekko zagubiony. W większości filmów, w których grał, przerwa na obiad stawała się okazją do flirtów, a nawet szybkiego seksu w jego przyczepie. Tutaj było inaczej. Wcześniej Bruce wyobrażał sobie, że będzie miał romans z piękną Winter Carlyle, ale Winter interesowała się jedynie swoją pracą. Po chwili Bruce wzruszył ramionami i poszedł zjeść obiad z ekipą techniczną.

W dwie minuty po ogłoszeniu przerwy plan opustoszał, została jedynie Winter. Nie ruszyła się z kanapy, na której siedziała w ostatniej scenie.

- Jesteś zielona - powiedział Peter.

- Co? - Winter bardzo powoli odwróciła głowę. Od szybszych ruchów robiło jej się niedobrze i kręciło w głowie.

- Jesteś zielona - powtórzył z łagodnym uśmiechem Peter. - Nawet przez filtr.

- Grypa.

Peter kiwnął głową.

- Odwiozę cię do domu.

- Jeszcze nie skończyliśmy.

- Skończyliśmy.

Peter i Winter mieszkali niedaleko siebie i mogliby codziennie przyjeżdżać razem na plan, ale to zmieniłoby ich wzajemne stosunki. We wczesnych godzinach rannych i późnowieczornych zbyt łatwo mogliby zbroczyć z rozmów o filmie na tematy bardziej osobiste.

W czasie tych wczesnych i późnych wspólnych podróży Peter mógłby, na przykład, spytać Winter o Allison.

„Opowiedz mi o Allison, powiedziałyby. Czy ma kogoś? Czy jest zakochana?”

Winter bez trudu potrafiłaby odpowiedzieć na te pytania, ale nie byłaby w stanie dać mu odpowiedzi na to najbardziej kłopotliwe: „Dlaczego ciągle myślę o Allison Fitzgerald?”

W drodze z Burbank do Westwood, w dzień św. Walentego, Peter i Winter nie odzywali się do siebie. Winter walczyła z nudnościami. Peter uśmiechał się do niej ze współczuciem, ale nie chciał jej przeszkadzać.

Kiedy dojechali na Holman Avenue, Peter odprowadził Winter pod drzwi jej mieszkania na drugim piętrze.

- Zauważyłem po drodze chińską restaurację - powiedział. - Przyniosę ci rosół i piwo imbirowe.

Winter uśmiechnęła się niepewnie.

- Mam w domu zupę. Dam sobie radę, naprawdę.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Dobrze. Postanowiliśmy ze Steve'em już dziś zacząć trzydniowy weekend. Zadzwoni do mnie w niedzielę i powiedz, czy możesz przyjść na plan w poniedziałek.

- Na pewno będę mogła.

- Zadzwoń.

- Dobrze.

Peter wrócił do Bełlemeade, z roz targnieniem rzucił Bułeczce piłkę tenisową i pomyślał o Allison Fitzgerald.

Postanowił, że się z nią zobaczy.

- Allison?

Allison podniosła głowę znad fotografii, które starannie rozłożyła na biurku. Dwie godziny wcześniej przełożyła na podłogę najnowsze katalogi Henrendona, Clarence House, Bakera oraz Brunshwiga i Filsa, żeby zrobić miejsce na dwanaście długich czerwonych róż, które dostała od Rogera. Godzinę później, gdy Emily przyniosła zdjęcia, które zrobiła we Francji, Allison zdjęła resztę rzeczy z biurka.

Teraz pachnące róże stały obok wspaniałych fotografii Paryża, Wersalu i doliny Loary.

- Peter - szepnęła zaskoczona Allison. - Cześć. Dziś nie kręcicie?

Starła się mówić całymi zdaniami, ale trudno jej było w ogóle cokolwiek powiedzieć, patrząc w jego brązowe oczy.

- Winter jest chora. Kamerzyści próbowali każdego możliwego filtru, ale ciągle była prawie zielona.

- Och. - Allison poderwała się z krzesła. Peter tu jest, bo przysłała go Winter. - Czy mam...

- Nie, odwiozłem ją do domu. Ma grypę, albo się czymś zatrzymała, albo po prostu za ciężko pracuje. Obiecała, że zje trochę zupy i się prześpi - mówił Peter głosem daleko bardziej niepewnym, niż można by się spodziewać po sławnym reżyserze. - Postanowiłem wpaść i zobaczyć, co robisz.

- Och.

- Co robisz?

- Oglądałam te zdjęcia, żeby wybrać najlepsze.

Peter podszedł bliżej.

- Wszystkie są najlepsze - stwierdził po chwili. - Są genialne.

- Ja też tak uważam.

- Na pewno robiła je Emily Rousseau, której fotografie wiszą w Bełlemeade?

- Tak, to ona. Prawdopodobnie widziałeś też jej prace w „Portrecie”. Od grudniowego numeru prawie wszystkie zdjęcia są jej dziełem.

- Allison spojrzała na niego z uśmiechem, oczekując potwierdzenia, ale Peter milczał. - Nie czytujesz „Portretu”?

- Nie - odparł cicho. Spoglądał to na cudowne zdjęcia Le Petit Trianon w Wersalu, to na lekko zaskoczone, uśmiechnięte, zielone oczy Allison. - Czy mogłabyś zjeść dziś ze mną kolację?

- Och! Ja... Już jestem umówiona.

- Czerwone róże?

- Tak, to jest... - „Tylko klient”? Allison nie mogła już tak powiedzieć o Rogerze. - Tak.

Teraz Peter miał odpowiedzi na swoje pytania.

Dlaczego wciąż o niej myślał? Bo była kimś bardzo specjalnym. Czy miała kogoś? Tak.

- To ja już pójdę. Miło mi było cię zobaczyć, Allison. Powodzenia w wyborze zdjęć. - I żegnaj, dodał w myśli.

- Dziękuję - szepnęła Allison. - Do widzenia.

Przyglądała się, jak Peter wychodzi ze sklepu w słoneczne popołudnie na bulwarze Wilshire i znika.

Teraz będzie mogła wspominać jego wizytę, tak jak wspominała poprzednie trzy z nim spotkania, dając im nowe zakończenia. Nim poznała Daltona, w jej życiu było tylko jedno wydarzenie, które chciałyby zmienić - wypadek przy skakaniu przez przeszkodę, który zniszczył jej marzenia. Ale teraz, z powodu Petera, chętnie pozmieniałaby i inne sceny. Dlaczego nie wróciła z nim do stajni tamtego grudniowego ranka? Dlaczego nie zaprosiła go na kolację wigilijną z rodzicami, kiedy spotkali się w klubie?

Dreączyła się wspomnieniami starych spotkań i wymyślała nowe. Poprzedniego wieczoru w sklepie w Santa Monica zobaczyła małego pieska-zabawkę z czerwoną wstążką na szyi i przez chwilę wahała się, czy by nie kupić walentynkowego prezentu dla Bułeczki.

Szybko porzuciła ten pomysł i przywołała się do porządku. Właściwie nie знаła Petera Daltona. Dlaczego więc wciąż o nim myślała?

Teraz spojrzała na wazon z różami od Rogera. To była miła rzeczywistość. W tamten zasypany śniegiem weekend w Aspen jej stosunki z Rogerem nabrały nowych barw. Były długie pocałunki przy kominku, łagodne spojrzenia i radosny śmiech. Później, w czasie rozmów telefonicznych, Roger i Allison rozmawiali o dwóch dniach, które mieli spędzić razem, rozpoczynając od walentynkowego wieczoru. Dwa dni i dwie noce, z kolacją w Adriano, w towarzystwie Roba i Elainy. Następnego dnia mieli oglądać zdjęcia Emily, podejmując decyzje dotyczące wystroju Chateau Bel Air, a później byłoby już tylko razem do soboty wieczór, gdy Roger odlatywał do Chicago.

A dziś wieczorem, i jutro, albo i dziś i jutro, i w sobotę, będą się kochać, łagodnie, delikatnie i czule. I tak będzie dobrze, prawda?

Za miesiąc Peter Dalton skończy kręcić *Miłość* i wróci do Nowego Jorku. Allison nigdy więcej go nie zobaczy.

Jednakże jeszcze wielokrotnie będzie wspominać jego tajemniczą wizytę w Elegancji w dzień św. Walentego. Czy zechce zmienić i jej zakończenie?

Tak. Wobec tego powinnaś zrobić to natychmiast! - rozkazał jakiś głos, który nie był głosem rozumu. Rozum mówił jej, że Roger jest cudownym i odpowiednim dla niej mężczyzną. Tamten drugi głos pochodził... może z serca?

Allison nie wiedziała i nie chciała się teraz nad tym zastanawiać. Po prostu posłuchała rozkazu.

Gdy wyszła z Elegancji na lutowe słońce, Peter był już prawie za rogiem ulicy.

- Peter!

Dziwnym trafem usłyszał na gwarnej ulicy jej ciche wołanie. Odwrócił się akurat w momencie, gdy Allison zaczęła obcasem o kratkę kanalizacyjną na chodniku. Jęknęła, kiedy gwałtowne skręcenie nogi spowodowało ostry ból biodra. Szybko odzyskała równowagę i ruszyła z uśmiechem w stronę Petera.

- Nic ci się nie stało? - spytał, podbiegając. - Kulejesz.

- Nic mi nie jest. - Allison lekko zmarszczyła brwi. Peter nigdy nie widział, że kuleje. Pomyślała, że ani ona *nie* zna jego, ani on jej. - Ja zawsze kuleję - powiedziała.

- Och. - Peter uśmiechnął się. Był taki szczęśliwy. Wychodził od niej z poczuciem bolesnej straty i miał zamiar wrócić do Elegancji. - Czy czegoś zapomniałem?

- Tak.

Muszę być odważna - pomyślała Allison. Kiedy Rob nazwał ją odważną, tamtego ranka w Aspen, odparła uczciwie: „Zrobiłam, co mogłam, aby przeżyć”. Może teraz też musiała coś zrobić, aby przeżyć, może jej serce wiedziało lepiej niż rozum.

- Zapomniałeś mnie zapytać, czy wybrałabym się z tobą na konną przejażdżkę w niedzielę rano - powiedziała bardzo odważnie.

- To prawda - odparł Peter. - Chciałabyś?

- Tak.

Emily przyjechała na spotkanie z Robem pół godziny za wcześnie i czekała na dole, aby punktualnie wjechać windą na górę. Siedziała spokojnie, niemal nieruchomo, ale serce waliło jej jak oszalałe, a w głowie kłębiły jej się przerażające myśli.



Czy Rob wywiózł z Paryża nieprzyjemne wspomnienia? Czy zapamiętał jej szklany, nieprzytomny wzrok i wszystkie te obrzydliwe rzeczy, które mu o sobie opowiedziała? A jeśli nie chciał już, aby dla niego pracowała? Jeśli nie może na nią patrzeć?

Emily modliła się w duchu, żeby wszystko było jak dawniej. Nawet nie marzyła o czymś więcej. Wprawdzie czasem śniło jej się, że Rob mówi do niej łagodnie i z troską, ale zdawała sobie sprawę, że nie powinna na to liczyć.

Za dwie minuty trzecia wsiadła do windy i wjechała na piąte piętro. Kiedy drzwi się otworzyły, Rob czekał na nią w korytarzu, chodząc tam i z powrotem między swoim gabinetem a windą.

- Witaj. - Uśmiechnął się i wziął od niej naręczę papierowych teczek. - Daj mi to.

- Witaj. Dziękuję. Przyniosłam portrety paryskich projektantów i to, co w tym tygodniu zrobiłam w Nowym Jorku.

- Świetnie.

Pierwsze pół godziny ich spotkania nie różniło się od poprzednich. Rob wyraził swój podziw dla znakomych fotografii, Emily uśmiechnęła się nieśmiało i razem wybrali zdjęcia, które miały się ukazać w piśmie.

- Chciałbym z tobą porozmawiać o wydaniu oscarowym - powiedział Rob, kiedy skończyli wybierać fotografie z Paryża i z Nowego Jorku. Wkraczał teraz - przez pracę - na nowe, niebezpieczne i bardzo ważne terytorium dotyczące życia i szczęścia Emily.

- Dobrze.

- Wolałbym, abyś robiła tylko zdjęcia ludzi, którzy będą tu, na miejscu. O ile mi wiadomo, spośród wszystkich nominowanych zabraknie tylko Lawrence'a Carlyle'a, który jest teraz w Afryce. Jeśli to się nie uda, będziemy musieli zmienić plany, ale...

- Dobrze.

- Dobrze? - powtórzył zdezorientowany Rob, który miał już przygotowane argumenty, przekonujące Emily, że wyjazdy nie będą konieczne. Ona tymczasem zgodziła się zostać w Los Angeles. To znaczyło, że może od razu zacząć wizyty u doktor Camden.

- Tak, zgadzam się.

Jeśli będę na miejscu, pracując nad wydaniem oscarowym, możemy się spotykać co tydzień - pomyślała Emily. I wszystko będzie tak, jak przedtem.

- Świetnie. - Rob uśmiechnął się. To było łatwe. Teraz przyszedł czas na trudną i najważniejszą część.

Podszedł do biurka, wyjął z zamkniętej na klucz szuflady dwie książki i wrócił do Emily.

- Kupiłem te książki dla ciebie, Emily.

Spojrzała na książki, które Rob trzymał w ręce. *Zagubiona mała dziewczynka* i *Mała dziewczynka odnaleziona*. Przeczytała streszczenie na tylnej okładce i natychmiast się nastroszyła.

- Przeczytałem te książki, Emily, i rozmawiałem z ich autorką, doktor Camden.

- Powiedziałaś jej o mnie?!

A przecież obiecał - pomyślała ze złością. Ciekawe, czy powiedział też Elaine i Allison?

- Powiedziałem doktor Camden, że mam znajomą...

- Znajomą?

- Bardzo bliską znajomą. Nie podałem żadnych szczegółów, które pomogłyby ci zidentyfikować. Ona chciałaby z tobą porozmawiać. Sama jest ofiarą przemocy. Może ci pomóc.

- Mnie czy tobie? To ty jesteś skrepowany, że pracuję w twoim cudownym piśmie. To ty myślisz, że ze mną jest coś w nie w porządku, i że coś trzeba naprawić.

- Niczego takiego nie myślę. Skąd ci przyszło do głowy, że mógłbym być skrepowany?!

- Wiem, że tak jest. - Emily wstała i potrząsnęła dłońmi zaciśniętymi w pięści.

- Nie. Zależy mi na tobie, Emily! Bardzo mi zależy. Nie ma w tobie nic złego. Zostałaś skrzywdzona i można ci pomóc, to wszystko. Możesz być szczęśliwa.

- Szczęśliwa? Szczęście jest dla takich jak ty, nie dla mnie. - Emily urwała na chwilę, po czym kontynuowała zimnym, syczącym szeptem: - Chciałam ci zaufać.

- Zapewniam cię, że możesz mi ufać.

- O nie! Ale nie martw się, ty i Elaine nie będziecie już się musieli dłużej za mnie wstydzić. Od tej chwili nie pracuję u ciebie. Do widze-

Emily była już tuż przy drzwiach, gdy zatrzymał ją gniewny głos Roba.

Odwróciła się do niego. W jej szarych oczach widział strach i rezygnację. Wiedziała, że ją zrani i nie broniła się przed tym. Wyraz jej oczu jeszcze bardziej rozżłościł Roba.

- Weź to - powiedział, wciskając jej do rąk książki doktor Cam-

Wzięła je odruchowo, ale skurczyła się w sobie, jakby to też było zdradzieckim działaniem. Rob zamknął na sekundę oczy, usiłując się opanować, gdyż w tej chwili chciał jedynie przytulić ją i zatrzymać przy sobie, dopóki nie zrozumie, o co mu chodzi i nie przyjmie jego pomocy. Jednakże Emily potraktowałaby to jako kolejny przejaw gwałtu i brutalnej napaści. Rob odetchnął głęboko.

- Proszę cię, Emily, weź te książki i je przeczytaj - powiedział przez zaciśnięte zęby. -1 pomyśl o tym, żeby pójść do lekarza.
- Ja już tu nie pracuję. To nie ma znaczenia.
- Owszem ma - szepnął Rob, przyglądając się, jak przed nim ucieka. - Ma wielkie znaczenie.

Przez dwie godziny po wyjściu Petera Winter siedziała w salonie i walczyła z falami nudności. Wreszcie poczuła się na tyle dobrze, że była w stanie przejść dwie przecznice do pobliskiej apteki przy Westwood Avenue.

Kupiła trzy różne zestawy, choć w gruncie rzeczy nie potrzebowała żadnego potwierdzenia. Wiedziała. Wiedziała co najmniej od miesiąca.

Tępy m wzrokiem wpatrywała się w czerwoną kreskę.

„Wynik pozytywny - przeczytała. - Gratulacje, jesteś w ciąży”.

Teraz miała dowód - niemal w kolorze swoich oczu. Ciekawe, czy moje dziecko, nasze dziecko, będzie miało fiołkowe oczy tak jak ja, czy też szafirowe tak jak Mark? - pomyślała.

Pięć godzin później Mark, ze zmarszczonym czołem, parkował przed domem Winter. Nie widział nigdzie jej samochodu. Powiedziała mu, że będzie wcześniej w domu. Najpóźniej o szóstej.

Prawdopodobnie wyszła po czekoladki w kształcie serca - pomyślał z rozczuleniem, wyjmując z samochodu długie, czerwone róże.

Myśl o Winter, kupującej walentynko wy prezent, sprawiła mu radość. Myślenie o Winter zawsze sprawiło mu radość. W szpitalu codziennie był świadkiem smutku, tragedii i żalu, ale wspomnienie Winter nieodmiennie poprawiało mu nastrój. Tak bardzo ją kochał i tak bardzo był szczęśliwy.

W mieszkaniu Winter panowała całkowita ciemność. Przeszedł go lodowaty dreszcz. Gdzie ona jest?

Kręci film - szybko znalazł odpowiedź, nagle zdając sobie sprawę, jak czuła się Winter, gdy dzwonił, aby powiedzieć, że wróci za godzinę,

a nim wypełnił papierki, sprawdził zdjęcia rentgenowskie i załatwił parę drobiazgów minęły dwie lub trzy godziny.

Winter opowiadała mu, jak szybko leci czas na planie. Zdawało jej się, że pracowali nad jakąś sceną przez godzinę, a okazywało się, że nadeszła pora obiadu. Kręcenie filmu przypominało pod tym względem pracę w szpitalu; czasu nie odmierzają minuty i godziny, lecz zajęcia, które należało wykonać. Puncja lędźwiowa, dwie próbki krwi, kroplówka, scena w samochodzie, scena na plaży, jeszcze jedno zbliżenie...

Mark zapalił światło w kuchni, postawił wazon Lalique rzeźbiony w kryształowe przepiórki - urodzinowy prezent od Allison - obok zlewu i rozwinął różę ze złotej folii. Kiedy zobaczył rondel z zupą na kuchni i paczkę słonych krakersów na ladzie, zmarszczył z niepokojem brwi. Winter była już w domu i zostawiła na kuchence nieprzykrytą zupę, choć zawsze chowała wszystko do lodówki z obawy przed salmonellą.

Wyszedł z kuchni na poszukiwanie dalszych śladów, które pozwoliłyby mu odgadnąć, co się stało z Winter. Zapalił światło w salonie i spostrzegł na krześle jej płaszcz i portmonetkę. Z rosnącym zaniepokojeniem poszedł do sypialni. Drzwi były otwarte. Światło z salonu miękko oświetlało łóżko, tworząc błyszczącą aureolę nad czarnymi włosami rozrzuconymi na poduszce.

Mark po cichu wszedł do środka, nie chcąc budzić Winter, a jednocześnie poważnie zdenerwowany tym, że śpi. Ukłękł przy łóżku i delikatnie pocałował ją w czoło.

- Mark. - Winter otworzyła oczy, nie bardzo wiedząc, co się dzieje. W pokoju i za oknem było ciemno, Mark przyjechał. Chciała się tylko przez chwilę zdrzemnąć. Wcześniej zeszła do piwnicy, żeby wyrzucić do pojemnika na śmieci testy ciążowe i od tego zakreśliło jej się w głowie. Postanowiła się przespać, potem zjeść zupę i pomyśleć nad tym, co dalej.

- Co ci jest? Gdzie twój samochód?

- W studio. Peter podwiózł mnie do domu.

- Jesteś chora? - Mark jedną ręką zbadał jej puls, drugą dotknął czoła.

- Czy wyglądam na chorą?

- Masz lekko przyspieszony puls, ale chyba bez gorączki.

Miała przyspieszony puls pod wrażeniem jego dotyku, ale fizycznie była zdrowa. Nie mogła temu akurat lekarzowi opowiedzieć swojej historii: „Widzi pan, zrobiłam coś szalonego i zaryzykowałam. Tylko ten

jeden, jedyny raz! Jedna cudowna, namiętna noc z ukochanym człowiekiem".

- Co ci dolega? - spytał Mark.

Winter spojrzała w kochające, zatroskane niebieskie oczy i przypomniał jej się ból tych samych oczu, gdy Mark opowiadał jej o swoim dzieciństwie bez ojca i o tym, że musi bardzo uważać, aby nie powtórzyć tego samego błędu.

To nie ty popełniłeś błąd - pomyślała. To moja wina.

- Jestem trochę zmęczona. Nic mi nie będzie. - Winter usiadła, poczuła zawrót głowy i uśmiechnęła się słabo.

- Odgrzeję ci zupę. - Mark pocałował ją w czubek nosa. - Pójdę, zapalę gaz i zaraz wracam.

Winter, słuchając dobiegających z kuchni hałasów, nagle wiedziała, co zrobi. Jakby jej wątpliwości rozwiały się podczas snu.

Za miesiąc Mark miał się dowiedzieć, czy dostanie staż w Bostonie i wtedy będą musieli podjąć jakieś decyzje. Jeśli Mark zechce, aby wiedli wspólne życie w Bostonie, powie mu o dziecku. Jeśli nie, nigdy się o nim nie dowie. Winter przestanie się z nim widywać, nim zauważy w niej jakiegokolwiek zmiany.

Jakie to wszystko było łatwe! Jeżeli Mark jej nie zechce, nadal będzie mógł żyć swoim marzeniem, którego nikt nie zniszczy. Winter nigdy nie będzie nalegać, aby powtórzył błąd swego ojca. I nie pozwoli sobie na powtórzenie błędu swojej matki.

Czuła w sobie nowe życie i zastanawiała się, jaki wpływ miało podobne wydarzenie na miłość Jacqueline Winter i Lawrence'a Carlyle'a. Czy byli namiętными kochankami, którzy nigdy nie braliby ślubu, gdyby nie dziecko? Może Jacqueline kochała Lawrence'a tak samo desperacko i z pełnym zaufaniem, jak ona kochała Marka? Może wierzyła, nawet jeśli Lawrence nie kochał jej wystarczająco, że jakoś to będzie?

Jednak małżeństwo jej rodziców zakończyło się fiaskiem.

„On nas nie chce” - powiedziała szczerze i gorzko Jacqueline sześćdziesięcioletniej córce.

Być może Winter powtórzyła błąd matki - jedna namiętna noc - ale na tym kończyło się podobieństwo między nimi. Niezależnie od okoliczności wychowa dziecko z miłością i troską. Jej dziecko nigdy nie odczuje samotności, odrzucenia ani strachu. Może, tak jak ona, nie będzie miało ojca, ale na pewno nie zabraknie mu matki, która będzie je kochać całym sercem.

Kiedy Mark wrócił do sypialni z wazonem róż, Winter się rozpłakała.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie.
- Mark...
- Dlaczego płaczesz? - Mark postawił wazon na toalecie, usiadł na łóżku i wziął ją w ramiona.
- Nie chcę, aby to się kiedykolwiek skończyło.

Mark mocniej ją do siebie przytulił i nie powiedział ani słowa. On też nie pragnął, aby ta wspaniała, czarodziejska miłość się skończyła. Nigdy nie przestanie kochać Winter, lecz nie może jej obiecać, że ich szczęście będzie trwać wiecznie.

## 20

Allison, to ja, Peter.

Allison czekała na jego telefon, odkąd się obudziła o szóstej rano przy dźwiękach gwałtownego deszczu walącego w okno. Burza trwała już od trzech godzin i nic nie zapowiadało końca, choć Allison rzucała błagalne spojrzenia na czarne niebo i choć wyprasowała džinsy i przez dłuższy czas planowała, co na siebie włoży. Najwyraźniej burzy to nie wzruszało.

- Pada - stwierdziła z westchnieniem Allison.
- Leje.

Allison czekała z zaciśniętym gardłem.

- Chciałabyś zjeść ze mną późne śniadanie?
- Tak.
- Podobno w Klubie Myśliwskim Bel Air dają pyszne późne, niedzielne śniadania.
- Najlepsze w całej Kalifornii.
- Przyjadę po ciebie o dziesiątej, dobrze?
- Jasne.

Nie wiem, co na siebie włożyć - pomyślała z paniką.

Jej wygląd - oprócz uśmiechu i błyszczących oczu - nie miał najmniejszego znaczenia. Ani to, czy późne, niedzielne śniadanie w Klubie Myśliwskim Bel Air było najlepsze w całej Kalifornii. Z całego szarego, deszczowego ranka i popołudnia Peter zapamiętał jedynie oczy i uśmiech, miękki głos i wesoły śmiech, to, jak się czuł przy Allison.

Allison, dzięki Peterowi, znów zaczęła śmiać się tak radośnie, jak przed wypadkiem. Wróciło też uczucie niezmażonego spokoju i zadowolenia.

Ponadto dzięki niemu odkryła w sobie coś zupełnie nowego, czego istnienia nawet nie podejrzewała.

Jego zmysłowe, ciemne oczy i miękki, uwodzicielski głos zaprowadziły ją do ognistego, magicznego miejsca, w jej duszy, pełnego miłości i... pożądania.

Peter też kochał i pożywał. Jednak dla niego to nie były nowe uczucia, ponieważ już raz był zakochany. Mimo to poczuł niespodziewany zawrót głowy.

To nie mogło się zdarzyć! Peter wiedział - miał tę niezachwianą pewność, pozbawioną goryczy - że nigdy się nie zakocha. Przeżył już swojamiłość i do końca życia miało mu towarzyszyć wspomnienie Sary.

Teraz jednak czuł, że się zakochuje. Jakimś cudem zielone oczy, miękki głos i radosny śmiech przebiły się przez wspomnienia, które wypełniały rozum i serce Petera.

O czym rozmawiali Allison i Peter, popijając szampana, a później racząc się gorącą czekoladą? O wszystkim i o niczym. O fascynujących kroplach deszczu, które padały na półkoliste okno i innych, równie ważnych sprawach.

- Strasznie trudno się z tobą rozmawia!

Słowa Allison zmartwiłyby Petera, gdyby nie wypowiedziała ich śpiewnym głosem, z uśmiechem na ustach.

- Trudno? Dlaczego?

- Z powodu tego, co i jak piszesz. Widzisz, przy tobie mam wrażenie, że nie umiem się wysłowić.

- Skąd wiesz, o czym piszę? Czy Winter pokazała ci scenariusz *Miłości*?

- Nie, czytałam zbiór twoich sztuk, który wyszedł w ubiegłym roku.

- Aha. - Peter chciał, aby Allison powiedziała mu, co myśli o jego sztukach, ale najpierw musiał ją przekonać, że wcale nietrudno z nim rozmawiać. - Przypomnijmy sobie wszystko to, co powiedziałem do ciebie, odkąd poznaliśmy się w sierpniu - zaproponował.

- Dobrze.

Allison słuchała zdumiona, jak Peter powtarzał słowo po słowie, to co do niej mówił w sierpniu w Elegancji, w grudniu na szlaku przejażdżki konnej, w Wigilię w klubie, w walentynki w Elegancji. Tak jak ona pamiętał każde słowo i każdą scenę.

- Pamiętasz.

- Tak - odparł cicho Peter. I to też było zdumiewające, ponieważ od czasów Sary starał się nie zapamiętywać niczego. Oprócz groźby telefonicznej Roba. Nie chciał jednak o tym myśleć i uśmiechnął się do Allison. - A ty pamiętasz?

- Tak. - Allison przekrzywiła głowę. - Uważam, że to, co powiedziałeś o mieszkaniu na obrazie francuskiego impresjonisty, było genialne.

- Nie - zaprzeczył z uśmiechem Peter. - Pisuję błyskotliwe dialogi, ale nie używam ich w życiu. Tamta uwaga była jednak szczerą, a to jest najważniejsze, prawda?

- Tak.

- Dobrze. A zatem powiedz mi, Allison, szczerze i własnymi słowami, co myślisz o moich sztukach?

- Uważam, że są smutne... I skomplikowane... Samotne... Cudowne.

Dokładnie takie, jak *ty* - pomyślała. Smutny, skomplikowany, samotny i cudowny.

Peter i Allison ani razu nie podeszli do wspaniałego bufetu, żeby wziąć sobie coś do jedzenia. Podano im szampana w kryształowych kieliszkach, później gorącą czekoladę w filiżankach z cienkiej porcelany, a o czwartej kelner przyniósł półmisek gorących ciasteczek z truskawkami.

- Już czwarta? - Peter spojrzał na zegarek. - Spędziliśmy tu parę godzin. - Nie chciał kończyć spotkania, ale... - Jestem... Bułeczka i ja jesteśmy na szóstą zaproszeni do Steve'a na kolację.

- Bułeczka też?

- Tak. Becky, dziewięcioletnia córka Steve'a, zaprzyjaźniła się z Bułeczką. Becky przychodzi codziennie po szkole, żeby ją nakarmić i się z nią pobawić. Mam wrażenie, że Bułeczka jest zakamuflowaną Kalifornijką. Dobrze się czuje, leżąc na słońcu, zwłaszcza w kuchni na specjalnej poduszce, i uwielbia biegać po plaży.

- A czy potrafi już grać w frizby?

- Becky usiłuje ją nauczyć, ale Bułeczka zachowała jeszcze odrobinę nowojorskiej godności.

W głosie Petera, kiedy mówił o psie, słysząc było zdumiewającą czułość. Jakby mówił o starym przyjacielu, z którym wiele razem przeżyli.

- Od dawna ją masz?



- Od szczeniaka. - Oczy Petera pociemniały, gdy liczył lata, wracając do dwudziestych pierwszych urodzin Sary, rok przed jej śmiercią. - Pięć lat - dodał po chwili. - To dobry pies.

Rozmawiali o Bułeczce i o psie, którego miała w dzieciństwie Allison, i następna godzina przemknęła niepostrzeżenie. Wreszcie, niechętnie, Peter szepnął, że odwiezie Allison do domu.

Peter nie zdawał sobie sprawy jak wielka jest jego samotność. Nie chciał się nad tym zastanawiać. Jego dni wypełnione były pracą i wspomnieniami o Sarze.

Tak, prowadził uporządkowane, twórcze życie.

I samotne.

Kiedy odwiózł Allison do domu, przytłoczyło go ogromne poczucie samotności. Jakby znów stracił kogoś bliskiego.

Siłą woli zmusił się do odjazdu. Jedyne, czego chciał, to natychmiast zawrócić i poprosić Allison, żeby została z nim na zawsze.

Allison, dopóki Peter nie odjechał, w ogóle nie wiedziała, co to jest samotność. Tymczasem teraz odczuwała ją boleśnie. Tęskniła za Peterem, jej życie stało się bez niego puste.

Peter, odjeżdżając, już spóźniony na kolację u Steve'a, nawet nie zaproponował jej następnego spotkania. Ale przecież musieli się znów zobaczyć, nim wróci do Nowego Jorku.

Allison chodziła po mieszkaniu, samotna i podekscytowana, dopóki biodro nie zaczęło jej dokuczać. Nie wyjaśniła Peterowi, dlaczego kuleje, zrobi to następnym razem...

Choć wcale nie była pewna, czy w ogóle będzie następny raz. Gdzieś, w głębi duszy kołatało się przekonanie, że wspnięcia, spędzone razem godziny, były jedynie szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Winter zachorowała i Peter miał wolną chwilę, zajrzał do Elegancji... A gdyby Allison za nim nie wybiegła?

Szybko, za szybko, zaczarowane godziny z Peterem stały się wspomnieniem. Allison wpatrywała się w strugi deszczu obmywające szyby. Szum deszczu towarzyszył jej przez cały dzień. Czy tylko one były realne?

O ósmej zadzwoniła do Winter, aby zapytać, jak się czuje. Przyjaciółka powiedziała, że lepiej, ale Allison usłyszała zmęczone westchnienie. Nie mówiła Winter, że miała się spotkać z Peterem, bo... I nadal z niczym się przed nią nie zdradziła, ponieważ...

Ponieważ nie wiedziała, co powiedzieć.

Po rozmowie z Winter znów zaczęła chodzić po mieszkaniu. Kiedy biodro zażądało odpoczynku, zadzwoniła do Emily.

- Halo - szepnęła Emily, bardzo cicho i niepewnie, jakby się czegoś bała.

- Emily? To ja, Allison.

- Cześć.

- Nic ci nie jest?

- Nie.

- Rogerowi szalenie podobały się twoje fotografie.

- To dobrze.

- Będą nam potrzebne duże powiększenia, jeszcze większe niż dla Bellemeade.

- Och, dobrze. Chociaż w mojej ciemni nie mogę zrobić nic większego.

- Mówiłaś mi, że w Century City jest dobre laboratorium fotograficzne.

- Tak. Możemy je tam oddać.

- To się dobrze składa, bo Roger chce więcej twoich zdjęć niż planowaliśmy i jeśli ktoś inny zajmie się powiększeniami, to nie będzie to kolidowało z twoją pracą w „Portrecie”. - Zapadła cisza. Allison odczekała chwilę, nie wiedząc czy coś się nie rozłączyło. - Jesteś tam, Emily? - zapytała wreszcie.

- Jestem. Ja już nie pracuję w „Portrecie”, Allison.

- Co? Od kiedy?

Allison przeraził bezbarwny głos Emily.

- W czwartek powiedziałam o tym Robowi.

Czy to dlatego Rob i Elaina nie przyszli w walentynkowy wieczór do Adriano na kolację z Allison i Rogerem? Czy decyzja Emily była powodem odwołania spotkania, umówionego jeszcze w Aspen?

- Co się stało, Emily? Nic ci nie jest?

- Nic się nie stało. Nie wychodziła mi praca w „Portrecie”.

Ciekawe od kiedy - pomyślała Allison. W Aspen Rob z zachwytem mówił o Emily. A i ona, kiedy w drodze na spotkanie z Robem, podrzuciła w walentynki zdjęcia dla Chateau Bel Air do Elegancji, wyrażała się o Robie z podziwem. Coś musiało zająć podczas jej wizyty w „Portrecie”.

- Czy nic ci nie jest, Emily? - spytała jeszcze raz Allison. - Mam wrażenie...

- Jestem trochę zmęczona, Allison, ale naprawdę nic mi nie jest.

- Przykro mi z powodu „Portretu”.

- Mnie też - szepnęła Emily.

- Co będziesz teraz robić?  
- Nie wiem. - Emily spojrzała na książki, *Zagubioną małą dziewczynkę* i *Małą dziewczynkę odnaniezoną*, które leżały na stoliku przy łóżku. Przeczytała je kilka razy. Już to wymagało odwagi, a teraz...

- Nie wiem - powtórzyła.
- Ja zawsze mam dla ciebie pracę.
- Może przeniosę się do Paryża.

Emily o mało co nie poleciała do Paryża w piątek wieczorem. Miała ochotę wyrzucić te książki do śmieci, spakować w ciągu dziesięciu minut wszystkie swoje rzeczy i uciec do Paryża. Na zawsze.

- Do Paryża? Emily, czy chciałabyś się ze mną zobaczyć? - spytała impulsywnie Allison. - Mogłybyśmy...

- To nie jest najlepsza pora - stwierdziła Emily. - Dziękuję - dodała cicho po chwili.

- Spotkajmy się na obiedzie któregoś dnia w tym tygodniu, albo na kolacji, albo wybierzmy się do kina, dobrze?

- Dobrze.

Kiedy telefon zadzwonił o dziesiątej wieczorem, Allison wiedziała, że to Peter. Od dłuższego czasu wpatrywała się w aparat telefoniczny, rozpaczliwie pragnąc, by zadzwonił. Mniej więcej o tej porze Peter powinien wrócić do domu.

- Halo.

Ale to nie był Peter. Roger dzwonił z Chicago. Roger, przy którym w czasie romantycznej walentynkowej kolacji Allison czuła się niezręcznie i obco. Roger, z którym nie poszła do łóżka ani w czwartek, ani w piątek, ani w sobotę. Roger, który chciał wiedzieć, co się stało.

- Czy poznałaś kogoś między naszym weekendem w Aspen a czwartkowym wieczorem, Allison? Nie, cofam to pytanie. Między środowym wieczorem, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, a czwartkowym spotkaniem?

- Roger...
- Czy jest ktoś inny?
- Nie wiem. Nie jestem pewna.

Jestem - pomyślała. Jestem pewna siebie, ale nie Petera.

- To znaczy, że może jest?
- Może. Roger, ja...

Allison nie wiedziała, co powiedzieć. Wiedziała jedno - miłość do Rogera już nie mogła się zdarzyć. Poznała ogień, wprawdzie nierozłączny

z niebezpieczeństwem, niepewnością i samotnością, ale rozpalający jej serce. Mdłe ciepło już by jej nie usatysfakcjonowało.

- Przepraszam, Roger.

W poniedziałek, o dziewiątej wieczór, Peter i Steve oglądali w studio w Burbank nakręcone tego dnia ujęcia. Reszta ekipy zakończyła pracę dwie godziny wcześniej,

- Nie jest stuprocentowa - powiedział Peter. - Jak zwykle daję z siebie sto dziesięć procent, ale widać, że nadal źle się czuję.

Zielonkawy odcień znikł z kremowej cery Winter, lecz jej fiołkowe oczy nadal były zamglone i niepewne, kiedy starała się wyglądać na zakochaną, walcząc jednocześnie z nudnościami.

- Wydaje mi się, że powinniśmy odwołać jutrzejsze zdjęcia - powiedział Peter.

Steve westchnął. Do tej pory wszystko tak dobrze się układało. Wyprzedzali zaplanowany rozkład, na planie panował spokój, nikt się nie obrażał ani nie kłócił. Zbyt dobre, aby było prawdziwe, a w każdym razie, aby mogło trwać w nieskończoność. Lata doświadczenia nauczyły Steve'a, że jeśli raz coś zaczęło się psuć na planie, nawaliła pogoda czy w tajemniczy sposób znikły rolki taśmy, wszystko mogło zakończyć się katastrofą.

Jednak Winter była wyraźnie chora. Nigdy nie zachowywała się jak gwiazda, nie lubiła zwracać na siebie uwagi i nie chciałyby rezygnować ze zdjęć następnego dnia, ale widać było, że ledwo trzyma się na nogach.

- Chyba tak - zgodził się niechętnie Steve. - Zawiadomię ludzi. Zadzwońisz do Bruce'a i Winter?

- Jasne. - Do Bruce'a, Winter i Allison. O mało nie zadzwonił do niej poprzedniego wieczoru, kiedy wrócił do domu, ale się powstrzymał, obawiając się, że zdradzi się ze swoimi uczuciami i powie: „Tęsknię za tobą, Allison. Chcę cię zobaczyć. Teraz”.

Po wielu samotnych latach nastąpił wybuch. Peter był pewien swoich uczuć, ale Allison wydawała mu się niewinna i niesłyszanie wrażliwa. Peter marzył o niej, musiał jednak bardzo uważać, żeby się zbyt nie spieszyć.

Zadzwonił do Winter i do Bruce'a ze studia. Do Allison zadzwonił z Bellemeade, kiedy wrócił z krótkiego, mokrego spaceru z Bułeczka.

- Czy dzwonię za późno?

- Nie.

Nigdy nie będzie za późno - pomyślała.

- Winter wciąż nie czuje się najlepiej, jutro więc nie będziemy kręcić. Czy...
- Tak.
- Tak? - roześmiał się Peter. - Masz cały dzień wolny?
- Nie - przyznała. - Ale mogę być wolna po południu.
- Zadzwoń. Przyjadę po ciebie. Przygotuję kolację.
- Mogę sama przyjechać.
- Dobrze. Nie musisz wcześniej dzwonić. Będę czekał.

Doktor Camden spojrzała w przestraszone szare oczy z ciemnymi obwódkami, które w ten wtorkowy rano wpatrywały się w nią wyzywająco. To był taki znajomy widok. Ta blada, młoda kobieta przyszła do niej, gdyż tak nakazywał jej instynkt ukryty pod warstwami cierpienia, ale tak naprawdę nie wierzyła, że ktokolwiek zdoła jej pomóc. Chciała spróbować, lecz była przekonana, że to przyniesie tylko dalsze cierpienie i nic nie pomoże.

- Pani Emily Rousseau?
- Tak. Rob Adamson mówił pani...
- Rob nie powiedział mi, jak się pani nazywa.
- Och... Czytałam pani książki. Rob uważa... Uważam... Może mogłaby mi pani pomóc...
- Mogę pani pomóc, Emily. Mogę pomóc odnaleźć w pani małą dziewczynkę, która była szczęśliwa, ufna i kochająca. Mogę ją odnaleźć z pani pomocą. To trudne zadanie, bardzo trudne, ale na pewno warto spróbować.

Doktor Camden spojrzała w udręczone szare oczy i wiedziała, że widoczny w nich strach nie jest strachem przed ciężką pracą. Emily bała się, że jej sienie uda. Bała się, że jest bezwartościowa, winna wszystkiemu, co jej się przydarzyło.

- Uda się pani, Emily. Jestem o tym przekonana - dodała doktor Camden, uśmiechając się do Emily.

## 21

**A**lison przyjechała do Bellemeade o wpół do trzeciej. Kiedy wyjeżdżała z Elegancji, lutowe niebo miało perłowoszary odcień; gdy

wychodziła z mieszkania, dokąd pojechała przebrać się w strój wybrany poprzedniego wieczoru, po telefonie od Petera, było już ołowiane-czarne. Strój Allison składał się z jedwabnej bluzki w kolorze kości słoniowej, dopasowanej brązowej spódnicy, ciemnobrązowych zamszowych pantofli i delikatnych, złotych kolczyków.

Allison miała nadzieję, że jest ubrana z wyszukaną, nieostentacyjną elegancją i nie ustępuje w niczym rozlicznym nowojorskim znajomym Petera. Eleganckim, nowoczesnym kobietom, które bez najmniejszych wątpliwości pojechałyby do niego do domu, nie zawracając sobie głowy wcześniejszymi telefonami.

Spojrzała na ponure, czarne niebo z nadzieją, że jeszcze nie zacznie lać. Powinna była kupić rano parasol, ale nie chciała tracić czasu.

Kiedy dojeżdżała do Bellemeade, otworzyły się niebiosa. W ciągu minuty, której potrzebowała, aby przebiec od samochodu do drzwi, przemokła na wylot.

Peter skończył właśnie w kuchni przygotowania do kolacji. Zamierzał przejść do salonu, usiąść przed kominkiem i czekać na Allison. Kupił nawet na wszelki wypadek parasol.

A ona już się zjawiła, cała przemoczona.

- Witaj, Allison. Przepraszam, ale byłem w kuchni i nie zauważyłem, że przyjechałaś.

- Byłam wolna wcześniej, niż myślałam. I nie mam parasola. Powinnam była... - Allison potrząsnęła głową, strząsając krople deszczu ze złotoczerwonych loków na wilgotne i chłodne policzki. Przeszył ją zimny dreszcz.

Dreszcze zaczęły się poprzedniego wieczoru, w ciepłym mieszkaniu, po telefonie Petera. Serce waliło jej jak młotem i przypomniawszy sobie tę nagłą, nieoczekiwaną panikę, która ją ogarnęła, gdy pierwszy raz po wypadku wsiadała na konia. Tamtego letniego dnia Allison uspokoiła się, powtarzając jak zakłęcie jedno słowo: „trywialne”.

Jeśliby teraz wpadła w panikę, zakłęcie na nic by się nie zdało, gdyż w obecnej sytuacji nie było doprawdy nic trywialnego.

Ale nie panikowała. Drżała jedynie i czuła się zażenowana tym, że wygląda jak zmokła kura.

- Daj mi swój płaszcz.

- Dziękuję. - Allison udało się jakoś rozpiąć mokre od deszczu guziki płaszcza; nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

Tematem, który sam się nasuwał, oprócz pogody, była Bellemeade. Allison nie mogła jednak zacząć się zachwycać eleganckimi marmurowymi posadzkami, żyrandolem Lalique, starym lustrem czy kwiecistą

tapetą, gdyż sama to wszystko stworzyła. Dla Petera i dla wszystkich kobiet, które tu zapraszał.

Powiedz coś - napomniała się w duchu. Przestań się trząść. I nie myśl o tym, że oblepiała cię mokra jedwabna bluzka, że seksowna, romantyczna bielizna z koronki jest dobrze widoczna, tak samo jak zimne, drżące piersi.

Gdy tylko spojrzy tymi ciemnymi oczami...

- Gdzie jest Bułeczka?

- Śpi w kuchni, na swojej specjalnej poduszce, i nabiera sił. - Peter nie spuszczał wzroku z Allison. - Miała bardzo męczący dzień.

- Ach tak?

- Zaczął się rano od wizyty w salonie piękności dla psów w Beverly Hills. Świetna zabawa. Potem, z oczywistych powodów, musiała mnie cały czas pilnować, kiedy przygotowywałem zapiekankę.

- I zapewne pomagała ci też wstawić świeże róże do wazonów. - Z holu Allison widziała dwa wazon-y Laliaue ze starannie ułożonymi różami.

- Tak.

Peter urwał. To była głupota. Allison drżała z zimna i naprawdę powinna zdjąć mokre ubranie i wziąć gorącą kąpiel.

- Allison?

- Słucham.

- Przyniosę ci ręcznik.

Peter znikł w łazience i wrócił za chwilę z miękkim, jasnoróżowym ręcznikiem, który Allison wybrała z luksusowej kolekcji Pratesiego.

Nie dał jej ręcznika, lecz sam delikatnie wytarł czerwonozłote loki dotykając jej po raz pierwszy.

- Nie ciągnę za mocno?

- Nie. - Spojrzała w jego ciemne oczy, pełne pożądania. - Peter.

Uniosła głowę, patrząc na niego wymownie.

- Allison.

Skórę miała chłodną od deszczu, ale pod nią pulsowała ciepłem i namiętnością. Poczul falę pożądania.

Tak bardzo jej pragnął. Obawiał się tylko, czy nie przytłoczy jej swoją namiętnością. Im mocniej tulił jej ciepłe, wilgotne ciało, im głębiej zanurzał się w miękkiej słodyczy jej ust, rym bardziej ona lgnęła do niego, otwierając się jak kwiat. Ale czyjej nie ranił? Czy nie za bardzo się spieszył?

Peter się odsunął. Musi dowiedzieć się, czego pragnie Allison, jakie są jej marzenia i oczekiwania. Wydawało mu się, że oboje chcą tego

samego, ale być może zbyt był podekscytowany, aby prawidłowo odczytać jej emocje.

Spojrzał jej w oczy, lekko zdumione nagle zakończonym pocałunkiem, na jej zaróżowione policzki, na miękki uśmiech.

- Allison, ja...

- Tak?

- Nie chcę cię do niczego zmuszać.

- Peter - szepnęła dzielnie Allison. - To ja tu przyszedłam w ubraniu, które powinno się natychmiast zdjąć.

- To prawda, musisz się rozebrać.

- Tak. Ty też.

Ubranie Petera zmokło od trzymania jej w objęciach. Uśmiechnął się, wziął ją za rękę i poprowadził krętymi schodami do sypialni z łóżem z baldachimem, ukwieconymi ścianami i kryształowymi wazonami pełnymi róż.

Nie potrafił kochać jej powoli, gdyż za bardzo się wzajemnie pożądali. Allison chciała się z nim zespolić, złączyć z nim swój ogień, stać się jednością.

- Peter - szepnęła, spoglądając w namiętne, ciemne oczy.

- Och, Allison, tak bardzo cię pragnę.

- Ja też cię pragnę.

Uśmiechała się, kiedy ją rozbierał z mokrego jedwabiu i delikatnej koronki.

- Jesteś bardzo piękna.

To samo mówili jej Dan i Roger. Teraz jednak, gdy szeptał to Peter, pieszcząc ją wzrokiem, Allison wreszcie uwierzyła.

Jestem piękna dla ciebie - pomyślała. Ty to sprawiłeś.

Kiedy Peter spojrzał na blizny na podbrzuszu, Allison nie zasłoniła ich rękami, choć zrobiła to, gdy pierwszy raz kochała się z Danem i na pewno zrobiłaby to samo przy Rogerze.

Teraz stała naga i spokojna przed Peterem, czując jego pożądanie i wierząc, że jest piękna.

Potem znaleźli się w łóżku, dotykając się, szepcząc, poznając się, zachwycając cudownymi odkryciami, z trudem panując nad palącą potrzebą połączonej bliskości.

Peter musiał być w niej, a ona musiała mieć go w sobie. Należał do niej, a ona należała do niego. Ogień z ogniem, bliżej, goręcej, głębiej... Razem.



- Kiedyś stale jeździłam konno - powiedziała cicho Allison, leżąc bezpiecznie w jego silnych ramionach. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedziała. - Trzy i pół roku temu miałam wypadek na zawodach jeździeckich. Miałam pękniętą miednicę. Przeszłam kilka operacji i kości wreszcie się zrosły, chociaż są trochę krzywe. Dlatego mam blizny. Dlatego utykam.

- Boli cię?
- Czasem, kiedy jestem zmęczona.
- Boli cię, gdy się Kochamy?

Te słowa napełniły ją radością. Mówił o Kochaniu. A sposób, w jaki się wyraził, zakładał, że będą to robić jeszcze wiele razy.

- Nie.

- Czy to znaczy, że nie możesz mieć dzieci? - spytał łagodnie, po dłuższej chwili.

- Mogę mieć dzieci. - Allison odwróciła się, aby spojrzeć uspokajająco w ciemne oczy, ale nagle wydało jej się, że w oczach Petera zobaczyła troskę, a nie ulgę. - Peter...

Zadzwonił telefon przy łóżku. Jego dźwięk był przytłumiony, wybrany przez Allison, doszła bowiem do wniosku, że utalentowani artyści, tacy jak Peter, powinni żyć wśród miękkich, łagodnych dźwięków.

Peter odwrócił się, żeby podnieść słuchawkę, więc Allison postanowiła wstać. Chciała owinać się luksusowym ręcznikiem kąpielowym i zejść na dół, żeby Peter mógł spokojnie porozmawiać.

Peter złapał ją za rękę.

- Nie odchodź.
- Dobrze - zgodziła się, ale usiadła na skraju łóżka.
- Halo?
- Cześć, Peter. Mówi Winter.

- Witaj, Winter. Jak się czujesz?

- Zdecydowanie lepiej, ale czy mogłabym mieć jeszcze jutro wolny dzień?

Nudności Winter wcale się nie zmniejszyły, ale uczyła się dawać sobie z nimi radę. Większość dnia, kiedy nie spała, spędziła przed lustrem, ćwicząc dobry wygląd i starając się, aby fale mdłości nie zostawiały śladu w jej oczach. Była coraz lepsza w ukrywaniu symptomów ciąży, ale wymagało to od niej wielkiego wysiłku. Do jutra wieczór oparuje tę sztukę do perfekcji - dla filmu i dla Marka.

Zwłaszcza dla Marka. Student ostatniego roku medycyny łatwo odgadłby, co znaczą codzienne mdłości u kobiety „w wieku rozrodczym”.

- Nie ma sprawy. Zadzwoń do Steve'a.

- Już dzwoniłam. On też się zgodził.
  - Wypoczywasz?
  - Tak. Robię wszystko, co należy.
  - Jutro mi powiesz, jakie są widoki na czwartek, dobrze?
  - Jestem pewna, że wyzdrowieję, ale jeszcze zadzwonię.
- Peter odłożył słuchawkę i natychmiast odwrócił się do Allison.
- Dlaczego chciałaś wyjść?
  - Żeby cię nie krępować.
  - Myślałaś, że kto dzwoni?

Allison wzruszyła ramionami, zawstydzona, choć z drugiej strony przystojny i namiętny Peter Dalton nie żył na świecie od tygodnia. Był o dziewięć lat starszy od Allison i bardziej od niej doświadczony. Allison nie była pierwszą kobietą, z którą poszedł do łóżka. Może nawet nie pierwszą w tym tygodniu.

- Dziewczyna. Kochanka.

Zmrużył lekko oczy, zdziwiony, zakłopotany, trochę zasmucony. Nie wierzył, że Allison w taki sposób kochała się z kimś co dnia, dlaczego więc jego o to podejrzewała? Czy jeszcze nie wiedziała?

Przesunął się do niej, na skraj łóżka, i łagodnie wziął jej twarz w dłonie.

- Nie ma nikogo innego - powiedział. - Nikogo oprócz ciebie.
- Ach tak - szepnęła.
- Dlaczego się marszczysz? Martwi cię to?
- Nie.

Przecież tego chcę - pomyślała.

- Nadal się chmurzysz. Powiedz, dlaczego.

- Tak sobie myślałam - szepnęła Allison - co by było, gdyby Winter nie zachorowała.

- Nie przyszedłem do Elegancji dlatego, że miałem wolne popołudnie.

- Nie?
- Nie. Myślałem o tobie.
- Ale wyszedłeś.
- Chciałem właśnie zawrócić, kiedy mnie zawołałaś.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Chciałem cię zapytać, czy mam szansę w konkurencji z tym, który przysłał ci czerwone róże.

- Ja też o tobie myślałam. Prawie kupiłam Bułeczce zabawkę na walentynki.

Peter uśmiechnął się i pocałował Allison w usta.

- Założę się, że Bułeczka już odzyskała siły - szepnęła uwodzicielsko Allison.

- Tylko Bułeczka?

- Ja też.

- Allison?

- Co takiego?

- Ten, co przysłał ci róże...

Rozmawiali, całując się, ale teraz Allison odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

- Nie ma nikogo innego oprócz ciebie.

I nigdy nie było - dodała w myśli.

Dopiero o siódmej opuścili wygodne łóżko i zeszli do kuchni, wiedzeni głodem i wyrzutami sumienia wobec Bułeczki. Allison miała na sobie duży, frotowy, niebieski szlafrok Petera, ściągnięty paskiem, i jego grube wełniane skarpety.

Gdy Peter otworzył drzwi do kuchni, Bułeczka skoczyła w jego stronę i zatrzymała się na widok Allison. Przekrzywiła łeb i spojrzała na nią brązowymi ślepiami na wpół z ciekawością, na wpół z obojętnością. Spoglądała ostrożnie i uważnie, ale drżała z podniecenia.

Allison roześmiała się i pochyliła, aby porozmawiać z psem.

- Cześć, Bułeczko. To dość przerażające, prawda? Wcale ci się nie dziwię. Wyglądam okropnie. A ty jesteś piękna, czysta i błyszcząca.

Bułeczce spodobał się głos Allison i dzielnie przysunęła się do jej wyciągniętych dłoni. Wreszcie Allison dotknęła miękkiej sierści, powodując dalsze dreszcze.

- Widzisz, nie jest tak źle. - Allison odwróciła się do Petera. - Jest śliczna.

- Ty jesteś śliczna - szepnął Peter i pocałował ją we włosy.

Poklepał Bułeczkę, a potem otworzył drzwi i wypuścił ją na dwór, na odświeżone deszczem powietrze. Kiedy przyglądali się złotej kuli galopującej w ogrodzie, wziął Allison w ramiona.

- Jakie masz plany na jutro?

- Ciężko pracować do południa, a potem wrócić do domu i czekać na ciebie. To tyle, jeśli chodzi o nowoczesność.

- Co to znaczy?

- Nowoczesna kobieta, profesjonalistka, powinna umieć dojechać do domu mężczyzny, zwłaszcza, jeżeli on jest na tyle nowoczesny, że robi kolację, nie tonąc w deszczu, prawda?

- Chyba tak. - Peter zaśmiał się głośno. - Ale jutro możemy spróbować to zrobić odwrotnie. Jestem dość staromodny.
- Ja też.

Następnego dnia po południu Peter przyjechał po Allison i odwiózł ją do domu dopiero nazajutrz o świcie, w drodze do studia. Odtąd kierowali się tylko wygodą. Jeśli Allison miała swój samochód w garażu w Bellemeade, rano zostawali w łóżku trochę dłużej. Mogli razem wypić kawę i ucałować się bez pośpiechu na do widzenia. Po wyjeździe Petera Allison wypijała drugą kawę i przed wyjściem do pracy zdążyła się jeszcze pobawić z Bułeczka.

Dla nich obojga, dla ich nowej, cudownej, namiętnej miłości lepiej było, gdy Allison zostawała na noc w Bellemeade; stąd zresztą miała bliżej do Elegancji, do Chateau Bel Air i jeszcze dwóch innych domów, które właśnie urządziła.

Allison i Peter żyli w Bellemeade w intymnym świecie namiętnej miłości. Każdego ranka wychodzili na świat zewnętrzny i przez pierwsze trzy tygodnie ani razu nie odbyli tej podróży wspólnie. Kiedy w Burbank Peter oglądał ze Steve'em nakręcone zdjęcia, Allison szła na kolację z rodzicami. Sean i Patricia domyślali się wprawdzie, że córka jest zakochana, ale zakładali, iż chodzi o Rogera i cierpliwie czekali, aż sama im o tym opowie. Allison rozmawiała z Winter przez telefon i wysłuchiwała jej ciepłych słów pod adresem Petera, ale mimo to nie powiedziała przyjaciółce, że coś ją z nim łączy.

Pierwsza wspólna wyprawa Allison i Petera poza Bellemeade odbyła się do klubu na przejażdżkę konną. Zimowe, deszczowe burze dawno minęły, niebo było jasne i świeże. Podczas przejażdżki towarzyszył im śpiew tysiąca ptaków, łagodny powiew wiatru i zapach budzącej się wiosny.

Spędzili prawie trzy godziny wśród bujnej i pachnącej rajskiej roślinności. Kiedy wrócili na manège, pełno już było jeźdźców skaczących przez kolorowe przeszkody. Odprowadzili konie do stajni i Allison przyprowadziła Petera z powrotem na arenę.

Obserwował jej oczy, gdy wpatrywała się w biało-zielone przeszkody zamyślonym i poważnym wzrokiem.

Nie odważyła się jeszcze nikomu o tym powiedzieć, ale już dawno podjęła decyzję.

- Pewnego dnia ja też będę przefruwać przez przeszkody - powiedziała cicho. Odwróciła się do Petera, ukochanego mężczyzny, dzięki

któremu uwierzyła, że wszystko jest możliwe, i spojrzała na niego błyszczącymi oczyma. - Będziesz tam, gdy wyruszę na podbój? Będziesz mnie oglądał?

- Nie - odparł szybko i zimno Peter.
- Nie? - powtórzyła z niedowierzaniem Allison.
- Nie.

Nie zamierzał patrzeć, jak się zabija.

W oczach Petera Allison dostrzegła znajomy, choć dawno niewidziany smutek. Podczas ostatnich tygodni ich wspianącej miłości smutek zastąpiło szczęście. Szczęście i miłość, namiętność i pożądanie. Czasami, przelotnie, Allison nadal odnajdowała w oczach Petera cień melancholii, ale zdarzało się to coraz rzadziej.

Dzięki Allison był szczęśliwy.

A teraz jej słowa zasmuciły go głęboko. Nie miała pojęcia, dlaczego tak się stało. W milczeniu wrócili do samochodu i w milczeniu pojechali do Bellemeade.

- Przepraszam - mruknął w końcu Peter. - Ale skoki byłyby dla ciebie niebezpieczne, prawda?

Allison wspomniała o wypadku tylko jeden, jedyny raz, tłumacząc skąd wzięły się jej blizny i utykanie.

- Rozmawiałeś o mnie z Winter?
- Nie, w ogóle jej o nas nie mówiłem.
- O nas - powtórzyła Allison. Lubiła sposób, w jaki Peter wymawiał te dwa słowa.
- A ty jej mówiłaś?
- Nie, nie wiedziałabym, co powiedzieć.
- Jak to?
- Naprawdę.
- To ci podpowiem. - Peter uśmiechnął się do niej z miłością. - Powiedz z największym przekonaniem: „Winter, Peter Dalton jest we mnie szalenie zakochany”.
- Nie, mój drogi autorze scenariuszy. Powiem szczerze i z radością: „Winter, jestem szalenie zakochana w Peterze Daltonie”.
- Kocham cię, Allison.
- Ja też cię kocham.

- Skąd wiesz, że skoki mogłyby być dla mnie niebezpieczne? - spytała Allison dwie godziny później, gdy leżeli w łóżku.

- Z twoich oczu.

- Och...

Mocniej się do niego przytuliła, pamiętając o smutku, jaki znowu ujrzała w jego oczach. Na razie nie potrafiła mu jeszcze wytłumaczyć, że skoki nie były najważniejsze. Musiała się jeszcze nad tym wszystkim zastanowić. Na razie przeszła do znacznie bezpieczniejszego tematu.

- Czy wiesz, że Winter uważa cię za kogoś nadzwyczajnego?

- Nie, naprawdę? - Peter był zadowolony. - Ona też jest wspaniała. Zakładam, że ma kogoś.

- Dlaczego pytasz? Jesteś zainteresowany? - zażartowała Allison.

- Nie! - Peter ją pocałował. - Mam wrażenie, że w jej życiu jest ktoś bardzo ważny.

- Tak, ma na imię Mark.

Allison opowiedziała Peterowi o Winter i Marku.

- Na razie nie powiem o nas Winter - stwierdziła. - Poczekam, aż skończycie film.

- To znaczy w czwartek. Co by się stało, gdybyś powiedziała wcześniej?

- Kto wie? Mogłaby wstrzymać zdjęcia, zażądać trzygodzinnej przerwy i wypytać cię o twoje zamiary względem mnie. - Allison uśmiechnęła się na tę myśl, ale jej uśmiech znikł, gdy przypomniała sobie ostatnie rozmowy telefoniczne z przyjaciółką. Winter czymś się martwiła. - To jest bardzo ważny tydzień dla Winter - dodała. - Oprócz tego, że kończycie film, Mark dowie się, czy zostanie przyjęty na staż.

- Czy to jakiś problem?

- Zapewne wyjedzie do Bostonu.

- A Winter z nim nie pojedzie?

- Nie wiem - szepnęła cicho Allison, rozmyślając o Winter i Marku. Uświadomiła sobie także, że niebawem ich rozdzielą cały kontynent. Wkrótce Peter wróci do Nowego Jorku.

- A czy ty chciałabyś poznać moje zamiary? - spytał łagodnie Peter.

- Tak.

- Zamierzam powrócić tu w listopadzie, żeby nakręcić *Karuzelę*, a na razie widywać cię tak często, jak tylko mi się uda, i rozmawiać z tobą przez telefon przynajmniej raz dziennie. - Peter westchnął i dodał z żalem: - Szekspir na Broadwayu zabierze mi dużo czasu. Prawdopodobnie będziemy musieli próbować także w soboty, co oznacza, że nie w każdy weekend będę mógł do ciebie przyjeżdżać. Ale oczywiście ty także mogłabyś mnie odwiedzać. To zależy od ciebie.

- Zgadzam się na wszystko.

**W** środę o dziewiątej rano dziekan wydziału medycznego rozdał przydziały stażowe studentom ostatniego roku medycyny na uniwersytecie w Los Angeles. Mark wziął zaklejoną kopertę i wyszedł na zalaną marcowym słońcem ulicę. Z trudem otworzył kopertę: *Interna, Szpital Ogólny w Bostonie*.

To czego chciał, o czym marzył przez ostatnie cztery lata.

A drugie marzenie?

Winter nie mógł nawet nazwać marzeniem. Nigdy nie śnił, że może być aż tak zakochany. Nie wierzył, że mógłby aż tak bardzo kogoś potrzebować. Z każdym dniem coraz bardziej.

Przez ostatnie dwa dni zdjęcia do *Miłości* kręcono na terenie uniwersytetu. Winter, całując rano Marka na do widzenia i życząc mu szczęścia zaproponowała, żeby ją odnalazł, kiedy dostanie już przydział stażowy. Jednak Mark dostrzegł na jej twarzy lekkie zaniepokojenie. Powiedział, że przyjdzie w czasie przerwy obiadowej.

Miał dla siebie prawie trzy godziny, trzy niespokojne godziny, na zastanawianiu się, czy egoizmem byłoby poproszenie Winter, aby przemieściła się z nim do Bostonu.

Miał jej tak niewiele do ofiarowania. Miłość i serce. Ale Winter rzadko by je widziała. Mark byłby najczęściej zmęczony i rozkojarzony, tak jak w czasie świąt Bożego Narodzenia, a jej obecność cieszyłaby tylko jego, podtrzymując go na duchu podczas długich godzin w szpitalu i radując w czasie wspólnych krótkich chwil w domu.

Co miałyby Winter w Bostonie? Długie dni i noce wypełnione oczekiwaniem na przelotne wspólne chwile, z daleka od Hollywood.

Mark był przekonany, że gdyby poprosił Winter, żeby wyjechała z nim do Bostonu i wyszła za niego za męża, na pewno by to zrobiła. Wiele nocy przeleżał bezsenne, trzymając ją w ramionach i rozmyślając o przyszłości.

Zgoda Winter na małżeństwo mogłaby oznaczać dla niego szczęśliwe życie, pełne radosnego śmiechu, cichych szeptów, cudownej miłości. W marzeniach nie brał pod uwagę zmęczenia, rozczarowań i przeprosin.

Rzeczywistość była zupełnie inna. W najlepszym wypadku oznaczała stałą walkę z rozczarowaniem, w najgorszym - nieszczęście wypełnione gorzkim gniewem i niechęcią. Nawet gdyby oboje bardzo chcieli, żeby coś z tego wyszło, mogłoby się im nie udać.

Mark miał się spotkać z Winter w południe. Nie spodziewa się go wcześniej. Nie zauważy go w tłumie widzów koło Pauley Pavilion, obserwujących kręcenie przedostatniej sceny *Miłości*.

Mark wmieszał się tłum. Początkowo starał się za bardzo w nią nie wpatrywać, gdyż obawiał się, że ściągnie na siebie jej wzrok. Winter była jednak całkowicie zaabsorbowana pracą, cierpliwie powtarzając tę samą scenę i z uśmiechem omawiając każde ujęcie z ciemnym, przystojnym mężczyzną, który musiał być Peterem Daltonem. Sprawiała wrażenie szczęśliwej i skupionej.

W śnieżną Wigilię Winter obserwowała Marka na oddziale wypadkowym szpitala w Bostonie i zdała sobie sprawę, że tam jest jego miejsce i że robi to, do czego został stworzony. Teraz, w słoneczny dzień w Kalifornii, Mark zobaczył Winter, która robiła to, o czym zawsze marzyła.

Wiedział, co ma zrobić, tak jak Winter wtedy wiedziała, jak ma postąpić.

Muszę ją zostawić - pomyślał Mark. Wyobraził sobie zamiast szczęśliwej aktorki nieszczęśliwą żonę, samotną, wyczekującą, walczącą z rozczarowaniem i wędznącą w pustce.

„To on najwięcej stracił” - powiedział Mark o ojcu Winter, który nie poznał swej cudownej córki. A teraz ją tracię - pomyślał.

Wiedział, że sliczna i utalentowana Winter znajdzie inną miłość, inne szczęście, inną radość. Siebie nie był już taki pewien.

Skończyli kręcić o pierwszej, nie było więc przerwy obiadowej. Mark czekał, aż Winter się przebierze. Potem poszli, trzymając się za ręce, do Ogrodu Rzeźb.

Usiedli w tym samym miejscu, w którym po raz pierwszy, przed dziesięcioma miesiącami, poczuli działanie czarów.

Poproś, żebym z tobą pojechała - błagała w duchu Winter. Uwierz we mnie, uwierz w nas, uwierz w naszą miłość.

Tak bardzo cię kocham - myślał Mark. Za bardzo, aby cię ograniczać.

- Winter - zaczął łagodnie Mark. - Następnym roku, następne dwa lata będą takie jak w czasie świąt.

- Zaśnieżone - szepnęła z *nadzieją*. - Z ciasteczkami świątecznymi i zagrożeniem salmonellą?

Mark uśmiechnął się z miłością. Oświadczyły cisnęły mu się na usta.



Winter zobaczyła wyraz jego oczu i serce zabiło jej mocniej. Wiedziała, że Mark ją kocha, że chce ich dziecka.

- To nie ma sensu, Winter.

Mark mówił twardym głosem i spoglądał na nią zimno. Przez jedną krótką chwilę Winter pomyślała, że jest wspaniałym aktorem. Tak długo udawał, że ją kocha.

- Wiem - odparła. Ona też potrafiła grać. Umiała mówić spokojnie, a nawet lekko i od niechcienia, jakby jato wszystko niewiele obchodziło. Mark nigdy się nie dowie, że w tym momencie łamie jej serce. Postanowiła zagrać rolę swego życia, choć świat wokół niej walił się w gruzy. Mark nigdy jej nie kochał.

Mark spodziewał się, że Winter zaprotestuje. Czy umiałby się jej przeciwstawić? Spróbowałby, ale być może uległby i powiedział zranionym fiołkowym oczom egoistyczną prawdę: „Kocham cię. Pragnę cię. Bądźmy razem”.

Jednak w oczach Winter nie było bólu. Wstała, gotowa do odejścia.

- Myślę, że jeszcze dzisiaj powinieneś zabrać swoje rzeczy z mojego mieszkania. Pojadę do domu matki, aby dać ci czas. Do widzenia.

Zaskoczony, przyglądał się, jak odchodzi.

Chciał za nią pobiec. Po co? Jeśli starała się dzielnie stawić czoło rzeczywistości, tak jak on, ponieważ oboje wiedzieli, że podjęli jedyną słuszną decyzję, nie miało sensu przedłużanie łzawego pożegnania. A jeśli wcale nie była dzielna i powiedziałyby mu tak czy inaczej, że za niego nie wyjdzie, to niech już tak zostanie.

Być może Winter naprawdę by mu odmówiła. Podczas ostatnich siedmiu tygodni, od jego powrotu z Bostonu, ich życie było zupełnie inne niż latem i jesienią. Oboje ciężko pracowali i wspólne chwile zdarzały się niesłychanie rzadko. Winter była daleka i zaabsorbowana pracą, zmęczona emocjonalnie i fizycznie. Nie bez znaczenia była też jej choroba w lutym.

Z drugiej strony może Winter już dawno doszła do wniosku, że ich miłość się skończyła i czekała tylko na informacje o stażu, aby mógł zastąpić jedno marzenie innym.

Mark westchnął. Wszystko skończone. Tak się musiało stać. Jeśli Winter tego właśnie chciała, jeśli jej nie unieszczęśliwił, tym lepiej.

Patrzył, jak znika, tak jak zniknęła tamtego zaczarowanego, czerwonego wieczoru.

- Żegnaj, kochana. - szepnął ze łzami w oczach.

Następnego dnia, na plaży w Malibu, Winter po raz drugi zagrała życiową rolę, kiedy kręcili finałową scenę *Miłości*.

- Zawsze będę cię kochać - szepnęła, z oczyma błyszczącymi obietnicą. Raz po raz, jako Julia, szeptała te same słowa, choć serce pękało jej z bólu.

Wreszcie, na szczęście, Peter z uśmiechem odwrócił się do Steve'a:

- Jak to się mówi przy filmach, Steve? Ostatni klaps.

- I to jaki! - potwierdził Steve. - Dziękuję wam wszystkim. Nie zapomnijcie o przyjęciu dziś wieczorem u mnie w domu. Zaczynamy o szóstej.

Winter siedziała bez ruchu na kawałku drewnianej kłody, wyblakłej od słońca, i patrzyła w morze. Hałas i poruszenie wokół niej cichły stopniowo.

Została sama.

Nie, obok niej siedział Peter, tak jak często to się zdarzało w ciągu ostatnich dziesięciu tygodni. I, tak jak zawsze, cierpliwie czekał, aż się odezwie.

Tym razem nie mieli żadnej sceny do przedyskutowania. *Miłość* się skończyła.

Wreszcie Winter odwróciła się do niego. Z oczu płynęły jej łzy bólu, żalu i gniewu.

- Ona... Ja... Julia powinna na końcu umrzeć. Albo Sam powinien jazostawic. Dostałeś wiele nagród za swoje cudowne, mądre sztuki, ale przy *Miłości* coś ci się pomyliło. Szczęśliwe zakończenia są tylko w Hollywood, a nie w prawdziwym życiu. Nie wiesz o tym?

- Wiem, Winter.

W jego ciemnych oczach zobaczyła ból. Dlaczego to powiedziała? Podziwiała go. Tak dobrze im się razem pracowało, a on pomagał jej odkrywać własny talent. Łączył ich wspinały profesjonalny związek.

A teraz nagle zrobiło się z tego coś osobistego. Winter trudno było cokolwiek powiedzieć. Musiała stąd odejść i zostać sama.

- Przepraszam - powiedziała.

- Chodźmy na spacer.

- Nie.

Peter wstał, wziął ją za rękę i delikatnie postawił na nogi, zapraszając do przechadzki. Miał silną i ciepłą dłoń oraz dobre, wspólczujące oczy, a Winter nie miała siły się opierać.

Szli przez dziesięć minut w zupełnej ciszy, przerywanej jedynie krzykiem mew i szumem fal.

- Coś się stało z Markiem - stwierdził w końcu Peter.

- Skąd wiesz o Marku?

- Od Allison.

Kiedy wypowiedział imię Allison, usłyszała w jego głosie szczególną miękkość i zobaczyła na twarzy wyraz miłości.

- Ty i Allison?

- Tak. Miała ci powiedzieć dziś na przyjęciu.

- A ja nie chciałam iść do Steve'a, tylko umówić się z Allison. Widzę, że nic z tego.

- Myślę, że wszyscy powinniśmy się tam zjawić, choćby na chwilę, a później, jeśli chcesz się zobaczyć z Allison...

- Nie mam jej nic ważnego do powiedzenia. Mark sam wyjeżdża do Bostonu, a ja zostaję tutaj, żeby rozwijać błyskotliwą karierę. - Winter uśmiechnęła się blade. - Jak przystało na lata osiemdziesiąte. Kariera jest ważniejsza od miłości.

- To tyle?

- Tyle. Poza tym, że mam złamane serce - dodała cicho. - To twoja wina. Ten film przekonał mnie, że wszystko się dobrze skończy, że życie będzie naśladować sztukę, ale nie wyszło.

Przez parę minut znów szli w milczeniu, a potem Peter spytał bardzo, bardzo delikatnie:

- A co z dzieckiem, Winter?

- Z jakim dzieckiem?

Skąd wiedział? Przecież nikt na świecie nie wiedział o dziecku. Nie była u lekarza. Troszeczkę utyla, ale przy jej szczupłej sylwetce nie rzucało się to w oczy, zwłaszcza w ubraniu, i nawet Mark niczego nie zauważył. Na pewno spostrzegłby jej odmienny stan za tydzień lub dwa, lecz nie teraz.

- O czym ty mówisz?

- Nie jesteś w ciąży?

- Skąd wiesz?

Peter wiedział, bo, Winter miała w sobie światło, które rozjaśniało ją od środka. Widział zmiany w Sarze na długo przedtem, nim mu powiedziała, ale wtedy nie wiedział, co oznaczały.

- Różowe policzki, światło w twoich oczach, zielona cera przed miesiącem - mruknął lekkim tonem Peter. - I teraz łzy w twoich oczach - dodał. - Dobrze się czujesz?

- Nie-przyznała z drżącym uśmiechem. - Ale poczuje się lepiej. Oboje pocujemy się lepiej - poprawiła się. - Potrzebuję tylko trochę czasu. Wszystko jest takie nowe. Mark nie może się dowiedzieć o dziecku, Peter.

- Czy to jest w porządku?

- Tak. I nie mów, proszę, Allison.  
- Uważasz, że powiedziałyby Markowi?  
- Nie, oczywiście, że nie. Ale znasz Allison. Zechce wszystko naprawiać. Ona wierzy w szczęśliwe zakończenia. Będzie się starała przekonać mnie, że powinnam powiedzieć o dziecku Markowi, a teraz jestem szczególnie podatna na takie namowy.

- Może zatem byłaby to słuszna sugestia?  
- Nie, Peter, proszę. Potrzebuję jedynie trochę czasu - powtórzyła.  
- Allison nie może się dowiedzieć, jeszcze nie teraz.

Petera martwiły tajemnice, jakie miał przed Allison. Wiedział, że niedługo powie jej o Sarze, ale na razie chciał to jeszcze zatrzymać dla siebie. Ich miłość wciąż była taka świeża i radosna. Tragiczna historia Sary napełni zielone oczy Allison łzami, a jej kochające serce - bezbrzeżnym smutkiem. Peter nie chciał mieć tajemnic przed Allison, a teraz dodatkowo musiał ukrywać przed nią to, co wie o Winter.

- Ale ty sama jej powiesz, prawda?  
- Będę musiała.

- Życzę ci przyjemnego lotu, Bułeczko - szepnęła Allison w kudłate ucho, w oddzielnym dla zwierząt stanowisku na lotnisku. - Do zobaczenia w piątek późnym wieczorem.

Wstała, gdy funkcjonariusz obsługi ostrożnie postawił budę Bułeczki na wózek. Ze łzami w oczach odwróciła się do Petera, który został z nią do ostatniej chwili. Następnego dnia rano zaczynał w Nowym Jorku próby *Hamleta*.

Było niedzielne popołudnie i mieli znów zobaczyć się w piątek wieczorem, ale Allison czuła się tak, jakby to było pożegnanie na wieki.

W pewnym sensie było to pożegnanie intymnych chwil spędzonych w Bellemeade.

Teraz Allison i Petera czekało wiele godzin na lotniskach, w samolotach i w taksówkach, wieczorne rozmowy telefoniczne i szepty o tęsknocie przekazywane na odległość paru tysięcy kilometrów oraz rzadkie wspólne chwile po całych tygodniach oczekiwania. Allison usiłowała wmówić sobie, że ich transkontynentalny romans jest cudowny, piękny i nowoczesny, lecz z trudem powstrzymywała się, aby natychmiast nie rzucić pracy i nie polecieć z Peterem do Nowego Jorku.

- Allison.

W oczach Petera także załśniły łzy. Nie chciał się z nią rozstawać, nawet na pięć dni. Pożegnania go przerażały. Pomyślał przez chwilę,

aby oddać reżyserię *Hamleta* komuś innemu, ale to był jego projekt, i już raz zrezygnował z przygotowania sztuki ze względu na Sarę... Powiedział sobie, że życie z Allison będzie trwało wiecznie, a strach przed rozstaniem *nie* miał z nią nic wspólnego.

- To będzie jak przygoda.

- Tak? Jakim cudem?

- Nie wiem. Staralem się znaleźć coś pocieszającego.

- Będziemy się spełniać w pracy z powodu niespełnionej miłości?

- Ja chyba znów zacznę pisać.

- Lecisz do Nowego Jorku, żeby wyreżyserować największą sztukę Szekspira, w rekordowym tempie, z najbardziej znanymi aktorami. Kiedy masz zamiar pisać?

- W nocy, po telefonie do ciebie.

Kiedy będą mnie męczyć koszmary - pomyślał. Choć może teraz nie wrócą. Nie zjawiały się, gdy trzymał Allison w ramionach. I może więcej się nie zjawia, gdy ma ją w sercu i w marzeniach.

- Jak już zadzwonię do ciebie z mojego bardzo małego i zupełnie nieurządzonego mieszkania.

- Nie masz na ścianach oprawionych plakatów z twoich wspaniałych sztuk ani rozstawionych tu i ówdzie statuetek Tony?

- Nie. - Peter zmarszczył czoło, gdy przypomniał sobie ciemne, puste i surowe wnętrza. Nie będzie miał czasu przed piątkiem, aby coś w nim zmienić. - Moje mieszkanie jest naprawdę bardzo minimalistyczne, Allison. Przeprowadziłem się tam, bo miałem blisko do teatru i mogłem wracać w czasie przerw, żeby zająć się Bułeczka. Jest tam bardzo spokojnie, więc mogę pisać, ale...

- To nieważne, Peter! Nieważne. - Po chwili dodała - Jeśli chcesz, mogę je dla ciebie urządzić.

- Ty będziesz jego ozdobą.

- To miłe, co mówisz - szepnęła. - I tak powinnam spędzić trochę czasu w sklepach z meblami i w salonach aukcyjnych na Manhattanie. Jeżeli nie znajdę sobie jakiegoś projektu, będę przesiadywać z tobą na próbach.

- Nie miałbym nic przeciwko temu.

- Czy potrzebujesz obu rąk do reżyserowania?

- Co takiego? - roześmiał się Peter.

- Jeśli będę cię mogła trzymać za jedną rękę, poczuję się szczęśliwa i w ogóle się nie odezwę.

Winter kupiła egzemplarz „Portretu” poświęcony Oscarom pod koniec marca, ale przeczytała go dopiero w połowie kwietnia. Od czasu zakończenia pracy nad filmem była szalenie zajęta, walcząc z czasem, z samotnością i z bólem. Znowu porzucił ją ktoś, kogo kochała.

Myśl o dziecku, a nie o sobie - upominała się w duchu. Myśli o dziecku stanowiły cudowną odtrutkę na samotność. Nie była sama i z każdym dniem nowe życie stawało się coraz bardziej szczęśliwą, radosną i pełną nadziei częścią niej samej.

Tak bardzo szczęśliwą i radosną, że Winter uznała, iż może już bezpiecznie przeczytać artykuł o Lawrencie Carlyle'u. Najpierw przyjrzała się uważnie fotografii. Twarz Lawrence'a ocieniał kapelusz z szerokim rondem - ochrona przed równikowym afrykańskim słońcem - i wyglądał jak typowy reżyser, król przyglądający się swemu królestwu. Zdjęcie Lawrence'a Carlyle'a niczego nie mówiło o jego bohaterze. Emily Rousseau nigdy nie zrobiłaby takiej fotografii.

Z artykułu Winter też nie dowiedziała się niczego nowego, choć jednej rzeczy tam z pewnością nie było - jakiegokolwiek wzmianki na jej temat. Mimochodem wspomniano o „krótkim i burzliwym małżeństwie z Jacqueline Winter”, ale bez informacji o „dziecku miłości”. Winter nie istniała.

Wyobraziła sobie portret doktora Marka Stephensa, ordynatora oddziału internistycznego - za dwadzieścia lat. Być może znajdzie się w nim wzmianka o latach studiów w Los Angeles - czarujący playboy, który był jednym z najlepszych studentów i nigdy nie stracił z oczu swego celu - i ani słowa o Winter i ich dziecku.

Jednak w tym wypadku Mark po prostu nie będzie o dziecku wiedział. Nie będzie udawał, tak jak jej ojciec, że jego córka nie istnieje.

Winter zamknęła pismo. Nie powinna była go czytać i dowiedzieć się, że zdaniem wielkiego Lawrence'a Carlyle'a nigdy nie przyszła na świat. Popełniła błąd.

Ty nie jesteś błędem, skarbie - powiedziała w duchu do nie narodzonego dziecka. Bardzo się z ciebie cieszę, jestem z ciebie dumna i nie mogę się doczekać, kiedy przyjdiesz na świat.

Przed Markiem musiała ukrywać swoją ciążę, nadszedł jednak czas, aby podzielić się radością z przyjaciółką.

- Miło spędziłaś czas? - spytała po chwili, gdy Allison odebrała telefon w poniedziałkowe popołudnie. Allison właśnie wróciła z trzeciego pobytu w Nowym Jorku.

- Bardzo. Jak się miewasz, Winter?

- Potrzebuję twojej pomocy.

Wreszcie. Allison nie widziała Winter od trzech tygodni. Próbowwała się z nią spotkać, ale za każdym razem Winter mówiła, że jest zajęta. Przez telefon nie robiła wrażenia bardzo załamanej i nie wspominała o Marku, lecz była przecież doskonałą aktorką.

- Dla ciebie wszystko - odparła cicho Allison. Coś w głosie przyjaciółki sprawiło, że Allison wróciła myślą do tamtego letniego dnia, gdy znów wsiadła na konia. „Jesteś mi potrzebna” - powiedziała wtedy przyjaciółce, a Winter odpowiedziała: „Zawsze jestem przy tobie”. - Wszystko - powtórzyła teraz.

- Czy mogłabyś przyjść do mnie jutro? Mieszkam w domu w Bel Air.

- Dlaczego? Od kiedy?

- Od dwóch tygodni. Udało mi się zatrzymać ten sam numer telefonu, który miałam w tamtym mieszkaniu.

Na wypadek, gdyby Mark zadzwonił.

- Myślałam, że chciałaś sprzedać ten dom - powiedziała delikatnie Allison.

- Tak, ale na razie postanowiłam w nim zamieszkać. Możesz przyjść jutro? Wszystko jedno o której.

- Może być rano? W drodze do pracy? Wpół do ósmej? Ósma?

- Jasne. O wpół do ósmej będzie świetnie.

Kiedy Allison zobaczyła ubranie Winter, zatkało ją ze zdumienia. Po przyjrzeniu się bliżej, doszła do wniosku, że mimo rannej pory nie był to szlafrok, lecz elegancki, drogi, jedwabny kaftan, odpowiedni do snucia się po posiadłości w Bel Air, ale zupełnie nie w stylu Winter. Przyjaciółka zawsze nosiła obcisłe rzeczy, podkreślające nienaganną figurę i podnoszące jej wdzięk i urodę. Wyglądało na to, że Winter utyla i że w ogóle o to nie dba.

Allison spojrzała na pełniejsze policzki Winter. Czyżby przyjaciółka pocieszała się jedzeniem? Czy skrywała ból w czterech ścianach domu, a dodatkowe kilogramy pod warstwą drogiego jedwabiu?

- Dlaczego się tak na mnie gapisz, Allison?

- Przepraszam. Ja... W czym mogę ci pomóc?

- Chodź ze mną.

Winter poprowadziła ją za sobą przez salon, obok zamkniętych drzwi do pokoju filmowego, do nieużywanego skrzydła posiadłości.

- Nawet nie wiedziałam, że masz tu takie przestrzenie - stwierdziła ze zdumieniem Allison.

W szkole, gdy sporadycznie spędzały czas w ponurym i pustym domu Winter, przebywały na ogół w kuchni, w pokoju Winter i nad stawem.

- Jak widzisz, to skrzydło od lat było zaniedbane, ale moim zdaniem ma pewien potencjał. Zgodzisz się ze mną? Dla mnie Bellemeade wyglądało okropnie, a spójrz, co z tego zrobiłaś. A tu nawet ja widzę nowe życie.

- Chcesz, bym odnowiła i urządziła te pokoje? - spytała zaskoczona i rozczarowana Allison.

To takiej pomocy ode mnie oczekujesz? - pomyślała. Zawodowej? A ja myślałam, że u najlepszej przyjaciółki szukasz wsparcia w kłopotach.

- Tak. Wiem, że masz zajęte terminy do roku 2000 i chcę, abyś zrobiła to dla mnie kiedyś, w wolnej chwili. Teraz zależy mi tylko na dwóch pokojach.

- Nie ma sprawy.

Co prawda Allison podczas nieobecności Petera bardzo dużo pracowała, ale chciała pomóc Winter.

- Tutaj.

Winter weszła do jednego z pokoi z balkonowym oknem wychodzącym na taras i staw z japońskimi rybkami. To miał być jej pokój w innym dzieciństwie, szczęśliwym dzieciństwie wśród rodziców i rodzeństwa.

- To piękny pokój.

Allison spojrzała taksująco na wysoki sufit i rzeźbione drewniane gzymsy nad oknami.

- To będzie mój pokój. Chciałabym, żeby był wesoły i pełen kwiatów. Będę potrzebowała łóżko i toaletkę.

- To łatwe zadanie. Razem przejrzymy próbki. - Allison podeszła do drzwi, które łączyły pokój Winter z drugim pokojem. - I tutaj?

- Tak. - Winter przeszła za Allison do mniejszego pomieszczenia.

- Co tu ma być? Miejsce do pracy?

- On faktycznie nic ci nie powiedział, co?

- Kto? I czego mi nie powiedział?

- Peter.

- Peter?

Allison poczuła przyspieszone bicie serca. Wiedziała, że Peter miał przed nią tajemnice. Nie opowiedział jej niczego o swoim życiu sprzed ich poznania, choć Allison wiedziała, że przeżył coś bardzo tragiczne-



go. Widziała smutek w jego oczach i czytała jego rozdzierająco smutne sztuki. Miała nadzieję, że pewnego dnia Peter zdradzi jej swoje tajemnice.

A teraz okazało się, że Peter i Winter ukrywali coś przed nią.

- To będzie pokój dziecienny - powiedziała cicho Winter.

- Dziecinny?

- Ona, myślę, że to będzie ona, urodzi się we wrześniu. Z początku meble nie będą mi potrzebne, bo znalazłam moją kołyskę.

Winter błąkała się po domu, zaglądając do dawno zapomnianych pokoi i znalazła swoją starą kołyskę. I swoje stare, dziecinne ubranka. Dlaczego Jacqueline zachowała kołyskę i starannie przechowywała ubranka? Czy ze względów sentymentalnych? Czy dlatego, że nigdy niczego nie wyrzucała?

- Dziecko Marka - szepnęła Allison.

- Tak - odparła miękko Winter. - Mark o niczym nie wie. I nie chcę, aby się kiedykolwiek dowiedział. Kiedy przyjdzie pora, powiem wszystkim, i jej kiedyś też, że jej ojciec umarł.

- Winter...

- Allison! Czyja czasem mogę podjąć jakąś ostateczną decyzję, czy tylko ty masz ten przywilej?

- Co? - Allison zdumiał gniew w głosie przyjaciółki.

- Przepraszam. - Do oczu Winter napłynęły łzy. - Wciąż jestem obolała, a w dodatku szaleją we mnie hormony.

Allison podeszła i uściskała przyjaciółkę. Zawsze jestem po twojej stronie - pomyślała.

- Chodźmy do kuchni, zrobmy sobie herbaty, czy co tam jest odpowiednie dla przyszłej matki, i porozmawiajmy, dobrze?

- Dobrze. W moich książkach jest napisane, że herbata w umiarkowanych ilościach nie szkodzi.

Allison przyglądała się Winter, gdy stawiała czajnik na kuchence i wyjmowała z szafki dwie filiżanki z Limoges.

- O co ci chodziło, kiedy powiedziałaś, że tylko ja mam przywilej podejmowania ostatecznych decyzji?

- O to, że rok temu, kiedy postanowiłaś nie wychodzić za Dana, podjąć pracę u Claire i znów zacząć jeździć konno, po prostu to oznajmiłaś. Nie pytałaś o radę, nawet najbliższych.

- Och. - Allison zmarszczyła brwi. Winter miała rację. Allison nie rozmawiała z Danem, tylko podjęła decyzję dotyczącą ich obojga. I nie konsultowała postanowienia o wznowieniu konnych jazd z Winter ani z rodzicami, którzy pomogli jej wrócić do życia po wypadku. Czy to był

egoizm? A gdyby spytała o radę i usłyszała negatywną opinię? Teraz musiała rozstrzygnąć kolejną kwestię - czy znów zacząć skakać. Kiedy spytała Petera, stanowczo się sprzeciwił. Skoki były czymś, czego Allison potrzebowała dla siebie, ale czy jej potrzeba znaczyła więcej niż niepokój w oczach człowieka, którego kochała?

- Nie chciałam cię urazić - szepnęła Winter i dodała z uśmiechem:  
- Poza tym, do tej pory twoje decyzje były absolutnie słuszne.

- A twoja nie jest?

- Jest - odparła Winter poważnie. To nawet nie była świadoma decyzja. Winter czuła się tak, jakby dostała coś do kochania, cenny podarunek miłości.

- Co takiego straszego by się stało, gdybyś powiedziała Markowi?

- Ożeniłby się ze mną.

- I to jest takie straszne?

- Mark mnie nie chciał, Allison. - Głos Winter zadrżał, a jej oczy znów napełniły się łzami.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Ale tak właśnie było. No i na jakiś czas wróciłam tutaj. Słyszałaś o ograniczeniu wolności spowodowanym porodem?

- Masz zamiar w ogóle nie wychodzić z domu?

- Wyłącznie do lekarza w Cedars, w wielkim kapeluszu i w peruce.

Gdy tylko pojawią się pierwsze zwiastuny *Miłości*, ludzie będą mnie poznawać na ulicy. Zresztą to nie ma chyba znaczenia. Mark będzie w Bostonie, zajęty swoim stażem, ale boję się, że jakoś mógłby się dowiedzieć.

- A jedzenie? Ubranie?

- Przez ostatnie kilka tygodni robiłam zapasy. Mam puszki i mrożonki, które wystarczą mi do świąt. Kupiłam kilka ciężowych sukienek, w których tylko ty i Peter będziecie mnie oglądać. Nic nadzwyczajnego.

Allison zmarszczyła brwi na wzmiankę o Peterze.

- Dlaczego powiedziałaś jemu, a mnie nie?

- Niczego mu nie mówiłam. Sam zgadł. Nie mam pojęcia, w jaki sposób. Miesiąc temu, kiedy skończyliśmy kręcić *Miłość*. Widziałas mnie tamtego wieczoru na przyjęciu u Steve'a. Czy wyglądałam jakbym była w ciąży?

- Nie. - Allison dokładnie pamiętała tamten wieczór. Z troską obserwowała przyjaciółkę, która wyglądała na smutną, zmęczoną i zrozpaczoną, ale na pewno nie ciężarną. - Co powiedział Peter?

- Coś poetyckiego o kolorze moich policzków. Przepraszam, że prosiłam, aby ci nie mówił. To nie było w porządku, ale potrzebowałam trochę czasu. Teraz wiecie oboje i nikt więcej nie może się dowiedzieć.

- Oprócz mojej matki.
- Nie, Allison.
- Ona musi wiedzieć. Nie mogę co tydzień latać do Nowego Jorku i denerwować się o ciebie. Musisz mieć kogoś na wszelki wypadek.
- Nic mi się nie stanie.
- Czasem ktoś będzie musiał otworzyć drzwi dostawcom tapet, mebli i malarzom.
- Zostawię drzwi otwarte. Nie musisz być przy mnie, Allison.
- Ale chcę. I moja matka też zechce. Ona cię kocha, Winter. I nie będzie cię osądzać. - Allison uśmiechnęła się. - Ma wprawę w przyjmowaniu do wiadomości ostatecznych decyzji. I jest coraz lepsza w dotrzymywaniu sekretów.
- Na przykład jakich?
- O mnie i o Peterze.

W końcu Allison powiedziała rodzicom o Peterze. Poznali go, nim wrócił do Nowego Jorku i spodobał im się ten mężczyzna, który dawał tyle szczęścia ich ukochanej córce.

- Trzymacie swój związek w tajemnicy?
- Nie całkiem, ale mamy tak mało czasu, że staramy się zachować dyskrecję. Mama nie powiedziała nikomu, nawet Vanessie.
- Vanessa z pewnością nic by o tym nie napisała, gdybyś ją o to poprosiła. Jesteś jedyną osobą w tym mieście, dla której by to zrobiła.
- Na pewno masz rację, ale Vanessa jest wielbicielką twórczości Petera i byłaby zachwycona, że jesteście razem.
- Bo to jest zachwycające.
- Tak - przyznała Allison z uśmiechem.
- Zbyt zachwycające, aby się dzielić z innymi.
- Oprócz ciebie i moich rodziców. - Allison urwała na chwilę. - Emily też wie - dodała. - Właśnie zrobiła pięć genialnych zdjęć do mieszkania Petera w Nowym Jorku.
- Jak ona się miewa?
- Winter. - Allison spojrzała znacząco na przyjaciółkę. Nie zamierzała zmieniać tematu. - Czy mogę powiedzieć mamie?

Winter zawahała się przez chwilę, a potem szepnęła z wdzięcznością:

- Tak.
  - I możemy przychodzić codziennie ze świeżymi owocami?
  - Tak. Dziękuję ci, Allison.
  - Nie ma za co. A teraz, jeśli chcesz, mogę ci opowiedzieć o Emily.
- W gruncie rzeczy niewiele wiem. Nie jestem pewna, czym się zajmuje

oprócz robienia zdjęć dla mnie. W czerwcu definitywnie przenosi się do Paryża.

- Nadal uważasz, że coś się zdarzyło między nią a Robem?
- Tak, choć nie mam pojęcia co.
- Widziałaś go?
- Nie.

Allison nie widziała Roba nawet z daleka, nawet w sklepie czy na ulicy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie widziała go od tamtego lutowego spotkania w Aspen, odkąd spotkała Petera i zapomniała o całym świecie.

- Wszystko się zmienia, prawda? - powiedziała Winter, jakby czytała w jej myślach. - Któregoś dnia przypomniały mi się grzanki z dietetyczną colą, które robiłyśmy jesienią w Acapulco. Nasze plany, oprócz tego, że zostałam sławną projektantką wewnątrz niezupełnie się spełniły, co? - Winter westchnęła z żalem. - Emily nie odeszła z „Portretu” bez powodu. A Mark i ja...

Jej wielka miłość się skończyła.

- A film, Winter? Peter mówił, że byłaś wspaniała.
- Zobaczymy, jak skończy się montaż. Nie wiesz, kiedy to będzie? Zakładam, że Peter przyjedzie wtedy do Los Angeles.
- Będzie tutaj przez cały tydzień - powiedziała z uśmiechem Allison. - Przez cały pierwszy tydzień czerwca.

## 23

*Burbank, Kalifornia,  
czerwiec 1985 roku*

Steve obserwował Petera, gdy na ekranie pojawiły się ostatnie napisy. W jego krytycznych, doświadczonych oczach film był arcydziełem bez skazy. Mimo to Steve denerwował się, że Peter nie będzie zadowolony.

Peter nie miał jednak żadnych zastrzeżeń.

- Miałem nadzieję, że nakręcę właśnie taki film - powiedział cicho.
- To dobrze.
- Kiedy wejdzie na ekrany?

Steve uniósł brew, zaskoczony pytaniem Petera. Już na samym początku wyraźnie zazaczył, że nie będzie reklamował filmu ani udzielał wywiadów. Teraz jednak chciał dowiedzieć się czegoś bliższego o komercyjnej stronie *Miłości* i jego zainteresowanie wydawało się autentyczne.

- Film wchodzi na ekrany w całym kraju w drugim tygodniu sierpnia - odparł Steve. - Przygotowałem na koniec lipca pokazy dla prasy i krytyków filmowych w Nowym Jorku, Dallas, Chicago, San Francisco i tutaj, w Los Angeles.

- Kiedy odbędzie się premiera w Los Angeles?

- W piątek, drugiego sierpnia. Zarezerwowaliśmy kina w Westwood Village i Bruin, są naprzeciwko siebie, i kino przy Broxton Avenue na przyjęcie po pokazie. Dlaczego pytasz, Peter? Chciałbyś przyjechać na premierę?

- Następnego wieczoru mam premierę *Romea i Julii* na Broadwayu.

- Peter uśmiechnął się ironicznie. Dwie Julie, bohaterki dwóch całkiem odmiennych opowieści o miłości. - Czy chciałbyś, abym się zjawił na premierze, Steve?

- Oczywiście, że bym chciał, ale to nie jest konieczne. Premiery są dla prasy i dla gwiazd. Zaproszone osobistości przyjdą, aby dać się sfotografować i wyrazić swoje zawodowe opinie na temat *Miłości*. Cała uwaga i wszystkie aparaty będą zwrócone na gości i, naturalnie, na Winter i Bruce'a. Ty i ja nie jesteśmy nawet w połowie tak interesujący, chociaż profesjonalna solidarność zawsze się przydaje.

- Gdzie jeszcze mają wystąpić Winter i Bruce?

- Wszędzie. W programach *Dzień dobry, Ameryko, Dzisiaj, Rozmowy poranne*, u Phila, Oprah, a także w lokalnych programach w dużych miastach. Wszystkie większe stacje telewizyjne zarezerwowały już dla nich czas. Każdy interesuje się nowym filmem, a teraz, gdy wiem, że podoba ci się ostateczna wersja, skontaktuję się z Winter i z Bruce'em i ustalę daty.

- Steve, musimy się spotkać z Winter.

- Tak?

- Tak. Bez Bruce'a. Czy odpowiada ci jutrzejsze popołudnie?

- Jasne - odparł Steve. Był zaintrygowany i lekko zdenerwowany, ale wyczuł, że będzie musiał poczekać do następnego popołudnia, aby dowiedzieć się, o co chodzi.

- Winter mieszka w Bel Air, w domu, w którym mieszkała z matką. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak.

Jeśli Winter i Bruce pokłócili się w czasie kręcenia filmu, udało im się zachować to dla siebie - pomyślał Steve po raz pięćdziesiąty w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Jeśli Winter zależało na tym, aby pokazywać się samej, bez filmowego partnera, Steve nie miał nic przeciwko temu. Oddzielne wystąpienia Winter i Bruce'a oznaczały podwójną reklamę dla *Miłości*. Steve zastanawiał się, czy do niej zadzwonić, lecz nie był pewien, czy całe zamieszanie nie dotyczyło raczej Petera niż Bruce'a. W takim przypadku Steve'owi przypadłaby rola rozjemcy. Poza tym, po tylu latach, chętnie obejrzy dom Jacqueline.

Nacisnął przycisk dzwonka i przypomniał sobie, że kiedyś te melodyjne dźwięki sygnalizowały Jacqueline jego przybycie. Gdy Winter otworzyła drzwi, Steve pogrążony był w romantycznych wspomnieniach. Przez chwilę ze zdumieniem spoglądał na fiołkowe oczy i czarne włosy, jakby spodziewał się szafirowych oczu i platynowych włosów ze swych wspomnień.

Bardzo szybko jednak wrócił do rzeczywistości, kiedy zobaczył przed sobą Winter w zaawansowanej ciąży.

- Fantastycznie!
- Dziękuję, Steve - powiedziała słodko Winter.
- Właśnie dlatego sądziliśmy, że lepiej będzie spotkać się bez Bruce'a - wyjaśnił Peter, kiedy przeszli do salonu.
- Czy Bruce jest ojcem?
- Nie! - wykrzyknęli chórem Winter i Peter.
- To ty? - spytał Steve Petera.
- Nie - odparła poważnie Winter. - Ojciec dziecka nie żyje. Steve przechylił głowę.

- Jesteś genialną aktorką i zapewne masz szansę na Oscara, ale twoje wyjaśnienie jakoś nie brzmi przekonująco. - W oczach Winter zobaczył autentyczny strach i dodał delikatnie: - Przykro mi, jeśli on naprawdę nie żyje. A jeśli żyje, to i tak nie moja sprawa. Czy mam przez to rozumieć, że najważniejsza jest dyskrecja?

- Tak. Nie mogę się pokazać publicznie, Steve. Nie przed urodzeniem dziecka, Potem tak.
- I oczywiście masz termin w dniu premiery.
- Jeszcze gorzej. Na początku września. - Winter uśmiechnęła się smutno. To oznaczało, że będzie się mogła pokazać publicznie najwcześniej sześć tygodni po premierze. - Przykro mi, Steve.

Steve wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Bardzo lubił Winter. Była prawdziwą profesjonalistką i dobrą koleżanką. Wiedział też, że nie będzie jej łatwo ani teraz, ani za rok.

- Nie ma sprawy. Bruce uwielbia występy w świetle reflektorów. Jestem pewien, że będzie zachwycony, gdy się dowie, że jesteś zajęta „gdzie indziej”.

- Ja chętnie wystąpię - zaproponował Peter.

- Peter dostanie z pewnością Oscara za scenariusz i dla najlepszego reżysera, ale powinien także dostać specjalną nagrodę za to, że jest taki miły.

Winter uśmiechnęła się do sympatycznego, przystojnego mężczyzny, o którym wiedziała, że nie cierpi publicznych występów. Ale chciał jej pomóc.

- Bruce i ja możemy się pokazywać w sierpniu i we wrześniu - powiedział Steve. - *Miłość* nie zniknie w październiku. Po urodzeniu dziecka, jeśli będziesz chciała i jeśli będziesz zadowolona ze swego wyglądu, możesz wystąpić w porannych programach telewizyjnych.

- Oczywiście. Świetny pomysł. Mogłabym to robić, nie ruszając się z Los Angeles, prawda?

- Jasne. W ten sposób mamy załatwioną telewizję, Peter, ale...

- Chodzi o premierę? - odgadł Peter.

- Niestety. Choć, jak już mówiłem, prasa i telewizja nie są aż tak zainteresowani tobą, czy mną, jak gwiazdami.

- Zawodowa solidarność staje się istotna?

- Tak.

- Będę na premierze, Steve.

- I wrócisz do Nowego Jorku na premierę *Romea i Julii* dwadzieścia cztery godziny później?

- To żaden problem.

Gdy Steve wstał, przypomniał sobie fiołkowe oczy małej dziewczynki, które kiedyś obserwowały go niepewnie z kąta pokoju. Spojrzał w nie teraz i zobaczył tę samą niepewność.

- Kiedy zobaczysz swoje dzieło, Winter?

- Jak je puszcza w telewizji kablowej.

- Nie chcesz zobaczyć filmu?

- Nie wiem.

- Zagrałaś genialnie. Peter już ci to z pewnością powiedział.

Winter uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Peter jej powiedział.

- Masz tutaj pokój do wyświetlania filmów, prawda? - zapytał Steve.

- Tak.

- A zatem na wszelki wypadek podeślę ci kopię filmu.

- Dziękuję.

Steve, zbierając się do wyjścia, pomyślał o Lawrencie Carlyle'u, duchu, który prześladował ten dom i który może jeszcze prześladować ich film. Doszedł jednak do wniosku, że problem Lawrence'a może poczekać do następnego spotkania. Brak kontaktów między ojcem i córką musiał być jakoś wyjaśniony, ale mieli czas. Na razie Winter miała na głowie zupełnie inne sprawy.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebować, możesz na mnie liczyć.

- Dziękuję, Steve.

Po jego wyjściu Winter zwróciła się do Petera.

- Nie było tak źle. Dzięki tobie.

- Steve jest rozsądnym człowiekiem.

- Czyja naprawdę zgodziłam się pojechać do studia telewizyjnego o czwartej rano, aby z promiennym uśmiechem wystąpić w programie dla widzów Wschodniego Wybrzeża?

- Tak, Winter. Gdybym reżyserował tę scenę, nie musiałbym robić powtórek. Byłaś szalenie przekonująca.

- Ucieszyłam się, że...

Zadzwonił telefon, przerywając jej w pół słowa. Jedynymi osobami, które do niej dzwoniły były Allison, Peter i Patricia. Peter był z nią, Allison właśnie zawoziła Emily na lotnisko. Może dzwoniła Patricia, ale...

To mógł być Mark. Jutro, czy też któregoś z najbliższych dni, wyjeżdżał do Bostonu. Może dzwonił, żeby spytać, czy naprawdę musi jechać tam sam?

- Halo.

- Cześć.

- Witaj Allison.

- Czy Peter wciąż tam jest?

- Tak. Już go proszę. - Winter podała słuchawkę Peterowi i usiadła na sofie, rozczarowana, ale głównie zła na siebie za głupie fantazje.

- Cześć - powiedział. - Jesteś u Emily?

- Nie, jestem na autostradzie. A właściwie jestem w barze przy autostradzie.

- Nic ci nie jest?

- Nie. Nie mogę dalej jechać, bo niedaleko stąd, na mojej trasie, przewróciła się ciężarówka i cała droga pokryta jest olejem czy miodem, czymś lepkiem. Nie mogę się stąd ruszyć przynajmniej przez godzinę.



- A masz odebrać Emily za... - Peter spojrział na zegarek - za dwadzieścia minut.

- Tak. Usiłowałam do niej zadzwonić, ale już jej wyłączyli telefon i...

- Daj mi jej adres.

- Możesz to zrobić?

- Oczywiście. Będę miał okazję, aby ją poznać, nawet jeśli tylko po to, żeby jej powiedzieć „do widzenia”.

- Dziękuję. - Allison podała Peterowi adres Emily. - Nienawidzę autostrad! Jak wypadło spotkanie ze Steve'em?

- Bardzo dobrze. W sierpniu ty i ja pokażemy się razem na premierze, chyba głównie po to, aby opowiedzieć Winter, jak było, a w październiku czeka cię trochę opieki nad dzieckiem.

- Nie mogę się już doczekać - powiedziała ze śmiechem Allison. - A propos czekania, to zrobiła się kolejka do telefonu.

- I tak muszę jechać po Emily.

- Miałam zamiar dać jej numer telefonu i adres twojego mieszkania w Nowym Jorku.

- Naszego mieszkania.

- Naszego mieszkania - powtórzyła Allison.

Emily usiadła na wąskim łóżku w mieszkaniu w suterenie przy Montana Avenue. Allison miała po nią przyjechać za dziesięć minut.

Mieszkanie wyglądało dokładnie tak samo, jak sześć lat wcześniej, gdy Emily się tam wprowadziła - puste, ciemne i nieładne. Szuflady i szafy były opróżnione, a odgradzony kąt, gdzie Emily urządziła ciemnię, znów stał otworem, bez ciemnej zasłony, bez chemikaliów i utensyliów.

Emily zabierała do Paryża bardzo mało rzeczy. Oprócz aparatu fotograficznego jedną małą walizkę, a w niej zdjęcie Roberta Jeffreya Adamsona, zrobione na ślubie Meg (wtedy nie wiedziała jeszcze, jak się nazywa, widziała tylko jego łagodne, niebieskie oczy), dwie bardzo ważne książki: *Zagubiona mała dziewczynka* i *Mała dziewczynka odnaleziona*, nową bawełnianą koszulę nocną, puszysty szlafrok, zmianę koronkowej bielizny i listy.

Jeden list do człowieka, którego nienawidziła i jeden do człowieka, którego kochała. Żadnego z nich nie zamierzała wysłać, ale musiała je napisać, żeby wyrzucić z siebie emocje. Musiała stanąć twarzą w twarz z nienawiścią i przyznać się do miłości.

List do mężczyzny, którego Emily nienawidziła, złego człowieka, który zniszczył jej niewinność, ufność i nadzieję, był pełen wściekłości. Nie zawierał słów przebaczenia.

- Chcesz mu wybaczyć? - spytała ją doktor Camden.

- Nie. Wiedział, co robi, prawda?

- Tak sądzę - powiedziała spokojnie doktor Camden, choć miała bardzo określone poglądy na te sprawy. Mężczyzna, który świadomie krzywdził bezbronne dziecko, który na całe życie okradał ją z zaufania i nadziei na miłość, nie zasługiwał na wybaczenie.

Emily powiedziała doktor Camden o liście do ojczyma, nie przyznała się jednak do listu, który napisała do ukochanego mężczyzny. Gdyby była silniejsza, osobiście podziękowałaby Robowi. Być może wróciłaby nawet do „Portretu”, spotykała się z Robem raz w tygodniu, zrobiła zdjęcia na jego ślubie.

„Mam nadzieję, że zrobisz nasze zdjęcia ślubne - powiedziała kiedyś Elaina. - Przymuszczalnie pobierzemy się w czerwcu, w klubie”.

Gdyby Emily była silniejsza...

Z drugiej strony może to właśnie była oznaka siły. Jeszcze cztery miesiące wcześniej z zachwytem spędziłaby resztę życia, spotykając się z Robem raz w tygodniu. Nigdy sobie nie wyobrażała, że mogłoby się jej przydarzyć coś lepszego, bo na nic więcej nie zasłużyła.

Teraz czuła się silniejsza. Chciała dla siebie czegoś więcej. Chciała miłości. Miała prawo kochać i być kochaną. Na razie wszystko polegało na wierze i wewnętrznym przekonaniu, ale z czasem, jeśli będzie miała szczęście, nowe doświadczenia, zrównoważą stare. Wiedziała już, że Rob Adamson istnieje. Na pewno gdzieś na świecie byli inni, podobni do niego mężczyźni...

Miłość musiała jeszcze poczekać. Emily wciąż uczyła się, jak polubić siebie i uwierzyć we własne siły. Jednak pewnego dnia przyjdzie także miłość.

Stare ubrania - wyprane i wyprasowane — przeznaczyła dla biednych. Stały przygotowane w pudle koło drzwi.

Na lot do Paryża, na przyjazd do nowego domu, Emily kupiła nowe ubranie: miękką, jedwabną i bardzo kobiecą bluzkę koloru kości słoniowej i spódnicę do pół łydki z eleganckiego dżinsu, dopasowaną w talii i lekko rozkloszowaną. W uszach miała kolczyki z lazurytu, tym razem widoczne, gdyż odgarnęła z twarzy włosy, podpięła je spinkami i splotła w gruby warkocz.

Zaskoczyło ją stukanie do drzwi. Allison przyjechała trochę wcześniej. Emily zamierzała czekać na nią na ulicy o wyznaczonej godzinie.

- Allison, ja... - To nie była Allison, lecz ciemny, przystojny mężczyzna, który uśmiechał się do niej z zainteresowaniem.

W pierwszym odruchu Emily chciała sięgnąć do spinek, gdyż miała wrażenie, że jej twarz jest zbyt widoczna. Odwagi - powiedziała sobie. Wyciągnięcie spinek niczego by przecież nie zmieniło. Ochronna kurtyna została zapleciona w długi, jedwabisty warkocz.

- Witaj, Emily. Jestem Peter Dalton. Allison utknęła w korku po drugiej stronie miasta i ja cię zawiozę na lotnisko.

- To nie jest konieczne. Mogę zamówić taksówkę.

- To dopiero nie jest konieczne. Chętnie cię podwiozę, Emily. Od dawna chciałem cię poznać. Jestem wielbicielem twoich prac.

- Dziękuję.

- Czy to cały twój bagaż? - spytał, sięgając po walizkę, która stała obok torebki i futerału z aparatem.

- Tak.

Zaczynam nowe życie - poinformowała go w myśli. Zabieram jedynie zdjęcie człowieka, którego kocham, dwa bardzo ważne listy i przewodniki na przyszłość.

Peter wstawił walizkę do bagażnika i otworzył Emily drzwi.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo - uśmiechnął się Peter. Emily była piękną kobietą. Zupełnie nie odpowiadała opisowi Allison.

- Zanim zapomnę - powiedział Peter, wyjmując z kieszeni koszuli kartkę. - Tutaj jest nasz adres i numer telefonu w Nowym Jorku. Tam będziemy spędzać weekendy z Allison w najbliższej przyszłości.

- Dziękuję. Jak tylko znajdę jakieś mieszkanie, przyślę swój adres i telefon.

- Doskonale. Allison mówiła, że będziesz pracować dla „Paris Match”.

- Na początek jako wolny strzelec.

Kiedy Emily tam zadzwoniła, chcieli natychmiast zatrudnić sławną fotografkę z „Portretu” na pełnym etacie, ale się nie zgodziła. Zamierzała panować nad swoim życiem i je kontrolować. Poza tym kontrakt z innym pismem wydawał jej się zdradą Roba. On nigdy jej nie zdradził, choć w gniewie mu to zarzuciła.

- Jestem pewien, że będziesz miała dużo pracy.

Kiedy dojeżdżali do lotniska, Peter wyczuł, że Emily jest zdenerwowana. Siedziała blada i sztywna.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, odprowadzę cię do odprawy. Chciałbym zobaczyć nowy budynek.

- Dobrze.

Ludzie gapili się na nich - przystojnego, ciemnego mężczyznę i piękną, jasnowłosą kobietę. Gdyby Emily była sama, chyba umarłaby ze strachu. Nie była jednak sama, Peter szedł tuż przy niej. Po chwili zaczęła odważnie odwzajemniać spojrzenia mężczyzn i przekonała się, że nie są groźne, lecz pełne podziwu.

Peter przyglądał jej się z upodobaniem. A także z sympatią i aprobatą, jakby wiedział, że dla niej to jest wielki krok naprzód i musi jej pomóc utrzymać się na powierzchni.

Bez niego może straciłaby odwagę i wiarę w siebie, nad którymi pracowała tak ciężko przez ostatnie miesiące, ale Peter był przy niej i jego obecność dodawała jej odwagi. Wiedziała, że nigdy mu tego nie zapomni.

Teraz Emily знаła już dwóch łagodnych i sympatycznych mężczyzn: Roba Adamsona i Petera Daltona.

- Powiedz Allison, że życzę jej powodzenia w Chateau Bel Air - powiedziała Emily do Petera, nim wsiadła do samolotu.

- Przekażę, choć wiem, że Allison jest zdania, że odniosłaby sukces nawet wtedy, gdyby w pustym, zakurzonym pokoju powiesiła twoje fotografie.

Otwarcie Chateau Bel Air odbywało się w czwartkowy wieczór, na początku lipca. Goście przechadzali się po eleganckim hotelu i popijali szampana przed wystawną kolacją, zaplanowaną we wspianiałej Sali Wersalskiej. Byli bogaci, sławni i dobrze zorientowani. Znali najlepsze hotele w Los Angeles, z dużymi salami konferencyjnymi, gdzie zawierali milionowe umowy, i z luksusowymi apartamentami, gdzie spędzali romantyczne weekendy.

- Rob, cieszę się, że cię widzę - powiedziała Allison, spoglądając z uśmiechem w ciemnoniebieskie oczy, których nie widziała od lutowego spotkania w Aspen. Zatęskniła przez chwilę, zrobiło jej się smutno, że tak długo się nie widzieli, czyżby... Nie, to specjalne porozumienie nadal między nimi było.

- Nie mogłem nie przyjść, Allison. To arcydzieło.

- Dziękuję. Oczywiście to zdjęcia... - zaczęła automatycznie Allison. Przez cały wieczór odpowiadała na komplementy w ten sam sposób: „Oczywiście to zdjęcia Emily Rousseau robią największe wrażenie”.

- Czy Emily tu jest? - spytał Rob.

- Emily? Nie, miesiąc temu wyjechała na stałe do Paryża.
- Rozumiem.

W jego oczach Allison dostrzegła smutek i zmęczenie. Rob przyszedł do Chateau Bel Air, żeby być świadkiem jej triumfu, ale miał też nadzieję, że zobaczy Emily.

- Widziałaś się z nią przed wyjazdem?
- Tak.
- Jakie zrobiła na tobie wrażenie?
- Była smutna, jakby trochę zagubiona po tym, jak przestała pracować w „Portrecie” - powiedziała Allison.
- Zagubiona - powtórzył Rob. Zagubiona mała dziewczynka.
- Z drugiej strony...
- Tak?
- Sama nie wiem. Nie potrafię tego określić, ale miałam wrażenie, że czuje się znacznie lepiej.
- Lepiej?
- Aha. - Allison zmarszczyła lekko brwi, żałując, że nie potrafi wyrazić tego dokładniej, nie potrafi uspokoić Roba, który wyraźnie się martwił o Emily. - Dostałam od niej kilka pocztówek z Paryża. Jest bardzo zajęta i chyba czuje *się* tam jak w *domu*.

Ktoś przerwał im na moment, chcąc pogratulować Allison.

- Czy Elaina jest tu z tobą? - spytała Allison, gdy znów zostali sami.
- Nie. Jestem sam. A ty? Roger ma złamane serce. Mówi, że w twoim życiu jest ktoś nowy. Czy jest tutaj?
- Roger wcale nie ma złamanego serca. Ale w moim życiu rzeczywiście ktoś jest. Nie mógł dziś przyjechać - odparła cicho Allison. Peter miał w Nowym Jorku próbę kostiumową *Hamleta*.
- On jest chyba bardzo dla ciebie ważny - powiedział z uśmiechem Rob.
- Tak - przyznała spokojnie. - Chciałabym, abyś go poznał. Wiem, że na pewno się polubicie.
- Chętnie go poznam. Myślisz, że przypadnę mu do gustu?
- Tak. - Allison wiedziała, że Rob i Peter kiedyś się spotkają. Peter na pewno znajdzie się w Oscarowym wydaniu „Portretu”. Uczucie Allison i Petera nadal było tajemnicą, którą znało zaledwie parę osób. Allison zapragnęła nagle podzielić się swym szczęściem z Robem. - W gruncie rzeczy...

Tym razem przerwał im ktoś, kto chciał porozmawiać z Robem. Co chwilę podchodzili do nich kolejni goście i gdy Allison znów została sama rozejrzała się i stwierdziła, że Roba już nie ma.

Chciała mu powiedzieć, że spotka Petera na premierze *Miłości*.

Rob Adamson należał do osób, które z pewnością dostaną wygrawerowane zaproszenie na galową premierę. I Allison, dumna i szczęśliwa, przedstawi swego drogiego przyjaciela, Roba, ukochanemu Peterowi.

## 24

*Bel Air, Kalifornia,  
sierpień 1985 roku*

Allison przyjechała do domu Winter pierwszego sierpnia wieczorem, dokładnie dwadzieścia cztery godziny przed premierą *Miłości* w Los Angeles.

- Przywiozłam ci suknię na premierę. - Allison wręczyła zdumionej przyjaciółce jasnyniebieskie pudełko przewiązane złotą wstążką. - A w każdym razie na nasze przyjęcie popremierowe. Kupiłam ją w bardzo eleganckim sklepie dla kobiet w ciąży przy Deyton, zapewne dla gwiazd i żon gwiazdorów. Oczywiście nikt mnie nie rozpoznał ani nie zainteresował się, dlaczego kupuję suknię ciążową. W gruncie rzeczy byłam trochę rozczarowana, bo przygotowałam sobie wiarygodne wyjaśnienie. - Allison mrugnęła konspiracyjnie. - W każdym razie zapłaciłam gotówką i upewniłam się, że nikt mnie nie śledzi.

- Och, Allison - szepnęła Winter, otwierając jasnyniebieskie pudełko. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy zobaczyła jedwabną suknię w kolorze lawendy i kości słoniowej. Ubrania ciążowe, które kupiła sobie w marcu i na początku kwietnia, były zwyczajne, do noszenia w domu. - Jest piękna!

- Prawda?

- To będzie świetna zabawa. Co ty wkładasz?

- Na premierę *Miłości* suknię z pastelowego szyfonu.

Allison, kiedy ją zobaczyła, stwierdziła, że jest szalenie romantyczna.

- A na *Romea i Julię*!

- Złota lama, bardzo elegancka, typowa dla Piątej Alei. Peter na obie premiery wypożyczył smoking.

- Co za szalony weekend. *Miłość* w Westwood, *Romeo i Julia* na Manhattanie. W sobotę w nocy będziesz w Tawernie, pijąc do świtu szampana i czekając na pierwsze recenzje.

- Najbardziej z całego weekendu cieszymy się na jutrzejszą kolację z tobą po premierze.

- Wyglądacie szalenie światowo - wykrzyknęła Winter, gdy Allison i Peter przyjechali następnego wieczoru. - Co za suknia, Allison. A Peter w smokingu!

- Ty też świetnie wyglądasz - powiedział Peter.

- Ubóstwiam moją elegancką ciężową suknię.

Allison i Winter poszły za Peterem, który zaniósł wykwintne potrawy z klubu do kuchni.

- Czy na pewno mamy wszystkiego dość? - zaśmiała się Winter. - Samo oglądanie tego, co przywieźliście, zajmie mi czas do waszego powrotu.

- Zaczekaj na nas, Winter - zaproponowała Allison. - Zostaw wszystko w lodówce, a kiedy wrócimy, nakryjemy do stołu i odgrzejemy jedzenie w mikrofalówce.

- Jestem wprawdzie w ósmym miesiącu i na to, niestety, wyglądam, ale poza tym nic mi nie jest.

- Tylko nie przesadzaj.

- Dobrze.

- Obejrzysz dziś film?

- Nie sądzę. - Zgodnie z obietnicą Steve przywiózł Winter kopię *Miłości*. Któregoś dnia zasiądzie w wygodnym fotelu w pokoju filmowym i obejrzy swoją rolę w najbardziej romantycznym filmie dziesięciolecia. Ale jeszcze nie teraz.

- Musimy już jechać - powiedział Peter.

- Idę. - Allison uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Strasznie mi się nie chce zostawiać cię tu samej.

- Nie jestem sama - odparła Winter, myśląc o dziecku.

Allison nie pamiętała, jak to się stało; czy Peter zabrał swoją dłoń, czy też to ona zabrała swoją, ale nagle zdała sobie sprawę, że siedzi z rękami mocno splecionymi na kolanach. Ta świadomość była jedynie cząstką zamieszania i strachu, jakie ogarnęły ją w czasie oglądania filmu.

Kim jest Julia? - pomyślała i sama sobie odpowiedziała:

- Julia jest kobietą, którą kocha Peter.

Wprawdzie najwyraźniej znikła z jego życia, nadal jednak pozostawała w jego sercu.

Czy Peter napisał scenariusz *Miłości* dla Julii? Czy film był prośbą, aby ukochana do niego wróciła? Oczywiście, odpowiedź nasuwała się sama.

Takie pytania kłębiły się w głowie Allison w trakcie filmu i po zakończeniu projekcji, kiedy w kinie zapadła cisza.

Cisza trwała przez dobrych parę chwil. Każdy widz potrzebował trochę czasu w ciemnej sali, aby zdać sobie sprawę z tego, co zobaczył, otrzeć łzy, zastanowić się, dlaczego jego właśnie ominęło tak cudowne uczucie i obiecać sobie w duchu, że poszuka takiej miłości albo postara się ożywić na nowo, tę, którą zaniedbał.

Pełną szacunku i namysłu ciszę przerwały nagle pojedyncze oklaski, które zmałyły magiczną atmosferę. Widzowie musieli opuścić zamczarowany świat Julii i Sama.

Oklaski przerodziły się w owację na stojąco. Allison także wstała i jakoś udało jej się rozewrzeć splecione ciasno dłonie, żeby przyłączyć się do powszechnego aplauzu.

Allison nie była w stanie spojrzeć na Petera ani w czasie owacji, ani wówczas, gdy pochylił się do niej i szepnął, że idzie ze Steve'em „porozmawiać z prasą”. Kiedy Peter i Steve znikli, Allison wmieszała się w tłum bogatych i sławnych widzów, którzy wypłynęli z ciemnej sali kinowej do rzęście oświetlonego foyer, gdzie szampan lał się strumieniami, a jedynym tematem rozmów były nieustanne pochwały *Miłości*.

- Genialny scenariusz, prawdziwa poezja!

- Cudowny debiut Winter Carlyle!

- *Miłość* zbierze wszystkie Oscary.

- Vanessa Gold miała rację co do Petera Daltona. To sześciogwiazdkowy talent, przechodzi od tragedii (widziałas *Powiedz do widzenia?*) do czegoś tak cudownego.

- Co za wyobraźnia!

Wyobraźnia? - zdumiała się Allison. Czyż nikt się nie zorientował? Nie wiedzieli, że film mówi o prawdziwej, rzeczywistej miłości? Może to ona się pomyliła? Na moment zabłysła iskierka nadziei, ale równie szybko znikła.

Allison przecisnęła się przez tłum do spokojniejszego kąta, gdzie światła nie były tak jasne i gdzie nie musiała z nikim rozmawiać. Z daleka zobaczyła Vanessę Gold. Miała nadzieję, że Vanessa nie widziała jej wcześniej obok Petera i nagle pomyślała, jakie to szczęście, że nikt nic o nich nie wie.

O czym mieliby wiedzieć? Allison i Peter nie byli zakochani, ponieważ Peter kochał inną kobietę.



Czuła, że za chwilę się rozpłacze. Musiała gdzieś uciec, schować się, znaleźć jakieś miejsce, gdzie będzie sama ze swymi myślami. Już raz uciekła z tłumu gości, gdyż bała się rozpłakać pod wpływem tego, co usłyszała. Tamtego pięknego, czerwcowego dnia schroniła się w pachnącej altanie z bzów i siedziała tam sama, dopóki nie znalazł jej przystojny mężczyzna ze śmiejącymi się, niebieskimi oczyma.

Ze swego miejsca w kącie rozglądała się, szukając Roba. Przypomniało jej się, że planowała, aby tego wieczoru z dumą i radością przedstawić swego przyjaciela ukochanemu Peterowi. Allison rozglądała się za Robem, wiedząc, że nic mu nie powie ani nie poprosi, żeby ją stąd zabrał. Miała jednak nadzieję, iż jego dobre oczy i ciepły uśmiech roztopią tkwiące w jej sercu lodowate iskry strachu.

Jednak Roba Adamsona nie było w tłumie osobistości, które celebrowały wspaniały triumf Petera Daltona.

Wspaniały triumf Petera. Petera, Winter, Steve'a i Bruce'a.

I Julii. Kimkolwiek była, gdziekolwiek się teraz znajdowała.

Rok wcześniej, pewnego sierpniowego dnia, Allison stała na stadionie, otoczona ludźmi i swymi straconymi złudzeniami. Wtedy pomyślała, że nie należy już do tego świata. Uciekła stamtąd do Elegancji, aby rozwinąć swój nowy talent i znaleźć nowe marzenia. Tego dnia poznała Petera.

Dzięki Peterowi poznała ogień, namiętność i miłość, które żyły w jej duszy. Dzięki Peterowi odkryła marzenie, o którym nawet nie śniła.

A teraz poczuła, że to marzenie o miłości też się rozpada i znów wróciła do niej ta sama myśl: „Nie należę do tego świata”.

- Tu jesteś, Allison. Chcesz już jechać?

Allison nie mogła spojrzeć Peterowi w oczy, choć czuła, że wpatruje się w nią intensywnie, żądając wyjaśnień.

- Tak - szepnęła.

Oboje milczeli w drodze z Westwood do Bel Air, jadąc do Winter na późną kolację, która miała być radosna i pełna triumfu.

Peter nie zwolnił, kiedy dojechali do bramy przy Bellagio, ale przejechał jeszcze kilometr i wreszcie zatrzymał się na parkingu w klubie. Normalnie to dalekie od wejścia miejsce byłoby słabo oświetlone, ale księżyc w pełni świecił miękkim, złotym blaskiem.

- Co się stało, Allison?

- Powiedz mi, Peter.

- Co mam ci powiedzieć, kochanie?

- Powiedz mi o Julii - wyszeptła Allison, patrząc w oczy, których unikała od zakończenia filmu. Teraz chciała, musiała widzieć oczy

Petera. Jej twarz była jasno oświetlona światłem księżyca, ale twarz Petera pozostawała w cieniu. Allison wyczuła, że jej słowa zrobiły na nim wrażenie.

I jej przeczucie się potwierdziło - Julia musiała być prawdziwa.

Peter nie odpowiedział od razu i czas stanął w miejscu, jakby wszystko wokół nich, wśród letniej nocy, zamarło, czekając na jego odpowiedź. Allison zdawało się, że usłyszała dalekie rzenie konia, ale może słyszała je tylko we własnej wyobraźni, jak przypomnienie innego marzenia, które się rozpadło.

- Allison - przemówił wreszcie Peter, cicho i łagodnie. - Julia to postać fikcyjna i ta opowieść jest fikcją.

Przerwał i w tej martwej chwili Allison krzyknęła w duchu: „Proszę cię, Peter, nie kłam! Nie udawaj, że wszystko to powstało wyłącznie w twojej głowie, a nie w kochającym sercu”.

Peter nie zamierzał oszukiwać Allison.

- Jednak postać Julii wzorowałem na kobiecie, którą znałem - powiedział.

- I kochałeś?

- Tak. - Chciał ją wziąć za rękę, ale Allison mu nie pozwoliła. - Allison...

- Powiedz mi, Peter. Co to za kobieta?

- Moja żona.

- Twoja żona? - powtórzyła Allison słabym głosem.

Przygotowała się, jak umiała na to, że usłyszy z ust ukochanego mężczyzny o namiętnej miłości, której nie mógł zapomnieć, ale nigdy nie pomyślała o małżeństwie.

- Wzięliśmy ślub osiem lat temu. Przeżyliśmy razem cztery lata, nim umarła.

- Umarła? - szepnęła z bólem.

- Tak. Napisałem *Miłość* tuż przed jej śmiercią. Chciała, abym napisał o szczęśliwym uczuciu. Obiecałem jej, że nakręcę film i że nie zmienię zakończenia.

- Mimo że...

- Tak...

Peter podał Allison suche fakty, ale i tak przyjęła to bardzo emocjonalnie. Bezsilnie spoglądał na strach, zaskoczenie i smutek, które widniały w jej oczach.

- Dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałaś?

- Właśnie dlatego. - Drżącą dłonią starł jej z policzków gorące łzy.  
- Nie chciałem, abyś płakała.

- Nie dotykaj mnie! - Słowa Allison i jej ostry ton zaskoczyły oboje. W czasie kilku miesięcy cudownej miłości Allison uwielbiała dotykać rąk Petera. A teraz przyniósł jej jedynie ból. - Proszę - dodała cicho.

- Dobrze, kochanie. - Peter niechętnie odsunął rękę od jej wilgotnego policzka. - Zamierzałem ci powiedzieć, Allison.

- Już dawno powinienesz być to zrobić.

- Chyba tak - przyznał miękko. Chciał tylko uchronić ukochaną od smutku, a w rezultacie głęboko ją zranił. Musiał się wytłumaczyć, postarać się, żeby go zrozumiała. - Ale kiedy jednak miałem ci powiedzieć? - spytał bezradnie. - Podczas tych paru cudownych tygodni, które spędziliśmy razem w Bellemeade, gdy delikatne korzenie naszej miłości potrzebowały starannej pielęgnacji? Czy też w ostatnich miesiącach, kiedy spędzaliśmy ze sobą tak mało chwil i chcieliśmy je wypełnić szczęściem? Wiedziałem, że bardzo to przeżyjesz. Nie mogłem, nie chciałem ci tego robić.

- I wpadłam w emocjonalną zasadzkę.

, — Miałem nadzieję... - Peter nie skończył zdania, gdyż nagle zrozumiał, że był głupi, spodziewając się, iż Allison odbierze *Miłość* tak, jak reszta świata - jako opowieść o wspaniałej miłości, stworzoną przez utalentowanego pisarza.

Bezsenne noce w czasie ostatnich paru tygodni nawiedzały go w Nowym Jorku nie z powodu koszmarów. Nieustannie zastanawiał się, czy powinien przed premierą powiedzieć Allison o Sarze. W końcu zrezygnował. Nie chciał zasmucać jej radosnego serca, nie chciał psuć jej nastroju. Jeszcze nie.

*Miłość* była filmem o Sarze, a nie o nim - przekonywał sam siebie. Ojej urodzie, niewinności, odwadze. Jedynie ludzie, którzy kochali Sarę - Peter, jej rodzice i Rob - mogli dostrzec Sarę w Julii.

*Miłość* była poświęcona Sarze i Allison, która go kochała.

Powinien zaryzykować i już dawno o wszystkim jej powiedzieć. Teraz, obok miłości do niego, w sercu Allison zagościła nieufność.

Ile szkody uczynił w imię miłości? Odpowiedzią było pełne bólu spojrzenie Allison. Musi szybko to naprawić, choć wiedział, iż nie będzie łatwe.

- Bardzo się myliłem, Allison. Już dawno powinienem być ci o wszystkim powiedzieć.

Najchętniej wzięłby ją w ramiona i scałował z twarzy ból i wątplenie, ale Allison nie chciała, aby jej dotykał.

- To prawda. Co jeszcze przede mną ukrywasz, Peter?

- Nic więcej, nie mam żadnych tajemnic i nigdy nie będę miał. Obiecuję.

Allison otworzyła usta, ale nie potrafiła mówić o targających nią uczuciach. Nagle poczuła się zmęczona i pokonana. Nic nie mówiąc, westchnęła cicho i potrząsnęła głową.

- O czym myślisz? Powiedz mi.

- Jestem taka zagubiona - odparła wreszcie. - Myślałam, że nas znam.

Wierzyłam w nas. Ufałam ci - pomyślała.

- Oczywiście, że nas znasz. Nie bądź zagubiona. - Peter czuł się zagubiony, od chwili gdy umarła Sara. Dopiero gdy poznał Allison, czuł, że wraca do życia. - Przecież wiesz, że cię kocham.

- Powiedz mi, czy ją kochasz.

- Allison...

- Tylko szczerze.

- Dobrze, kochanie. Bardzo ją kochałem. Kiedy umarła... Przeżyłem trudne chwile.

- Wtedy napisałeś *Powiedz do widzenia* - szepnęła cicho.

W grudniu, zanim wyznali sobie miłość, przeczytała wszystkie sztuki Petera. Płakała nad smutnymi, pięknymi słowami i rozmyślała o utalentowanym pisarzu i o tym, że był najwyraźniej głęboko nieszczęśliwy. *Powiedz do widzenia* to najbardziej dramatyczna i najwspanialsza sztuka, jakąkolwiek czytała. Teraz wiedziała dlaczego. Tak samo, jak w *Miłości*, słowa i emocje płynęły prosto z serca Petera. *Miłość* była radosną apoteozą wiecznego uczucia, a *Powiedz do widzenia* jej mroczną bliźniaczką, udreńczonym pożegnaniem z życiem i miłością.

- Tak. Zacząłem znów pisać i reżyserować. Pograżyłem się w pracy i planowałem, że tylko tym się będę zajmował do końca życia. - Peter przerwał, a potem szepnął delikatnie: \* Ale, pewnego dnia, zdarzyło się coś niewiarygodnego.

W tym momencie zdał sobie sprawę, że Allison nie widzi jego twarzy, oświetlonej z tyłu światłem księżyca, tworzącym niezasłużoną aureolę. Przesunął się lekko, nie w jej stronę, gdyż tego nie chciała, lecz w bok, aby zobaczyła miłość w jego oczach.

Wpatrywał się w nią, oczekując choćby najlżejszej reakcji na jego słowa: „coś niewiarygodnego”, lecz Allison milczała, jeszcze bardziej skonfundowana. Czyżby nie wiedziała, nie była pewna?

- Allison - szepnął natarczywie. - To coś niewiarygodnego oznaczało, że się w tobie zakochałem.

- Och!

- Tak. Tak, Allison. Kiedyś wierzyłem, że miłość, o ile istnieje, mnie się nie przydarzy. Gdy osiem lat temu się zakochałem, dostałem

nieoczekiwany i zaskakujący podarunek. Kiedy ona umarła, byłem pewien, że nigdy nikogo nie pokocham. Stałem się niedostępny, otoczony murem wspomnień, pozbawiony zdolności kochania. Nie szukałem nowej miłości, lecz pewnego dnia, niczego nie przeczuwając, wszedłem do Elegancji i... Mówisz o emocjonalnej zasadzce...

Allison uśmiechnęła się drżącymi wargami, a Peter poczuł w sercu promyk nadziei.

- Kocham cię, Allison, całym sercem.

- Ja też cię kocham, Peter - odparła cicho Allison. - Ale potrzebuję czasu. Muszę pomyśleć o tym, co mi powiedziałeś i muszę postarać się zrozumieć, dlaczego trzymałeś to w tajemnicy.

- Już ci mówiłem. Chciałem cię chronić przed smutkiem i poległem od własnej broni. To było głupie i jest mi przykro. Czy mogę cię przytulić, choć na chwilę?

Allison wysłuchiwała przeprosin Petera, widziała miłość w jego oczach i marzyła o tym, żeby kochające ramiona mogły ją uchronić od wielkiego bólu.

Tymczasem to Peter ją zranił i Allison przekonała się - ku swemu zdumieniu - że jego delikatny dotyk nie ukoji jej bólu.

To była noc prawdy i sekretów, złotego światła księżyca i ciemnych cieni. Musiała przemyśleć sobie wszystko, czego się dowiedziała. Potrzebowała czasu do namysłu, czasu, aby zrozumieć, czasu, aby wybaczyć i czasu aby zabiłszy się rany.

- Nie, Peter, za wcześnie.

Przedtem mogła tylko domyślać się wrażenia, jakie wywarły na nim jej słowa, kiedy zażądała, aby opowiedział o Julii. Teraz widziała jego reakcję.

Nie chciała karać ani jego, ani siebie, ale nie miała wyboru. Była zbyt urażona, zraniona, roztrzęsiona. Instynkt mówił jej, że powinna odejść na jakiś czas, dopóki się nie wzmocni. I ona, i ich miłość nabiorą siły, co do tego nie miała wątpliwości.

- Dobrze, kochanie - szepnął cicho Peter. - Ale czy my... Czy wszystko będzie dobrze? - spytał niepewnie.

Allison spojrzała w jego zmartwione, kochające oczy i odpowiedziała z głębi serca:

- Tak, wszystko będzie dobrze. Daj mi tylko trochę czasu. Teraz musimy pojechać do Winter. Na pewno zastanawia się, co się z nami stało.

- Masz rację - odparł Peter, przerażony i wściekły na siebie za własną głupotę.

**I** jak było? - spytała niecierpliwie Winter, kiedy dziesięć minut później otworzyła drzwi Allison i Peterowi. Jej uśmiech znikł, gdy zobaczyła ich wymuszone uśmiechy i niespokojny wzrok.

- Wspaniale - odparła Allison. - Byłaś cudowna, Winter - dodała. - Wprost niesamowita. Wszyscy się tobą zachwycali.

- Co się stało?

- Nic - ucięła Allison. To też była prawda. Potrzebowała trochę czasu, żeby to zrozumieć. Pewnego dnia poprosi Petera, by opowiedział jej o swojej żonie; kim była i dlaczego umarła.

- Peter? - nie dawała za wygraną Winter.

- Nic się nie stało.

- Wydaje mi się, że wciąż jesteśmy lekko oszołomieni. - Allison zmusiła się do uśmiechu. Winter ciężko pracowała i zasłużyła sobie na ten wieczór. - Film był niesamowity, ty też. Naprawdę powinnaś go zobaczyć.

- Kiedyś zobaczę. Czyli mamy szansę na sukces kasowy?

- Jak najbardziej - zawołał ze śmiechem Peter. - A co z szampnem? Ciężarna matka chyba napije się piwa imbirowego?

Winter postawiła w pokoju dwa srebrne naczynia, w których chłodził się szampan i piwo imbirowe. Peter otworzył butelki i rozlał napoje do wysmukłych, kryształowych kieliszków. Gdy każde z nich trzymało swój kieliszek, bez słowa stuknęli się delikatnie, milcząco wznosząc toast za wspaniały film.

- O której odlatuje twój samolot do Nowego Jorku? - spytała Winter.

- O wpół do dziewiątej.

- To znaczy, że powinniśmy zasiać do przepysznej zapiekanki z krabów, które przygotowywałam cały dzień. - Winter ruszyła do kuchni, ale Allison ją powstrzymała.

- Zaczekaj! - To miał być specjalny, uroczysty wieczór dla Winter. Miała spędzić go w towarzystwie dwóch osób, które bardzo ją kochały. Winter nigdy wprawdzie nie dawała do zrozumienia, że czuje się samotna, że bardzo tęskni za Markiem, czy że boi się przyszłości, lecz Allison wiedziała, jak jest naprawdę. - Możemy się przespać w samolocie. Nigdzie nam się nie spieszy. Siadaj.

- I się nie ruszaj? - Winter przypomniały się słowa Allison, gdy w grudniu odwoziła ją na lotnisko. To było bardzo dawno temu. Wieczór miłości, kiedy powstało nowe życie...

- Chciałbym zaproponować toast - powiedział cicho Peter. - Za Winter, która dała tyle uczucia filmowi i która tyle samo uczucia da swojemu dziecku.

- Dziękuję, Peter. - Winter uśmiechnęła się drżącymi ustami, wstała i powiedziała stanowczo: - No, dobrze, siadajmy do kolacji.

- Pomogę ci.

- Nie, Allison, ja naprawdę nie jestem inwalidką. Zostań tu z Peterem, a ja zaraz wrócę.

Winter wyszła do kuchni. Allison usiadła na brzegu krzesła naprzeciwko Petera, spuszczać oczy i nagle czując się nieswojo w jasnym świetle, tak różnym od miękkiego światła księżyca. Wróciła myślami do żony Petera i miłości, która znikła cztery lata temu, a która miała mu wystarczyć do końca życia.

- Dla nas też mam toast - zaczął Peter. Kiedy podniosła głowę, zobaczył jej bezgranicznie smutne oczy. - Nie bądź taka, Allison - poprosił.

- Nic na to nie poradzę.

- Przepraszam. Nie chcę, żebyś była smutna albo zmartwiona. Nie masz powodu.

- Nie mogę przestać o tym myśleć. Muszę się zastanowić nad moimi uczuciami i poważnie je przemyśleć.

- Zróbmy to razem, dobrze? W ten weekend, potem codziennie przez telefon i znów w czasie następnego weekendu.

Usłyszała w jego głosie cień paniki i strach. Czego bał się Peter? Tego, że ją straci?

- Peter... - Alison urwała, gdyż Peter spojrzał ponad jej głowę z wyrazem prawdziwego przerażenia w oczach.

Winter stała u szczytu schodów prowadzących z jadalni do salonu, oparta o ścianę, z szeroko otwartymi oczyma.

- Winter!

- Coś jest nie tak - szepnęła Winter. - Coś się dzieje.

Nie czuła bólu, jedynie dziwną pustkę i gorącą wilgoć na udach.

Gorąca wilgoć była krwią, którą Allison i Peter, w przeciwieństwie do Winter, widzieli na własne oczy.

- Musimy pojechać do szpitala, Winter - powiedział Peter, wymawiając te same słowa, jakie powiedział do Sary cztery lata wcześniej.

- Nie - zaprotestowała Winter, gdy Peter wziął ją na ręce. - Za wcześniej. Peter, za wcześniej!

- Wszystko będzie dobrze, skarbie - mruknął odruchowo, przypominając sobie najgorszą noc swego życia. - Ty poprowadzisz, Allison. Klucze są w prawej kieszeni. Jedziemy!

Dźwięk własnego imienia otrzeźwił Allison, która stała jak skamieniała, przerażona wyglądem Winter i reakcją Petera. Jego ciemne oczy były nieprzytomne z przerażenia.

Jakby wiedział, co się stanie -pomyślała. Jakby już raz to wszystko przeżył.

W oczach Petera było coś jeszcze - poczucie winy.

Allison prowadziła. Peter siedział z tyłu, trzymając Winter w objęciach i szepcząc uspokajające słowa. Mówił miękkim, niskim i łagodnym głosem, ale obietnice - „Wszystko będzie dobrze, Winter, dziecku się nic nie stanie” - brzmiały fałszywie, jakby był aktorem, który nauczył się na pamięć swojej roli, ale nie stara się być wiarygodny.

Peter przemawiał bez przekonania i z poczuciem klęski, ale to dodało siły Winter.

- Nic mi się nie stało, Peter. Dziecku też nie.

Dojechali do izby przyjęć szpitala klinicznego w trzy minuty. Peter wniósł Winter do środka. Natychmiast otoczyli ich lekarze i pielęgniarki, których pobudził do działania widok krwi. Winter wyładowała na noszach; w drodze do sali zabiegowej jedna pielęgniarka sprawdzała podstawowe objawy, druga szukała żyły, a lekarz zadawał pytania.

Allison i Peter poszli za Winter, ale po chwili oddzielił ich od niej mur ludzi w białych fartuchach.

- Kiedy ma pani termin? Kiedy zaczęło się krwawienie? Czy boli? Czy lekarz robił pani USG? Czy miała pani jakieś problemy w ciąży? - pytał lekarz.

- We wrześniu. Jakie krwawienie? Nic mnie nie boli, trochę kręci mi się w głowie, czuję skurcze jak przy miesiączce. Nie miałam USG ani żadnych problemów. Jestem zdrowa i moje dziecko też - odpowiadała Winter, z przekonaniem, mimo utraty krwi i zatrważającej bladoci.

- Ciśnienie osiemdziesiąt na pięćdziesiąt, puls jeden dwadzieścia osiem - powiedziała pielęgniarka.

- Potrzebujemy dwie kroplówki - powiedział lekarz. - Rozmiar czternaście. Typ i krzyżówka dla pięciu jednostek. Krew tak jak zawsze i próba koagulacyjna. Zawiadomiła siostra zespół położniczy?

- Tak - odparła pielęgniarka, odwracając lekko głowę, gdy usłyszała charakterystyczny dźwięk papierowych butów na linoleum.

Wszedł zespół położniczy w fartuchach operacyjnych.

- Co tu mamy? - spytał główny położnik, szybko oceniając sytuację. Był zadowolony, że Winter nie straciła przytomności, lecz zaniepokoił go widok krwi.



- Ósmy miesiąc, pod opieką szpitala Cedars, do tej pory bez komplikacji, bezbolesne krwawienie od piętnastu minut. Ciśnienie spada.

- Dziecko?

- Słyszę bicie serca.

- Dobrze. Wygląda na przodujące łożysko.

- Tak myślę.

- W porządku. Kroplówki wkłute? Świetnie. Zabieramy ją na górę.

Proszę zadzwonić na górę i zawiadomić, że potrzebujemy podwójny zestaw. - Naczelný położnik uśmiechnął się do najpiękniejszych fiołkowych oczu, jakie kiedykolwiek widział i powiedział: - Dzień dobry, jestem doktor Johnson. Sądzę, że łożysko blokuje wyjście z macicy i krwawi. Muszę to obejrzeć, ale jeśli tak jest, będziemy musieli zrobić cesarskie cięcie.

Nosze z Winter przewieziono do windy. Allison i Peter poszli za nią, ale jedna z pielęgniarek zastąpiła im drogę.

- Czy państwo są rodziną? - spytała. - Czy pan jest mężem pacjentki lub ojcem dziecka? - dodała do Petera.

Na jedną krótką chwilę Allison wstrzymała oddech. Peter powiedział, że nie ma przed nią żadnych innych sekretów, ale... Instynktownie przygotowała się na kolejną, ciemną tajemnicę, oczekując, że Peter powie: „Tak, jestem ojcem dziecka”. Był całkiem skołowany pytaniami pielęgniarki i zaniepokojny tym, że Winter znikła już w windzie.

- Nie, ani mężem, ani ojcem - odparł wreszcie.

- Muszą państwo iść do poczekalni. Ta winda jedzie wprost na oddział. Muszą państwo pojechać inną windą. Proszę iść wzdłuż niebieskiej linii.

- Nie mogę z nią być? - spytał tępo Peter.

- Nie.

W poczekalni Allison starała się uspokoić Petera. Przypomniała mu, że Winter jest silna i zdrowa. Że są w bardzo dobrym szpitalu. Tutaj uratowano życie Allison. I Winter też nic się nie stanie. Ani jej dziecku.

Peter nie słyszał jej zapewnień. Niewiązącymi oczyma wpatrywał się przed siebie, pogrążony w strasznych, dalekich wspomnieniach.

On już tu był - zrozumiała w końcu Allison. Przeżywa na nowo śmierć żony.

Czy tak ją stracił? I nie narodzone dziecko? Tak, na pewno tak było. Dlatego pytał, czy Allison może mieć dzieci i wcale się nie ucieszył, kiedy zapewniła, że tak. I dlatego zauważył wcześniej niż inni, że jest w ciąży.

Główny położnik zjawił się po godzinie. Spojrzał na nich z uśmiechem.

- Z Winter wszystko w porządku.

- A dziecko? - spytała Allison.

- Też. Jest wcześniakiem, więc włożyliśmy ją do inkubatora, ale ma silne płuca i daje sobie radę.

- Czy Winter naprawdę nic nie jest? - dopytywała się Allison.

- Nie. Miała przodujące łożysko, dlatego krwawiła. Zrobiliśmy cesarskie cięcie. Jest teraz w sali pooperacyjnej, lekko otepiała, ale przytomna. - Doktor Johnson doszedł do wniosku, że ktoś, kto dopytuje się tak troskliwie, musi być bliską przyjaciółką. - Przez jakiś czas Winter będzie bardzo słaba. Straciła sporo krwi. Kiedyś dostałaby transfuzję, ale w dzisiejszych czasach, jeśli wynik morfologii nie jest bardzo zły, wolimy podawać żelazo i czekać, aż liczba czerwonych ciałek wróci do normy.

- Z powodu AIDS - powiedziała Allison.

- Tak. Winter nic nie będzie, ale musi się oszczędzać. Czy ma kogoś, kto będzie jej pomagał?

- Oczywiście - odparła z uśmiechem Allison.

Pomaganie Winter, dopóki nie odzyska swej zwykłej energii i pełnego zdrowia, będzie tylko bardzo małym rewanzem za to, co zrobiła dla Allison, siedząc przy niej całymi miesiącami po wypadku.

- Czy możemy zobaczyć ją i dziecko?

- Nie teraz. Pielęgniarki wciąż się nią zajmują i lepiej im nie przeszkadzać. - Doktor Johnson prawidłowo odczytał błysk niepokoju w oczach Allison. - Naprawdę, matka i dziecko czują się dobrze. Wszyscy muszą odpocząć. Proszę przyjść o jedenastej, w godzinach odwiedzin.

- Niech ją pan od nas pozdrowi.

- Dobrze.

Kiedy lekarz wyszedł, Allison odwróciła się do Petera. W czasie jej rozmowy z doktorem Johnsonem nie odezwał się ani słowem. Nie ruszył się nawet z kąta pokoju, gdzie stał sztywno i nieruchomo, spodziewając się najgorszego.

Ale dotarły do niego słowa lekarza. Allison zobaczyła to w jego oczach, gdy starał się pogodzić szczęśliwe zakończenie dramatycznej sytuacji z tym, co się stało przed czterema laty i niemal doprowadziło go do śmierci. Próbował cieszyć się z tego, że Winter i dziecku nic się nie stało, ale wciąż wracał myślami do dnia, w którym stracił ukochaną kobietę i dziecko.

Wcześniej tego wieczoru tajemnica Petera stworzyła między nimi pewien dystans i Allison utrzymywała go, gdyż musiała się nad wszystkim zastanowić. Odmówiła mu, gdy chciał ją choć na chwilę przytulić. Poczulią się zbyt zraniona, nie dość silna i pewna siebie, aby od razu mu wybaczyć i powrócić w kochające ramiona.

Teraz jednak, spoglądając na udreconą twarz, zakrwawione ręce i ubranie, odzyskała siłę i pewność siebie. Nie musieli spędzać następ-

nych godzin, dni i tygodni, dyskutując nad przeszłością i szukając sposobów, by na nowo zaufała miłości Petera. Nie potrzebowała jego zapewnień i nie chciała zmuszać go do bolesnego rozpamiętywania przeszłości.

Nie będą więcej o tym rozmawiać, chyba że on sam tego zechce. Allison będzie go kochać, tak jak do tej pory, całym sercem.

Podeszła do Petera, spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się czule.

- Obejmij mnie - poprosiła cicho.

Peter bez słowa wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Allison wyczuwała pewne napięcie, ale po chwili Peter rozluźnił się i miała wrażenie, że już nie myśli o przeszłości.

Allison i Peter wrócili do domu, wzięli prysznic i spędzili te kilka godzin, jakie zostały do świtu, pieszcząc się i kochając. Gdy jasnożółte światło letniego poranka rozbłysło za oknem sypialni, Allison delikatnie go pocałowała. To był pożegnalny pocałunek, ale Peter miał inne plany.

- Ja też zostaję - powiedział.

- Masz premierę największego w historii przedstawienia *Romea i Julii*. Twojego przedstawienia. Musisz tam być. A ja muszę być z Winter - dodała.

- Wiem, kochanie. A ja muszę być z tobą.

Allison potrząsnęła głową i z miłością spojrzała mu w oczy. Miała zamiar spędzić najbliższe parę dni, szykując dom Winter na przyjęcie dziecka. Do tej pory tego nie zrobili. Nie kupiły nic dla małej, bo miały jeszcze dużo czasu. Śmiejąc się postanowiły, że zlecą zakupy matce Allison, która nikomu nie zdradziła sekretu Winter i traktowała mające się urodzić dziecko jak własną wnuczkę.

Allison postanowiła przed południem odwiedzić przyjaciółkę, a potem pojechać do rodziców i przekazać im radosną nowinę. I wybrać się z matką na zakupy.

Peter mógłby w tym uczestniczyć, tak naprawdę Allison wcale nie chciała, żeby wyjeżdżał, ale być może kupowanie dziecięcych rzeczy nie było dla niego odpowiednim zajęciem.

- Zamówię sobie telefon do stolika w Tawernie i czekając na recenzje, przegadamy całą noc.

- Świetnie. Ale zadzwonisz wcześniej, prawda? Jak tylko wylądujesz w Nowym Jorku.

- I zanim wyjdę do teatru, i w czasie przerwy - obiecał Peter. Potem spoważniał. - Nie chcę cię teraz zostawiać. Obiecałem, że porozmawiamy i że pomogę ci zrozumieć.

- Muszę tylko wiedzieć, że mnie kochasz.

- Kocham cię, Allison, bardziej niż kogokolwiek na świecie.
- No to już porozmawialiśmy. - Allison pocałowała go, odsuwając się z żalem. - Wstawaj, bo ucieknie ci samolot.
- Myślałem o przyszłym weekendzie - powiedział Peter, pieszcząc jej kark.
- Och. - Allison przygryzła wargę. Wcześniej planowała wyjazd do Nowego Jorku, ale teraz musiała zostać z Winter.
- Chciałbym spędzić cztery dni i cztery noce w eleganckim apartamencie luksusowego hotelu. Słyszałem, że jest taki niedaleko. Nazywa się Chateau Bel Air. Wspaniałe wnętrza, blisko Bellagio, bardzo romantyczna atmosfera. - Peter uśmiechnął się czule.
- Możesz tu przylecieć za tydzień?
- Jakoś to załatwię. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że jeśli dopiero co napisałem i wyreżyserowałem film, który krytycy filmowi już wychwalają, oraz wyreżyserowałem sztukę, którą krytycy teatralni będą wkrótce wychwalać, to chyba mogę robić, co chcę; uciec na waga-ry, spędzić czas z ukochaną kobietą. Jak myślisz?
- Kocham cię.

- Winter! - Allison z obawą weszła do pokoju przyjaciółki, przygotowana na widok zmęczonej i smutnej Winter. Wiedziała, jak sama musiała wyglądać w pierwszych dniach po wypadku, gdy leżała na oddziale intensywnej terapii.

Winter była blada, jej młeczna cera niemal przezroczysta, ale siedziała na łóżku, oparta o poduszki, z błyszczącymi oczyma, pisząc coś w notesie.

- Cześć.
- Jak zwykle wyglądasz wspaniale.
- Trochę mi się kręci w głowie, ale poza tym nic mi nie jest. Dzięki tobie i Peterowi - dodała ciszej. - Uratowaliście mi życie.
- Nie - zaprzeczyła szybko Allison, choć sama się nad tym zastanawiała. Być może Peter rzeczywiście uratował Winter życie. Może poprzednie doświadczenie sprawiło, że zachował zimną krew.
- Właśnie, że tak. Dziękuję. - Winter zobaczyła uniesione brwi Allison i zmieniła temat na weselszy: ~ Widziałas ją?
- Jeszcze nie.
- Och, Allison. To prawdziwy cud! Ma maleńkie, delikatne rączki i stopki, jej usta są różowe i cała jest słodka.
- Pielęgniarki mówią, że jest piękna - stwierdziła Allison. Pielęgniarki powiedziały jej to, kiedy pytała o pokój Winter. - Mówią, że

większość dzieci na początku wcale nie jest ładna, a zwłaszcza wcześniaki, ale twoja córeczka jest piękna.

- To nie jest ważne - mruknęła Winter. Z góry zakładała, że jej dziecko będzie takie, jak ona w dzieciństwie: niezdarne, niezgrabne, brzydkie. Winter chciała jej wynagrodzić wszystko to, co przydarzyło się jej samej. Czy była rozczarowana, że jej córeczka jest piękna od samego początku? Nie, w żadnym wypadku, będzie miała łatwiejsze życie.

- Wymyśliłaś już imię? - spytała po chwili Allison. Winter była przekonana, że urodzi dziewczynkę, ale nigdy nie wspomniała o imieniu.

- Właśnie się nad tym zastanawiałam. Spójrz. - Winter podała przyjaciółce notes. - Co o tym myślisz?

- Marcia Lauren... Lauren Marcia... Marky... Laura... - czytała na głos Allison.

- Nie, z tych już zrezygnowałam - przerwała jej Winter. Nie zamierzała nazywać dziecka po mężczyznach, którzy jej nie chcieli. - Opuść wszystkie żeńskie formy Lawrence'a i Marka.

- Dobrze. Co tu mamy? Autumn... Spring... Summer. - Allison przechyliła głowę. - Coś ty, Winter?

- To pozostałości narkozy. Opuścamy pory roku. Czytaj dalej.

- Allison... Jacqueline... Patricia... Julia. - Najlepsza przyjaciółka Winter... Jej matka... Matka Allison... Jej rola w filmie Petera, wymyślona rola o prawdziwej kobiecie, którą Peter kochał i stracił. Allison powstrzymała się od komentarza. W końcu to miała być decyzja Winter.

- Żadne z tych. - Winter odebrała jej notes, przewróciła stronę, napisała trzy słowa i oddała notes Allison. - Tak będzie się nazywać.

- Roberta Allison Carlyle.

- Roberta to imię matki Marka - powiedziała cicho Winter, wspominając miłą kobietę, którą dzieci oskarżały o „babcine opętanie”. Roberta Stephens nigdy nie zobaczy swojej wnuczki. A może zobaczy - odezwał się w duchu tajemniczy głos. Czy był to głos spowodowany narkozą? Czy głos matki, która nie była już pewna, że nie zawiadomi o cudzie narodzin mężczyzny, którego kochała.

- To piękne imiona, Winter.

- Tak - odparła z uśmiechem Winter. - Myślę, że będziemy do niej mówić Bobbi.

## Część 3

## 26

*Paryż, Francja,  
wrzesień 1985 roku*

Emily wyszła z ciemni w swym dużym mieszkaniu przy Rue de Bourgogne i spojrzała na zapisany terminami kalendarz, aby sprawdzić godzinę popołudniowego spotkania. Kiedy zdała sobie sprawę, który to jest dzień, lekko zmarszczyła czoło: siedemnasty wrzesnia. Dokładnie rok temu zaczęła pracować u Roba w „Portrecie”. Dokładnie przed rokiem. ...

Teraz pracowała dla siebie. Dbała o siebie. Wierzyła w miłość, radość i szczęście.

Jej nowe życie zaczęło się rok temu, dzięki Robowi.

Podniosła głowę i zobaczyła swoje odbicie w lustrze nad biurkiem. Było to jedno z wielu lusterek w jasnym mieszkaniu, lusterek, które kazały Emily patrzeć na siebie i uśmiechać się do własnego odbicia.

Teraz także uśmiechnęła się z namysłem, aprobując swój nowy wizerunek - długie, złote włosy odgarnięte z twarzy i związane w luźny kok, szaro-wrzosowy kaszmirowy sweter, fiołkoworóżowa jedwabna apaszka. Wiedziała jednak, że prawdziwa zmiana i prawdziwe piękno zrodziły się w jej wnętrzu.

Zadzwoił telefon. Emily, idąc, aby go odebrać, wzięła ze sobą kalendarz.

- Witaj, Emily, mówi Brian z mglistego Londynu.

- Cześć, Brian. - Brian był dziennikarzem pracującym jako wolny strzelec. Razem z Emily przygotowali pięć materiałów, do których on napisał tekst, a Emily zrobiła zdjęcia.

Mam problem, Emily. Kiedy będziesz fotografować Monique LaCoste?

- Dziś po południu.

- Świetnie. Posłuchaj, nie mogę się wydostać z Londynu. Jest straszna mgła. Czy mogłabyś też przeprowadzić z nią wywiad?

- Nie jestem dziennikarką, Brian.

- Powiem ci dokładnie, o co masz ją spytać. Musisz tylko zapisać jej odpowiedzi, a ja zrobię z tego materiał. To bardzo łatwe, tylko nie mów nikomu, że tak powiedziałem. Monique LaCoste jest jedną z najbardziej znanych aktorek, musisz więc jej zadać normalne gwiazdorskie pytania.

- Normalne gwiazdorskie pytania?

- Tak. W kim jest teraz zakochana, dlaczego wystąpiła w swoim ostatnim filmie, to znaczy, jaką miała motywację, czy była kiedykolwiek zgwałcona lub molestowana seksualnie jako dziecko.

- Co takiego? - spytała z niedowierzaniem Emily.

- To jest najnowsza moda, Emily. Parę lat temu pisało się o bulimii i anoreksji; prawie wszystkie aktorki cierpiały na jedno albo na drugie. Później był alkoholizm i uzależnienie od kokainy, dziś jest gwałt i...

- Nie mogę tego zrobić, Brian.

- Przecież o czymś z nimi rozmawiasz, kiedy robisz te swoje niewiarygodne zdjęcia - naciskał Brian.

- Nie mogę przeprowadzić tego wywiadu.

Nadal bała się powiedzieć „nie”. Przez większość jej życia, kiedy mówiła „nie” mężczyznom, spotykał ją złośliwy śmiech i przemoc. Teraz, gdy mówiła „nie”, wciąż spodziewała się przemocy i jej brak witała łzami wdzięczności. Emily nie umawiała się z nikim, na to było jeszcze za wcześnie, ale nawiązała profesjonalne kontakty z mężczyznami w całej Europie.

Czasem musiała odrzucać ich natrętne zaloty, ale nie miała z tym większych problemów. Zastanawiała się, gdzie się podzieli ci, którzy przez tyle lat ją terroryzowali. Najwyraźniej zniknęli, gdy Emily nabrała pewności siebie.

Wciąż jednak nie mogła się odstąpić.

- Czy to definitywna odpowiedź, Emily?

- Tak, Brian, przykro mi.

- No trudno, byłaś moją pierwszą kandydatką. Zadzwońię do Bernarda. Podobno fotografujesz dla „Dominion” nowego ambasadora Kanady?

- Tak, w piątek.



- Przeprowadziłem z nim wywiad w zeszłym tygodniu, kiedy był w Londynie. Sympatyczny człowiek. Te wywiady są wspaniałymi...

- Nie - przerwała mu ostro. - Nie - powtórzyła łagodniej.

- W porządku. Masz swoje powody. Zjesz ze mną obiad w przyszłym tygodniu, jeśli uda mi się wyrwać z tej zupy?

- Jasne.

Emily, zanim wyszła na sesję z Monique LaCoste w studio fotograficznym przy Rue du Faubourg Saint-Honore, sprawdziła w „Le Journal” program kin. *Miłość* miała właśnie premierę w Paryżu i grali ją w kinie przy Champs-Élysees. Emily nie miała nic przeciwko staniu w długiej kolejce do kasy. Bardzo chciała zobaczyć ten film.

- To najgorsza mgła, jaką kiedykolwiek widziałam - mruknęła cicho i złowieszczo Margaret Reilly Carlyle do Lawrence'a, jadąc powoli zamglonymi ulicami Londynu.

- Dobra noc na morderstwo - zauważył Lawrence, starając się poprawić jej nastrój.

- Niewątpliwie takie noce inspirowały Doyle'a i Kubę Rozpruwacza.

- A Margaret Reilly?

- Marzę tylko o tym, żeby znaleźć jakiś hotel i się w nim schronić.

- Jesteśmy już blisko kina.

- Skąd wiesz?

- Spójrz - oznajmił triumfalnie, gdy przez zasłonę z mgły zobaczyli jasno oświetloną markizę.

- Całe szczęście! - wykrzyknęła Margaret i roześmiała się z ulgą.

Margaret i Lawrence Carlyle nie byli w kinie sami. Mimo brzydkiej pogody *Miłość* wyciągnęła z domu wielu londyńczyków. Opowieść o miłości ze szczęśliwym zakończeniem stała się przeciwwagą dla ponurej aury.

Lawrence Carlyle nie wybrał się do kina, aby obejrzeć film ze szczęśliwym zakończeniem. Siedząc w kinie, zdał sobie sprawę, że miał jednak nadzieję na happy end - dla małej dziewczynki z fiołkowymi oczami. Oglądał Winter przez łzy, szczęśliwy jej szczęściem, lecz nie swoim własnym.

Następnego popołudnia Nigel March, rzecznik prasowy „Carlyle Productions”, przyjechał do Laurelhurst z twarzą równie ponurą, jak

jesienna mgła. Margaret i Lawrence zaprosili go do salonu, oświetlonego i ogrzanego ogniem płonącym na kominku i podali herbatę.

- Fleet Street zwariowała - powiedział wreszcie Nigel. - Tym razem nie uda nam się wymknąć, Lawrence.

- Dostałeś kopię felietonu Vanessy Gold?

- Oczywiście. Został przedrukowany we wszystkich lokalnych szmatławcach. Co wolisz? - spytał Nigel, otwierając teczkę. - „The Sun”? „The Daily Mirror”?

- Daj nam po jednym egzemplarzu - zarządził z irytacją Lawrence.

Jego irytacja rosła w miarę czytania felietonu Vanessy Gold, opublikowanego trzy dni wcześniej w Los Angeles.

Najnowsza premiera *Cesarzowej*, epickiej sagi Lawrence'a Carlyle'a z czasów rewolucji francuskiej, jest genialnym filmem, który przekracza nawet wyobraźnię najlepszych twórców z Hollywood. Nie ma wątpliwości, że *Cesarzowa* dostanie nominacje do Oscara we wszystkich najważniejszych kategoriach: dla najlepszego filmu, dla najlepszego oryginalnego scenariusza, dla najlepszego reżysera, dla najlepszej aktorki i dla najlepszego aktora. Głównym konkurentem, moim zdaniem jedynym, jest *Miłość*, film, który być może także otrzyma wszystkie najważniejsze nominacje.

Z pozoru jest to walka między Lawrence'em Carlyle i Peterem Daltonem, ale prawdziwy dramat rozgrywa się między ojcem i córką.

Lawrence Carlyle znikł z życia swej maleńkiej córki ponad dwadzieścia lat temu. Wspaniała gwiazda *Miłości*, Winter Carlyle, odmówiła na razie komentarza na ten temat, ale na początku przyszłego tygodnia ma wziąć udział w programach telewizyjnych *Dzień dobry, Ameryko* i *Today Show*. Niewątpliwie poruszony zostanie wówczas temat braku kontaktów utalentowanego ojca z równie utalentowaną córką. Ciekawe, co powie Winter, porzucone dziecko. Jeszcze bardziej ciekawe jest to, jak zareaguje Lawrence Carlyle.

- Jezus Maria - szepnął Lawrence.

- „The Daily Mail” ma ładne zdjęcie całej twojej rodziny, z Margaret, synami i ze sprytnie wkomponowanym zdjęciem Winter. Niezła rodzinna fotografia. Jutro się ukaże. - Nigel uniósł brew. Lawrence powinien był mu wszystko powiedzieć już dawno temu. Dlaczego tego nie zrobił?

- O nie - jęknęła Margaret.

- Margaret, musimy zadzwonić do szkoły i zabrać chłopców do domu. Nigel, musisz przez parę dni powstrzymać pismaków z Fleet Street.

- Co masz zamiar zrobić, Lawrence?

- Porozmawiam z nią.

- Żeby się pogodzić? ~ spytał z nadzieją Nigel.

- Lawrence, dlaczego nie zostawisz tego adwokatom? - spytała Margaret.

- Jeśli się przekonam, że robi to dla reklamy, naślę na nią armię adwokatów. Być może jednak ona o niczym nie wie. - Lawrence aż się wzdrygnął na tę myśl. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że mała dziewczynka z fiołkowymi oczami nienawidziła go przez całe życie.

- Mówiłeś mi przecież, że wielokrotnie omawiałeś to z Jacqueline.

- Tak, ale pamiętaj, że była doskonałą aktorką. Nigel, połącz mnie ze Steve'em Ganonem. On będzie wiedział, gdzie jest Winter.

- Nie chcę go widzieć, Steve.

- Musisz, Winter.

- Wiem, kiedyś w przyszłości. Ale jeszcze nie teraz.

Winter przypomniała sobie fantazję, którą wymyśliła rok wcześniej, gdy oglądała z Allison i z Emily *Hongkong*. Spotykała się w niej z ojcem w obecności Marka, Allison i Emily z aparatem fotograficznym. Teraz jednak Allison była z Peterem w Nowym Jorku, Emily wyjechała do Paryża, a Mark znikł z jej życia.

Teraz Winter była całkiem sama.

Nie - poprawiła się w duchu. Miała Bobbi.

- Prasa szaleje, Winter. Będzie coraz gorzej. W programach telewizyjnych w przyszłym tygodniu będą cię pytać tylko o to.

- Chce tu przyjechać już jutro?

- Tak. Będę przy tobie, nie martw się.

- Nie, dziękuję, Steve. - Bobbi i ja damy sobie radę. - To nie jest konieczne. Powiedz mu, żeby przyszedł tu, do domu, w południe.

- Wydaje mi się, że powinienem być z tobą.

- Nie, dziękuję. Chyba nie jest mordercą, prawda?

- Nie - odparł Steve. - A ty?

- Ja też nie.

Jestem matką, która nie potrafi sobie wyobrazić, jak można zostawić własne dziecko. Muszę mu spojrzeć w oczy i zapytać, dlaczego to zrobił.

Kiedy Steve skończył rozmowę, Winter przytuliła do siebie Bobbi, całując jej czarne, jedwabiste włoski i miękkie policzki. W duchu odnowiła wszystkie obietnice, jakie złożyła, gdy tylko dowiedziała się, że jest w ciąży. Zawsze będę cię kochać, skarbie, i zawsze będę cię chronić.

Tej obietnicy łatwo było dotrzymać. Winter kochała córkę z całego serca, tak jak kochała Marka, tak jak kiedyś kochała własnego ojca.

Tej nocy prawie nie zmrużyła oka. Chodziła niespokojnie po całym domu, na nowo przeżywając cierpienie, samotność i strachy dzieciństwa.

Rano włożyła piękną suknię z jasnoniebieskiego jedwabiu. Postanowiła też założyć kolczyki z szafirami, które Jacqueline dostała od Lawrence'a na parę godzin przed urodzeniem Winter, a które przekazała córce na parę godzin przed śmiercią. Przypomniało jej się, że matka wspomniała też o naszyjniku do kompletu i także postanowiła go włożyć.

Przeszła do pokoju Jacqueline w nieużywanym skrzydle domu i otwierała, jedno po drugim, zamśzowe pudełka w sejfie, aż znalazła długi naszyjnik z szafirów i kartkę napisaną eleganckim pismem matki: *Od Lawrence'a, 31 grudnia 1960 roku.*

O wpół do dwunastej Winter położyła Bobbi do kołyski, nakręciła pozytywkę, którą dostała od Marka, podniosła dach domku i cicho zaśpiewała kołysankę, jak zawsze, kiedy układała córkę do snu.

Za piętnaście dwunasta czekała w salonie. Przez całe piętnaście minut, mimo zawrotów głowy po bezsennej nocy i wciąż niezbyt dobrego samopoczucia po stracie krwi, przemierzała pokój tam i z powrotem. I ćwiczyła pierwsze zdanie.

Lawrence Carlyle przyszedł dokładnie w południe.

- Witaj, tato - powiedziała Winter, tak jak to sobie przećwiczyła, zimnym i zaczepnym głosem. Jednak kiedy zobaczyła przed sobą żywego człowieka, którego fotografie hołubiła jako dziecko, w albumach i w snach, nagle się rozpłakała. Może gdyby Emily Rousseau zrobiła mu kiedyś zdjęcie, Winter byłaby przygotowana na czułe oczy, nieśmiałość i niepewność, której nigdy nawet sobie nie wyobrażała u wielkiego Lawrence'a Carlyle'a.

- Winter. - Lawrence też przygotował sobie przemowę człowieka rozżłoszczonego na tę młodą kobietę, która chciała wykorzystać go, tak jak kiedyś wykorzystywała go jej matka. Jednak gdy usłyszał „tato” i zobaczył smutne, dzielne, fiołkowe oczy, szepnął ochryple:

- Mój Boże, ty naprawdę nie wiesz, prawda?

- Czego nie wiem? - spytała Winter, zaskoczona jego zachowaniem i zaniepokojona tym, co powiedział.

- Czy mogę wejść?

Odsunęła się na bok. Lawrence wszedł z taką samą obawą, z jaką ona wchodziła do domu po raz pierwszy po pięciu latach. Ona obawiała się zaczajonych potworów.

Czy Lawrence Carlyle bał się tego samego?

- Czego nie wiem? - powtórzyła słabym głosem Winter.

- Nie wiesz, że nie jestem twoim ojcem.

Winter zachwiała się. Lawrence podtrzymał ją, zaprowadził do salonu i posadził na krześle, a potem usiadł naprzeciwko niej i spojrzał jej w oczy.

- Nie jestem twoim ojcem, Winter.

- Nie rozumiem.

- Poznałem Jacaeline w czasie kręcenia *Marrakeszu*. Mieliśmy krótki romans, bardzo burzliwy. Nie pasowaliśmy do siebie. Kiedy znów się spotkaliśmy, wiosną następnego roku, na wręczeniu Oscarów, zaledwie się przywitaliśmy. Później, w maju, kiedy kręciłem w Montanie *Przeznaczenie*, zjawiała się Jacaeline. Na nowo nawiązaliśmy romans, a po dwóch miesiącach Jacaeline powiedziała mi, że spodziewa się dziecka.

- Mnie.

- Tak, ale nie byłaś moim dzieckiem. Gdy Jacaeline przyjechała do Montany, już była w ciąży i wiedziała o tym. Chciała wyjść za mnie, albo tak jej się wydawało. Nasze małżeństwo okazało się katastrofą. Byłem dla niej za spokojny, za poważny, niezbyt rozrywkowy.

- Tak jak ja.

- Wiedziała, że nasze małżeństwo jest nieudane, ale to ja się wycofałem i to ją rozwścieczyło. Moje pragnienie, aby się rozejść, dorównywało jej pragnieniu, aby mi na to nie pozwolić, albo w jakiś sposób mi zaszkodzić. - Lawrence umilkł na chwilę. - Moje małżeństwo się nie udało, ale miałem wspaniałą córeczkę, która była moim życiem. Kiedy powiedziałem Jacaeline, że chcę rozwodu, domagałem się także opieki nad tobą. Przedyskutowałem to z moimi prawnikami, którzy uważali, że możemy dowieść, iż Jacaeline nie jest...

- .. szczególnie dobrą matką.

- Tak, że nie jest szczególnie dobrą matką. Jacaeline miała jednak asa w rękawie, o którym dowiedziałem się za późno. Wiedziała, że nie jesteś moim dzieckiem. Nie uwierzyłem. Nie chciałem sprawiać ci nawet krótkotrwałego bólu przy pobieraniu krwi, ale zrobiliśmy wszystkie

badania. Kilka razy. Ja chciałem za wszelką cenę udowodnić, że jesteś moim dzieckiem, ale testy wykazały bez cienia wątpliwości, że tak nie jest. Przywiozłem wszystkie dokumenty, gdybyś chciała je zobaczyć. - Lawrence wskazał gestem na teczkę, którą zostawił w holu, gdy podtrzymywał Winter. - Tak czy inaczej chciałem, aby sąd mnie przyznał opiekę nad tobą, ale to nie było możliwe. Im bardziej cię chciałem, tym bardziej Jacqueline zaciniała się w tym, abym cię nawet nie oglądał. Walczyłem bardzo długo, Winter, ale w końcu zdałem sobie sprawę, że to nie jest dla ciebie dobre, a prawnicy przekonali mnie, że i tak nie wygram.

~ Ale płaciłeś alimenty.

- To nie były alimenty i nie musiałem płacić tych pieniędzy. Chciałem, abyś je miała na wypadek, gdyby coś stało się z Jacqueline. Nie miałem praw ani obowiązków. Obiecałem, że nigdy nie będę się z tobą kontaktował. Jacqueline zgodziła się, na piśmie i pod przysięgą, powiedzieć ci, gdy będziesz starsza, że nie jestem twoim ojcem. Widziałem ją w Cannes, kiedy miałaś sześć lat. Opowiedziała mi wzruszającą bajeczkę, jak przekazała ci, że twój ojciec umarł, że ja się z nią ożeniłem, aby się wami zaopiekować i że rozstaliśmy się jak przyjaciele. To była skomplikowana opowieść, bardzo wiarygodna. Przez następne dziesięć lat opowiadała mi to samo.

- Nigdy mi nic nie powiedziała. Tylko to, że nas zostawiłeś, bo nas nie chciałeś.

- Ciebie chciałem.

- Kochałeś mnie?

- Bardzo cię kochałem, Winter.

- Nie wiedziałam - szepnęła Winter. I bardzo cicho dodała: - A może wiedziałam. Może dlatego byłam taka samotna, bo znikła miłość.

- Tak mi przykro.

- Czekałam, że przyjedziesz do mnie po jej śmierci.

- Na pewno bym przyjechał, gdybym wiedział, gdyby mi to w ogóle przyszło do głowy, że czekasz. Ale sądziłem, że wiesz. Myślałem, że nic dla ciebie nie znaczę, że jestem tylko głosem i nazwiskiem, których już nie pamiętasz.

- Tęskniłam za tobą przez wszystkie te lata.

- Ja też.

W tym momencie Winter usłyszała cichy dźwięk, który słyszy tylko serce matki. Kiedy podniosła głowę, zorientowała się, że Lawrence też go usłyszał.

- Muszę...

- Mogę pójść z tobą?

- Tak.

Winter zaprowadziła go do skrzydła, gdzie mieszkała z Bobbi w dwóch cudownych pokojach zaprojektowanych przez Allison.

- To zawsze była moja ulubiona część domu - powiedział Lawrence.

Winter spojrzała na poważnego, wrażliwego mężczyznę, który nie był jej ojcem, a do którego tak bardzo była podobna.

- Moja też.

Bobbi obudziła się i gaworzyła, czekając na matkę, zdumiona jej nieobecnością.

- Och - westchnął Lawrence. Spojrzał pytająco na Winter, a potem delikatnie wyjął dziecko z kołyski, z której tyle razy wyjmował Winter.

- Kim jesteś, młoda damo?

- To jest Bobbi.

- Cześć, Bobbi. Wyglądasz dokładnie tak samo, jak twoja matka w tym wieku.

- Nie, ja byłam brzydkim niemowlęciem i brzydkim dzieckiem - przypomniała mu Winter.

- Naprawdę? Niczego takiego nie pamiętam. Uważałem, że jesteś piękna. - Słowa Lawrence'a otwierały świeże rany, więc zamilkł i zaniósł Bobbi do drzwi na taras, skąd widać było staw z rybkami. - Spędzaliśmy tu całe godziny, Winter. Uwielbiałaś obserwować rybki.

- Naprawdę? - Nic dziwnego, że to miejsce stało się jej sanktuarium. Tutaj po raz pierwszy w życiu czuła się szczęśliwa, bezpieczna i kochana.

- Śmiałaś się, kiedy koi wyskakiwały na powierzchnię i chichotałaś, kiedy jadły ci z ręki.

Lawrence i Winter usiedli nad stawem. Było ciepło i słonecznie. Lawrence trzymał ostrożnie Bobbi na rękach, tak jak wiele razy trzymał małą Winter. Bobbi intrygował głęboki głos, silne ramiona i ciepło. Ale czuła także głód.

- Umierasz z głodu, co? - spytała Winter, biorąc od Lawrence'a rozkapryszoną nagle Bobbi. - Muszę ją nakarmić.

Lawrence wstał.

- Ja...

- Nie odchodź. To znaczy...

- Zaczekam na dole. Nie wyjdę, Winter. Nie chcę stąd wychodzić. Nakarm swoją głodną córeczkę.

Lawrence czekał na Winter i Bobbi w pokoju filmowym. Przyszły do niego po pół godziny.

- Spędziłam tu wiele godzin, oglądając filmy - powiedziała Winter.

- Ja też, z tobą na kolanach.

- Zależało ci na tych wszystkich skarbach bardziej niż jej, prawda?

- Tak - odparł cicho i spojrzął na Winter. Ona też była jego skarbem.

Winter uśmiechnęła się przez łzy.

- Czy masz pokój filmowy w Laurelhurst? - spytała po chwili.

- Tak - odpowiedział, niczego nie podejrzewając, dopóki nie spostrzegł nagłego błysku w jej fiołkowych oczach. - Winter...

- Są twoje. Powinieneś je ze sobą zabrać, kiedy się stąd wyprowadzałeś.

I mnie także - pomyślała.

- Nie.

- Tak! - Winter roześmiała się. - Wyślę je do Anglii, czy ci się to podoba czy nie. Trochę potrwa, nim znajdę najlepszą firmę i załatwię ubezpieczenie.

- Masz inne zajęcia.

- Niewiele. Bobbi i ja mamy frajdę, kiedy rozmawiamy przez telefon. Ona lubi ciągnąć za sznur. Naprawdę. To już postanowione.

- Dziękuję.

Winter, Bobbi i Lawrence spędzili jeszcze trochę czasu w pokoju filmowym, a potem poszli do kuchni na herbatę.

- Nie spytałaś mnie o swego prawdziwego ojca.

- Nie, ja...

Ty nim jesteś - pomyślała.

- Nie wiem, kto to jest. Obawiam się, że Jacqueline też nie wiedziała.

Winter poważnie skinęła głową.

- Kochałam ją, choć nie była dobrą matką - szepnęła po chwili.

- Ja ją także kochałem. Żałuję, że nie mogłem zapewnić jej szczęśliwego życia, a nie wystarczało jej to, co mogłem jej dać. Jacqueline zawsze szukała czegoś więcej: więcej magii, więcej zachwyty, więcej miłości. Myślę, że czasami je znajdowała, na bardzo krótko, w filmach, w których występowała, kiedy przez jakiś czas mogła stać się kimś innym, lecz powrót do własnego życia ją niszczył.

Lawrence wziął Bobbi na ręce, gdy Winter przygotowywała herbatę.

- Opowiedz mi o ojcu Bobbi.



- Nie chciał mnie. Nie dość mnie kochał.  
- Przez całe życie myślałaś tak o mnie i się myliłaś. Jesteś pewna co do tego człowieka?

- Tak.

Zawsze wiedziała, że nie warto nikogo kochać. Ludzie odchodzą. Lawrence, Jacqueline, Mark. Jednakże myliła się co do Lawrence'a. A Mark? Wiele razy wracała myślą do krótkiej sceny pożegnania w Ogrodzie Rzeźb. Grała, udawała, że nic jej to nie obchodzi, w końcu uciekła, żeby Mark nie zauważył, że łamie jej serce. A jeśli Mark także udawał?

- Winter?

- Nie jestem pewna -szepnęła.

Pijąc herbatę i bawiąc się z Bobbi, Winter opowiedziała Lawrence'owi o swoich obawach i sekretach, tak jak zawsze planowała, że mu o nich opowie, gdy się wreszcie spotkają.

- Marzyłam o tym, że zostanę wspaniałą aktorką i zagram w jednym z twoich filmów.

- W teczce, pod wszystkimi oficjalnymi dokumentami, mam scenariusz filmu, który zamierzam nakręcić na wiosnę w mojej posiadłości w Anglii. Kiedy zobaczyłem cię w roli Julii, wiedziałem, że jesteś doskonała do głównej roli. Miałem zamiar do ciebie zadzwonić, ale ukazał się felieton Vanessy Gold...

- Nie zamierzam na razie występować. Chcę być z Bobbi.

- Bobbi ma cudowną matkę - powiedział cicho Lawrence. - Gdybyś chciała zagrać w moim filmie, Bobbi mogłaby przyjechać razem z tobą. Chciałbym, żebyście w czasie zdjęć zamieszkały ze mną i z moją rodziną w Laurelhurst. Margaret na pewno was pokocha. A moi synowie będą absolutnie zachwyceni. Dwunastolatek zażąda dalszych badań krwi, bo będzie chciał, żebyś była jego siostrą. A sześciolatek też ich zażąda, żeby udowodnić, że nie jesteś moją córką i żeby mógł się z tobą ożenić.

Winter roześmiała się, a w jej oczach Lawrence zobaczył nadzieję.

- Nie jestem twoim ojcem - przypomniał jej ze smutkiem. - Badania nie pozostawiły najmniejszych wątpliwości.

- Ale jesteśmy tacy podobni!

- Tak. I bardzo się kochamy. Kiedy Margaret była w ciąży - dodał Lawrence, który nigdy nikomu tego nie mówił - miałem cichą nadzieję, że to nie będzie dziewczynka. Dla mnie ty byłaś moją córką i nie chciałem, aby ktoś zajął twoje miejsce.

Lawrence, Winter i Bobbi spędzili razem całe popołudnie. Pod wieczór Winter zgodziła się przyjechać z Bobbi na Boże Narodzenie do Laurelhurst. Zgodziła się także przeczytać scenariusz, który przywiózł ze sobą Lawrence.

- Zrobimy razem inne filmy - zapewnił ją. - Ale przyjrzyj się tej roli, wiedząc, że w czasie kręcenia Bobbi będzie blisko ciebie.

- Dobrze. Dziękuję. - Winter zmarszczyła brwi. - Co zrobimy z prasą?

- Powiemy im prawdę.

- Czy chcesz opowiedzieć tę historię Vanessie, czy jesteś na nią zły?

- W ogóle nie jestem zły, a ty? Vanessa tylko wyraziła swoje oburzenie. Czy wiesz, że przyjechała do szpitala, kiedy się urodziłaś?

- Nie.

- Może dlatego była taka zaskoczona i zła, gdy zniknąłem z twojego życia. Kiedy rozmawiałem z nią tamtej nocy, widziała, że bardzo cię kocham.

Winter odbyła dwie rozmowy telefoniczne. Najpierw zadzwoniła do zdumionej i podekscytowanej Vanessy. Przez telefon nie podała jej żadnych szczegółów, mówiąc jedynie, że ona i Lawrence chcieliby się z nią spotkać.

- Świetnie. Gdzie i kiedy zechcecie - powiedziała tylko Vanessa.

Winter zadzwoniła też do Patricii Fitzgerald, gdyż Allison zapewne lądowała właśnie w Nowym Jorku, a Bobbi wciąż nie знаła swojej „babci”. Patricia powiedziała, że z przyjemnością popilnuje swej przyszłej wnuczki.

Kiedy Winter skończyła rozmawiać przez telefon, pomyślała o prawdziwych babkach Bobbi: Robercie Stephens, która marzyła o wnukach i Jacqueline, która była kochana przez Winter i Lawrence'a, a rozpaczliwie szukała czegoś więcej.

Lawrence zauważył, że Winter posmutniała.

- Co się stało?

- Nie chciałam, żeby wszyscy myśleli, że mama była złym człowiekiem. Mimo wszystko ją kochałam. Czasem myślę, że ona też się starała.

Lawrence pokiwał głową.

- W porządku - powiedział, pełen podziwu dla dobroci Winter, która tak wiele wycierpiała z powodu matki. - Ja też tego nie chcę. Powiemy Vanessie, że zaszło tragiczne nieporozumienie.

- To naprawdę było tragiczne nieporozumienie. I...

Winter przypomniwała sobie słowa Marka na temat Lawrence'a. Tymczasem jej i Lawrence'owi udało się wykorzystać szansę, którą dał im los. Jacqueline tej szansy nie dostała.

- I co? - spytał Lawrence.
- To ona straciła najwięcej.

## 27

**C**ześć, Bułeczko - powitała Allison skaczącego radośnie psa, gdy w piątek, o dziesiątej wieczorem otworzyła drzwi do mieszkania Petera. Peter był w teatrze. Allison przyjechała taksówką z lotniska. - Jak się miewasz? Pomóż mi się rozpakować.

Rozpakowywanie nie trwało długo. Allison trzymała część ubrań w Nowym Jorku, tak jak Peter trzymał swoje w Los Angeles. Jeszcze tylko sześć tygodni do listopada - pomyślała z uśmiechem.

— Za sześć tygodni, Bułeczko, znów będziesz mieszkanką Kalifornii. Jak ci się to podoba?

Sądząc po radosnych podskokach podobało się bardzo.

Allison zrobiła sobie herbatę i usiadła na ciemnej kanapie, ożywionej jasnymi poduszkami w pastelowych kolorach. Bułeczka zwinęła się w kłębek u jej stóp na własnej poduszce, a Allison, czekając na Petera, włączyła wiadomości w telewizji.

Siedmiu terrorystów napadło dziś na ambasadę kanadyjską w Paryżu. Żadna znana grupa terrorystyczna nie przyznaje się do zamachu, choć wzięto czterech zakładników. Trzech z nich to Kanadyjczycy, pracownicy attaszatu wojskowego. Czwartą zakładniczką, której zdjęcie paszportowe terroryści przekazali prasie, jest obywatelka amerykańska. Emily Rousseau jest fotografką mieszkającą w Paryżu.

- O nie! - krzyknęła Allison na widok zdjęcia Emily. - Emily!?

Wiadomość była skąpa i mimo że AUison przerzuciła wszystkie kanały, niczego więcej się nie dowiedziała. Emily znalazła się w ambasadzie, gdyż robiła fotografie nowego ambasadora Kanady we Francji.

Z nieznanых przyczyn nie została zwolniona razem z pozostałymi pracownikami ambasady i innymi kobietami, które znajdowały się w budynku w czasie ataku terrorystów. Jeden z dziennikarzy uważał, że Emily jako obywatelka amerykańska była cennym łupem dla porywaczy, z drugiej strony jednak zwolniono kilku Amerykanów.

Wszystkie informacje były irytująco skąpe. Allison czuła się bezradna, choć bardzo chciała coś zrobić albo przynajmniej znaleźć kogoś, kto mógłby pomóc.

Rob! Miał znajomych dziennikarzy i bardzo zależało mu na Emily.

W Los Angeles było w pół do ósmej. Allison zadzwoniła do biura numerów. Kiedy zapisywała podany numer, zdała sobie sprawę, że jest to numer telefonu w redakcji „Portretu”. Prywatny numer Roba był zastrzeżony.

Spytała zatem o numer Elainy Kingsley, którą zastała w domu.

- Witaj, Elaino. Mówi Allison Fitzgerald. Czy jest u ciebie Rob?

- Rob? Nie.

Nie było go u mnie od wielu miesięcy - pomyślała ze smutkiem Elaina. Była całkowicie zaskoczona tym, co się stało i nie miała pojęcia, dlaczego wszystko się tak nagle skończyło. Rob zachował się spokojnie, ze skrucną i zdecydowaną: „To koniec, Elaino. Przykro mi”. Sam też się wydawał dość zaskoczony.

- Czy może się go spodziewasz?

- Nie.

Choć miała nadzieję za każdym razem, gdy dzwonił telefon.

- Posłuchaj, Elaino. Muszę się z nim skontaktować. Czy możesz mi podać jego numer telefonu?

Pod podanym numerem odpowiedziała *JQJ* automatyczna sekretarka. Allison nagrała wiadomość.

- Rob, mówi Allison Fitzgerald. Czy możesz do mnie oddzwonić, nawet bardzo późno? Jestem w Nowym Jorku pod numerem 212...

Nastawiła kanał, który podawał wyłącznie wiadomości. O sytuacji w ambasadzie kanadyjskiej w Paryżu mówiono dwukrotnie w ciągu pół godziny, ale komunikat był wciąż taki sam. Terrorysty nadal nie określili swoich żądań.

Peter wrócił do domu o w pół do dwunastej.

- Peter! Nareszcie!

- Witaj, kochanie. Co się stało?

- Och, Peter...

Zadzwonił telefon i Peter podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Mówi Rob Adamson. Oddzwaniem na numer, który zostawiła Allison Fitzgerald.

Peterowi mocniej zabiło serce. W dodatku Rob dzwonił do Allison. Dlaczego? Skąd Allison go zna? Coś tu było nie w porządku i...

- To Rob Adamson - powiedział cicho Peter.

- Och, całe szczęście. - Allison wzięła słuchawkę, a Peter wstrzymał oddech. - Rob?

- Cześć - zaczął ostrożnie Rob. Nie widział Allison ani z nią nie rozmawiał od przyjęcia z okazji otwarcia Chateau Bel Air. Z tonu głosu Allison na automatycznej sekretarce domyślił się, że nie dzwoniła w późny piątkowy wieczór z Nowego Jorku, aby oznajmić radośne, iż jest gotowa dać się opisać w „Portrecie”. - Co się stało, Allison?

- Dzwoniłam w sprawie Emily, żeby zapytać, czy coś wiesz.

- Co się stało z Emily? - spytał zdenerwowany Rob.

- Nie wiesz!

- O czym nie wiem?

- Emily jest zakładniczką w ambasadzie kanadyjskiej w Paryżu. Mówili w wiadomościach. Myślałam, że słyszałeś.

- Dopiero wszedłem do domu - mruknął zaskoczony i przerażony Rob.

- Myślałam, że będziesz mógł dowiedzieć się czegoś więcej, albo że znasz kogoś, kto się dowie.

- Tak, tak, oczywiście. Jeszcze dziś wieczorem polecę do Paryża. - O jedenastej miał lecieć do Australii i przed wyjazdem na lotnisko pobiegł jeszcze na plażę. Teraz poleci do Paryża. - Muszę już iść.

- Dasz mi znać, Rob? Będę pod tym numerem do niedzieli wieczór, a potem wracam do Los Angeles.

- Tak, zadzwonię do ciebie, jak będę coś wiedział.

Rob rozłączył się, nie mówiąc nawet „do widzenia”. Allison odłożyła słuchawkę i przytuliła się do Petera.

- Strasznie się o nią boję.

- Jestem pewien, że nic złego jej się nie stanie.

Peter był przerażony z dwóch powodów: z powodu Emily oraz z powodu kolejnego zagrożenia jego miłości. Przypomniała mu się obietnica Roba z grudnia zeszłego roku, że zniszczy miłość, jeśli Peter kiedyś ją znajdzie.

- Dzwoniłaś do Roba Adamsona - szepnął Peter, starając się zachować spokój, choć przede wszystkim chciał krzyknąć: Dlaczego? - To właściciel „Portretu”, prawda?

- Aha. Rob zna Emily i pomyślałam, że może znajdzie jakieś doświadczenie do szczegółowych informacji.

- Znasz go?

Może AUison nie znała go osobiście, może tylko Emily jej o nim opowiadała.

- Co? Ach, tak.

- Czy on...? - Peter przerwał. Musiał przyjąć do wiadomości fakt, że AUison zna Roba i opanować głos, aby nie zdradzić się ze swym strachem. Czy Rob był kiedyś jej kochankiem? Czy to on przysłał róże na walentynki? - Spotykałaś się z nim?

- Co? Nie. - AUison odsunęła się trochę, aby widzieć jego twarz. Był zdenerwowany i przerażony. Uśmiechnęła się drżącymi wargami. - Rob jest moim przyjacielem, Peter - szepnęła.

- Och.

Peter przycisnął wargi do czerwonozłotych loków i znów przyciągnął ją do siebie.

Tamtego sierpniowego wieczoru z pełnią księżyca obiecał jej, że już nigdy nie będzie miał przed nią żadnych tajemnic. Wtedy okazało się, że za długo trzymał w sekrecie istnienie Sary. Głupia nadzieja, że zaoszczędzi AUison bólu, obróciła się przeciwko niemu. Tego wieczoru ich miłość została zagrożona.

Od tej nocy, gdy urodziła się Bobbi, Peter i AUison delikatnie, czule i kochająco naprawiali to, co on wcześniej popsuł, starając się przywrócić ich związkowi zaufanie i radość. Ich miłość znów stała się silna i pełna zaufania.

I pojawił się nowy sekret.

Od tamtego sierpniowego wieczoru Peter i AUison ani razu nie rozmawiali o Sarze ani o przeszłości Petera. Teraz znów będzie musiał wrócić do przeszłości i zabrać w tę bolesną podróż AUison. Przez niego jej wesołe oczy znów napełnią się łzami.

Rob był jej przyjacielem, ale AUison najwyraźniej nie powiedziała mu o nich, jeszcze nie, ponieważ w ciągu tych miesięcy, kiedy na ogół rozdzielał ich cały kontynent, chronili swe rzadkie wspólne chwile, trzymając swoją miłość w tajemnicy. Peter wiedział, że AUison nie powie o ich uczuciu Robowi przed listopadem, kiedy już zawsze będą razem. Wówczas Peter opowie jej o wszystkim - o rym, że obwiniał się o śmierć Sary i że o to samo obwiniał go Rob.

Peter chciał, żeby to od niego AUison dowiedziała się o wszystkim, ale nawet gdyby usłyszała o okolicznościach śmierci Sary od Roba, prawda byłaby taka sama.

Obrona Petera przed wściekłością Roba i jego próbą zniszczenia ich miłości byłaby dla AUison szalenie przykra.

Największe przestępstwo Petera polegało na tym, iż za bardzo kochał Sarę Adamson Dalton.

Opowiem jej o tym w listopadzie - obiecał sobie w duchu. Wezmę ją w ramiona i wyznam prostą, bolesną prawdę.

Zostało mu jeszcze sześć tygodni, a potem już na zawsze będą razem...

- Robert Jeffrey Adamson. - Dystyngowany siwowłósy ambasador Stanów Zjednoczonych we Francji odczytał nazwisko Roba z jego paszportu. Rob musiał pokazać paszport wartownikowi przy wejściu do ambasady. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wszystkie ambasady w Paryżu wzmocniły zasady bezpieczeństwa.

- Rob.

- Kim pan jest dla Emily Rousseau, Rob?

- Przyjacielem.

- Zna pan jej rodzinę? Stały adres w jej paszporcie to pokój wynajmowany przez ostatnie sześć lat w domu w Santa Monica. Właściciele nie wiedzą, jak skontaktować się z jej rodziną i, mimo wiadomości, nikt się nie zgłosił.

- Nikt się nie zgłosi. Emily zerwała stosunki z rodziną wiele lat temu.

- Pan jest właścicielem i wydawcą pisma „Portret”, prawda?

- Nie przyjechałem tu jako dziennikarz. Chcę pomóc Emily.

- Pomóc?

- Zrobić wszystko, co można.

- Prawdę mówiąc - powiedział z westchnieniem ambasador, który doszedł do wniosku, że posiadaczowi zmartwionych niebieskich oczu i zdenerwowanej twarzy faktycznie zależy na Emily -jesteśmy bezradni. Francuska policja, międzynarodowy oddział antyterrorystyczny i specjalna ekipa ze Stanów współpracują w tej sprawie, ale jestem pewien, że słyszał pan o żądaniach porywaczy, aby zwolnić tak zwanych więźniów politycznych.

- Nie ma szans na ich zwolnienie?

Do tej pory Rob zawsze uważał, że jedynym sensownym podejściem jest nie prowadzić żadnych negocjacji z porywaczami i terrorystami ani nie reagować na ich żądania.

Ale teraz chodziło przecież o Emily.

- Nie. W ciągu ostatnich paru miesięcy Paryż stał się terenem walki. Mamy tu bomby podkładane w samochodach, porywanie zakładników,

wybuchy w kawiarniach i w sklepach. Rząd francuski nie zamierza się poddawać.

- Co zatem robią, aby uwolnić zakładników?

- Rozmawiają. Jeśli mają jakieś inne plany, to są objęte ścisłą tajemnicą.

- Rozumiem. Wie pan, ja mógłbym być o wiele cenniejszym zakładnikiem niż Emily. Jestem bogaty, a poza tym, nawet jeżeli nie zamierzamy ustępować terrorystom, byłbym dobrą kartą przetargową, ponieważ wielu wpływowych ludzi naciskałoby na władze, aby mnie uwolnić.

- Chce pan zaferować siebie za Emily?

- Tak - odparł Rob. - Tak - powtórzył zdecydowanie.

- Nie sądzę, aby to było możliwe.

- Czy mógłby pan w każdym razie powtórzyć to negocjatorom albo pozwolić mnie to zrobić?

- Powiem im. Wydaje mi się, że terroryści chętnie pana zaakceptują, ale to wcale nie oznacza, że uwolnią Emily.

Przynajmniej mógłbym być przy niej - pomyślał z nadzieją Rob.

- Poza tym najprawdopodobniej Emily zostanie zwolniona. Terrorysty rzadko przetrzymują kobiety przez dłuższy czas. Nikt nie rozumie, dlaczego w ogóle ją zatrzymali. Nie ma żadnych, ważnych dla nich, powiązań politycznych, poza faktem, że jest Amerykanką. Ale w ambasadzie byli Amerykanie, mężczyźni, których zwolniono. Ma pan jakieś wyjaśnienie?

Rob miał swoje podejrzenia, ale nie mógł wypowiedzieć ich głośno. Wiedział tylko, że musi za wszelką cenę dążyć do uwolnienia Emily.

W odpowiedzi na pytanie ambasadora potrząsnął głową, choć w duchu wiedział: źli mężczyźni wyczuwali słabość Emily i zawsze dążyli do tego, żeby zrobić jej krzywdę.

- Powie im pan, że chcę się zamienić z Emily - rozkazał.

- Powiem.

- Zatrzymałem się w Ritzu. Zadzwoni pan do mnie, jak będą jakieś wiadomości, dobrze? - Rozkaz zmienił się w prośbę, gdy dotarła do niego cała beznadziejność sytuacji.

- Oczywiście.

Ambasador zadzwonił następnego dnia, żeby powiedzieć, że oferta Roba została odrzucona przez negocjatorów i że nie ma nowych wiadomości. Przez następne pięć dni telefon w pokoju hotelowym Roba mil-



czał. On sam wykonał tylko dwa telefony, tuż po przyjeździe, żeby zostawić wiadomość na automatycznej sekretarce w swoim biurze i u Allison w Santa Monica. Powiedział Frań, aby skontaktowała się z ludźmi w Sydney, Auckland, Bangkoku, Hongkongu i Tokio i odwołała umówione spotkania oraz przekazała, że Rob później się do nich odezwie. Nie powiedział Frań, gdzie aktualnie przebywa. Dla Allison zostawił informację, że jest w Paryżu i powiadomi ją, gdy będzie wiedział coś bliższego.

Przez pięć dni i nocy telefon milczał i nikt nie nagrał się podczas jego nieobecności, gdy spędzał całe dni obok odgradzonej przez policję ambasady kanadyjskiej przy Avenue Montaigne.

Chodził między hotelem i ambasadą, zbyt niespokojny, aby dłużej przebywać w jednym miejscu, udręczony ciszą panującą w pokoju i beznadziejną gadaniną dziennikarzy i gapiów, którzy kręcili się koło ambasady. Tłum czekał na dramat.

Ambasada kanadyjska stała się jeszcze jedną atrakcją turystyczną Paryża, jeszcze jednym miejscem, gdzie można było spędzić piękny jesienny dzień. Wrześnie słońce grało mocniej niż zwykle, a miasto reagowało śmiechem i radością, zapominając o terrorze, który przetoczył się po ulicach podczas upalnego lata.

Avenue Montaigne stanowiła małą oazę wojny w wesołym, gwarnym mieście. Taki był przypuszczalnie dom z dzieciństwa Emily. Z zewnątrz niczym nie różnił się od innych domów. Na ulicy dzieci bawiły się i śmiały. Ale w środku panował terror i cierpienie zadawane w słoneczne dni i w oświetlone światłem księżycą noce.

Policja odgradziła całą przecnicę wokół ambasady - majestatycznego budynku z białego marmuru - i gęsto obstawiła cały teren umundurowanymi i uzbrojonymi ludźmi. Pośrodku pustej ulicy stał mikrobus, wyposażony w najnowsze urządzenia elektroniczne, który służył jako centrum dowodzenia w tej małej wojnie, toczonej w sercu Paryża.

Rob wpatrywał się w szarobiałe ściany fortecy, więzienie Emily, jej najnowsze więzienie, i przemawiał do niej w duchu.

- Jestem tu, Emily - mówił. - Jestem tu i myślę o tobie. Usłysz mnie, proszę. Wiedz, że tu jestem.

Ambasador Stanów Zjednoczonych zadzwonił dwadzieścia po jedenastej szóstej nocy pobytu Roba w Paryżu. Rob przez moment wpatrywał się w aparat telefoniczny, słuchając jego dzwonięcia. Przypomniał mu się późny telefon w nocy, gdy umarła Sara.

- Brygada antyterrorystyczna godzinę temu zaatakowała ambasadę. Emily jest tutaj.

Emily czyjej ciało?

- Żyje?

- Tak.

- W jakim jest stanie?

Usłyszał wahanie w głosie ambasadora i zaraz potem smutek.

- W bardzo złym. Myślę, że jest w szoku. Odmówiła pójścia do szpitala, więc policja przywiozła ją tutaj. Jak na razie dziennikarze nie dowiedzieli się, że Emily nie jest razem z innymi zakładnikami.

- Już jadę. - Chciał jeszcze dodać, aby ambasador przekazał Emily, że Rob do niej jedzie, ale zrezygnował. Już raz odebrała jego pomoc jako zdradę.

Ulica, przy której znajdowała się ambasada amerykańska, była pustą szarą wstążką, oświetloną latarniami i światłem księżyca w pełni. Rob poprosił kierowcę taksówki, żeby zaczekał i pędem pobiegł do budynku.

Kiedy zobaczył ponurą twarz ambasadora, serce mu zamarło.

- Żyje - powiedział prędko ambasador na widok strachu malującego się na twarzy Roba. - Ale jest w bardzo złym stanie.

- Gdzie ona jest?

- W moim gabinecie.

Emily leżała na wielkiej, skórzanej kanapie, w pozycji embrionalnej, jakby żałowała, że w ogóle się urodziła. Jej złote włosy były potargane, ubranie miała brudne i podarte. Nie ruszała się i jedyną oznaką życia było lekkie drganie klatki piersiowej.

Rob ukląkł przy niej.

- Emily - szepnął w jej potargane włosy, złoty promień, lśniący pośród gruzów. - To ja, Rob. Skarbie...

Widział, że go słyszy. Coś się poruszyło, ale nadal nie mógł dotrzeć jej twarzy. A jeśli jego głos, jego obecność jeszcze bardziej ją przestraszy? Jeśli to będzie ostateczną zdradą, śmiertelnym szokiem?

- Emily, nie zrobię ci krzywdy. Chcę ci pomóc. Wiem, że możesz w to nie wierzyć, ale mówię prawdę. Czy mogę spojrzeć na twoją twarz, Emily? Czy mogę odgarnąć włosy, abym widział twoje oczy?

Wstrzymał oddech, obawiając się najgorszego.

Ale Emily lekko skinęła głową i Rob bardzo delikatnie odsunął jej włosy z twarzy. Była śmiertelnie blada, a jej zamglone szare oczy były martwe i pozbawione nadziei.

- Rob?

Robowi mocniej zabiło serce, gdy w szarych oczach pojawiło się coś, co nie było strachem.

- Wszystko w porządku, Emily. Jestem przy tobie. Zaopiekuję się tobą. Myślę, że powinnaś pójść do szpitala, skarbie.

- Proszę nie, Rob. Tylko zabierz mnie stąd. - Emily spojrzała mu w oczy. Jej prośba rozdarła mu serce, ale głos dawał nadzieję. Jeszcze nie wszystko było stracone.

Zdawał sobie sprawę, że pobyt w szpitalu może ją zabić. Szczegółowe badania wykonywane przez obcych ludzi mogłyby się okazać nie do wytrzymania. Z drugiej strony, jeśli Emily *nie* pójdzie do szpitala, też może umrzeć. W jego ramionach. Rob zwalczył własny strach i powiedział cicho:

- Dobrze. Nie zawiozę cię do szpitala. Pojedziemy gdzie indziej. Wezmę cię na ręce.

Ku jego zdumieniu Emily powoli wstała.

- Mogę iść.

Otulił jej drobne ramiona swoją marynarką, zasłaniając podarte ubranie i chroniąc ją przed *nocnym* chłodem. Objął ją, zaskoczony jej kruchością i delikatną wdzięcznością, z jaką się do niego przytuliła. Podniósł z podłogi aparat fotograficzny i torebkę Emily. Bardzo powoli przeszli do taksówki, która czekała na ulicy.

- Dziękuję panu - mruknął Rob do ambasadora. - I proszę jeszcze o jedno. Będziemy w Ritzu. Jeśli zechce pan ze mną porozmawiać, albo policja zechce porozmawiać z Emily, nie mam nic przeciwko temu, ale byłbym wdzięczny, gdyby nie zawiadamiał pan prasy.

Ambasador kiwnął głową, a potem zmarszczył brwi i szepnął:

- Ja musi zobaczyć lekarz.

- Wiem, ale na razie musi być sama.

Rob zamierzał zostawić Emily w taksówce przed hotelem i pójść do recepcji, aby załatwić dodatkowy pokój, ale gdy wysiadł, Emily wysiadła razem z nim. Objął ją ramieniem, a ona wtuliła twarz w jego pierś.

- Monsieur Adamson. Czym mogę służyć? - spytał recepcjonista.

- Chcę wynająć jeszcze jeden pokój, apartament.

- Oczywiście. - Recepcjonista spojrzał przelotnie na Emily i szybko wydedukował, że jest aktorką albo gwiazdą rocka, z pewnością na prochach. - Czy chce pan apartament dla młodej pary?

- Dwupokojowy apartament.

- Tak, oczywiście. A pański pokój?
- Zatrzymam go.
- *Certainement*. Pierre zaprowadzi państwa do apartamentu.
- Proszę dać mi klucze - zażądał niecierpliwie Rob.

Czuł, że Emily słabnie, jej ciało stało się ciężkie, jakby nie miała już siły, aby ustać na nogach. Cały czas mocno się na nim opierała.

Kiedy znaleźli się w eleganckim apartamencie, Rob zaprowadził ją do jednej z dwóch sypialni.

- Musisz odpocząć, Emily, przespać się, coś zjeść i...
- Pysznic.
- Czy masz na to dość siły?

Wiedział, że gdyby chciał jej pomóc, zdjęć z niej podarte ubranie i umyć, byłaby przerażona.

Musiał stale uważać, aby nie przekroczyć cienkiej granicy. Chciał przejąć kontrolę, tak jak kiedyś chciał zabrać Emily do apartamentu w zaśnieżonym Aspen, odgrodzić się zamkniętymi drzwiami od zewnętrznych burz i rozmawiać z nią, płakać z nią, tulić, gdyby mu na to pozwoliła, dopóki nie wygoniliby wszystkich demonów i Emily uwierzyłyby w siebie i w szczęście. Ale kontrola, władza i siła były jej największymi wrogami.

- Chyba tak.
- Dobrze. - Rob zaprowadził ją do drzwi łazienki. - Będę w drugim pokoju, gdybyś mnie potrzebowała. Emily?
- Tak?
- Możesz mi zaufać, skarbie. Wiem, że w to nie wierzysz, jednakże mówię prawdę.

Emily przyglądała mu się przez chwilę, a w jej szarych oczach za-błysł drobny promyk szczęścia, jakby odległe wspomnienie.

- Wiem. Ufam ci, Rob.

Weszła do łazienki, a Rob wstrzymał oddech, modląc się, aby nie zamknęła się na klucz. Nie zrobiła tego. Po chwili wrócił do saloniku i chodził tam i z powrotem, zdenerwowany, niespokojny, podniecony jej wyznaniem, dopóki nie umilkł dźwięk lejącej wody i nie zapadła cisza.

Cisza, która trwała wiecznie. Rob wyobraził sobie Emily na podłodze, z rozbitą głową. Wreszcie wrócił do jej sypialni.

- Emily? - zawołał cicho, a kiedy nie odpowiedziała, powtórzył trochę głośniej: - Emily!

Drzwi od łazienki otworzyły się. Twarz Emily nie tylko nie zaróżowiła się od prysznica, lecz była jeszcze bledsza, bardziej szara, bardziej

zmęczona. Pod oczyma miała ciemne kręgi. Przypuszczalnie w ciągu ostatniego tygodnia nie spała, albo zapadała jedynie w krótkie drzemki w rozgrywającym się wokół niej koszmarze. Nie spała, nie jadła.

Rob zastanawiał się, czy nie powinien jej jednak zawieźć do szpitala. Wbrew jej woli? Nie, nigdy.

- Połóż się do łóżka, a ja zamówię coś do jedzenia.
- Nie chcę jeść.

Emily bosy weszła do sypialni, owinięta w obszerny miękki szlafrok hotelowy.

Niepewnym krokiem podeszła do łóżka. Rob odsunął ciężką kapę i Emily wsunęła się do czystej pościeli, ostrożnie, skromnie, nie zdejmując z siebie szlafroka. Kiedy już leżała, Rob przykrył ją i usiadł na krześle przy łóżku.

- Opowiedzieć ci bajkę na dobranoc? - spytał.

Na jej ustach pojawił się słaby, marzycielski uśmiech.

- Posłuchaj. Dawno, dawno temu żyła piękna księżniczka. Miała długie, złote włosy i oczy koloru porannej mgły...

Emily po chwili zasnęła, ale Rob siedział przy łóżku przez następną godzinę, obserwując jak łagodnie unosi się kołdra w rytm jej oddechu. Wreszcie poszedł do swojej sypialni. Nie mógł jednak zasnąć. Przesiedział całą noc w saloniku, podchodząc co parę minut do otwartych drzwi pokoju Emily i sprawdzając, czy oddycha.

## 28

Emily przespała resztę nocy, a rano, gdy promienie jasnego, jesiennego słońca wpadły do pokoju, Rob zasunął zasłony, o których wcześniej zapomniał, i Emily spała dalej.

Dwa razy wychodził z apartamentu, za każdym razem zostawiając kartkę dla Emily. Najpierw wyszedł na krótko, do swego dotychczasowego pokoju, żeby przynieść swoje rzeczy. Drugi raz, kiedy Emily nadal spała, i wyglądało na to, że może przespać nawet cały dzień, wyszedł na zakupy do Bon Marche.

Wiedział, że Emily będzie potrzebowała ubrań, kiedy się obudzi. Czystych, świeżych, nowych ubrań, które nie niosły z sobą wspomnień o strasznym przeżyciu. Kupił dzinsy, bawełnianą bluzkę, sweter z dekoltem w szpic i ciepły żakiet, a także wygodne, codzienne ubranie dla

siebie, gdyż w walizce, zapakowanej na wyjazd na wschód, miał tylko eleganckie garnitury.

Rzeczy, które kupił dla Emily były luźne i w przygaszonych kolorach, choć wydawało mu się, że podarte i brudne ubrania, w jakich przywiózł ją do hotelu, były bardzo kolorowe.

Kupił jej także jasnoniebieską koszulę nocną z miękkiej flaneli, z marszczonym kołnierzykiem i długimi rękawami. Skromną, niewinną i ciepłą.

Kiedy wrócił do hotelu z zakupami, Emily wciąż spała. Poszedł do swojej sypialni, wyciągnął się w ubraniu na łóżku i zasnął przy otwartych drzwiach.

Pięć godzin później obudził go krzyk Emily. Apartament był ciemny, pełen cieni. Na zegarku przy łóżku zobaczył, że jest ósma. Pospiesznie poszedł do pokoju Emily. Siedziała na łóżku, płacząc.

- Emily!

Ukląkł przy niej i w jej przerażonych oczach zobaczył niepokój. Czy zapomniała, że on tu jest? Czy zapomniała, że powiedziała, iż mu ufa?

- Rob - szepnęła i w szarych oczach zabłysła nadzieja.

- Uważaj, będzie jasno - ostrzegł ją i zapalił lampę przy łóżku. Chciał jak najszybciej odegnać ciemność i demony.

- Aha. - Zmarszczyła oczy, ale się uśmiechnęła.

- Wydaje mi się, że przyśnił ci się jakiś koszmar.

Emily kiwnęła głową.

- Zamówię jedzenie i zjemy kolację w saloniku, dobrze?

- Tak, dobrze.

- Kupiłem ci parę rzeczy. Zaczekaj.

Wrócił po chwili z torbami ze sklepu, a potem, gdy Emily się ubierała, wyszedł, żeby zamówić kolację.

Kiedy zobaczyła workowate dzinsy, łzy napłynęły jej do oczu. To był symbol jej starego życia. Tylko w takich ubraniach oglądał ją Rob.

I tylko taką będzie mnie znał - pomyślała ze smutkiem. Wcześniej uwierzyła, że robi postępy, ale ci wstrętnei ludzie zburzyli delikatną fasadę siły i odwagi. Wiedzieli, że jest ofiarą i zawsze nią będzie.

Emily często marzyła o tym, że zobaczy Roba. Wyobrażała sobie, że przyjedzie do Paryża przeprowadzić jakiś wywiad i spotkają się przypadkiem na Polach Elizejskich. Rob się zdziwi, a potem szepnie, obrzucając ją uważnym spojrzeniem: „To ty, Emily? Cudownie wyglądasz”. A ona uśmiechnie się, pięknym, pewnym uśmiechem i odpowie: „Bo jestem cudowna, Rob. Dzięki tobie”.

Ale teraz... Spojrzała na workowate dzinsy i łyzy polały się strumieniem. W końcu włożyła pod wielki szlafrok nową koszulę nocną i poszła do saloniku.

Jedząc wyszukane potrawy, Rob od czasu do czasu obrzucał ją uważnym spojrzeniem, choć starał się nie wpatrywać w nią zbyt natrętnie. Przestał się już denerwować, że Emily umrze we śnie. Nadal była błada, zmęczona i wychudzona, ale wyraźnie nabrała sił. Poprawi się, kiedy się porządnie wyśpi, o ile nie przeszkodzą jej w tym koszmary.

To tutaj, w Mieście Światła, w tamten styczniowy wieczór, namówił ją, aby opowiedziała mu o swych demonach, mając nadzieję, że rozmowa pozwoli jej się od nich uwolnić. Czy teraz też pomogłaby jej rozmowa? Czy gdyby opowiedziała o tym, co wydarzyło się w ambasadzie, uwolniłaby się od dramatycznych przeżyć?

- Emily?

- Tak?

Nie chciał o tym słuchać, ale dla niej, gdyby to mogło pomóc...

- Czy chcesz mi powiedzieć, co ci zrobili? - spytał łagodnie.

W jego niebieskich oczach zobaczyła niepokój i uśmiechnęła się lekko.

- Nic mi nie zrobili.

- Nic? - Czy Emily sama przed sobą nie chciała się przyznać? Czy straszne wspomnienie miało występować tylko w snach, które będą ją męczyć latami? Czy chciała mu zaoszczędzić szczegółów? - Nie dotykali cię?

- Nie - odparła zgodnie z prawdą. - Planowali to na później, na koniec, jako nagrodę. - Emily zmarszczyła brwi, kiedy przypomniła sobie docinki, wstrętne obietnice, obrzydliwy śmiech, przyjemność, jaką czerpali z jej strachu. - Straszyli mnie tylko.

Dzięki Bogu - pomyślał Rob. Gdyby jej dotknęli, gdyby spełnili swoje groźby, może Emily już by nie żyła, znalazłaby sposób, aby się zabić.

Dobre jedzenie i zmęczenie sprawiły, iż oczy Emily zaczęły się zamykać, nim skończyli jeść.

- Wracaj do łóżka - powiedział Rob.

- Dobrze.

Poszedł za nią do sypialni. Spojrzała na niego wstydliwie, ale bez strachu, zdejmując gruby szlafrok i odsłaniając skromną koszulę. Kiedy już leżała, Rob otulił ją kołdrą.

Miał ją spytać, czy chce zasnąć przy bajce, gdy sama zadała pytanie:

- Skąd się tu wzięłeś, Rob? Co robiłeś w Paryżu?

Czy spotkałabym cię na Polach Elizejskich, gdyby nie to wydarzenie? - pomyślała. Czy moje marzenie było bliskie spełnienia?

- Przyjechałem z twojego powodu. Gdy tylko się dowiedziałem.

- Naprawdę?

- Tak.

- Kiedy? - Nie wiedziała, jak długo była w piekle.

- Tydzień temu.

- Tydzień - szepnęła ze smutkiem. - To musisz niedługo wracać.

- Dlaczego?

- Z powodu pisma. - Emily lekko zmarszczyła brwi. - I z powodu Elainy.

- Pismu nic się nie stanie. A z Elainą już się nie spotykam.

- Nie ożeniłeś się z nią?

- Nie. - Rob delikatnie odsunął złote pasmo, które opadło jej na oczy. Emily nie zeszywniała pod jego dotykiem, a w jej oczach nie dostrzegł strachu. - Nie mogłem ożenić się z Elainą, bo kocham kogoś innego.

- No, to musisz do niej wracać.

- Jestem z nią, Emily. Jestem z kobietą, którą kocham.

Gdy zrozumiała znaczenie jego słów, w pięknych, szarych oczach pojawiły się łzy.

- Kocham cię, Emily.

Łzy wytrysnęły z oczu, jak łagodny, uzdrawiający, wiosenny deszcz, bez chmur, bez wątpliwości, bez obaw.

- Ja też cię kocham, Rob.

- Naprawdę?

- Tak.

Od bardzo dawna - dodała w duchu.

Chciała już na zawsze zatopić spojrzenie w jego kochających, niebieskich oczach i słuchać łagodnego głosu. Jednakże wyczerpane ciało walczyło z porywami serca, domagając się snu.

- Śpij, najdroższa - szepnął Rob, patrząc z przepełnionym czułością sercem, jak Emily stara się za wszelką cenę nie zasnąć. - Będę tutaj, gdy się obudzisz. A teraz opowiem ci historię człowieka, który zakochał się w złotowłosej księżniczce. Wszystko zaczęło się podczas wspaniałego ślubu w różanym ogrodzie...

Rano, gdy Emily jeszcze spała, Rob zadzwonił do Frań i do Allison. Frań powiedział, że na razie nie wróci i że szczegóły poda jej później.



Przeprosił Allison, że nie zadzwonił do niej, kiedy tylko Emily odzyskała wolność. Nie wyjaśnił opóźnienia, nie chciał mówić, iż obawiał, że Emily umrze. Allison poprosiła jedynie, aby ucałował od niej Emily. Nie powiedziała Robowi o kartce, którą dostała od Emily, wysłanej dwa dni przed napadem na ambasadę kanadyjską. Kartka doszła do Stanów, gdy Emily przetrzymywano jako zakładniczkę.

*Droga Allison, drogi Peterze - pisała Emily. - Wczoraj widziałam Miłość, dwa razy, w kinie na Polach Elizejskich. To cudowny film, coś, co można wspominać, gdy życie nie jest zbyt radosne. Twój film jest podarunkiem, Peterze, wspaniałym podarunkiem.*

Gdy Emily spała, Rob krążył po hotelowych pokojach rozmyślając i planując przyszłość. O dziesiątej zostawił jej kartkę - *Zaraz wracam. Kocham cię* - i poszedł przez plac Vendome do sklepu Van Cleefa i Arpelsa. Postanowił od razu zamówić pierścionek i nalegać na pośpiech. Jednakże znalazł coś na miejscu: dwukaratowy diament bez skazy, osadzony między delikatnymi rządkami błyszczących prostokątnych kamieni. Był dokładnie taki, jakiego szukał: piękny i doskonały, jak Emi-

- Bez skazy, *oui monsieur* - zapewnił go jubiler. - Oczywiście może trzeba go będzie dopasować. Ten pierścionek wejdzie tylko na szczupły palec.

- Jeśli trzeba by go było dopasować, może pan to zrobić w ciągu jednego dnia, prawda?

- *Mais oui.*

Kiedy Rob wrócił do hotelu, Emily już wstała i włożyła workowate dzinsy, bawełnianą bluzkę i sweter.

- Dzień dobry.

- Cześć. - Emily uśmiechnęła się nieśmiało.

Gdyby nie kartka, którą zostawił jej Rob wychodząc, pomyślałaby, że zeszyły wieczór po prostu jej się przyśnił. Ale Rob dziś napisał te same słowa, które wczoraj wypowiedział, a teraz wyrażał je wzrokiem.

- Mam coś dla ciebie. - Rob uśmiechnął się i dodał niepewnie: - Mam nadzieję, że ci się spodoba. Jeśli nie, mogę go zwrócić.

Wyciągnął z kieszeni marynarki małe pudełeczko z niebieskiego welwetu i drżącymi rękami wręczył Emily. Jej dłonie, kiedy otwierała pudełeczko, drżały równie mocno.

- Rob. - Z emocji zabrakło jej słów. Po chwili szepnęła: - Nie rozumiem.

- To jest pierścionek zaręczynowy. Wyjdiesz za mnie, Emily?

- Dlaczego miałyby mi się nie podobać? - spytała, nie odpowiadając na jego pytanie i obawiając się, co jej odpowie.

- Ponieważ wciąż uważasz, że nie zasługujesz na piękne rzeczy - odparł łagodnie Rob. - Jeśli ten pierścionek ci nie odpowiada, możemy kupić zwykłe złote obrączki albo nic nie kupować. Zależy mi tylko na tym, żeby się z tobą ożenić. Nie chcę, abyś się zmieniała, skarbie. Myślałem jedynie, że mogłabyś być szczęśliwsza.

Już jestem - pomyślała. Takiej jej nie znał: silniejszej, szczęśliwszej, pełnej nadziei.

Zmarszczyła brwi, gdy znów poczuła mroczny strach dawnej Emily Rousseau, takiej, która nie wierzyła w siebie i była pełna obaw.

Bała się, że Rob nie pokocha nowej Emily, choć jednocześnie wiedziała, że to właśnie on chciał, żeby odnalazła siebie i poczuła się pewniej i lepiej.

~ Emily? - Rob zobaczył w jej oczach strach i niepewność, które wywołał. - Przepraszam. Oddam pierścionek.

- Nie, Rob, nie rób tego. Po prostu dasz mi go później. I jeszcze raz spytasz, czy za ciebie wyjdę. Później, na kolacji w Tour d'Argent, dobrze?

- Dobrze - odparł z niepokojem. Niepokój wzrósł, gdy zobaczył, że Emily wkłada zakiet i zbiera się do wyjścia. - Dokąd idziesz?

- Nie mogę iść w dzinsach do Tour d'Argent, prawda?

- Możesz. Dla mnie możesz zawsze chodzić w dzinsach.

Emily napisała na kartce papieru adres i numer telefonu.

- To jest mój adres w Paryżu. Będę gotowa o wpół do ósmej.

- Nie odchodź, Emily, bardzo cię proszę.

- Dlaczego nie?

- Boję się, że nie wrócisz.

Emily uśmiechnęła się czule, co go lekko uspokoiło.

- Masz przecież zastaw - powiedziała cicho.

- Jaki zastaw? - Pierścionek, którego nie chciała? Bawełnianą nocną koszulę? - Zostawisz mi swój aparat? - spytał ze smutkiem,

- Nie, Rob, zostawiam ci moje serce.

Wkrótce po przyjeździe do Paryża Emily robiła zdjęcia projektantowi u Givenchy'ego. On złożył jej tę samą propozycję, jaką wcześniej,

w styczniu, składali projektanci La Croix, u Diora, Chanel i St. Laurenta - że w prezencie ubierze ją w najpiękniejsze jedwabie i szyfony z najnowszych kolekcji. Mimo że teraz Emily ubierała się bardziej stylowo, projektant wiedział, iż dzięki niemu może wyglądać wprost oszalamiająco.

Emily wzięła taksówkę i kazała się zawieźć do Givenchy'ego.

- *Bonjour.*

Projektant nie poznał młodej kobiety z cudownymi, złotymi włosami, w dżinsach i obszernym żakiecie. Odgarnęła włosy z twarzy.

- *Cestmoi.*

- Emily! Dobrze się pani czuje?

- *Oui. Merci* - odparła z uśmiechem. Nie chciała opowiadać o wydarzeniach w ambasadzie kanadyjskiej. - Kiedyś powiedział pan, że może mnie pan uczynić piękną.

- Jest pani piękna, ale mogę panią ubrać tak, że będzie pani zachwycająca.

- W coś miękkiego i kobiecego? Dla zakochanej kobiety?

- *Certainement.*

Suknia składała się z miękkich warstw szyfonu w pastelowych kolorach, przypominających wiosenny ogród. Projektant powiedział Emily, aby zebrała włosy z twarzy i dał jej pastelowe, satynowe wstążki do wplecenia w złote włosy.

- Tylko jedno pasmo, promień słońca zmieszany z kwiatami - zasugerował. - A reszta pani wspaniałych włosów niech swobodnie opada na ramiona.

Emily przyjechała do swego mieszkania przy Rue de Bourgogne o trzeciej po południu. Zapewniła konsjerżkę, że czuje się dobrze i weszła na górę, gdzie bez wahania wyjęła z zamkniętej szuflady list, który napisała do Roba na wiosnę. Nie musiała czytać go na nowo, gdyż znała jego treść na pamięć. Pisała, że kocha Roba, że jest mu wdzięczna, że była u doktor Camden i dzięki ciężkiej pracy czuje się znacznie lepiej. Teraz posłała list Robowi przez posłańca.

Robowi mocniej zabiło serce, gdy otwierał list. Natychmiast poznał pismo na kopercie i przestraszył się, że Emily do niego nie wróci.

Przeczytał list i łzy napłynęły mu do oczu. Kiedy odzyskał głos, wykręcił numer telefonu, który dała mu Emily.

- Tęsknię za tobą.

- Dostałeś mój list?

- Tak. Tęsknię za tobą. Kocham cię. Czy mogę teraz do ciebie przyjechać?

- Tak. - Emily była gotowa, musiała tylko włożyć suknię i związać włosy. Ona też za nim tęskniła.

Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze - westchnęła w duchu.

Emily była piękna i bardzo niepewna siebie, jakby nie wierzyła, że Rob może ją taką pokochać.

- Emily. - Rob, podchodząc do niej sięgnął do kieszeni i wyjął niebieskie, welwetowe pudełeczko. - Wyjdiesz za mnie? Nie mogę czekać aż do kolacji, żeby cię zapytać.

- Tak, wyjdę za ciebie.

Rob wsunął pierścienek z brylantem na jej drżący palec. Pasował doskonale.

- Moje paznokcie...

Długie, wypielęgnowane paznokcie padły ofiarą tygodniowego zamknięcia z terrorystami.

- Odrośną, Emily. Podczas naszej podróży poślubnej.

- Podróży poślubnej?

- Dziś po południu, kiedy odeszłaś, myślałem, że znów cię stracę. Spędziłem czas, planując naszą przyszłość. Rozmawiałem z ambasadorem amerykańskim. Jeśli chcesz, może nam załatwić ślub od razu i na miejscu.

- Chcę.

- A potem, jeśli chcesz, możemy przez trzy, cztery tygodnie, jeździć po całej Europie.

- Chcę.

Stanął przed nią, wziął jej ręce w swoje dłonie i uśmiechnął się z miłością.

- Kocham cię, Emily.

- Kocham cię, Rob.

Nigdy się nie całowali. Prawie nigdy sienie dotykali. Rob postanowił, że się z nią ożeni i spędzi resztę życia, nawet gdyby nigdy nie mógł jej pocałować, gdyby to miało być dla niej czymś przerażającym.

Emily zobaczyła w jego ciemnoniebieskich oczach miłość i niepewność, prawidłowo odczytując jego myśli.

- Jeszcze nigdy nie całował mnie mężczyzna, który mnie kocha.

Emily i Rob kochali się po raz pierwszy w noc poślubną. Kochali się delikatnie, czule, po ciemku. Emily nie zeszywniała ze strachu, tak jak obawiał się Rob, nawet wyczuł w niej pewną ulgę, ale dla Emily w akcie fizycznej miłości nie było żadnej przyjemności ani radości.

To samo zdarzyło się następnej nocy, i następnej, i następnej, choć to Emily inicjowała ich zbliżenia i desperacko pragnęła, aby ich miłość stała się czymś pełnym. Każdej nocy zdejmowała skromną nocną koszulę i kładła się obok Roba. Kochali się po ciemku, w ciszy, szybko, bez przyjemności.

Potem Rob wkładał piżamę, Emily wkładała koszulę i zasypiała.

Ona zasypiała, a on leżał bezsennie i wymyślał łagodne słowa, którymi mógłby do niej przemówić w świetle dnia.

„Skarbie, może jeszcze powinnaś poczekać, może za wcześnie dla ciebie” - chciał powiedzieć. A jeśli te łagodne słowa sprawiłyby jej ból? Jeśli szare oczy zasnułaby mgła i Emily spytałaby, tak jak kiedyś, gdy Rob chciał dla niej jak najlepiej: „Uważasz, że ze mną jest coś nie w porządku, tak?” Albo spytałaby cicho, że łzami w oczach: „Nie chcesz się ze mną kochać?”

Rob chciał się kochać z Emily, marzył o tym od dawna, bardzo jej pożałował. Z drugiej strony musiał działać bardzo ostrożnie, z wycuciem, aby nie odebrała jego požądania jako przemoc. Chciał ją kochać, dzielić się cudowną przyjemnością wynikającą z miłości.

Rob nie cierpiał milczącego seksu pozbawionego radości.

Obmyślał różne słowa, ale nigdy ich nie mówił, gdyż rano Emily spoglądała na niego szarymi oczami pełnymi nadziei, jakby pytała: „Czy było dobrze? Czy nadal mnie kochasz?”

Nic nie mówił, bo nie chciał jej zranić, a ich dni wypełniały cudowne emocje. Z każdą sekundą kochał ją coraz mocniej. Podczas jasnych, słonecznych dni trzymali się za ręce i dzielili delikatnymi pieszczotami, śmiali się i rozmawiali.

Dni były cudowne, pełne szczęścia i miłości, która powinna prowadzić do namiętnych nocy.

Noce jednak wciąż były takie same - milczące, ciemne, smutne. Rob wiedział, że sam akt miłości, bez strachu i narkotyków, był dla Emily niesłychanym zwycięstwem nad sobą i symbolem zaufania, jakim go darzyła. Zdawał sobie też sprawę, że wprawdzie Emily była skromna i nieśmiała, jak dziewczyna, ale nie miała w sobie zdziwienia, niewinności czy nadziei.

Leżał godzinami, obmyślając słowa, których nigdy nie wypowiedział na głos, kochając Emily całym sercem i mając nadzieję, że pewnego

pięknego dnia będą mogli o wszystkim porozmawiać, nie sprawiając jej bólu.

Jedenaście dni po ślubie Emily odkryła w sobie coś zdumiewającego.

Byli w zamku w Salzburgu. Emily odeszła, aby zrobić zdjęcie doliny i jeziora. Wracając do Roba, spojrzała na niego i nagle zatrzymała się zaskoczona.

Jakby zobaczyła go po raz pierwszy w życiu.

Opierał się o kamienną ścianę zamku, wystawiając twarz na jesienne słońce, przystojny, dobrze zbudowany, z ciemnymi włosami rozwianymi przez wiatr, z uśmiechem na ustach. Spojrzała na człowieka, którego kochała i zrozumiała, że dotąd nigdy na niego naprawdę nie patrzyła.

Był dla niej zawsze symbolem łagodności. Myślała o jego dobrych, uśmiechniętych oczach, o łagodnym uśmiechu, miękkim głosie i kochającym sercu. Nigdy nie myślała o jego wyglądzie.

Rob był niesłychanie przystojny, zmysłowy i seksowny. Inne kobiety to zauważały i doceniały. Jednakże Emily do tej pory nigdy nie spostrzegła tej zmysłowej, pociągającej seksualności, gdyż dla niej seks jednoznacznie kojarzył się wyłącznie z przemocą, a nie z łagodnością i miłością.

Do tej pory...

Kiedy mu się przyglądała, poczuła nieznane uczucie podniecenia. Rob Adamson dumnie nosił złotą obrączkę, którą włożyła mu na palec. Rob Adamson, jej mąż, cudowny, zmysłowy mężczyzna, który ją kochał i pożądał. Rob Adamson, mężczyzna, którego ona kochała i pożyła.

Silne emocje napełniły ją pewnością siebie.

- Cześć, Rob - powiedziała z uwodzicielskim uśmiechem.

- Cześć. - Z zaskoczeniem odwzajemnił jej uśmiech. Szare oczy Emily wysyłały mu czarujące przesłanie; czarujące, prowokacyjne i zapraszające. - Co takiego? - spytał ze śmiechem.

- Chodź ze mną.

- Dokąd?

- Do hotelu.

- Dobrze się czujesz?

- O tak.

Kiedy wrócili do słonecznego, ładnego pokoju w austriackim hotelu, z krzesłami obitymi brokatem, koronkowymi serwetkami i szerokim, drewnianym łóżkiem z puchową kołdrą, Emily spojrzała dzielnie w oczy Roba i szepnęła:

- Chcę cię.
- Naprawdę? - spytał cicho, choć serce szalało mu z radości.
- Tak, Rob, naucz mnie miłości.

Rob nie uczył Emily, jak się kochać... Uczyli się wzajemnie. Emily dowiedziała się, jakim cudem jest pożądanie, on dowiedział się, jak bardzo ją kocha i jak potrafi być czuły.

Kochali się w delikatnym świetle złotego, jesiennego słońca, które wpadało do pokoju przez koronkowe firanki. Kochali się z otwartymi oczami, delikatnymi dłońmi, wrażliwymi wargami i czułymi, cicho szepnanymi słowami.

- Co robisz, Rob?
- Kocham się z tobą. Pozwól mi się kochać. Ufaj mi.
- ~ Ufam ci.

Emily okazała mu swoje zaufanie, a Rob pokazał jej łagodność miłości.

- Zimno ci, skarbie? - spytał w chwilę później, gdy poczuł, że drży.
- Nie.
- Boisz się?
- Nie, nie boję się. Rob?
- Co, skarbie?
- Nie przerywaj teraz, proszę. Rob?
- Tak?
- Potrzebuję cię. Potrzebuję cię całego.
- Och, Emily - szepnął, gdy przyjęła go w siebie i uśmiechnął się do jej błyszczących, szarych oczu. - Tak bardzo cię kocham.
- ~ Ja też cię bardzo kocham.

Później leżeli obok siebie, pieszcząc się delikatnie, zachwycając swoją miłością. Rob odsunął się lekko, gdyż chciał spojrzeć jej w oczy. Z szarych, pięknych oczu Emily płynęły łzy szczęścia i radości.

Kiedy je delikatnie całował, poczuł nagłe wzruszenie.

- Dlaczego płaczesz, moja cudowna?

Emily uśmiechnęła się i dotknęła łez radości, które płynęły także z ciemnoniebieskich oczu Roba.

- Nie wiem, mój kochany - szepnęła. - A ty?

*Bel Air, Kalifornia,  
październik 1985 roku*

Co się stało, Winter? - spytała Allison. Głos przyjaciółki był cichy i apatyczny.

- Coś się do mnie przyczepiło, jakiś wirus. Strasznie się czuję. Właśnie kończy mi się okres. Jestem chora. Nie mogę nawet się gimnastykować, bo jestem cały czas zmęczona i w dodatku bolą mnie wszystkie mięśnie. A ty? Co u ciebie? Jak minął weekend w Nowym Jorku?

- Szybko. Cudownie. Posłuchaj, Winter, przyjadę do ciebie i zajmę się moim najbardziej ulubionym dzieckiem na świecie, żebyś mogła trochę odpocząć.

- Nie, Allison, dziękuję. Bobbi rozumie, że mama źle się czuje i jest bardzo grzeczna. - Apatia zniknęła z głosu Winter, gdy mówiła o córce. Tak bardzo ją kochała! - To prawdziwy cud. Myślę o tym w każdej sekundzie każdego dnia.

- Wiem. Dlatego chciałabym przyjechać i ją zobaczyć.

- Damy sobie radę, naprawdę. Opowiedz mi o sobie i o Peterze. Jeszcze tylko dwa tygodnie do listopada.

- Kto tu liczy dni? - roześmiała się Allison.

- Czy nadal planujecie urlop na cały miesiąc?

- Tak. Peter zaczyna pracę nad *Karuzelą* dopiero w grudniu. Córka Steve'a jest chętna, żeby zająć się Bułeczką więc może uda nam się nawet na trochę wyjechać.

- To fajnie. Historia miłosna ze szczęśliwym zakończeniem.

Allison zawahała się, myśląc o innej historii miłosnej, która powinna zakończyć się szczęśliwie.

- Myślałaś o Marku? - spytała.

- Myślę o nim przez cały czas — przyznała Winter, zbyt zmęczona, aby udawać. - Nigdy jednak nie powinnam ci mówić, że nie wiem, czy wytrzymam, żeby mu nie powiedzieć o Bobbi. Wypowiedziałam te słowa w euforii poporodowej.

- Nadal jesteś w euforii w związku z Bobbi.

- Natomiast o Marku myślę realnie. Muszę skończyć, Allison. Bobbi śpi i ja też się na chwilę położę.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, abym się nią zajęła?



- Tak. Dziękuję. Czy przyjedziesz się z nami pobawić, jak poczuje się lepiej?
- Z przyjemnością. Zadzwoń, jak będziesz czegoś potrzebowała.
- Dobrze. Dzięki, Allison.

Kiedy telefon Allison zadzwonił dwie minuty później, była pewna, że dzwoni Winter. Peter w Nowym Jorku był dopiero w połowie drugiego aktu *Makbeta*.

- Już jadę - powiedziała do słuchawki.
- Allison? Mówi Meg.
- Meg! Cześć. Jesteś w Los Angeles?
- Nie, dzwonię z Greenwich. Cam jest na spotkaniu w mieście. Pomyslałam, że dawno nie rozmawialiśmy.

Allison poczuła wyrzuty sumienia. W ciągu ostatniego pół roku, jeżdżąc do Nowego Jorku, nigdy się nie odezwała do Meg i Camerona. Gdyby do nich zadzwoniła, musiałyby się przynajmniej umówić na obiad, co było stratą czasu, gdy tak mało mieli go z Peterem dla siebie.

- Co u ciebie słychać, Meg?
- Wszystko w porządku. Jestem w ciąży.
- Gratulacje.
- Dzięki.
- Kiedy masz termin?
- W lutym. Strasznie się cieszymy. - Meg zawahała się na moment,

a potem spytała: - A co u Winter?

- Wszystko dobrze - odparła ostrożnie Allison.

Pytanie o Winter w związku z wiadomością o ciąży Meg nie mogło być zbiegiem okoliczności. Bobbi skończyła dwa i pół miesiąca, ale nadal niewiele osób o niej wiedziało.

Z pewnością Meg nie miała pojęcia o istnieniu Bobbi, ale w jej głowie pobrzmiwała dramatyczna nuta.

- Dlaczego pytasz?
- Och, miałam tylko nadzieję, że się nie związała z Peterem Daltonem.

Allison wiedziała, że Meg uwielbia dramatyczne tajemnice, tym niemniej poczuła zimny dreszcz i przyspieszone bicie serca.

- Peter Dalton reżyserował *Miłość*, więc trudno, żeby Winter go nie znała - stwierdziła Allison, starając się zachować spokój. - Dlaczego powiedziałaś, że masz nadzieję, iż Winter nic nie łączy z Peterem Daltonem?

- Ponieważ jako piękna, młoda i bogata kobieta jest w jego typie. Oczywiście Winter może nie mieć w swoich żyłach dość błękitnej krwi. Zresztą nie znam drzewa genealogicznego jej rodziny. Poza tym z pewnością nie jest naiwną panienką. - Meg nabrała powietrza i dodała zło-wieszczo: - W gruncie rzeczy ty jesteś bardziej w jego typie, Allison.

- O czym ty mówisz, Meg?

- O Peterze Daltonie. To jest ten człowiek, o którym ci mówiłam na ślubie.

- Jaki człowiek?

- Ten, który zabił Sarę Adamson. Peter Dalton jest łowcą posagów, autorem morderstwa doskonałego. - Meg przerwała, a kiedy milczenie Allison utwierdziło ją w przekonaniu, że Allison chce usłyszeć coś więcej, kontynuowała: - Matka Sary powiedziała mojej teściowej. Prawnicy ostrzegli Sheilę Adamson, żeby nikomu tego nie powtarzała, ale i tak to zrobiła. Teściowa powiedziała mi w zeszłą sobotę. Oczywiście musia-ła, bo mówiłam, że się wybieram na *Miłość*, a ona twierdziła, że nie powinnam, choć początkowo nie chciała przyznać, dlaczego. W końcu to z niej wydusiłam, bo wiedziałam, że się zainteresujesz. Znałaś Sarę i znasz Winter. To niesamowity zbieg okoliczności, prawda? Jesteś tam, Allison?

- Tak.

- Mam ci opowiedzieć?

- Tak.

- Rodzina Petera była bardzo biedna. On i jego ojciec nienawidzili bogatych mieszkańców Greenwich. Może Peterowi zależało na pienią-dzach Sary, a może chciał ją ukarać za to, że była bogata, uprzywilejo-wana, w czepku urodzona. Tak jak my.

- Sama mówiłaś, że Sara była umierająca. - Allison nie chciała na-wet przez sekundę uwierzyć w to, co opowiadała jej Meg.

- To prawda. Peter Dalton wiedział, że bardzo szybko odziedziczy majątek Sary. To dowodzi, jaki jest obrzydliwy, prawda? Żałował na-wet części tych pieniędzy na drogie lekarstwa, które mogłyby choć tro-chę przedłużyć jej życie. A może chciał, aby bogata Sara Adamson cier-piała.

Nie! Nie! To nieprawda! Nie wierzę! - krzyczała w duchu Allison.

- Czy Rob też uważa, że Peter zabił Sarę? - spytała Allison, prze-rywając w końcu milczenie, które zapadło po ostatnich słowach Meg.

- Tak sądzę. Podobno była między nimi jakaś gwałtowna kłótnia. Peter miał czelność pokazać się w domu Adamsonów kilka dni po po-grzebie.

- Peter wie, co Rob o nim myśli?
- Oczywiście. Muszę już kończyć, Allison. W ciąży jestem ciągle śpiąca. Pomyślałam sobie, że ci o tym powiem. Cieszę się, że Winter nie ma z nim nic wspólnego.

Winter nie miała z nim nic wspólnego, ale inna naiwna młoda i bogata kobieta...

W ciągu trzech godzin, jakie upłynęły od rozmowy z Meg do telefonu Petera, Allison tysiąc razy powtórzyła sobie w głowie jej słowa i przypomniała wszystkie miłosne sceny z Peterem. Tym razem nie potrafiła zmienić zakończenia.

A tak bardzo chciała zapomnieć, że Peter trzymał w tajemnicy istnienie Sary, dopóki nie zmusiły go do jej wyjawienia okoliczności związane z premierą *Miłości*.

Chciała zapomnieć ten okropny strach w oczach Petera, kiedy Rob zadzwonił do niej, gdy porwano Emily. Zapytał przy tym tak niewinnie: „On jest właścicielem »Portretu«, prawda?” Jakby nie znał Roba, jakby Rob nie był przez cztery lata bratem jego żony.

Chciała zapomnieć, że Peter nigdy nie czytał „Portretu”, a Rob nie przyszedł na premierę *Miłości*.

A najbardziej chciała zapomnieć, że Peter obiecał jej, że nie będzie miał przed nią żadnych tajemnic.

Chciała o tym wszystkim zapomnieć i nie potrafiła.

Największą walką, jaką Allison w życiu stoczyła, była walka z uszkodzonym mózgiem, żeby mogła znów pamiętać. Allison walczyła odważnie, z determinacją! siłą ducha, dzięki którym wygrała. I jej zdrowy umysł wiernie zapamiętał wszystkie sceny z Peterem, każdą sekundę ich zaczarowanej miłości.

Teraz jej własna pamięć mogła ją zniszczyć.

Na jesiennym niebie chmury zasłaniały księżyc. Gdy zapadła ciemność, mieszkanie Allison stało się posępnym miejscem pełnym milczących cieni. Otepiała Allison siedziała nieruchomo, tocząc walkę między sercem a rozumem.

Serce podpowiadało jej, że musi być jakieś proste, logiczne wytłumaczenie tak samo, jak wtedy, gdy Peter nie od razu powiedział jej o żonie, ponieważ nie chciał jej robić przykrości. Proste, logiczne wytłumaczenie kochającego człowieka... Z pewnością i tym razem wyjaśnienie będzie równie proste.

Na przykład jakie? - pytał złośliwie głos rozumu.

Może Sheila Adamson, zrozpaczona po śmierci córki, chcąc znaleźć za wszelką cenę winnego, po prostu zwariowała. Może wymyślała sobie różne historie, bo nie mogła pogodzić się z tragiczną śmiercią Sary. Może Peter i Rob naprawdę byli sobie bliscy za życia Sary, ale nieszczęście sprawiło, że nie potrafili już znaleźć wspólnego języka. Może Peter nie przyznał się, że zna Roba, bo chciał z nim najpierw porozmawiać. Może...

To wszystko było przekształcaniem rzeczywistości, wymyślaniem bajeczek. Najważniejsze miały być słowa wielkiego dramaturga.

Serce podpowiadało, że Peter na pewno powie jej prawdę. I że ja-koś, w końcu, wszystko się ułoży.

Rozum twierdził, że nic nie wiadomo i że być może nie będzie żadnych okoliczności łągających.

Allison była wykończona. Obawiała się, że nie będzie miała siły, aby rozmawiać z Peterem, kiedy zadzwoni. Modliła się, żeby szybko rozwiązał wszelkie wątpliwości i uratował ich miłość.

- Halo?

- Witaj, kochanie. Mam dla ciebie cudowną niespodziankę. - Głos Petera rozbrzmiewał radością. - Mam nadzieję, że ci się spodoba. Allison?

- Opowiedz mi o Sarze Adamson, Peter.

Jedną część mózgu Allison, ta sama, która później będzie jej bezli-tonnie przypominać o tej rozmowie, liczyła bolesne sekundy milczenia, nim Peter znów się odezwał.

- Mówiłem ci o Sarze - odparł w końcu, gorączkowo rozmyślając, co się stało.

Rob jej powiedział! Ale kiedy? Jak? Peter martwił się, że musi czekać aż do listopada, aby wszystko Allison opowiedzieć. Rozważał nawet, czy nie mógłby tego zrobić wcześniej, chociaż wolałby poczekać aż ich życie stanie się spokojniejsze. Później dowiedział się, że Rob jedzie w podróż poślubną do Europy i nie wróci aż do listopada. Nim Emiły i Rob wrócą do Stanów, oni z Allison będą daleko, na piaszczy-ster plaży południowego Pacyfiku lub w zacisznym domku w wysokich górach. Tymczasem Rob jakoś do niej dotarł. Niech to diabli!

- Cokolwiek Rob ci powiedział...

- Nie rozmawiałam z Robem. To był ktoś inny.

Allison słyszała w głosie Petera gniew pomieszany ze strachem i poczuła, że jej nadzieje i marzenia zaczynają umierać. Peter nie za-

mierzał szybko i przekonująco powiedzieć jej o teściowej, która oszalała z bólu czy o szwagrze, który był dla niego bratem. Peter nie mógł niczego wyjaśnić.

- Czy to ważne, od kogo się dowiedziałam? - spytała ze smutkiem Sara.

- Ważne jest czego się dowiedziałas.

- Prawdy. Byłeś mężem Sary, siostry człowieka, który jest moim przyjacielem, ale udawałeś, że go nie znasz.

- Miałem zamiar ci o tym powiedzieć.

„Miałem zamiar ci o tym powiedzieć”. Te same słowa mówił tamtego wieczoru, gdy musiał w końcu opowiedzieć jej o swoim małżeństwie. Wtedy uwierzyła, w to, co mówił, w zapewnienia miłości, w obietnicę, że nie będzie więcej tajemnic.

Teraz te słowa, wszystkie słowa Petera, wydawały się puste i bez znaczenia.

Allison czuła, że umierającej marzenia o miłości, lecz nie było w niej pustki, która towarzyszyła śmierci marzeń o złotych olimpijskich medalach. Teraz wypełniały ją silne i nieznane emocje, które przerażały ją swą intensywnością. Czuła, że nad sobą nie panuje.

Gdy Allison się wreszcie odezwała, nie poznała własnego głosu, który syczał oskarżeniami. Najpierw się przestraszyła. Znikł gdzieś miękki, kochający, przeniknięty miłością głos, jakim zawsze mówiła do Petera. Ale tak samo zniknął Peter, którego znała. Jej nowy jadowity głos nie będzie trudny do zrozumienia dla prawdziwego Petera, diabelskiego arlekina z jej złych snów, który przecinał zakrwawionym nożem popręg siodła Sary i wybuchał strasznym śmiechem, gdy wrażliwa i niewinna Sara umierała.

- Kiedy chciałeś mi powiedzieć? - zapytał nowy głos. - Na pewno nie przedtem, nim wzięłabym udział w zawodach skoków. To był twój plan, prawda? Udawałeś nawet, że nie chcesz, abym znów skakała. Ale w końcu byś się zgodził, prawda? Przyszedłbyś mnie oglądać. Skoczyłabym jeszcze jeden ostatni raz i już bym nie żyła. Tak jak Sara. Jeszcze jedna bogata kobieta, której błękitną krew przelałeś z radością.

- Wielki Boże, o czym ty mówisz, Allison?

- Powiedziałeś, że twoja żona umarła. Zapomniałeś jednak o paru szczegółach. To dziwne, prawda? Peter Dalton jest znany z dokładnego rozważania każdej myśli i emocji, a zapomniał mi powiedzieć, kim była jego żona. I dlaczego umarła.

- Dlaczego umarła? - powtórzył Peter.

Dlaczego Sara umarła? Dlaczego nie mogła żyć długo i szczęśliwie w otoczeniu dzieci i wnuków. Dlaczego? Dlaczego? Peter nie znał odpowiedzi na te dręczące pytania. Dlatego właśnie pisał. Coś w głębi duszy kazało mu drażnić tajemnicze kwestie życia. Drażył je, ale nie znajdował odpowiedzi.

- Nie wiem, dlaczego Sara umarła, Allison - powiedział spokojnie.
- Ależ wiesz, Peter! Umarła, bo ty tego chciałeś.
- Co?!
- Umarła, bo ty ją zabiłeś.

Zapadła długa cisza.

- Tak uważa Rob? - spytał w końcu Peter zrozpaczonym szeptem.
- Tak uważają Adamsonowie.
- A ty, Allison? Ty też w to wierzysz?

Tak, Peter wiedział, że i ona uwierzyła. Z tym przekonaniem przyszła straszna pustka, z którą miał żyć już do końca, i przerażający ból po stracie miłości. Tym razem strata była nawet większa, gdyż chodziło także o zdradę.

Spełni się obietnica Roba.

Allison nie odpowiedziała na pytanie. W którymś momencie drżącą ręką po prostu odłożyła słuchawkę. Nie czuła już otępienia. Przedtem, dzięki Peterowi nauczyła się miłości i namiętności.

Dziś wieczorem, przez niego, nauczyła się nienawiści.

Telefon Allison zadzwonił znowu o pierwszej w nocy. Allison nie spała. Siedziała po ciemku i gwałtowny dźwięk nawet jej nie przestraszył.

Od wielu godzin płakała i starała się zrozumieć, co się stało. Peter zamordował Sarę. Peter jest diabelskim arlekinem. To jego chciała we śnie zmusić do przyznania się do winy.

Czyjej się to udało? Nie. I w dodatku w jego głosie słyszała rozpacz i beznadziejny żal.

Peter jest diabelskim arlekinem - przypomniała sobie.

Dzwonek telefonu był tylko jeszcze jednym przenikliwym hałasem w ciemnej ciszy.

Zostaw mnie w spokoju - błagała w duchu. Przestań dzwonić. Nie chcę cię więcej słyszeć. Nie mogę.

- Peter, zostaw mnie...
- Ratunku, Allison!
- Winter? '

- Pomóż... Chora... - Winter z trudem wymawiała pojedyncze słowa.
- Zadzwoń na pogotowie i już do ciebie jadę. Odłóż słuchawkę, Winter.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem Allison usłyszała, że słuchawka uderza głucho w aparat, obok widełek. Zapadła cisza.

W środku październikowej nocy głośno zabrzmiał sygnał karetki, a potem alarm, gdy załoga wyważyła drzwi domu Winter. Patrol policji Bel Air nadjechał jednocześnie z Allison i wyłączył alarm.

Allison pobiegła do pokoju przyjaciółki. Byli tam już sanitariusze, pochyleni nad Winter, leżącą na podłodze. Podłączyli jej tlen i kroplówkę. W ich doświadczonych oczach widać było niepokój.

Allison przez moment widziała Winter; jej gładka kremowa cera poczerwieniała, a pełne, zwykle różowe, wargi przybrały sinoniebieski kolor.

Allison owinęła obudzoną, choć dziwnie spokojną Bobbi w miękki kocyk i z wdzięcznością skorzystała z oferty policjanta z patrolu Bel Air, który zaproponował, że zawiezie ją z dzieckiem na izbę przyjęć szpitala uniwersyteckiego, dokąd na sygnale zabrano Winter.

*Deja vu.* Tak niedawno pędzili w środku nocy do szpitala, aby ratować życie Winter. Tym razem nie było z nią Petera. Allison przypomniała sobie jego przerażony wzrok. Czyżby miał wyrzuty sumienia na myśl o innej ciężarnej matce i nie narodzonym dziecku, które przez niego zmarły? Czy też po prostu był wściekły, że znów musi przypomnieć sobie o swojej zbrodni? Czy Allison choć raz właściwie odczytała wyraz jego oczu? Czy od samego początku widniała w nich lodowata pogarda dla jej bogactwa i uprzywilejowanej pozycji w społeczeństwie? Czy smutek był jedynie fasadą, tak jak przebranie arlekina z jej snów?

Tamtej sierpniowej nocy Winter walczyła ze strachem Petera, z jego fałszywymi zapewnieniami, iż wszystko będzie dobrze. Tamtej nocy, kiedy urodziła się Bobbi, Peterowi nie udało się doprowadzić do śmierci Winter, tak jak wcześniej uśmiercił Sarę.

Dziś Winter była spokojna. Nie miała siły, by walczyć.

Wreszcie wóz policyjny podjechał przed jasno oświetlone wejście do izby przyjęć. Allison weszła do środka, aby jak najprędzej znaleźć się u boku przyjaciółki. Trzymając w objęciach Bobbi, przekazała dyżurnemu lekarzowi, co wie o chorobie Winter, którą w tym samym czasie, za zasłoną, zajmował się lekarz stażysta i dwie pielęgniarki.

- Powiedziała, że to jakiś wirus.
- Jakie miała objawy?
- W gruncie rzeczy nie powiedziała mi nic konkretnego, poza tym, że jest bardzo zmęczona i że nie może się gimnastykować, bo bołą ją mięśnie.

- Skarżyła się na ból mięśni?

- Tak. "

- Coś jeszcze?

Allison przygryzła wargę. Nie była pewna, czy to coś ważnego. Dziwiła się nawet, że Winter wspomniała jej o czymś tak intymnym.

- Powiedziała, że właśnie kończy jej się okres.

W tej chwili stażysta wyszedł zza zasłony.

- Wstrząs ustępuje pod wpływem płynów i leków podnoszących ciśnienie. Gazy oddechowe we krwi bez wspomagania są chwiejne, ale podałem jej tlen, ponieważ była sina.

- W porządku. To jest jej przyjaciółka.

Stażysta odwrócił się do Allison.

- Opalała się dzisiaj?

- Na pewno nie. Winter nigdy się nie opala.

- Allison mówi, że Winter właśnie skończył się okres.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie i znacząco kiwnęli głowami. Allison domyśliła się, że jej wyjaśnienia stały się ostatnimi kawałkami łamigłówki.

- Uważasz, że to ZWT - powiedział lekarz do stażysty.

- Na to wygląda.

- Co to jest ZWT? - spytała Allison.

- Zespół wstrząsu toksycznego - odparł lekarz. - Teraz zabierzemy ją na górę. Będzie na intensywnej terapii.

Lekarze wrócili za zasłonę. Allison została na korytarzu, gdzie znalazła ją niebawem pracownik administracji, który musiał wypełnić niezbędne formularze. Zaprowadził Allison za przepierzenie obok wejścia na oddział.

- Kogo mam wpisać jako najbliższą rodzinę? - spytał.

W sierpniu, kiedy urodziła się Bobbi, Allison bez wahania podała nazwisko Lawrence'a Carlyle'a. Ale teraz?

Teraz trzymała w ramionach jedyną osobę z najbliższej rodziny Winter. Spojrzała na małą i ucałowała czarne, jedwabiste włoski.

Kiedy skończyła podawać konieczne informacje, spytała jak dostać się na intensywną terapię.

- Dziecka nie może pani zabrać na górę.



W tej sytuacji Allison zadzwoniła do rodziców. Po kwadransie Patricia i Sean zjawili się na parkingu przy izbie przyjęć, aby zabrać od córki spokojne, cenne zawiniątko.

- Jak się czuje Winter?
- Jeszcze nie byłam na gorze. Obawiam się...
- Winter wyzdrowieje - przerwała jej stanowczo Patricia Fitzgerald. - Zawieziemy Bobbi do domu i położymy spać, a potem jedno z nas tu wróci.
- Dobrze. Mamo, Bobbi była karmiona wyłącznie piersią.
- Jakoś sobie poradzimy. - Patricia uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak bardzo lubili z mężem zajmować się własną małą córeczką. Spojrzała na Allison i w jej oczach dostrzegła niepokój. - Jedno z nas tu do ciebie wróci, Allison - dodała łagodnie. - Tymczasem powinnaś się zastanowić, kogo należy zawiadomić. Oczywiście przede wszystkim Petera. I może Lawrence'a?

Kiedy rodzice odjechali z Bobbi, Allison poszła na oddział intensywnej terapii. Lekarz powiedział jej, że stan Winter się nie zmienił. On także spytał, czy nie należy nikogo zawiadomić.

Allison usiadła w poczekalni i zaczęła się zastanawiać.

Peter? Zależało mu na Winter, pomógł jej odkryć talent aktorski i zatrzymał dla siebie wiadomość o jej ciąży, może nawet uratował jej życie. Nie, ten Peter naprawdę nigdy nie istniał.

Lawrence? Winter mówiła Allison, że Lawrence, Margaret i chłopcy są w jakimś odległym zakątku Indii, gdzie Lawrence kręcił kolejny film. Allison nie miała siły, aby zaczynać w tej chwili długie i skomplikowane poszukiwania. Może jutro. A może w ogóle nie będzie to potrzebne, bo Winter poczuje się lepiej.

Mark? On powinien wiedzieć. Allison nie miała wątpliwości. Jej świat uczuć został brutalnie zniszczony. Przedtem całym sercem i umysłem wierzyła w magiczną miłość Petera, ale teraz zrozumiwała, że się myliła. Z kolei Winter i Mark uważali swoją miłość za iluzję. Możliwe, że oni także się mylili.

W tę koszmarną noc, zawiadomienie Marka o chorobie Winter miało swoją pozytywną wymowę.

Allison zadzwoniła do biura numerów w Bostonie. Kiedy telefon w mieszkaniu Marka nie odpowiadał, zadzwoniła na centralę szpitala. Dowiedziała się, że doktor Mark Stephens ma dyżur na izbie przyjęć i że telefonistka zaraz ją połączy.

Mark spojrział na szpitalny zegar wiszący nad dyżurką pielęgniarek. Była szósta rano. Za godzinę kończył dwudziestoczworogodzinny dyżur. Na oddziale zapanował wreszcie spokój i Mark musiał jeszcze tylko wypełnić jedną kartę choroby. Westchnął cicho ze zmęczenia.

- Mieliliśmy dziś długą noc - powiedziała Jill, jedna z trzech dyżurujących pielęgniarek, dotykając z uśmiechem jego ramienia. Mark odwzajemnił tylko uśmiech.

- Telefon do doktora Stephensa - odezwał się głośnik.

- Może ta długa noc jeszcze wcale się nie skończyła - powiedział Mark, przyciskając migoczący guzik w aparacie na biurku. - Mówi Stephens.

- Mark, tu Allison Fitzgerald.

- Co się stało?

- Winter właśnie przyjęto do szpitala. Lekarze uważają, że to zespół wstrząsu toksycznego.

Mark natychmiast pomyślał o tysiącu szczegółowych medycznych pytań, które mogłyby mu powiedzieć coś bliższego o stanie Winter. Jakie miała ciśnienie? Liczbę płytek krwi? Zawartość tlenu we krwi tętniczej? Azot mocznikowy? Czas protrombinowy? Allison nie знаła odpowiedzi na żadne z nich, ale mogła odpowiedzieć mu na jedno najważniejsze.

- Czy Winter prosiła, żebyś do mnie zadzwoniła? - spytał, modląc się w duchu, aby się na tyle dobrze czuła, by o to poprosić.

- Nie, Mark. Jest nieprzytomna.

- Już jadę, Allison. Powiedz Winter. I powiedz jej, że ją kocham.

## 30

Siedem godzin później Mark powiedział to Winter osobiście. Na tle dźwięków różnych skomplikowanych urządzeń szeptał jej do ucha.

- Kocham cię, Winter. W marcu chciałem cię prosić, żebyś za mnie wyszła, ale to wydawało mi się takie egoistyczne, a ty... Grałaś? Udawałaś wtedy, kiedy nie powinnaś była udawać? Tak, ja też udawałem, twierdząc, że tak będzie najlepiej. To wcale nie było najlepsze wyjście. Na pewno nie dla mnie.

Wpatrywał się w nieruchomą Winter, w jej zamknięte oczy i czarne długie rzęsy, które nawet nie drgnęły. Czy go słyszała?

- Wiesz, jaki mam plan? - spytał z nadzieją. Nieruchome ciało Winter nie zareagowało, ale ciągnął dalej, jakby go słyszała: - Posłuchaj. Wtrzymałem ostatnie parę miesięcy tylko dlatego, że obiecałem sobie wspaniałą nagrodę na Nowy Rok. Prezent dla mnie na twoje urodziny. Miałem zamiar do ciebie zadzwonić, znaleźć cię, tam, gdzie kręciłabyś film, i poprosić, abyś spędziła ze mną dwa tygodnie urlopu w lutym. Gdybyś się zgodziła, poprosiłbym cię chyba od razu, bo już nie mogę dłużej czekać, żebyś spędziła ze mną resztę życia. Moja najdroższa Winter, mogę skończyć staż tutaj, w Los Angeles, a ty będziesz kręcić swoje filmy. Miłość moich rodziców nigdy nie była tak mocna, jak nasza. Nikt nikogo tak nie kochał, jak my się kochamy. I wiem, że nam się uda, jeśli i ty tego zechcesz. Nie musiałaś chorować, żebym do ciebie wrócił. I tak bym to zrobił, moja najdroższa Winter.

Długie rzęsy drgnęły i Winter na moment otworzyła oczy.

- Mark. Jeszcze nie wiesz o Bobbi - szepnęła i znów zaczęła się dusić, a jej różowe wargi stały się sine.

Pielęgniarki i lekarze natychmiast przybiegli do pokoju, zaalarmowani przyspieszonym biciem serca odnotowanym na monitorze.

- To może być przewodnienie.

- Albo ostra niewydolność oddechowa. Przy przyjęciu miała hipoksemię, ale na donosowym tlenie nasycenie było w porządku.

- Teraz jest źle. Niezależnie od przyczyny musimy ją natychmiast zaintubować.

Mark słuchał, ale się nie wtrącał. Wiedział, że jego koledzy mają rację i że zaintubowanie Winter jest konieczne i właściwe.

Pomóżcie jej - prosił tylko w duchu. Zajmijcie się nią tak, jakbyście zajmowali się kimś, kogo kochacie. Ja kocham ją...

Podczas intubacji trzymał Winter za rękę. Wcześniej podali jej kurarę, aby ją chwilowo sparaliżować i żeby nie mogła się ruszać w trakcie operacji laryngoskopowej.

Mark przyglądał się przerażony, jak stalowe ostrze nacięło długą, piękną szyję Winter, aby wprowadzić do krtani rurkę śródchawiczną. Lekarze robili wszystko prawidłowo, ale jednak!

Obserwował zabieg, starając się nie myśleć o tym, co wiedział na temat zespołu wstrząsu toksycznego. Młode zdrowe kobiety, umierały z tego powodu. Najczęściej wtedy, gdy chorobę wykryto za późno, gdy toksyny zdążyły już zainfekować płuca, nerki, wątrobę i szpik kostny.

Jedyna nadzieja leżała w agresywnej pomocy. Zimna stal w gardle, maszyny kontrolujące oddech, igły w żyłach dostarczające lekarstwa,

które hamowały wstrząs. Wszystko to, co miała do zaoferowania nowoczesna medycyna.

A on? Mógł ofiarować jedynie swą miłość.

Kiedy Mark wyszedł z pokoju, żeby nie przeszkadzać pielęgniarkom, w poczekalni spotkał Allison.

- Co z nią jest? - spytała.

- Założyli jej sztuczne oddychanie. Tak jest dla niej lepiej, nie musi zużywać energii i może trochę odpocząć.

Allison skinęła głową.

Byli sami w poczekalni. Mark spodziewał się tu znaleźć jeszcze kogoś, o kim Winter wspomniała z takim wysiłkiem.

- Gdzie jest Bob, Allison? - zapytał w końcu Mark.

- Jaki Bob?

- Winter o nim mówiła. To musi być jej nowa miłość.

- Co dokładnie powiedziała Winter?

- „Jeszcze nie wiesz o Bob... Bobby”.

- Tak, musisz się dowiedzieć.

- Powiesz mi?

- Powiniście się spotkać. Chodź ze mną.

- Nie chcę zostawiać Winter.

- Pojedziemy tylko do domu moich rodziców w Bel Air. To niedaleko. Zostawimy tu ich numer telefonu. To ważne, Mark.

- Witaj, Mark. - Patricia Fitzgerald uśmiechnęła się ciepło, starając się rozproszyc niepokój w jego zmęczonych oczach. - Jaki jest stan Winter?

Patricia nie wychodziłaby ze szpitala, gdyby nie miała pod opieką małej istotki.

- Stabilny - odparł Mark, instynktownie starając się ją uspokoić. Wiedział jednak, że to nieprawda. Intubacja oznaczała poważne niebezpieczeństwo.

- Mamo, przyjechaliśmy zobaczyć Bobbi.

Bardzo dobrze - pomyślała Patricia.

- Śpi w twoim pokoju.

Allison poprowadziła Marka za sobą. Kiedy doszli do otwartych drzwi, przepuściła go przodem. Bobbi spała spokojnie na brzuchu, na miękkich poduszkach, uśmiechając się przez sen maleńkimi, delikatnymi usteczkami.

- Allison? - spytał Mark przez łyzy.

- Mówimy na nią Bobbi, ale naprawdę ma na imię Roberta, po swojej babce. - Allison się rozpląkała.

Mark ostrożnie obudził Bobbi, wziął ją na ręce i przycisnął do piersi. Bobbi zagaworzyła, zaintrygowana jego ciepłem, nie przejmując się gorącymi łzami, które kapały jej na głowę.

Allison wyszła, aby dać Markowi kilka chwil z córką i poszła do matki do kuchni. Po chwili zjawił się tam Mark z Bobbi na rękę.

Patricia uśmiechnęła się.

- Przez godzinę usiłowałam ją przekonać, żeby zamknęła te swoje szafirowe oczęta - mruknęła.

- Dziękuję, że się pani nią zaopiekowała - powiedział Mark.

Teraz on był odpowiedzialny za córkę. Musiał się nią zająć i musiał być przy Winter. Jeszcze nie zdecydował, jak sobie poradzi z jednym i z drugim.

Patricia spojrzała na jego zmęczoną, zmartwioną twarz.

- Niech mi pan zostawi Bobbi. Zajmuję się nią z największą przyjemnością. Pan też się może u nas zatrzymać.

- Mogę zadzwonić do mojej matki.

- Świetnie. Chętnie ją poznam. Proszę jej powiedzieć, że może u nas zamieszkać. W ten sposób będziemy mogły na zmianę opiekować się Bobbi i odwiedzać Winter.

Patricia nie zamierzała tak łatwo rezygnować.

- Tak. Dziękuję - szepnął Mark. - Dziękuję pani.

Trzeciego dnia Winter ścisnęła dłoń, która niemal bez przerwy trzymała ją za rękę; czwartego - jej ciśnienie unormowało się bez pomocy lekarstw; piątego - wyjęto jej rurkę z krtani i zaczęła odpowiadać Markowi na wszystkie jego pytania, szeptać mu te same kochające słowa, które on jej przedtem, przez ostatnie pięć dni, nieustannie powtarzał.

- Kocham cię, Mark.

- Czy wiesz, jak bardzo jestem na ciebie zły? - spytał czule.

- Tak, już mi mówiłeś. - Winter uśmiechnęła się. Mark krzyczał na nią, tak jak ona kiedyś krzyczała na Allison, gdy przyjaciółka leżała w komie. „Nie waż się mnie opuścić. Jak mogłaś pomyśleć, że cię nie kocham, albo nie chcę. Czy miałas zamiar w ogóle powiedzieć mi o Bobbi?” - Przypuszczalnie wytrzymałabym mniej więcej do moich urodzin, a potem sama zadzwoniłabym do ciebie. Zastanawiałam się nad tym przez cały czas...

Mark przerwał jej długim, czułym pocałunkiem.

- Nigdy więcej sienie zastanawiaj.
- Dobrze.
- Dyrektor do spraw stażystów powiedział, że mogę podjąć tu pracę z początkiem lipca.
- Bobbi i ja chcemy się przenieść do Bostonu.
- Musimy porozmawiać.
- Aha. Zadzwoisz do mnie, jak tylko wylądujesz w Bostonie?
- Oczywiście. - Mark znów ją pocałował. Tym razem był to pożegnany pocałunek, musiał zdążyć na samolot. - Będiesz wiedziała, że to ja, gdyż od razu usłyszysz, że cię kocham.
- Och, Mark, ja też cię kocham.

Winter wypisano ze szpitala po ośmiu dniach. Razem z Bobbi wróciła do domu w Bel Air. Roberta Stephens odleciała do San Francisco. Winter i Mark szeptem omawiali swoje plany przez telefon.

Trzy dni po powrocie do domu Winter i Allison siedziały w kuchni.

- Co się stało z tobą i z Peterem? - spytała Winter. - I nie mów, że nic, bo wyglądasz, jak śmierć, a on ma taki głos, jakby już umarł.
  - Rozmawiałaś z nim?
  - Nie o was. Peter nie chce o tym rozmawiać. Dzwonił kilka razy, żeby spytać, jak się czuję. Wciąż o ciebie pyta.
  - I co mówisz?
  - Prawdę. Że strasznie wyglądasz. Smutno i samotnie. - Winter przerwała na chwilę. - Nie możesz mi powiedzieć? - zapytała łagodnie.
  - Chciałabym ci pomóc.
  - Nie, Winter, nie mogę o tym rozmawiać.
  - To twoja kolejna spontaniczna i niepodważalna decyzja?
  - Winter...
  - Przepraszam - szepnęła Winter, widząc łzy w zrozpaczonych oczach przyjaciółki. Znikł gdzieś znajomy wyraz poważnej determinacji. Allison była zagubiona, tak jak wtedy, po wypadku, gdy zrozumiała, że straciła swoje marzenia. - Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, co się mogło z wami stać, z tobą i z Peterem. Byliście, jesteście, tacy zakochani. Wiem, że nie ma nikogo innego, bo oboje cierpicie. Nie możesz mi powiedzieć? Może się przekonasz, że to nie jest nic tragicznego.
  - Nie mogę, Winter.
- Nie mogę - dodała w myśli - gdyż jest to coś, czego nie można sobie wyobrazić.

Teraz jednak zmuszała się, aby przypominać sobie koszmarny sen z diabelskim arlekinem i przeżywała ten koszmar każdej nocy, budząc się z przerażeniem, kiedy dopiero co udało jej się usnąć.

Wyobrażała sobie to wszystko, choć jej serce wciąż nie chciało uwierzyć. A z drugiej strony istniał przecież wysoki, ponury mur zbudowany z solidnych faktów...

Peter ukrywał przed nią swoje małżeństwo, dopóki nie był zmuszony jej o nim powiedzieć po premierze *Miłości*.

Udawał, że nie zna Roba, mimo iż wiedział, że Allison się z nim przyjaźni.

Obiecał, że nie będzie miał przed nią żadnych tajemnic, a to okazało się kłamstwem.

Od samego początku ich znajomości Peter Dalton miał swoje ciemne sekrety, ukrywał prawdę, wyjawiał drobne szczegóły jedynie pod przymusem.

Dlaczego? - pytała Allison. Dlatego, że jest winien - odpowiadała sama sobie w obliczu niepodważalnych faktów.

Wiedziała, w jaki sposób mistrzowie przeskakują wysokie i niebezpieczne przeszkody: wyobrażają sobie, że za przeszkodą jest to miejsce, w którym chcą się znaleźć. I wiedziała, dlaczego za każdym razem, oprócz jednego, udawało jej się bezpiecznie wylądować: bo najpierw posyłała tam swoje marzenia.

Teraz nie miała pojęcia, co znajduje się za wysokim murem. Czy chciała się tam znaleźć? Czy jej marzenie, jej miłość były właśnie tam?

Tylko Peter mógłby odpowiedzieć na pytania, na które nie było odpowiedzi.

Musiała usłyszeć jego odpowiedzi. Poleci do Nowego Jorku, spojrzy mu w oczy i wysłucha tego, co ma do powiedzenia. To była jedyna spontaniczna decyzja, którą potrafiła podjąć. Zresztą decyzja nie należała do niej - to serce nie zostawiło jej wyboru.

Czyżby planowała spotkanie z mordercą?

Czy z mężczyzną, którego kochała?

Przechodzili, trzymając się za ręce, obok kina przy Via Condotti w Rzymie, gdy Emily zwolniła kroku. Grali *Miłość*.

- Z kim widziałeś ten film, Rob? - spytała podstępnie, choć jego odpowiedź nie miała większego znaczenia. Emily była absołutnie pewna jego uczucia.

Spodziewała się znajomego, zakłopotanego uśmiechu, tymczasem zobaczyła coś zupełnie innego - nieznaną i dziwny wyraz twarzy.

- Rob?

- Nie widziałem *Miłości*.

- Naprawdę? To chodźmy do kina.

Emily pociągnęła go lekko za rękę, ale Rob nie ruszył się z miejsca i spojrzął z niechęcią na plakaty.

- Nie, Emily, nigdy nie pójdę na ten film.

- Co się stało, Rob? Powiedz mi.

Rob wziął Emily za rękę i kiedy chodzili po ulicach Rzymu, śladami jego spacerów z Sarą w lutym przed jej śmiercią, wszystko jej opowiedział. Wcześniej mówił już żonie o swej ukochanej siostrze, która umarła na cukrzycę, ale to była opowieść o Sarze, o jej życiu i urodzie, a nie o jej śmierci. Już to, że tak młodo umarła, było dostateczną tragedią. Emily nie musiała wówczas słuchać przerażających historii o tym jak i dlaczego Sara umarła.

Teraz jednak Rob wszystko jej opowiedział.

- Nie wierzę, że Peter mógłby ją skrzywdzić - powiedziała Emily, gdy Rob skończył mówić.

Zaskoczyła samą siebie pewnością sądu, a jeszcze bardziej zaskoczyła Roba.

- Peter? - powtórzył. - Znasz go?

- Peter i Allison...

- Och, mój Boże!

- Właściwie go nie znam. Tylko raz miałam z nim do czynienia. Tego dnia, gdy odlatywałam do Paryża, odwiózł mnie na lotnisko. Bardzo się bałam. Myślę, że Peter wyczuł mój strach i chciał mi pomóc. I pomógł. Był bardzo miły. - Emily uśmiechnęła się. - Peter Dalton przypominał mi ciebie, Rob, a to dało mi nadzieję.

Rob nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Już Sara mówiła mu, że są do siebie z Robem podobni, ale tragicznie się pomyliła. Byli całkowicie różni.

- Kiedy byłam w ambasadzie - zaczęła cicho Emily - musiałam znaleźć sposób, aby się zmusić do pozostania przy życiu. Tak łatwo mogłam umrzeć. W każdej chwili mogłam ich sprowokować, żeby mnie zastrzelili. Nawet o tym myślałam.

- Emily...

- Ale trzy dni przedtem, nim zostałam zakładniczką - mówiła dalej Emily - widziałam *Miłość*. I w ambasadzie podtrzymywałam w sobie chęć życia, odgrywając w głowie ten film, przez cały czas wyobrażając



sobie, że to my jesteśmy tymi kochankami. To mnie uratowało. *Miłość* jest filmem Petera, jego wizją, jego podarunkiem. Nie wierzę...

- Peter Dalton jest diabłem wcielonym, Emily - przerwał jej Rob.

- Ty powinnaś coś wiedzieć o takich mężczyznach - dodał łagodnie.

- Naprawdę wierzysz, że Peter zamordował Sarę?

Rob przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad jej pytaniem.

- Tuż po śmierci Sary, kiedy byłem zupełnie załamany, moja matka była o tym absolutnie przekonana, więc ja też wierzyłem w jego winę - powiedział w końcu. - W miarę upływu czasu, gdy racjonalizm zastąpił emocje, doszedłem do wniosku, że nie zrobił tego celowo, lecz przez zaniedbanie i bezmyślność zapracowanego człowieka. Winiłem go za śmierć Sary, ale nie wierzyłem już, że sam ją zabił. Teraz jednak...

- Przeze mnie - szepnęła Emily - poznałeś nowe aspekty okrucieństwa.

Tak było. Wraz z Emily, z jej historią i przeżyciami, Rob poznał rzeczy, do których zdolny jest człowiek, jakich przedtem nie potrafiłby sobie wyobrazić. Ale od ukochanej Emily nauczył się czegoś jeszcze.

- Dzięki tobie, moja kochana, nauczyłem się czegoś nowego o miłości.

Emily i Rob siedzieli w milczeniu, wśród rzymskich hałasów o zmierzchu; głośnych klaksonów i cichego szemrania fontann, gdzie wrzuca się monety, aby spełniły się marzenia.

- Znam bardzo złych mężczyzn - stwierdziła wreszcie Emily - i nie wierzę, że Peter Dalton jest jednym z nich.

- Jest bardzo sprytny i podstępny.

Emily milczała przez długą chwilę. Kiedy się w końcu odezwała, przemówiła z głębi serca:

- Ufasz mi, Rob?

- Oczywiście.

- Powierzyłam ci moje życie - szepnęła. - Całą siebie. Niczego nie ukrywałam.

- Wiem, skarbie.

Emily spojrzała mu prosto w oczy.

- Chodź ze mną na *Miłość*, Rob.

- Emily...

- Zaufaj mi.

Po filmie Emily i Rob chodzili ulicami Rzymu w całkowitym milczeniu. Ona z obawą, Rob z udręką w sercu. W pewien styczniowy

wieczór, nie tak dawno temu, Rob chodził za Emily po Paryżu, z uczuciem beznadziei i pragnieniem, aby uwolnić ją od demonów.

Dziś Emily przywołała demony Roba, które latami nosił w sercu.

Przepraszam cię - pomyślała Emily. Rob robił wrażenie, jakby jej nie widział. - Chciałam ci pomóc.

Wreszcie, gdy na jesiennym niebie wzeszło słońce, powiedział bardzo cicho:

- Czy to możliwe, że Peter naprawdę ją kochał?

Widział w filmie to, czego Emily jedynie się domyślała. *Miłość* była niesłychanie osobista, a śliczna, kochająca Julia była Sarą.

- Dlaczego miałyby to być niemożliwe?

- Gdyby Peter naprawdę tak bardzo kochał Sarę, nie pozwoliłby jej zaisć w ciążę.

- Może ona tego chciała. Może to była jej decyzja.

- Mówisz, że chciała umrzeć.

- Nie, najdroższy. - Wiedziała, co to chęć śmierci i chęć życia. - Sara nie chciała umrzeć. Chciała żyć i być taka, jak wszyscy.

## 31

Gdy Allison przyleciała do Nowego Jorku, padało. Deszcz przypominał jej o lepszych czasach... O wspaniałym posiłku z szampanem w ponury, szary dzień... O przemoczonych włosach, czule wytartych... O mokrym jedwabiu i koronkach, które delikatnie zdejmowały silne dłonie, drżące z pożądania.

Deszcz przypominał Allison o miłości.

Teraz wieczór był zimny i ciemny, a miłość gdzieś zginęła.

Allison nie zawiadomiła Petera, że przyjeżdża. Kiedy o dziewiątej dotarła do jego mieszkania w Chelsea, w szparze pod drzwiami nie widać było światła. Gdzie był Peter? Może w teatrze, choć jego praca nad Szekspirem na Broadwayu już się skończyła. W tym tygodniu, na który z takim utęsknieniem czekali, Peter miał się pakować, załatwiać ostatnie sprawy i za dwa dni przенosić do Los Angeles, aby być z nią na zawsze.

Zapukała do drzwi, nie oczekując odpowiedzi, zastanawiając się, czy wejść do środka, jeśli Petera nie ma.

Ale on tam był, w ciemnościach.

- Allison. Wejdz, proszę.

Zobaczyła szare cienie, częściowo spakowane pudła, które już byłyby nadane na bagaż, gdyby... I zobaczyła też mały cień - Bułeczkę. Pies jednak nie zakreślił się radośnie, jak zwykle, ani nie skoczył na powitanie. Bułeczka wyczuwała smutek. Od jedenastu dni znów żyła w znajomym, choć dawno zapomnianym, nastroju śmierci.

Gdy Allison weszła do środka, Peter zapalił małą lampkę, wziął od niej mokry płaszcz i spojrzął na wilgotne włosy.

- Dać ci ręcznik do włosów? - zapytał, przypominając sobie ze smutkiem, jak przedtem Allison, ten dzień, gdy też miała mokre włosy i gdy połączyła ich miłość.

- Nie, dziękuję. - Allison weszła do małego saloniku i usiadła na kanapie. Nie była w stanie spojrzeć Peterowi w oczy, kiedy jednak brał od niej płaszcz, na jego spiętej twarzy zobaczyła ból. Ból, udrękę, bezsenność. - Peter, powiedz mi, proszę, co się stało z Sarą.

Peter usiadł na krześle naprzeciwko Allison i zaczął opowiadać.

- Miałeś zielonego volkswagena? - spytała, przerywając mu opowieść o tym, jak spotkał Sarę i zakochał się w niej, gdy razem zajmowali się różanym ogrodem.

- Tak. Skąd wiesz?

- Znałam Sarę. Chodziłyśmy przez rok do tej samej szkoły w Greenwich. To był ostatni rok Sary. Codziennie w południe przyglądała się, jak jeździłam konno. Aż do wiosny.

Dopóki się nie zakochała. Allison wciąż pamiętała radość Sary, jej jasne spojrzenie i bijący od niej blask, kiedy pewnego razu wsiadała do samochodu mężczyzny, którego kochała.

- Znałaś Sarę - szepnęła z niedowierzaniem Peter. A potem jemu też się coś przypomniało. - Ty byłaś tą dziewczynką z płomiennymi włosami, mistrzynią jazdy konnej. Sara uwielbiała ci się przyglądać. Mówiła, że jesteś wolna i szczęśliwa. To z twojego powodu Sara i ja braliśmy lekcje jazdy w Central Parku.

- Powiedz mi, co się stało - powtórzyła po chwili Allison. W głosie Petera rozbrzmiewała miłość do Sary i miłość do dziewczyny o płomiennych włosach.

Słuchała w milczeniu, gdy Peter opowiedział jej o wszystkim. Jego głęboki, przepojony wzruszeniem głos zabrał ją w podróż w przeszłość, do czasów miłości, radości i wielkiego smutku.

Powiedział jej o tym, jak bardzo Sara chciała być wolna i że nie miała kontroli nad chorobą, która od początku była śmiertelna. O swojej obietnicy, że da jej wolność, o własnym strachu i wątpliwościach, z którymi musiał walczyć, aby tej obietnicy dotrzymać.

W pewnej chwili szepnęła cicho, że przez jakiś czas wierzyła, iż Sara wyzdrowiała. Jednak w ostatnim roku życia wyglądała bardzo źle, jakby umierała. A potem, dwa miesiące przed śmiercią, poleciała do Rzymu i wszystko, jakby cudem, znów się zmieniło. Sara wyglądała zdrowo, pięknie i szczęśliwie. Ciąży, której chciała i którą zaplanowała, dała jej energię i nadzieję.

Peter zamilkł na moment, po czym opowiedział Allison o śmierci Sary - prędkiej, spokojnej i pełnej miłości - kiedy domagała się, aby złożył jej obietnice.

Wreszcie zamilkł. Sara umarła. Historia się skończyła.

~ Sara była umierająca - powiedziała Allison. Czyżby Peter tego nie wiedział? Czy wierzył, że nadal by żyła, gdyby sienią lepiej opiekował? Czy to jeszcze bardziej zwiększało jego wyrzuty sumienia?

Teraz Allison wreszcie poznała prawdę i wiedziała, że Peter miał na sumieniu tylko jedną rzecz, która w żadnym razie nie była przestępstwem.

- Za bardzo ją kochałeś - szepnęła. I spojrzała mu prosto w oczy. Zmęczony Peter szukał słów, którymi mógłby przyznać się do tego przestępstwa i nie stracić miłości Allison.

Ciszę przerwał nagle dzwonek telefonu.

Allison siedziała bliżej i odruchowo podniosła słuchawkę. Do niej też czasem dzwonił pod numer Petera, kiedy przebywała w Nowym Jorku.

- Halo?
  - Allison? Mówi Rob.
  - Rob!
  - Muszę rozmawiać z Peterem.
  - Wiem o Sarze, Rob. Znałam ją. Chodziłam do szkoły w Greenwich. Powinam ci to była powiedzieć.
  - Byłaś w Greenwich?
  - Tak, przez rok. Ostatni rok Sary. Często...
  - ...przyglądała się, jak jeździłaś konno - dokończył za nią Rob. To Allison była tą dziewczynką, którą tak polubiła Sara.
  - Tak, Rob, wiem wszystko. Wiem, co sądzi twoja rodzina. I ty chyba też. Ale Peter nie skrzywdził Sary. Nigdy by tego nie zrobił. - Czy Allison napełniły się łzami i dokończyła drżącym głosem: - Rob, Peter kochał Sarę nad życie.
  - Czy on tam jest, Allison. Czy możesz mu oddać słuchawkę?
- Allison zasłoniła słuchawkę ręką i spojrzała pytająco na Petera.
- Rob chce z tobą rozmawiać.

Peter nie chciał rozmawiać z Robem. Chciał jedynie, musiał, rozmawiać z Allison. Tyłko z Allison. Wciąż słyszał to, co powiedziała do telefonu: „Peter nie skrzywdził Sary. Nigdy by tego nie zrobił” i nagle odzyskał nadzieję.

Nie chciał rozmawiać z Robem, ale kiedyś złożył pewną obietnicę. Teraz, gdy Rob sam do niego zadzwonił, może mieli szansę, aby przynajmniej coś sobie wyjaśnić. Zwłaszcza po wstawiennictwie Allison.

Kiedyś Allison planowała, że dumnie i radośnie przedstawi swego przyjaciela Roba ukochanemu Peterowi. Teraz wprawdzie sytuacja była zupełnie inna, lecz Allison stała się ogniwem łączącym obu mężczyzn. Rob nadal był jej przyjacielem, Peter jej ukochanym, i wierzyła w nich obu.

Peter wziął słuchawkę od Allison.

- Słucham.

- Dziękuję, że chcesz ze mną rozmawiać - zaczął Rob, zdając sobie sprawę, że on w swoim czasie nie chciał zrobić nawet tego. A kiedy już się godził porozmawiać z Peterem, to go w ogóle nie słuchał. Złożył mu jedynie obietnicę wiecznej nienawiści. - Nie zdziwię się, jeśli mi nie powiesz. Może nie mam prawa pytać.

- Sara powiedziała mi, że jest w ciąży, kiedy wróciła z Rzymu - odpowiedział Peter na pytanie, którego się domyślił. - Była bardzo podniekcytowana. Tego chciała i tak sobie zaplanowała. Wiem, że mnie o to obwiniasz. Ja też mam do siebie pretensję.

- Sara chciała, żebyśmy zostali przyjaciółmi, Peter - stwierdził Rob drżącym głosem.

- To prawda.

Podczas długiej chwili milczenia obaj mężczyźni pomyśleli to samo: „Nie wiem, czy to jest w ogóle możliwe”. I obaj poczuli nadzieję, gdy długie korzenie nienawiści w ich sercach zaczęły usychać.

*Dwa rody, oba podobne w godności...*

Tylko czas pokaże, czy ci dwaj dumni mężczyźni potrafią się zaprzyjaźnić, ale przynajmniej nie pozostaną zapiękłymi w swej niechęci wrogami. To był początek spełnienia obietnicy, jaką obaj złożyli Sarze.

- Może ty i Allison zjecie z nami kiedyś kolację - powiedział w końcu Rob.

- Tak... Może... Kiedyś.

Rozmowa zakończyła się bez żadnych konkretnych ustaleń, jednak po raz pierwszy zakończyła się także bez wybuchów nienawiści.

Peter odłożył słuchawkę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w telefon, starając się odzyskać spokój i czując, jak z serca spada mu wielki ciężar. Potem usłyszał jakiś dźwięk i podniósł głowę.

Allison wyciągała z szafy przemoczony płaszcz.

Kiedy doszła do drzwi, gotowa do wyjścia, do powrotu w deszcz, zimno i ciemność, Peter wreszcie się odezwał:

- Nie uwierzyłaś mi? - spytał zaskoczony.

Allison odwróciła się i spojrzała na niego zdumiona i zaniepokojona.

- Co mówisz, Peter?

- Powiedziałaś Robowi, że wierzysz w to, iż kochałem Sarę i nigdy bym jej nie skrzywdził. Ale sama w to nie wierzysz, prawda? Sądzisz, że zabiłem Sarę.

- Nie, Peter, mylisz się.

Wierzyła, że bardzo kochał Sarę, za bardzo, na zawsze.

- To dlaczego odchodzisz, Allison?

Bo to nie jest moje miejsce - pomyślała z głębokim smutkiem.

Peter zobaczył w jej oczach niewiarygodny smutek i samotność; zrozumiał od razu, co się stało.

Allison odchodziła, aby zostawić go z Sarą. Peter zabrał ją w podróż w przeszłość i Allison wciąż tam była, zagubiona w jego wspomnieniach.

Podszedł i wziął ją za rękę. Zaczął łagodnie i bardzo ostrożnie przywracać Allison teraźniejszości i prowadzić ją w przyszłość, opowiadając o swojej miłości.

- Pamiętasz, gdy zadzwoniłem do ciebie tamtej nocy? Jedenaście dni temu? Powiedziałem, że mam dla ciebie cudowną niespodziankę. Chcesz wiedzieć, co to jest?

- Co? Ach tak.

- Kupiłem Bellemeade. Dla nas, kochanie, żebyśmy na zawsze mogli zamieszkać w tym zaczarowanym miejscu. Przeprowadzam się do Los Angeles, do Bel Air, żeby przez cały czas być z tobą. Będę pisał scenariusze, ale tylko szczęśliwe, jeśli tego będziesz chciała. I założę teatr: Szekspir w Westwood, coś w tym rodzaju. Bułeczka stanie się prawdziwą mieszkanką Kalifornii.

Peter przerwał. Czy Allison słuchała? Czy słyszała jego słowa miłości? Bułeczka słuchała. Usłyszała swoje imię, wypowiedziane z czułością, i lekko, z nadzieją, przekrzywiła złoty łeppek.

- Allison?

Spojrzał w jej oczy i zobaczył, że choć nadal była trochę zagubiona, powoli odnajdywała do niego drogę, prowadzona kochającym głosem Petera i głosem własnego serca.

- Allison, kochanie?

- Tak? - Jej oczy oprzytomniały. - Słucham cię?
- Czy wiesz, dlaczego powiedziałem, że nie będę oglądał twoich skoków?
- Nie. Dlaczego?
- Bo za bardzo cię kocham. Bo nie mógłbym znieść myśli, że cię stracę. To egoizm, wiem. Ale gdybyś znów chciała skakać, będę przy tobie - szepnął.
- Nie chcę już skakać. To już nie jest ważne - odparła szybko Allison. Uśmiechnęła się nagle i spojrzała na niego z miłością, czystymi, błyszczącymi, zielonymi oczyma. - Chciałbyś wiedzieć dlaczego?
- Tak, kochanie. Powiedz mi.
- Bo ja też za bardzo cię kocham.